

A black and white photograph of a person in a red coat walking away on a snowy path lined with bare trees. The person is walking away from the viewer down a path that is covered in snow. To the left of the path, there is a row of tall, bare trees with snow on their branches. The background shows a misty or foggy landscape with a fence and distant hills.

ROSAMUND LUPTON

Mroczny,  
wzruszający  
i zaskakujący  
thriller

# SIOSTRA

Świat Książki

**Rosamund Lupton**

# **Siostra**

Z angielskiego przełożyła  
Agnieszka Wyszogrodzka-Gaik

---



*Moim rodzicom, Kitowi i Jane Orde-Powlett,  
za ich nieustanne wsparcie i zachętę.*

*Oraz mojemu mężowi Martinowi,  
z wyrazami miłości.*

*Gdzież znaleźlibyśmy lepszą córkę, miłszą siostrę lub  
szczerzą przyjaciółkę?*

Jane Austen, *Emma*

*Lecz wyciąg przetrwa, gdy kwiat zimę spotka; Choć straci  
postać, przeżyje treść słodka.*

William Shakespeare, *Sonet V*  
(w tłumaczeniu Macieja Słomczyńskiego)

# ROZDZIAŁ 1

*Niedziela, wieczór*

Najdroższa Tess,

zrobiłabym wszystko, żeby być z Tobą teraz, w tej chwili, móc trzymać Cię za rękę, spojrzeć na Twoją twarz, słuchać Twojego głosu. Jak list może zastąpić doznania dotykowe, wzrokowe i węchowe – zapewniane nam przez receptory czuciowe, nerwy wzrokowe i wibrujące bębny w uszach? Już wcześniej udawało nam się jednak wykorzystywać słowa jako pośredników, prawda? Gdy wyjechałam do szkoły z internatem i musiałyśmy zastąpić listami zabawy i śmiech, jak też wyznania czynione przyciszonym głosem. Nie pamiętam, co napisałam w pierwszym liście, ale przypominam sobie, że użyłam wybrakowanej układanki do tego, by unikać wścibskiego wzroku naszej wychowawczynie w internacie. (Dobrze się domyśliłam, że jej wewnętrzne dziecko, które chciałoby układać puzzle, dawno już umilkło). Pamiętam natomiast każde słowo Twojej odpowiedzi na moją tęsknotę. Miałaś siedem lat. Twoje pismo było niewidoczne do chwili, gdy podświetliłam papier latarką. Od tamtej pory dobroć kojarzy mi się z zapachem soku z cytryny.

Dziennikarze byliby zachwyceni tą opowieścią, ukazującą mnie jako detektywa od soku cytrynowego już w dzieciństwie i odzwierciedlającą to, jak zawsze byliśmy sobie bliskie. Stoją teraz pod Twoim

mieszkaniem, razem z kamerzystami i technikami dźwięku (twarze im się świecą, kurtki mają brudne, kable ciągną się po schodach i wplątują w balustradę). Tak, ta informacja wydaje się wyrwana z kontekstu, ale przecież muszę Ci to powiedzieć. Nie jestem pewna, jak poradzisz sobie z tą swoistą sławą, ale podejrzewam, że wyda Ci się to nieco zabawne. Takie „ha, ha”, i dziwnie śmieszne. Według mnie to jest tylko dziwnie śmieszne, ale nigdy nie podzielałam Twojego poczucia humoru, prawda?

*– Dostałaś zakaz opuszczania terenu szkoły, to poważna sprawa – powiedziałam. – Następnym razem zostaniesz wyrzucona, to pewne, a mama ma dość spraw na głowie.*

*Przysłapano Cię na tym, że przemyciłaś do szkoły królika. Przejmowałam się rolą starszej siostry.*

*– To jest też odrobinę zabawne, nie sądzisz, Bee? – odrzekłaś. Ściągnęłaś usta w dzióbek, żeby się nie roześmiać. Skojarzyłaś mi się z butelką napoju energetycznego Lucozade, w której bąbelki zbierają się na górze i wreszcie muszą uciec na zewnątrz z sykiem i trzaskiem.*

Już sama myśl o Twoim śmiechu dodaje mi odwagi i podchodzę do okna.

Rozpoznaję dziennikarza z satelitarnego kanału informacyjnego. Jestem przyzwyczajona do widoku jego twarzy spłaszczonej do dwóch wymiarów na ekranie plazmy w moim nowojorskim mieszkaniu i oto widzę go w naturalnych rozmiarach, z trójwymiarowym ciałem, jak stoi przy Chepstow Road i patrzy na mnie przez okno Twojej piwnicy. Mój palec szuka wyłącznika na pilocie telewizora; tym razem wystarczy zaciągnąć zasłony.

Teraz jest gorzej, niż gdy mogłam ich widzieć. Światła przebijają się przez zasłony, dźwięki uderzają w okna i ściany. Ich obecność kojarzy mi się z buldożerem, który mógłby rozbić ścianę pokoju. Nic dziwnego że prasę nazywa się prasą – jeśli to potrwa dłużej, zmiażdżą mnie. No dobrze, to było nieco dramatyczne. Ty byś pewnie wyszła

i zaproponowała im kawę. Jak wiesz, łatwo się irytuję i zanadto cenię sobie prywatną przestrzeń. Pójdę do kuchni i spróbuję zapanować nad sytuacją.

Tutaj jest spokojniej. W tej ciszy mogę myśleć. Zabawne jest to, co mnie teraz zaskakuje. Zazwyczaj są to najmniejsze rzeczy. Na przykład wczoraj w gazecie napisano o tym, jak bliskie sobie byłyśmy jako siostry, ale nie wspomniano o różnicy wieku między nami. Może to już nie ma znaczenia, gdy jesteśmy dorosłe, ale kiedy byłyśmy dziećmi, ta różnica wydawała się rażąca. „Pięć lat to duża przepaść...”, mawiali ludzie, którzy nic o tym nie wiedzieli, a zawieszenie głosu na końcu zdania miało sugerować pytanie. Obie myślałyśmy o Leo i przepaści, którą on zostawił. Chociaż może lepiej by było mówić o pustce? Niemniej, nigdy tego nie powiedziałyśmy, prawda?

Za drzwiami tylnego wejścia słyszę dziennikarkę rozmawiającą przez komórkę. Zdaje się, że coś komuś dyktuje. Moje nazwisko mnie atakuje. „Arabella Beatrice Hemming”. Mama powiedziała, że nikt nigdy nie używał mojego pierwszego imienia, więc przypuszczam, że już od mego wczesnego dzieciństwa nikt nie wiedział, że jestem Arabellą – to imię ma tyle pętelek i zawijasów, gdy kaligrafuje się je czarnym tuszem; opisuje wszystkie dziewczęta zwane: Bella, Bell, Belle; to takie piękne możliwości. Lecz nie, ja od początku byłam Beatrice, rozsądną i nieozdobną Beatrice pisaną czcionką Times New Roman; nikt się za tym nie kryje. Tata wybrał imię Arabella zanim się urodziłam. Rzeczywistość musiała stanowić rozczarowanie.

Dziennikarka znowu jest w zasięgu słuchu. Chyba wykonuje kolejny telefon. Przeprasza, że pracuje do późna. Potrzebuję chwili, by dotarło do mnie, że to ja, Arabella Beatrice Hemming jestem tego przyczyną. Odruchowo mam ochotę wyjść i przeprosić ją, ale znasz mnie, zawsze jako pierwsza pędziłam do kuchni w chwili, kiedy mama zaczynała bębnić garnkami, co sygnalizowało jej gniew. Dziennikarka odchodzi. Nie słyszę słów, ale słucham tonu jej głosu – jest uspokajający, nieco

defensywny, delikatny. Nagle się zmienia. Pewnie rozmawia z dzieckiem. Jej głos sączy się przez drzwi i okna, ogrzewając Twoje mieszkanie.

Może powinnam być uprzejma i powiedzieć jej, żeby poszła do domu. Twoja sprawa jest w toku, tak więc nie mogę im nic powiedzieć do zakończenia rozprawy. Jednakże ona, tak jak inni, wie już o tym. Oni nie chcą poznać faktów dotyczących Ciebie, im chodzi o emocje. Chcą, żebym zacisnęła dłonie, by mogli pokazać zbliżenie bielejących kostek. Chcą ujrzeć kilka łez wymykających się spod powiek i toczących się po policzkach, zostawiających za sobą smugę rozmazanego tuszu do rzęs. Tak więc zostaję w środku.

Dziennikarze i ich świta techników wreszcie odeszli. Linia papierosowego popiołu na schodach zaznacza, jak daleko sięgała ich fala; niedopałki powciskali w doniczki z Twoimi żonkilami. Jutro wystawię popielniczki. Prawdę powiedziawszy, niektórych z nich źle oceniłam. Troje przeprosiło za najście, a kamerzysta dał mi nawet chryzantemy kupione w sklepie na rogu. Wiem, że nigdy ich nie lubiłaś.

*– Są rdzawoczerwone, jak szkolne mundurki, albo jesiennobrzowe, nawet wiosną – powiedziałaś z uśmiechem, drocząc się ze mną w związku z tym, że cenię te kwiaty za ich regularność i trwałość.*

*– Często mają jaskrawe kolory – odpowiedziałam bez uśmiechu.*

*– Krzykliwe. Uprawia się je, żeby rozjaśniały betonowe podjazdy przed garażami.*

Te marniejące kwiaty to łądyżki nieoczekiwanej uprzejmości, bukiet współczucia równie zaskakującego, jak pierwiosnki na krawędzi autostrady.

Kamerzysta od chryzantem poinformował mnie, że tego wieczoru o 22.00 w wiadomościach pokazany zostanie „specjalny” reportaż o Tobie. Właśnie zadzwoniłam do mamy, żeby jej o tym powiedzieć. Mam



wrażenie, że w jakiś dziwny, matczyzny sposób jest dumna z tego, ile uwagi Ci się poświęca. A będzie jej jeszcze więcej. Dźwiękowcy mówili, że jutro będą tu zagraniczne media. Zabawne – tak dziwnie zabawne – jest to, że kiedy próbowałam powiedzieć o tym ludziom kilka miesięcy temu, nikt nie chciał słuchać.

### *Poniedziałek, popołudnie*

Zdaje się, że teraz wszyscy chcą słuchać – prasa, policja, prawnicy. Długopisy skrobią papier, głowy są pochylone do przodu, dyktafony bucza. Dzisiaj po południu składam zeznania jako świadek w obecności prawnika z prokuratury; trwają przygotowania do rozprawy, która odbędzie się za cztery miesiące. Usłyszałam, że moje oświadczenie jest „niezmiernie ważne” dla prokuratury, bo jestem jedyną osobą, która „zna całą historię”.

Pan Wright, prawnik, który słucha moich zeznań, siedzi naprzeciwko. Sądzę, że jest przed czterdziestką, ale może być młodszy; po prostu jego twarz może odzwierciedlać to, że był narażony na słuchanie zbyt wielu historii takich jak moja. Jest skupiony i pochyla się subtelnie w moją stronę, zachęcając do zwierzeń. Myślę sobie, że jest dobrym słuchaczem, ale jakim jest człowiekiem?

– Jeśli pani może – odzywa się – chciałbym usłyszeć wszystko od początku. Później zdecyduję, co ma związek ze sprawą.

Kręcę głową.

– Nie jestem pewna, co jest początkiem.

– Może chwila, w której zorientowała się pani, że coś jest nie tak?

Zauważam, że ma na sobie włoską lnianą koszulę i okropny, wzorzysty, poliestrowy krawat – jedna osoba nie mogła wybrać obu tych rzeczy. Jedna z nich musi być prezentem. Jeżeli krawat, to człowiek ten jest bardzo miły, skoro go nosi. Nie jestem pewna, czy Ci o tym mówiłam, ale mój umysł ma skłonność do błędzenia, kiedy nie chce

myśleć na bieżący temat.

Podnoszę wzrok i napotykam jego spojrzenie.

– To było wtedy, kiedy mama zadzwoniła i powiedziała, że ona zniknęła.



Byliśmy w trakcie podejmowania gości przy niedzielnym lunchu. Jedzenie pochodzące z pobliskich delikatesów było bardzo nowojorskie – stylowe i bezosobowe. To samo można powiedzieć o naszym mieszkaniu, meblach i związku – nic nie miało charakteru domowego. Wielkie Jabłko<sup>[1]</sup> bez gniazda nasiennego. Wiem, że zaskakuje Cię ta zmiana frontu, ale rozmowa na temat mojego życia w Nowym Jorku może poczekać.

Tego ranka wróciliśmy z „romantycznego zimowego wyjazdu” do domku w Maine, gdzie świętowaliśmy mój awans na stanowisko dyrektora Działu Obsługi Klienta. Todd z przyjemnością raczył gości opowieścią o naszej wpadce.

– Nie liczyliśmy na jacuzzi, ale prysznic z ciepłą wodą by nie zaszkodził, podobnie jak telefon stacjonarny. Nawet nie mogliśmy korzystać z telefonów komórkowych, bo nasz operator nie ma tam nadajnika.

– To był spontaniczny wyjazd? – zapytała Sarah z niedowierzaniem.

Jak wiesz, Todd i ja nigdy nie uchodziliśmy za spontanicznych. Mąż Sary, Mark, spojrzał na nią nad stołem.

– Kochanie.

Rzuciła mu spojrzenie.

– Nienawidzę tego „kochanie”. To jest odpowiednik „zamknij się”, czyż nie?

Polubiłabyś Sarę. Może dlatego się przyjaźnimy. Od samego początku kojarzy mi się z Tobą.

– Kiedy ostatnio kłóciliście się z Beatrice? – zwróciła się do Todda.

– Żadne z nas nie lubi robić przedstawień – odpowiedział, wyraźnie próbując zakończyć tę rozmowę.

Jednak Sarah nie zniechęca się łatwo.

– Więc nie potrafisz się też czymś przejąć.

Zapadło kłopotliwe milczenie, które grzecznie przerwałam pytaniem:

– Czy ktoś napije się kawy lub ziołowej herbaty?

W kuchni wrzuciłam ziarna kawy do młynka. To było jedyne gotowanie, jakim się zajęłam podczas tego spotkania. Sarah przysła za mną, skruszona.

– Przepraszam, Beatrice.

– Nie szkodzi.

Byłam idealną gospodynią, uśmiechałam się, wygładzałam powierzchnię kawy, mieliłam ją.

– Mark pije kawę czarną, czy z mlekiem?

– Z mlekiem. Też już się razem nie śmiejemy – oznajmiła, siadając na blacie i wymachując nogami. – A jeśli chodzi o seks...

Włączyłam młynek, w nadziei, że hałas ją uciszy. Przekrzyczała go.

– A jak jest z tobą i Toddem?

– W porządku, dziękuję – odpowiedziałam, przekładając zmieloną kawę do ekspresu za siedemset dolarów.

– Nadal się śmiejecie i bzykacie?

Otworzyłam kasetkę z łyżeczkami do kawy z lat trzydziestych dwudziestego wieku. Każda miała inny kolor emalii, która wyglądała jak roztopione cukierki.

– Kupiliśmy je na targu staroci w ubiegłą niedzielę.

– Zmieniasz temat, Beatrice.

Ty zrozumiałaś, że nie zmieniam tematu. W niedzielny ranek, kiedy inne pary zostają w łóżku i kochają się, my byliśmy na zakupach na targu staroci. Zawsze lepiej się odnajdowaliśmy na zakupach, niż w sypialni. Sądziłam, że wypełnienie naszego mieszkania przedmiotami,

które razem wybieraliśmy, stworzy naszą wspólną przyszłość. Już słyszę, jak się ze mną drocysz, że nawet imbryk do herbaty Clarice Cliff<sup>[2]</sup> nie jest substytutem seksu, jednak dla mnie był to dobry, bezpieczniejszy układ.

Zadzwoił telefon. Sarah go zignorowała.

– Seks i śmiech. Podstawa każdego związku.

– Powinnam odebrać.

– Jak myślisz, kiedy należałoby odłączyć sztuczne podtrzymywanie przy życiu?

– Naprawdę powinnam odebrać.

– Kiedy należy zrezygnować ze wspólnego kredytu hipotecznego, rachunku bankowego i przyjaciół?

Podniosłam słuchawkę, zadowolona, że mam wymówkę, by przerwać tę rozmowę.

– Halo?

– Beatrice? Mówi mama.

Nie było Cię od czterech dni.

Nie pamiętam, jak się pakowałam, natomiast pamiętam, że Todd przyszedł do mnie, gdy zamknęłam walizkę. Odwróciłam się do niego.

– O której lecę?

– Do jutra nie ma nic wolnego.

– Ale ja muszę lecieć teraz.

Nie pokazałaś się w pracy od poprzedniej niedzieli. Szefowa próbowała się do Ciebie dodzwonić, ale zgłaszała się wyłącznie automatyczna sekretarka. Była u Ciebie, ale nikogo nie zastała. Nikt nie wiedział, co z Tobą. Szukała Cię już policja.

– Możesz zawieźć mnie na lotnisko? Zgodzę się na każdy lot.

– Zadzwonię po taksówkę – odpowiedział.

Wypił wcześniej dwa kieliszki wina. Ceniłam go za jego ostrożność.



Naturalnie pan Wright nie słyszy nic z tego. Mówię mu, że mama zadzwoniła 26 stycznia o 15.30 czasu nowojorskiego i powiedziała, że zaginęłaś. Podobnie jak Ciebie, interesuje go ogólny obraz, a nie szczegóły. Nawet gdy byłaś dzieckiem, twoje rysunki były ogromne, wylewały się poza krawędzie kartki. Ja natomiast rysowałam uważnie, wykorzystując ołówek, linijkę i gumkę. Później malowałaś abstrakcyjne płótna, wyrażając prawdę w śmiałych plamach żywych barw, podczas gdy ja byłam doskonale dopasowana do mojej pracy w korporacyjnym wzorcu dobierającym każdy kolor na świecie do wzornika. Nie mam Twojego talentu do zamaszystych pociągnięć pędzla, dlatego opowiem tę historię za pomocą szczegółowych punkcików. Mam nadzieję, że podobnie jak na pointylistycznym obrazie, kropki ułożą się w całość, i gdy dzieło będzie gotowe, zrozumiemy, co się stało i dlaczego.

– Zatem do czasu telefonu mamy nie miała pani pojęcia, że jest jakiś problem? – pyta pan Wright.

Rozpoznaję znaną mi, wywołującą mdłości falę poczucia winy.

– Nie. Na nic nie zwróciłam uwagi.



Podróżowałam pierwszą klasą. Tylko takie miejsce było wolne. Gdy lecieliśmy pośród chmur, wyobrażałam sobie, jak daję Ci reprimendę, że każesz mi przez to przechodzić. Zmuszałam Cię do obiecania mi, że już nigdy nie wytniesz takiego numeru. Przypomniałam, że niebawem zostaniesz matką i nastał już czas, żebyś zaczęła zachowywać się jak dorosła osoba.

– „*Starsza siostra*” nie musi być nazwą posady, *Bee*.

W związku z czym prawilałam Ci wówczas kazanie? To mogła być jedna z wielu rzeczy; problem w tym, że zawsze postrzegałam rolę starszej siostry w kategoriach pracy, stanowiska, na które się idealnie nadaję. I gdy leciałam, by Cię znaleźć, bo przecież tak się stanie (szukanie Cię

stanowi jeden z moich podstawowych obowiązków), pocieszałam się znanym mi scenariuszem, w którym byłam lepszą, dojrzałą, starszą siostrą prawiącą morały lekkomyślnej, nieodpowiedzialnej dziewczynie, która powinna się już lepiej zachowywać.

Samolot zaczął podchodzić do lądowania na Heathrow. Pod nami rozciągał się Zachodni Londyn, nieco ukryty pod śniegiem. Zapaliło się światełko nakazujące zapiąć pasy. Wtedy umówiłam się z Bogiem, że zrobię wszystko, jeśli znajdziemy Cię całą i bezpieczną. Poszłabym na układ z diabłem, gdyby złożył mi propozycję.

Kiedy samolot uderzył niezgrabnie o pas, moje wyimaginowane rozdrażnienie ustąpiło mdlącemu lękowi. Bóg stał się bohaterem z dziecięcych bajek. Moja moc starszej siostry skurczyła się do rozmiarów bezsilności. Przypomniały mi się odczucia związane ze śmiercią Leo. Poczułam się dogłębnie nieszczęśliwa. Nie mogłam utracić i Ciebie.



Okno jest zaskakująco duże, jak na gabinet, i wlewa się przez nie wiosenne słońce.

– Wiąże pani zniknięcie Tess ze śmiercią Leo? – pyta pan Wright.

– Nie.

– Powiedziała pani, że myślała o Leo.

– Myślę o nim przez cały czas. Był moim bratem.

Jestem zmęczona tym, że muszę przez to przechodzić.

– Leo zmarł na mukowiscydozę w wieku ośmiu lat. Tess i ja nie odziedziczyłyśmy tej choroby. Urodziłyśmy się całkowicie zdrowe.

Pan Wright próbuje wyłączyć oślepiające oświetlenie, ale z jakiegoś powodu to mu się nie udaje. Wzrusza przepaszając ramionami i znowu siada.

– Co się stało później?

– Spotkałam się z mamą i poszłyśmy na komisariat.

– Może pani o tym opowiedzieć?



Mama czekała w hali przylotów. Miała na sobie płaszcz firmy Jaeger z wielbłądziej wełny. Gdy podeszłam bliżej, zauważyłam, że się nie uczesała i niedbale zrobiła makijaż. Nie widziałam jej w takim stanie od czasu pogrzebu Leo.

– Przyjechałam taksówką aż z Little Hadston. Twój samolot się spóźnił.

– Tylko dziesięć minut.

Wokół nas kochankowie, krewni i przyjaciele padają sobie w ramiona. My czujemy się niezręcznie w swoim pobliżu. Chyba nawet się nie pocałowałyśmy.

– Może próbuje dzwonić, a mnie nie ma – powiedziała mama.

– Spróbuje ponownie.

Spoglądałam na swoją komórkę niezliczoną liczbę razy, zanim samolot wylądował.

– To śmieszne – odezwała się mama. – Nie wiem, dlaczego miałabym się spodziewać telefonu od niej. Przecież przestała do mnie dzwonić. Podejrzewam, że to zbyt dużo zachodu.

Rozpoznałam rozdrażnienie.

– A kiedy to ostatnio się wysiliła i mnie odwiedziła?

Zastanowiłam się, kiedy ona zawarła swój pakt z Bogiem.

Wynajęłam samochód. Była zaledwie szósta rano, ale ruch na M4 w kierunku Londynu był już natężony; pełne frustracji, powolne pełnienie w godzinach szczytu odbywało się jeszcze wolniej z powodu śniegu. Jechałyśmy prosto na komisariat policji. Nie potrafiłam włączyć ogrzewania, więc nasze wypowiedzi tworzyły chmurki, unoszące się przez krótką chwilę w zimnym powietrzu.

– Rozmawiałaś już z policją? – zapytałam.

Słowa mamy wydawały się pokurczone ze złości.

– Tak, tylko czy to przyniosło coś dobrego? Co ja wiem o jej życiu?

– Czy wiesz, kto zgłosił jej zaginięcie?

– Właściciel mieszkania Amias coś tam. Jakoś tak – odpowiedziała.

Żadna z nas nie mogła przypomnieć sobie jego nazwiska. Wydało mi się dziwne, że to on poinformował policję o Twoim zaginięciu.

– Powiedział im, że odbierała anonimowe telefony – dodała.

Mimo że było lodowato, poczułam się lepka od potu.

– Jakie anonimowe telefony?

– Nie powiedzieli.

Spojrzałam na nią. Jej biała, zalękniona twarz prześwitywała w miejscach, gdzie kończył się podkład; gejsza w średnim wieku ukryta za maską makijażu.

Była siódma trzydzieści, ale nadal panowała zimowa ciemność, gdy dotarliśmy do komisariatu w Notting Hill. Ulice były zakorkowane, ale świeżo posypane piaskiem chodniki niemal prawie puste. Wcześniej na posterunku policji byłam tylko raz, by zgłosić zaginięcie telefonu komórkowego. Nigdy nie przekroczyłam linii recepcji. Tym razem zostałam zaprowadzona dalej, do obcego mi świata pokojów przesłuchań i cel; policjanci mieli pasy z przytroczonymi do nich pałkami i kajdankami. To nie pasowało do Ciebie w żaden sposób.



– I poznała pani sierżanta Finborougha? – pyta pan Wright.

– Tak.

– Co pani o nim pomyślała?

Uważnie dobieram słowa:

– Dociekliwy. Dokładny. Sympatyczny.

Pan Wright jest zaskoczony, ale umiejętnie to maskuje.

– Czy pamięta pani cokolwiek z pierwszego przesłuchania?

– Tak.



Początkowo byłam oszołomiona Twoim zaginięciem, ale potem moje zmysły zaczęły się wyostrzać; dostrzegałam zbyt wiele szczegółów i kolorów, jakby świat został ożywiony w technice Pixara. Inne zmysły też były bardziej czułe; słyszałam tykanie zegarka na ręce, dźwięk nogi krzesła przesuwanego po linoleum. Czułam zapach dymu papierosowego przywierającego do kurtki wiszącej na drzwiach. To był szum ustawiony na pełną głośność, jakby mój mózg nie potrafił wyciszać tego, co nie miało znaczenia. Wszystko było istotne.

Mamę zaproszono na filiżankę herbaty i zostałam sama z sierżantem Finboroughem. Zachowywał się kurtuazyjnie, miał wręcz staromodne maniere. Bardziej przypominał nauczyciela akademickiego z Oxfordu czy Cambridge, niż policjanta. Przez okno widziałam, że padał deszcz ze śniegiem.

– Czy jest jakiś powód, który mógł się przyczynić do zniknięcia pani siostry? – zapytał.

– Nie.

– Powiedziałyby pani o nim?

– Tak.

– Mieszka pani w Ameryce?

– Ciągle do siebie dzwoniemy i piszemy e-maile.

– Jesteście sobie bliskie?

– Bardzo.

Naturalnie, że jesteśmy sobie bliskie. Różnimy się, ale jesteśmy żyte. Różnica wieku nigdy nie wprowadzała między nami dystansu.

– Kiedy ostatnio rozmawialiście?

– Chyba w ubiegły poniedziałek. W środę wyjechaliśmy w góry na kilka dni. Próbowałam się do niej kilkakrotnie dodzwonić z restauracji, ale linia była zajęta. Potrafi gadać z przyjaciółmi godzinami.

Próbowałam wzbudzić w sobie poczucie rozdrażnienia. W końcu, to przecież ja opłacam Twoje rachunki telefoniczne. Staralam się odtworzyć

stare, znane mi uczucie.

– A co z jej komórką?

– Zgubiła ją jakieś dwa miesiące temu. Albo jej ukradziono. Ona jest bardzo roztrzepana.

Znowu usiłowałam się zdenerwować.

Sierżant Finborough zamilkł na chwilę, szukając właściwych słów. Był bardzo taktowny.

– Sądzi pani, że jej zniknięcie nie było dobrowolne? – spytał.

„Nie było dobrowolne” – delikatne słowa na określenie czegoś brutalnego. Podczas tego pierwszego spotkania nikt nie użył sformułowania „uprowadzenie” czy „morderstwo”. Porozumiewaliśmy się z sierżantem Finboroughem bez słów. Doceniałam jego wyczucie. Było jeszcze za wcześnie, by nazywać sprawy po imieniu. Zmusiłam się do zadania pytania:

– Mama powiedziała, że siostra odbierała anonimowe telefony. Czy to prawda?

– Tak twierdził właściciel mieszkania, które wynajmowała. Niestety, nie podała mu żadnych szczegółów. Czy Tess mówiła pani o nich?

– Nie.

– Nie powiedziała też, że czegoś się bała, że czuła się zagrożona?

– Nie, nic takiego nie mówiła. Była jak zawsze radosna.

Też chciałam o coś zapytać.

– Sprawdzili państwo wszystkie szpitale? – Moje pytanie zabrzmiało niegrzecznie i jawnie krytycznie. – Pomyślałam, że może zaczęła rodzić przed terminem.

– Nie wiedzieliśmy, że jest w ciąży.

Nagle dostrzegłam linę asekuracyjną i uchwyciłam się jej.

– Jeśli zaczęła rodzić, mogła zostać w szpitalu. Nie sprawdzili państwo oddziałów położniczych, prawda?

– Prosimy szpitale o sprawdzenie list wszystkich pacjentów, także na oddziałach położniczych – odparł i moja lina asekuracyjna wyśliznęła mi

się z rąk. – Kiedy miała rodzić?

– Za trzy tygodnie.

– Wie pani, kto jest ojcem?

– Tak. Emilio Codi. Asystent na uczelni artystycznej.

Głos mi nie drgnął nawet przez moment. Czas dyskrecji minął. Sierżant Finborough nie okazał zdumienia, ale może uczył tego w szkole policyjnej.

– Byłem na tej uczelni... – zaczął.

Przerwałam mu. Zapach jego kawy w plastikowym kubeczku był obrzydliwie silny.

– Bardzo się pan nią przejął.

– Lubię być skrupulatny.

– Oczywiście.

Nie chciałam, żeby sierżant Finborough uznał mnie za histeryczkę. Pragnęłam zaprezentować się jako osoba rozsądna i inteligentna. Pamiętam, jak pomyślałam, że jego opinia na mój temat nie powinna mieć dla mnie znaczenia. Później miałam odkryć, że była ogromnie istotna.

– Poznałem pana Codiego – odezwał się sierżant. – Nie powiedział nic na temat jego związku z Tess. Nazwał ją tylko byłą studentką.

Emilio nadal wypierał się ciebie, nawet gdy zaginęłaś. Tak mi przykro. Na tym jednak zawsze polegała jego „dyskrecja” – ten lepiej brzmiący rzeczownik miał zastępować „wyparcie się”.

– Czy wie pani, dlaczego pan Codi nie chciał, żebyśmy dowiedzieli się o ich związku?

Wiedziałam aż nazbyt dobrze.

– Uczelnia nie akceptuje tego, by nauczyciele uprawiali seks ze studentami. Ponadto jest żonaty. Zmusił Tess do wzięcia „urlopu naukowego”, gdy brzuch zaczął być widoczny.

Sierżant Finborough wstał. Jego zachowanie się zmieniło – teraz był bardziej policjantem niż nauczycielem akademickim.

– Jest taki lokalny program informacyjny, w którym czasami mówimy o zaginionych osobach. Chciałbym zrealizować telewizyjną rekonstrukcję jej ostatnich poczynań, o których wiemy.

Za oknem z metalowymi framugami śpiewał ptak. Przypomni mi się Twój głos, tak żywo, jakbyś była w tym pomieszczeniu razem ze mną.

– *W niektórych miastach ptaki nie słyszą siebie nawzajem z powodu hałasu. Po jakimś czasie zapominają, jak złożone i piękne są ich pieśni.*

– *Co to ma wspólnego ze mną i Toddem?* – zapytałam.

– *Niektóre zrezygnowały z ptasich treli i bezbłędnie naśladują alarmy samochodowe.*

*W moim głosie brzmiało zdenerwowanie i zniecierpliwienie.*

– *Tess.*

– *Czy Todd słyszy twoją pieśń?*

W owym czasie odrzucałam Twoją studencką intensywność emocji jako coś, z czego wyrosłam przed wielu laty. Lecz gdy byłam na komisariacie, przypomni mi się ta rozmowa, ponieważ myśl o śpiewie ptaków, Toddzie, czymkolwiek, stanowiła ucieczkę od tego, co się działo. Sierżant Finborough wyczuł mój niepokój.

– Lepiej będzie grzeszyć nadmiarem ostrożności. Zwłaszcza teraz, gdy wiem, że jest w ciąży.

Wydał polecenia niższemu rangą policjantom. Odbyliśmy dyskusję na temat ekipy filmowej i tego, kto zagra Ciebie. Nie chciałam, by udawał Cię ktoś obcy, więc zaproponowałam, że zagram Twoją rolę. Gdy wyszliśmy z pokoju, sierżant Finborough zwrócił się do mnie:

– Pan Codi jest znacznie starszy od pani siostry?

Jest o piętnaście lat starszy i jest Twoim nauczycielem. Powinien być dla Ciebie raczej ojcem, a nie kochankiem. Wiem, że mówiłam Ci to wcześniej i to wielokrotnie – dolewałam do tej czary tak długo, aż byłaś zmuszona w licznych słowach kazać mi się odczepić, przy czym

wykorzystałaś synonim tego zwrotu i powiedziałaś mi, żebym przestała wścibiać swój nos w nie swoje sprawy. Sierżant Finborough nadal czekał na moją odpowiedź.

– Pytał mnie pan, czy jesteśmy sobie bliskie, a nie, czy ją rozumiem. Teraz chyba Cię rozumiem. Wtedy nie rozumiałam.

Sierżant Finborough opowiadał mi o rekonstrukcji zdarzeń, gdy przyszła mama.

– W czwartek przed 14.15 Tess wysłała list z poczty przy Exhibition Road – oznajmił. – Kobieta pracująca na poczcie pamięta, jak Tess przed czternastą kupowała kartkę i znaczek na przesyłkę lotniczą. Nie powiedziała, że Tess była w ciąży, ale podejrzewam, że dzielił je kontuar, więc mogła tego nie widzieć.

W głosie mamy wyczuwało się, że jej cierpliwość jest już nadszarpnięta:

– To była karta urodzinowa dla mnie. Nie odwiedzała mnie już od kilku miesięcy. Rzadko kiedy dzwoniła. Ale wysyła mi kartki, jakby to mogło wszystko naprawić.

Kilka tygodni wcześniej przypomniałam Ci, że zbliżają się jej urodziny, prawda?

Zanim będę kontynuować, muszę Ci przyznać, że miałaś rację co do Todda – chcę uczciwie opowiedzieć całą tę historię. On nie słyszał mojej pieśni. To dlatego, że nigdy dla niego nie śpiewałam. Ani dla nikogo innego, jeśli chodzi o ścisłość. Może jestem jak jeden z tych ptaków, które umieją tylko naśladować alarmy samochodowe.



Pan Wright podchodzi, żeby zasłonić lustro weneckie, od którego odbija się ostre, wiosenne słońce.

– W dalszej części dnia zajęliście się rekonstrukcją zdarzeń?

– Tak.

Pan Wright ma kopię rekonstrukcji na taśmie i nie potrzebuje poznawać szczegółów dotyczących mojej osobiwej zabawy w przebieranki, niemniej Tobie mogą się one przydać. Chętnie się dowiesz, jaką Ciebie wykreowałam. Nie poszło mi tak źle. Opowiem Ci o tym tak, jak wyglądało to wtedy, gdy nie wiedziałam tego, co wiem teraz.



Policjantka w średnim wieku, funkcjonariuszka Vernon, zabrała mnie do pokoju, w którym mogłam się przebrać. Miała różowe policzki i wyglądała zdrowo, jakby właśnie oderwała się od dojenia krów, a nie pilnowania londyńskich ulic. Uświadomiłam sobie swoją bladość – nocny lot dawał mi się we znaki.

– Myśli pani, że to ma sens? – zapytałam.

Uśmiechnęła się i przytuliła mnie, co było zaskakujące, ale też miłe.

– Sądzę, że tak. Rekonstrukcje to zawracanie głowy, jeśli nie ma prawdopodobieństwa, że pobudzą czyjaś pamięć. Teraz, gdy wiemy, że Tess jest w ciąży, szansa na to, że ktoś ją zauważył jest większa. Zajmijmy się garderobą, dobrze?

Później dowiedziałam się, że choć funkcjonariuszka Vernon miała około czterdziestki, policjantką była od kilku miesięcy. W jej stylu bycia wyczuwało się ciepłą i kompetentną matkę.

– Zabraliśmy ubrania z jej domu – dodała. – Czy wie pani, w co mogła być ubrana?

– W sukienkę. Nie weszłaby w nic innego z powodu brzucha. Nie było jej stać na ubrania ciążowe. Na szczęście w większości jej stroje były workowate i bezkształtne.

*Praktyczna Bee.*

Funkcjonariuszka Vernon rozpięła walizkę. Ładnie poskładała wszystkie części garderoby i zapakowała je w ręczniki papierowe. Wzruszyła mnie troska, jaką się wykazała. Nadal mnie wzrusza.

Wybrałam najmniej niechlujną sukienkę – tę fioletową, obszerną kieckę Whistles z haftem przy dolnej krawędzi.

– Kupiła ją na wyprzedazy pięć lat temu – powiedziałam.

– Markowe rzeczy są trwałe, zgodzi się pani?

Równie dobrze mogłybyśmy znajdować się w przymierzalni domu handlowego Selfridges.

– Owszem.

– Zawsze warto je kupić, jeśli można sobie na nie pozwolić.

Byłam wdzięczna, że funkcjonariuszka Vernon potrafiła prowadzić grzecznościową rozmowę, będącą słownym mostem łączącym ludzi podczas tej nieprawdopodobnej sytuacji.

– Wykorzystajmy ją zatem – rzekła i taktownie się odwróciła, gdy ściągałam z siebie niewygodny, pasowany kostium.

– Jest pani podobna do Tess? – zapytała.

– Już nie.

– A niegdyś pani była?

Znowu doceniłam jej rozmowność, ale podejrzewałam, że ta wymiana zdań będzie dłuższa.

– Powierzchnie.

– O?

– Mama zawsze próbowała ubierać nas tak samo.

Pomimo różnicy wieku nosiłyśmy spódnice w szkocką kratę i swetry w tradycyjne wzory albo bawełniane sukienki w paski, w zależności od pory roku. Nic strojnego czy frywolnego, pamiętasz? I żadnego nylonu.

– Miałyśmy też takie same fryzury.

„Proszę je porządnie podciąć” – nakazywała mama i włosy spadały na ziemię.

– Gdy Tess była starsza, ludzie mawiali, że wygląda zupełnie jak ja. Robili to z grzeczności.

Zdumiałam się, że powiedziałam to na głos. Jeszcze z nikim nie szłam tą ścieżką, która była jednak porządnie przeze mnie wydeptana. Zawsze

wiedziałam, że wyrośniesz na kobietę o wiele ode mnie piękniejszą. Nigdy ci tego nie powiedziałam, prawda?

– Musiało być jej z tym ciężko – oznajmiła funkcjonariuszka Vernon.

Zawahałam się, zanim postanowiłam wyprowadzić ją z błędu. Niestety, kontynuowała swoją wypowiedź:

– Ma włosy w takim samym kolorze?

– Nie.

– To nie jest w porządku, że niektóre osoby pozostają blondynkami.

– To nie jest naturalny kolor.

– Nie sposób się domyślić.

Tym razem w grzecznościowej rozmowie pojawił się też pragmatyzm.

– Zatem lepiej będzie, jeśli założy pani perukę.

Wzdrygnęłam się, ale postarałam się to ukryć.

– Dobrze.

Gdy wyciągała pudło z perukami, włożyłam przez głowę sukienkę i poczułam spraną, miękką bawełnę otulającą ciało. Nagle mnie objęłaś. Ułamek sekundy później zdałam sobie sprawę z tego, że ta rzecz nadal pachniała Tobą. Wcześniej nie czułam tego zapachu. To jest mieszanka Twojego szamponu, mydła i czegoś jeszcze. Taki zapach mogłam czuć tylko wtedy, gdy cię obejmowałam. Wciągnęłam powietrze, nieprzygotowana na emocjonalny zawrót głowy związany z odczuwaniem Twojej bliskości pod Twoją nieobecność.

– Wszystko w porządku?

– To pachnie nią.

Na twarzy funkcjonariuszki Vernon znów dostrzegłam współczucie.

– Węch to potężny zmysł. Lekarze wykorzystują go, by próbować wybudzać ludzi ze śpiączki. Woń świeżo skoszonej trawy jest zapachem mocno działającym na wyobraźnię.

Chciała dać mi do zrozumienia, że nie reagowałam przesadnie. Była pełna współczucia i miała intuicję. Cieszyłam się, że była tam ze mną.

W pudle z perukami znajdowały się wszelkie możliwe rodzaje włosów.



Domyśliłam się, że wykorzystywano je podczas rekonstrukcji ostatnich znanych przestępstw nie tylko zaginionych osób, ale też ofiar brutalnych przestępstw. Skojarzyły mi się z kolekcją skalpów i czułam mdłości, gdy je przeglądałam. Funkcjonariuszka Vernon dostrzegła to.

– Może ja spróbuję. Jakie włosy ma Tess?

– Długie. Rzadko je obcina, więc są nierówne na końcach. I bardzo lśniące.

– A kolor?

Natychmiast przyszło mi do głowy, że we wzorniku to jest PMS 167, ale inni ludzie nie nazywają kolorów za pomocą numerów z Pantone, więc zamiast tego odpowiedziałam:

– Brązowe jak karmel.

Twoje włosy zawsze kojarzyły mi się z karmelem. A konkretniej, z wnętrzem czekoladek Rolo, płynnym i lśniącym. Funkcjonariuszka Vernon wyciągnęła perukę, która miała dość podobny kolor i nylonowy połysk. Zmusiłam się do tego, by ją założyć na swoje schludnie ostrzyżone włosy. Odrzucało mnie od niej. Myślałam, że skończyłyśmy, ale policjantka była perfekcjonistką.

– Czy Tess się maluje?

– Nie.

– Czy może pani zmyć makijaż?

Czy się wahałam?

– Oczywiście – odparłam.

Jednak miałam obiekcje. Nawet kiedy się budzę, mam umalowane usta i muśnięte różem policzki – maluję się wieczorem. Zmyłam makijaż nad instytucjonalnym zlewem z kubkami po kawie ustawionymi wzdłuż krawędzi. Kilka chwil później dostrzegłam w lustrze sięgającym do podłogi tylko swoje odbicie. Podeszłam bliżej i ujrzałam siebie, zaniedbaną i wyczerpaną. Potrzebowałam makijażu, dobrze skrojonych ubrań i porządnego strzyżenia. Ty i bez tego wyglądałaś pięknie.

– Obawiam się, że trzeba będzie zrobić pani brzuch – odezwała się

Vernon.

Gdy podała mi poduszkę, zdobyłam się na pytanie, które mnie nurtowało.

– Czy wie pani, dlaczego właściciel mieszkania Tess nie powiedział wam, że ona jest w ciąży, gdy zgłaszał jej zaginięcie?

– Obawiam się, że nie. Może pani zapytać sierżanta Finborougha.

Wepchnęłam pod sukienkę drugą poduszkę i spróbowałam wymodelować przekonująco wyglądający brzuch. Przez chwilę miałam się wrażenie, że to wszystko jest jakąś absurdalną farsą. Zaśmiałam się. Policjantka mi zawtórowała. Dostrzegłam, że uśmiech był jej naturalnym wyrazem twarzy. Musiała się wysilać, by zachowywać minę poważną i pełną współczucia.

Do pokoju weszła mama.

– Przyniosłam jedzenie, kochanie – oświadczyła. – Musisz się dobrze odżywiać.

Odwróciłam się i ujrzałam torbę pełną jedzenia. Wzruszył mnie jej matczyzny odruch. Kiedy na mnie spojrzała, jej twarz stężała. Biedna mama. Farsa kipiąca czarnym humorem stała się okrutna.

– *Musisz jej powiedzieć. Im dłużej będziesz zwlekać, tym będzie gorzej.*

– *Pewnego dnia widziałam ścierkę do naczyń z takim tekstem. Pod spodem widniał napis: „Nigdy nie odkładaj na jutro tego, co możesz zrobić dzisiaj”.*

– *Tess... (A może tylko uraczyłam Cię elokwentnym westchnieniem starszej siostry?)*

*Zaśmiałaś się, drocząc się ze mną.*

– *Nadal masz majtki z wyhaftowanymi dniami tygodnia?*

– *Zmieniasz temat. Poza tym dostałam je, jak miałam dziewięć lat.*

– *Nosiłaś je w odpowiednie dni?*

– *Będzie się czuła zraniona, jeśli jej nie powiesz.*

Spojrzałam na mamę, potwierdzając to, co widzi i udzielając jej odpowiedzi bez słów. Tak, byłaś w ciąży. Owszem, nie powiedziałaś jej, i tak cały świat, a przynajmniej ta jego część oglądająca telewizję, dowie się o tym.

– Kto jest ojcem?

Nie odpowiedziałam. Szok trzeba dawkować.

– To dlatego nie spotykała się ze mną przez tyle miesięcy? Wstydziła się.

To było raczej stwierdzenie niż pytanie. Próbowałam ją uspokoić, ale odsunęła moje słowa na bok, używając rąk do tak rzadkiej w jej przypadku gestykulacji.

– Widzę, że przynajmniej zamierza się z nią ożenić – oznajmiła, patrząc na mój pierścionek zaręczynowy.

Nie pomyślałam, by go zdjąć.

– To mój pierścionek – odparłam, absurdalnie urażona faktem, że nie dostrzegła go wcześniej.

Zdjęłam duży, pojedynczy brylant z palca i podałam jej. Wsunęła go do torebki, nawet nań nie patrząc.

– Czy on zamierza się z nią ożenić, Beatrice?

Może powinnam była być dobra i powiedzieć jej, że Emilio Codi jest już żonaty. To by podsyciło jej złość na Ciebie i jeszcze na jakiś czas odsunęło lodowate przerażenie.

– Najpierw ją znajdziemy, mamó. Potem będziemy się martwić o jej przyszłość.

---

[1] „The Big Apple” – tak nowojorczyki nazywają swoje miasto (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Sławna angielska artystka zajmująca się ceramiką przemysłową, aktywna w latach 1922–1963.

## ROZDZIAŁ 2

Policyjna jednostka filmowa czekała przy stacji metra South Kensington. Ja, gwiazda tego małego filmiku, otrzymałam instrukcje od młodego policjanta w czapce, a nie w hełmie. Modny reżyser-policjant powiedział:

– Kręcimy.

Zaczęłam oddalać się od poczty wzdłuż Exhibition Road.

Nigdy nie potrzebowałam zastrzyku pewności siebie, jaki dają wysokie obcasy. Niechętnie zamieniłam swoje szpilki na Twoje balerinki. Były na mnie za duże, więc wepchnęłam w czubki chusteczki higieniczne. Pamiętasz, jak robiłyśmy to samo z butami mamy? Jej pantofle tak ekscytująco stukały o podłogę – to był dźwięk dorosłości. W twoich balerinkach szło się bezszelestnie, dyskretnie. Ich miękka skóra zatapiała się w lodowatych kałużach i nasiąkała zimną wodą. Przed Muzeum Historii Naturalnej stała rozciągnięta kolejka niecierpliwych dzieci naprzykrzających się swoim rodzicom. Dzieciaki obserwowały policję i ekipę filmową, rodzice przyglądali się mnie. Stanowiłam darmową rozrywkę, gdy czekali na możliwość obejrzenia animatronicznego Tyranozaurusa Rexa i wielkiego wieloryba białego. Nie przejmowałam się tym. Miałam tylko nadzieję, że ktoś z nich był tu w ubiegły czwartek i widział, jak wychodziłaś z poczty. A wtedy co? Co by zauważyli? Zastanawiałam się, jak coś złego mogło się wydarzyć w obecności tylu świadków.

Znowu zaczął padać deszcz ze śniegiem. Zmrożona woda uderzała

o chodnik. Policjant kazał mi iść dalej. W dniu, w którym zniknęłaś, padał śnieg, ale śnieg z deszczem też mógł być. Zerknęłam na kolejkę przed muzeum. Wózki i spacerówki miały plastikowe osłony. Rodzice kryli się pod kapturami i parasolami. Śnieg z deszczem pogorszył widoczność. Nikt na mnie nie patrzył. Nikt nie zauważyłby niczego.

Peruka namokła i woda spływała mi strumieniem po plecach. Pod rozpiętą kurtką miałam Twoją cienką, bawełnianą sukienkę, ciężką od lodowatej wody. Przyklejała mi się do ciała. Rozbawiłoby Cię to – policyjna rekonstrukcja przekształciła się w miękkie porno. Przejeżdżający obok mnie samochód zwolnił. Kierowca w średnim wieku, któremu było ciepło i sucho, przyjrzał mi się przez przednią szybę. Zastanawiałam się, czy ktoś zatrzymał się i zaproponował, że Cię podwiezie. Czy właśnie tak się stało? Nie mogłam sobie pozwolić na myślenie o tym, co się wydarzyło. Zawiodłoby mnie to do labiryntu przerażających scenariuszy, gdzie postradałabym rozum. A przecież musiałam zachować zdrowe zmysły, w przeciwnym razie nie mogłabym Ci pomóc.

Mama spotkała się ze mną w policyjnej garderobie. Byłam przemoczona. Drżałam z powodu wyziębienia i wyczerpania. Nie spałam już od ponad dwudziestu czterech godzin. Zaczęłam zdejmować Twoją sukienkę.

– Czy wiedziałaś, że zapach składa się z malutkich fragmentów, które oddzieliły się od osoby? – zapytałam mamę. – Uczyłyśmy się o tym w szkole.

Nie wykazując zainteresowania, pokręciła głową. Lecz gdy szłam w deszczu ze śniegiem, przypomniało mi się to i uświadomiłam sobie, że zapach Twojej sukienki to były drobniutkie cząsteczki Ciebie uwięzione w bawełnianych włóknach. Zatem myślenie o Twojej bliskości nie było wcale takie irracjonalne. Zgadzam się, jest to nieco makabryczne.

Podaliśmy mamie sukienkę i zaczęłam wkładać markowy kostium.

– Musiałaś zrobić z niej takiego obdarciucha? – zapytała.

– Ona tak wygląda, mamó. Nie byłoby dobrze, gdyby ludzie nie mogli jej rozpoznać.

Mama zawsze poprawiała nasz wygląd, gdy pozowałyśmy do zdjęć. Nawet podczas przyjęć urodzinowych innych dzieci szybciotko ocierała nam usta z czekolady, boleśnie przeczesywała włosy szczotką mieszczącą się w torebce, gdy tylko dostrzegła aparat fotograficzny. Nawet wtedy powtarzała Ci, że wyglądałabyś o wiele lepiej, gdybyś „postarała się jak Beatrice”. Wstydziałam się tego, że odczuwałam w związku z tym zadowolenie, bo przecież gdybyś „postarała się”, wyraźną różnicę między nami dostrzegłby każdy. Poza tym krytyka mamy wymierzona w Ciebie była też komplementem dla mnie – a ona rzadko wygłaszała pochwały.

Mama oddała mi mój pierścionek zaręczynowy. Włożyłam go na palec. Jego ciężar przyniósł mi pociechę, jakby Todd wziął mnie za rękę.

Weszła funkcjonariuszka Vernon. Jej skóra była mokra od śniegu z deszczem, a policzki jeszcze bardziej zaróżowione.

– Dziękuję, Beatrice. Sprawiała się pani fantastycznie.

Jej słowa dziwnie mi schlebiały.

– Film będzie emitowany dzisiaj wieczorem w lokalnych wiadomościach – dodała. – Sierżant Finborough odezwie się do pani, gdy tylko pojawią się jakieś informacje.

Martwiłam się, że przyjaciółka taty obejrzy ten program i zadzwoni do niego. Emocjonalnie wrażliwa funkcjonariuszka Vernon zaproponowała, żeby policja we Francji osobiście poinformowała tatę o Twoim zaginięciu, jakby to miało być lepsze od powiadomienia go przez telefon. Przyjęłam jej propozycję.



Pan Wright luzuje swój poliestrowy krawat – pierwsze wiosenne słońce zaskakuje wszystkich w ogrzewanych biurach. Ja jednak cieszę się z tego ciepła.

– Czy tego dnia rozmawiała pani z sierżantem Finboroughem ponownie? – pyta.

– Potwierdziłam tylko numer, pod który mógł do mnie dzwonić.

– O której godzinie opuściła pani komisariat?

– O osiemnastej trzydzieści. Mama wyszła godzinę wcześniej.

Nikt na komisariacie nie zdawał sobie sprawy, że mama nie potrafi prowadzić samochodu, a tym bardziej, że nie ma własnego auta. Funkcjonariuszka Vernon przeprosiła mnie i powiedziała, że sama by ją zawiozła do domu, gdyby o tym wiedziała. Gdy patrzę na to z perspektywy czasu, mam wrażenie, że ta policjantka miała dość współczucia, by dostrzec człowieka za granatową, plisowaną spódnicą i wyniosłością klasy średniej.



Drzwi komisariatu zatrzasnęły się za mną. Poczułam lodowate powietrze na twarzy. Światła samochodów i ulicznych latarni dezorientowały mnie, zatłoczony chodnik onieśmielał. Przez chwilę widziałam Cię w tym tłumie. Później odkryłam, że ludzie, którzy zostali rozdzieleni z kimś, kogo kochają, często dostrzegają ukochaną osobę w obcym człowieku. To ma jakiś związek z tym, że część mózgu odpowiedzialna za rozpoznawanie ludzi jest przegrzana i zbyt szybko reaguje. Ta okrutna sztuczka umysłu trwała zaledwie kilka chwil, ale to wystarczyło, żebym poczuła wręcz fizycznie, jak bardzo Cię potrzebowałam.

Zaparkowałam przy schodach wiodących do Twojego mieszkania. W otoczeniu wysokich, nieskazitelnych budynków ten prezentował się jak ich biedny krewny, którego od lat nie stać na nowy płaszcz z białej farby. Niosąc walizkę z Twoimi ubraniami, zesłam po stromych, oblodzonych schodach do piwnicy. Pomarańczowa latarnia nie dawała dość światła, bym cokolwiek widziała. Jak udało Ci się nie złamać tu

nogi od trzech lat?

Nacisnęłam dzwonek palcami zdrętwiałymi z zimna. Przez kilka sekund miałam nadzieję, że otworzysz drzwi. Potem zaczęłam szukać pod doniczkami. Wiedziałam, że chowasz klucz do drzwi wejściowych pod jedną z doniczek i nawet powiedziałaś, jaka roślina w niej rośnie, ale nie mogłam sobie przypomnieć jej nazwy. Ty i mama zawsze byliście ogrodnikami. Poza tym byłam za bardzo zajęta prawieniem Ci morałów na temat tego, jak mało dbasz o swoje bezpieczeństwo. Jak można zostawiać klucz od domu pod doniczką stojącą tuż przy drzwiach? Na dodatek w Londynie. To jest skrajny brak odpowiedzialności. Jawne zaproszenie dla włamywaczy.

– Co pani wyprawia? – zapytał głos dobiegający z góry.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam właściciela Twojego mieszkania. Gdy widziałam go ostatnio, był dziadkiem z opowiadań dla dzieci – gdyby przyczepić mu siwą brodę, mógłby uchodzić za Świętego Mikołaja. Tym razem miał nachmurzoną minę, był nieogolony, a oczy gorzały mu wściekłością znacznie młodszego mężczyzny.

– Nazywam się Beatrice Hemming. Jestem siostrą Tess. Poznaliśmy się.

Usta nabrały łagodniejszego wyrazu, oczy się postarzały.

– Amias Thornton. Przepraszam. Nie mam już takiej pamięci jak niegdyś.

Zszedł ostrożnie po śliskich schodach.

– Tess przestała chować zapasowy klucz pod różowymi cyklamenami. Dała go mnie.

Otworzył portmonetkę i wyciągnął klucz. W przeszłości zupełnie ignorowałaś moje kazania, co więc skłoniło Cię do tej dbałości o bezpieczeństwo?

– Wpuściłem tu policję dwa dni temu – ciągnął Amias. – Żeby mogli poszukać jakichś wskazówek. Są jakieś wieści?

Był bliski łez.



– Obawiam się, że nie.

Odezwała się moja komórka. Oboje podskoczyliśmy. Szybko odebrałam. Mężczyzna patrzył na mnie z nadzieją.

– Halo?

– Cześć, kochanie – usłyszałam głos Todda.

Pokręciłam głową.

– Nikt jej nie widział. Odbierała dziwne telefony – powiedziałam, zaskoczona drzeniem własnego głosu. – Wieczorem w telewizji będzie emitowana rekonstrukcja. Musiałam ją udawać.

– Przecież w ogóle nie jesteś do niej podobna.

Jego pragmatyzm był pokrzepiający. Todd bardziej zainteresował się doborem obsady, niż samym filmem. Najwyraźniej uważał, że ta rekonstrukcja to absurdalnie przesadna reakcja.

– Mogę być do niej podobna. Tak jakby.

Amias ostrożnie cofał się po schodach w kierunku drzwi swojego mieszkania.

– Przyszedł od niej list? Policja twierdzi, że kupowała znaczek lotniczy na krótko przed tym, jak zaginęła.

– Nie było nic w skrzynce.

List mógł jeszcze nie dotrzeć do Nowego Jorku.

– Mogę do Ciebie oddzwonić? Nie chciałabym blokować tego telefonu, w razie gdyby dzwoniła.

– Jeśli tak wolisz.

Wydawał się rozdrażniony, cieszyłam się z tego, że nadal go denerwowałam. Zdecydowanie był przekonany, że jesteś cała i bezpieczna, a on złąja Cię jako pierwszy.

Otworzyłam drzwi Twojego mieszkania i weszłam do środka. Byłam u Ciebie dwa czy trzy razy i nigdy nie zatrzymywałam się na dłużej. Wszyscy odczuwaliśmy ulgę w związku z tym, że nie ma tu dość miejsca dla Todda i dla mnie, przez co jedynym rozwiązaniem był hotel. Nigdy nie podobało mi się to, jak kiepsko były obsadzone okna. Podmuchy

zimnego powietrza dostawały się przez szpary do środka. Ściany pokrywała wilgoć – były mokre i zimne w dotyku. Twoje ekologiczne żarówki potrzebowały wieków, żeby zacząć porządnie świecić. Ustawiłam ogrzewanie na maksimum, ale tylko górne pięć centymetrów grzejników oddawało ciepło. Czy Ty po prostu nie dostrzegasz takich rzeczy, czy też masz bardziej stoickie nastawienie niż ja?

Zobaczyłam, że telefon był odłączony. Czy dlatego słyszałam sygnał zajęty, gdy próbowałam dodzwonić się do Ciebie od dwóch dni? Na pewno nie trzymałaś go wyłączzonego przez cały czas. Próbowałam uspokoić kłujący lęk – często wyłączasz telefon, gdy malujesz lub słuchasz muzyki. Nie podoba Ci się, że natarczywie wymaga poświęcania mu niezасłużonej uwagi. Zatem gdy byłaś tutaj ostatnio, musiałaś zapomnieć włożyć wtyczkę do gniazdka.

Zaczełam przekładać rzeczy z Twojej walizki do szafy, witając znaną mi już falę irytacji.

*– Dlaczego nie możesz wstawić szafy do sypialni, gdzie powinna się znajdować? Tutaj wygląda śmiesznie.*

*Podczas pierwszej wizyty zastanawiałam się, dlaczego u licha wstawiłaś do malutkiego salonu wielką szafę.*

*– Zamieniłam sypialnię w pracownię – odparłaś, śmiejąc się, zanim skończyłaś zdanie.*

*„Pracownia” to było takie wielkie słowo dla tej malutkiej sypialenki.*

Jedną z tych rzeczy, które w Tobie uwielbiam, jest zdolność dostrzegania własnej komiczności szybciej, niż zrobi to ktoś inny. Śmiejesz się z siebie jako pierwsza. Jesteś jedyną znaną mi osobą, którą szczerze śmieją jej niedorzeczności. Niestety, nie jest to cecha rodzinna.

Wieszając Twoje rzeczy, dostrzegłam szufladę na dole szafy. Wyciągnęłam ją. Wewnątrz znajdowały się dziecięce ubranka. Wszystko w domu było takie obszarpane. Twoje ubrania pochodziły ze sklepów

z używaną odzieżą, meble ze śmietników, a te dziecięce ubranka były nowiutkie i drogie. Wyjęłam bladoniebieski, kaszmirowy kocyk i malutką czapczkę, tak miękką, że moje dłonie wydawały się szorstkie w porównaniu z nią. Te rzeczy były śliczne. Czułam się, jakbym znalazła krzesło Eames na przystanku autobusowym. Raczej nie mogłaś sobie na to pozwolić, więc kto dał Ci pieniądze? Sądziłam, że Emilio Codi próbował zmusić Cię do aborcji. Co tu się działo, Tess?

Odezwał się dzwonek przy drzwiach i pobiegłam otworzyć. Miałam na ustach słowo „Tess”. Prawie je wypowiedziałam, gdy otworzyłam drzwi. W progu stała młoda kobieta. Połknęłam to „Tess”. Niektóre słowa mają smak. Dotarło do mnie, że trzęsłam się od przyływu adrenaliny.

Kobieta była co najmniej w szóstym miesiącu ciąży. Obcisła bluzka odsłaniała wydęty brzuch i pępek z kolczykiem. Wyraźna ciąża wydała mi się równie tandetna, jak jej żółte włosy.

– Czy jest Tess? – zapytała.

– Jest pani jej przyjaciółką?

– Tak. Przyjaciółka. Jestem Kasia.

Przypomniało mi się, jak opowiadałaś o Kasi, polskiej przyjaciółce, ale Twój opis nijak się miał do rzeczywistości, którą obserwowałam w progu. Schlebiałaś jej do tego stopnia, że wypaczyłaś realia. Przypisałaś jej blask, którego nie miała. Stała przede mną w absurdalnej spódnicy mini, jej nogi pokrywała gęsia skórka i wypukłe od ciąży żyły. Bynajmniej nie była postacią z rysunków Donatella.

– Poznałyśmy się w klinice. Też bez chłopaka.

Zwróciłam uwagę na jej ubogi angielski, a nie na to, co mówiła. Spojrzała na forda escorta zaparkowanego przy schodach.

– Wrócił. Trzy tygodnie.

Miałam nadzieję, że moja twarz wyrażała całkowity brak zainteresowania dla jej prywatnego życia.

– Kiedy Tess w domu?

– Nie wiem. Nikt nie wie, gdzie jest.

Głos zaczął mi drżeć, ale prędzej szlag mnie trafi, niż okażę swoje emocje w obecności tej dziewczyny. Odziedziczyłam po mamie zdrową dawkę snobizmu. Ciągnęłam z werwą:

– Nie widziano jej od czwartku. Wie pani, gdzie może przebywać?

Kasia pokręciła głową.

– Byliśmy na wakacjach. Majorka. Godziliśmy się.

Mężczyzna w fordzie naciskał na klakson. Kasia machnęła w jego stronę, dostrzegłam, że jest zdenerwowana. Łamanym angielskim poprosiła, żebym Ci powiedziała, że tu była, po czym ruszyła szybko na górę.

Tak, panno Freud, byłam zła, że nie była Tobą. To nie jej wina.

Weszłam po schodach na ulicę i zadzwoniłam do drzwi Amiasa. Otworzył mi, gmerając przy łańcuszku.

– Czy wiesz, skąd Tess wzięła te wszystkie drogie ubranka dla dziecka? – zapytałam.

– Zaszalała przy Brompton Road – odpowiedział. – Była taka szczęśliwa...

Przerwałam mu zniecierpliwiona.

– Skąd wzięła na nie pieniądze?

– Nie wypytywałem.

Dostałam reprimendę. On miał dobre maniery, w przeciwieństwie do mnie.

– Dlaczego zgłosiłeś jej zaginięcie?

– Nie przyszła do mnie na kolację. Obiecała, że przyjdzie, a nigdy nie łamała obietnic; nawet wobec takiego staruszka jak ja.

Zdjął łańcuszek. Pomimo wieku nadal był wysoki i trzymał się prosto. Był o ładnych parę centymetrów wyższy ode mnie.

– Może powinnaś zwrócić ubranka.

Wzdrygnęłam się i poczułam wściekłość.

– Chyba trochę za wcześnie, by rezygnować, nie sądzisz?

Odwróciłam się i zeszłam pospiesznie po schodach. Zawołał coś za mną, ale nie próbowałam zrozumieć, co. Weszłam do Twojego mieszkania.

☺

– Jeszcze dziesięć minut i skończymy na dzisiaj – mówi pan Wright, a ja odczuwam ulgę; nie wiedziałam, że to będzie tak wyczerpujące fizycznie.

– Weszła pani do jej łazienki? – pyta.

– Tak.

– Zajrzała pani do szafki?

Potrząsam przecząco głową.

– Więc nie widziała pani niczego niestosownego?

– Widziałam.

☺

Czułam się wykończona, brudna i przemarznięta do kości. Do czasu emisji rekonstrukcji w telewizji zostały jeszcze dwie godziny, miałam więc mnóstwo czasu, ale bałam się, że nie będę słyszała, jak zadzwonisz. Uznałam, że to świetny pomysł – zgodny z taką samą logiką, jak przekonanie, że ukochany stanie w drzwiach w chwili, gdy nałożysz na twarz maseczkę i ubierzesz się w obszarpaną piżamę. Dobrze, zgadzam się, „logika” to nie najlepsze określenie, ale miałam nadzieję, że jeśli wejdę pod prysznic, zadzwonisz. Poza tym wiedziałam, że można zostawić wiadomość na poczcie głosowej mojego telefonu komórkowego.

Weszłam do łazienki. Naturalnie nie było w niej kabiny prysznicowej, tylko wanna z poodpryskiwaną emalią i krany otoczone pleśnią. Zwróciłam uwagę na uderzający kontrast z moją nowojorską łazienką, będącą hołdem złożonym modernistycznej elegancji w chromie i wapieniu. Zastanawiałam się, jak możesz czuć się czysta po pobycie tutaj. Pojawiło się znane mi uczucie bycia lepszą i wtedy to zobaczyłam:

pólkę ze szczoteczką do zębów, pastą, płynem do szkieł kontaktowych oraz szczotką z wplątanymi w nią długimi włosami.

Dotarło do mnie, że miałam nadzieję, iż zrobiłaś coś głupiego, jak studenciak, i pojechałaś na jakiś festiwal czy protest; że byłaś, jak zwykle, nieodpowiedzialna i zignorowałaś konsekwencje, jakie może przynieść mieszkanie w namiocie w czasie śnieżycy, gdy jest się w dziewiątym miesiącu ciąży. Fantazjowałam na temat tego, jaki usłyszysz ode mnie wykład na temat Twojej rażącej bezmyślności. Przybory toaletowe na półce rozbiły moją fantazję. Nadzieja prysnęła. Dokądkolwiek się udałaś, nie wybierałaś się tam.



Pan Wright wyłącza magnetofon.

– Zakończmy na tym.

Potakuję i próbuję odgonić widok Twoich długich włosów zaplątanych w szczotkę.

Wchodzi korpulentna sekretarka i mówi nam, że liczba dziennikarzy przed Twoim mieszkaniem jest niepokojąco duża. Pan Wright jest pełen troski. Pyta, czy ma mi znaleźć inne lokum.

– Nie, dziękuję. Chcę być w domu.

Nazywam Twoje mieszkanie domem, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Mieszkam w nim od dwóch miesięcy i czuję się w nim jak w domu.

– Czy mam panią podwieźć? – pyta; musiał chyba dostrzec moje zdziwienie, bo uśmiecha się i dodaje: – To żaden kłopot. Jestem pewien, że ten dzień był dla pani trudny.

Ten poliestrowy krawat musiał być prezentem. To miły człowiek.

Uprzejmie odrzucam jego propozycję. Odprowadza mnie do windy.

– Będzie pani składała swoje zeznania przez kilka dni. Mam nadzieję, że tak może być?

– Tak. Oczywiście.

– To dlatego, że była pani głównym detektywem i jest pani naszym

najważniejszym świadkiem.

„Detektyw” to zbyt szumna nazwa dla tego, czym się zajmowałam. Przyjeżdża winda i pan Wright przytrzymuje mi drzwi, dbając o to, bym bezpiecznie weszła do środka.

– Pani zeznania przypieczętują sprawę – mówi.

Gdy jadę na dół zatłoczoną windą, wyobrażam sobie, że moje słowa, niczym smoła, uszczelniają kadłub prokuratorskiej łodzi i czynią ją nieprzepuszczalną dla wody.

Na zewnątrz wiosenne słońce ogrzało wczesnowieczorne powietrze i przy kawiarniach wyrastają z szarych chodników białe grzyby parasoli. Budynek prokuratury od parku św. Jakuba dzieli tylko kilka przecznic. Chyba część drogi do domu pokonam pieszo.

Idę w stronę parku na skróty, ale skrót okazuje się ślepym zaułkiem. Wracam po własnych śladach i słyszę za sobą kroki. Nie jest to bynajmniej dodające otuchy stukanie wysokich obcasów, ale ciche, groźne skradanie się mężczyzny. Mimo że się boję, jestem świadoma banalności sceny, w której zło skrada się w stronę kobiety i próbuje pozbyć się tej wizji, ale kroki nie milkną. Są bliżej. Ciężki chód robi się głośniejszy. Na pewno wyminie mnie drugą stroną ulicy, by pokazać, że nie chce mi zrobić nic złego. Zamiast tego podchodzi bliżej. Czuję chłód jego oddechu na karku. Biegnę. Moje ruchy są nieskładne ze strachu. Docieram do początku ślepej uliczki i widzę ludzi kroczących zatłoczonym chodnikiem. Dołączam do nich i idę w kierunku metra. Nie oglądam się za siebie.

Mówię sobie, że to niemożliwe. On przebywa w areszcie, jest zamknięty w więzieniu bez prawa zwolnienia za kaucją. Po rozprawie trafi za kratki do końca życia. To musiała być moja wyobraźnia.

Wsiadam do metra i ryzykuję odwrócenie się w wagonie. Natychmiast dostrzegam Twoje zdjęcie. Widnieje na pierwszej stronie „The Evening Standard”. Zrobiłam je w Vermont, gdy odwiedziłaś nas dwa lata temu.

Wiatr rozwiewa Ci włosy, które wyglądają jak żagiel, twarz jaśniej. Jesteś uderzająco piękna. Nic dziwnego, że wybrali tę fotografię na pierwszą stronę. W środku jest zdjęcie, które zrobiłam, gdy miałaś sześć lat. Obejmujesz na nim Leo. Wiem, że wcześniej płakałaś, ale nie widać tego. Twoja buzia wracała do normy, gdy tylko uśmiechnęłaś się do mnie. Obok Twojego zdjęcia widać mnie – sfotografowano mnie wczoraj. Moja twarz nie jaśniej. Na szczęście nie dbam już o to, jak wyglądam na zdjęciach.

Wysiadam na stacji Ladbroke Grove. Zauważam, jak zręcznie londyńczycy się poruszają – po ruchomych schodach, przy bramkach biletowych i przy wyjściu – bez dotykania się. Gdy docieram do szczytu ruchomych schodów, znowu czuję czyjąś przesadną bliskość, zimny oddech na karku, ukłucie zagrożenia. Oddalam się pospiesznie i wpadam na innych. Próbuję wytłumaczyć sobie, że to był przeciąg szalejący na ruchomych schodach w ciepłym, wiosennym powietrzu.

Może strach i przerażenie, raz przeżyte, zakorzeniają się w człowieku nawet wtedy, gdy przyczyna już znika. Zostawiają za sobą senny horror, który zbyt łatwo trafia do świadomości.

Docieram do Chepstow Road i jestem zdumiona liczbą ludzi i pojazdów. Są tu ekipy z każdej brytyjskiej stacji telewizyjnej, a sądząc po wyglądzie, chyba też z każdej stacji zagranicznej. Wczorajsza zbieranina dzisiaj wydaje się wioskowym festynem w porównaniu z tym obłąkańczym, tematycznym parkiem rozrywki, w który się przekształciła.

Od Twojego mieszkania dzieli mnie jeszcze dziesięć drzwi, gdy dostrzega mnie technik od chryzantem. Zbieram się w sobie, ale człowiek ten odwraca się; po raz kolejny jego uprzejmość mnie zaskakuje. Mijam jeszcze dwoje drzwi, gdy dostrzega mnie dziennikarz. Rusza w moją stronę; reszta sunie za nim. Zbiegam po schodach; udaje mi się wejść do środka i zatrzasnąć drzwi.



Na zewnątrz hałas wypełnia przestrzeń niczym tryfidy<sup>[3]</sup>; nieprzyzwoicie długie obiektywy dotykają szyb. Zaciągam zasłony, ale światła nadal mnie oślepiają, przebijając się przez cienki materiał. Podobnie jak wczoraj, wycofuję się do kuchni, która nie jest już jednak moim schronieniem. Ktoś wali w tylne drzwi i cały czas słysząc dzwonek przy drzwiach frontowych. Telefon milknie najwyżej na sekundę, po czym znowu dzwoni. Do tej kakofonii dołącza moja komórka. Skąd wzięli numer? Dźwięki są natarczywe i nieustępliwe; domagają się reakcji. Wracam myślami do pierwszego wieczoru, który spędziłam w Twoim mieszkaniu. W owym czasie myślałam, że nic nie kojarzy się z samotnością tak bardzo, jak milczący telefon.



O 22.20 oglądałam rekonstrukcję, siedząc na Twojej kanapie, naciągając na siebie indyjski szal w próżnym dążeniu do ogrzania się. Z pewnej odległości naprawdę byłam całkiem przekonująca jako Ty. Na końcu pojawiła się prośba o wszelkie informacje i numer telefonu.

O 23.30 podniosłam słuchawkę, by sprawdzić, czy telefon działa. Wpadłam w panikę, że ktoś mógł w tej chwili próbować się dodzwonić – Ty albo policja, żeby mi powiedzieć, że się znalazłaś.

00.30. Nic.

01.00. Miałam wrażenie, że otaczająca cisza mnie dusi.

1.30. Słyszę, jak wykrzykuję Twoje imię. A może zostało ono zagrzebane w ciszy?

2.00. Usłyszałam coś przy drzwiach. Popędziłam, żeby je otworzyć, ale to była tylko kotka, przybłąda, którą przygarnełaś kilka miesięcy wcześniej. Mleko w lodówce stało ponad tydzień i było kwaśne. Nie

miałam nic, czym mogłabym uciszyć jej miauczenie.

O 4.30 poszłam do Twojej sypialni. Przecisnęłam się obok sztalug i sterty płócien. Skaleczyłam się w stopę. Gdy się schyliłam, ujrzałam kawałki szkła. Odsłoniłam okno i zobaczyłam, że w miejsce szyby wklejono arkusz folii. Nic dziwnego, że w mieszkaniu było lodowato.

Weszłam do Twojego łóżka. Folia szeleściła w mroźnym wietrze – ten nieregularny, nieludzki dźwięk był równie niepokojący, jak zimno. Pod poduszką znalazłam Twoją pidżamę. Pachniała tak samo, jak sukienka. Przytuliłam ją. Było mi zbyt zimno i odczuwałam zbyt silny lęk, by spać. A jednak musiałam przysnąć.

Śnił mi się kolor czerwony – we wzorniku Pantone numery od PMS 1788 do PMS 1807; kolor kardynałów i nierządnic; namiętności i przepychu; karmin otrzymany z roztartych ciałek owadów; szkarłat; kolor życia; kolor krwi.

Obudził mnie dzwonek.



*Wtorek*

Przyjeżdżam do biura prokuratury, gdzie wiosna zagościła oficjalnie. Z każdym obrotem drzwi do środka sączy się słaba woń świeżo skoszonej w parku trawy; recepcjonistki mają na sobie letnie sukienki, a ich twarze i kończyny są brązowe – musiały wysmarować je ubiegłej nocy samoopalaczem. Pomimo ładnej pogody ubrałam się za ciepło. Jestem blada – pozostałość po zimie.

Gdy idę w stronę gabinetu pana Wrighta, mam ochotę wyjawic mu swoje wczorajsze wrażenie, że ktoś mnie śledził. Muszę po raz kolejny usłyszeć, że on jest w więzieniu i po rozprawie pozostanie w nim do końca swojego życia. Lecz kiedy wchodzę do pokoju, widzę, że zalewa go wiosenne słońce. Zapalone jest też wewnętrzne oświetlenie i w tym

blasku duch wczorajszego strachu się rozmywa.

Pan Wright włącza magnetofon i zaczynamy.

– Chciałbym dzisiaj zacząć od ciąży Tess – mówi, a ja czuję się subtelnie upomniana.

Wczoraj kazał mi rozpocząć od chwili, „w której poczułam, że coś jest nie tak” i zaczęłam od telefonu mamy w porze lunchu. Teraz wiem, że to nie był prawdziwy początek. Wiem też, że gdybym poświęciła więcej czasu na to, żeby być z Tobą, gdybym była mniej zajęta sobą i uważniej słuchała, mogłabym wiele miesięcy wcześniej dostrzec, że dzieje się coś złego.

– Tess zaszła w ciążę w szóstym miesiącu romansu z Emiliem Codim – odzywam się, oczyszczając tę wypowiedź z wszelkich emocji, które jej towarzyszą.

– Jak się z tym czuła?

– Powiedziała, że odkryła, że jej ciało jest cudem.

Sięgam pamięcią do naszej rozmowy telefonicznej.

– *Po świecie chodzi prawie siedem miliardów cudów, Bee, a my w nie nie wierzymy.*

– Poinformowała Emilia Codiego? – pyta pan Wright.

– Tak.

– Jak zareagował?

– Chciał, żeby usunęła ciążę. Tess powiedziała, że dziecko to nie ząb.

Pan Wright uśmiecha się i szybko stara się to ukryć. Lubię go za ten uśmiech.

– Oznajmił jej, że jeśli nie przerwie ciąży, będzie musiała opuścić akademię, zanim stanie się ona widoczna.

– Zrobiła to?

– Tak. Emilio powiedział władzom uczelni, że trzeba jej dać urlop naukowy, bo dostała propozycję uczęszczania na jakąś inną akademię. Podał nawet nazwę.

– Kto o tym wiedział?

– Jej bliscy przyjaciele, także koledzy z uczelni. Tess poprosiła, by nie informowali szkoły.

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego chroniłś Emilia. Nie zasłużył na to. Nie zrobił nic, by na to zasłużyć.

– Zaproponował Tess jakąś pomoc?

– Nie. Oskarżył ją, że go wrobiła w ciążę i oświadczył, że nie da się zmusić do jakiegokolwiek pomocy jej lub dziecku.

– A wrobiła go?

Jestem zaskoczona tym, jak szczegółowych informacji pragnie, potem jednak przypominam sobie, że mam mu mówić o wszystkim i pozwolić decydować o tym, co jest istotne.

– Nie. Ta ciąża nie była zamierzona.

Pamiętam pozostałą część naszej rozmowy. Siedziałam w swoim biurze i nadzorowałam projekt nowej tożsamości korporacyjnej sieci restauracji, równocześnie wypełniając obowiązki starszej siostry.



– *Jak to możliwe, że to był wypadek, Tess?*

*Zespół projektantów wybrał czcionkę Bernard MT condensed, która wyglądała raczej staromodnie, a nie w stylu retro, jak sugerowałam w briefie.*

– *Wypadek ma negatywny wydźwięk, Bee. Niespodzianka brzmi lepiej.*

– *Jak może dojść do takiej „niespodzianki”, skoro przy każdej ulicy jest kiosk, w którym można kupić kondomy?*

*Zaśmiałaś się czule, drocząc się ze mną, gdy cię łąjałam.*

– *Niektórzy ludzie po prostu dają się ponieść chwili.*

*Wyczułam zawołowaną krytykę.*

– *Co zamierzasz zrobić?*

– *Będę coraz większa, a potem urodzę.*

*To brzmiało tak naiwnie. Zachowywałaś się dziecinnie, więc jak*

*mogłaś zostać matką?*

*– To radosne wieści, nie złość się.*

☞

– Czy kiedykolwiek brała pod uwagę aborcję? – pyta pan Wright.

– Nie.

– Wychowywały się panie w katolickiej rodzinie?

– Tak. Ale to nie z tego powodu nie zdecydowałyby się na aborcję. Jedynym katolickim sakramentem, w który Tess wierzyła, jest sakrament chwili obecnej.

– Przepraszam, obawiam się, że go nie znam...

Wiem, że to nie ma związku ze sprawą, ale chciałabym, żeby wiedział o Tobie coś więcej, niż tylko surowe fakty z segregatora.

– Chodzi o życie tu i teraz – wyjaśniam. – Doświadczenie terażniejszości bez martwienia się o przyszłość lub zaśmiecania jej przeszłością.

Nigdy nie przystałam na ten sakrament; jest zbyt nieodpowiedzialny, zbyt hedonistyczny. Prawdopodobnie dorzucili go Grecy; Dionizos wniknął w katolicyzm i postarał się odegrać w nim jakąś rolę.

Jest jeszcze coś, czym chcę się podzielić z panem Wrightem.

– Nawet na samym początku, gdy dziecko było jedynie zbitką komórek, kochała je. To dlatego uważała, że jej ciało jest cudem. To dlatego nigdy nie zdecydowałyby się na aborcję.

Potakuje i poświęca Twojej miłości do dziecka pełną szacunku chwilę milczenia.

– Kiedy zdiagnozowano u dziecka mukowiscydozę? – pyta.

Cieszę się, że mówi o dziecku, a nie płodzie. Ty i Twoje dziecko zaczynacie wydawać mu się bardziej ludzcy.

– W dwunastym tygodniu – odpowiadam. – Ze względu na historię naszej rodziny, zrobiono jej badania genetyczne.

☞

– *To ja.*

*Słyszałam, że po drugiej stronie linii starałaś się nie rozplakać.*

– *To chłopiec.*

*Wiedziałam, co usłyszę.*

– *Ma mukowiscydozę.*

*Brzmiałaś tak młodo. Nie wiedziałam, co Ci powiedzieć. Wiedzieliśmy zbyt wiele o tej chorobie, bym mogła wygłaszać jakieś frazesy.*

– *Będzie musiał przejść przez to wszystko, Bee, zupełnie jak Leo.*



– To było w sierpniu? – pyta pan Wright.

– Tak. Dziesiątego sierpnia. Cztery tygodnie później zadzwoniła, żeby mi powiedzieć, że zaproponowano jej nową terapię genetyczną.

– Co o niej wiedziała?

– Dziecku wstrzykuje się zdrowy gen w miejsce tego odpowiedzialnego za mukowiscydozę. Zabieg odbywa się, gdy dziecko jest w łonie. W trakcie rozwoju zdrowy gen będzie zastępował uszkodzony, wywołujący chorobę.

– Jak pani zareagowała?

– Przestraszyłam się ryzyka, jakie podejmowała. Po pierwsze ze względu na wektor...

– Wektor? – przerwał mi pan Wright. – Przepraszam, nie...

– W ten sposób wprowadza się gen do organizmu. To taka taksówka, jeśli pan woli. Wektorami genetycznymi często są wirusy, ponieważ świetnie sobie radzą z atakowaniem komórek. Równocześnie przenoszą nowy gen.

– Zna się pani na tym.

– W naszej rodzinie wszyscy jesteśmy genetykami-amatorami. To przez Leo.



– Podczas tych prób genetycznych ludzie umierali, Tess. Ich narządy wewnętrzne przestawały funkcjonować.

– Pozwól mi skończyć, dobrze? Oni nie wykorzystują wirusa jako wektora. I to właśnie jest wspaniałe. Ktoś zdołał stworzyć sztuczny chromosom, pozwalający wprowadzić gen do komórek organizmu. Tak więc nie ma żadnego ryzyka dla dziecka. To cudowne, prawda?

To było niesamowite. Jednak moje obawy nie zniknęły. Pamiętam dalszy ciąg naszej rozmowy. Miałam na sobie uniform starszej siostry.

– W porządku. Zatem z wektorem nie będzie problemu. Ale co ze zmodyfikowanym genem? Co się stanie, jeśli nie tylko wyleczy mukowiscydozę, ale też zrobi coś jeszcze, czego nie przewidziano?

– Możesz przestać się martwić?

– Przecież mogą być jakieś potworne skutki uboczne. Ten gen może namieszać w organizmie w sposób, o jakim jeszcze nie wiemy.

– Bee...

– Może się wydawać, że ryzyko jest niewielkie...

Przerwałaś mi, zrzucając mnie z mojej mównicy.

– Bez tej terapii będzie miał mukowiscydozę. Jest to pewne na sto grubych procent. Tak więc muszę podjąć to małe ryzyko.

– Mówiłaś, że zrobisz ci zastrzyk w brzuch?

Usłyszałam w Twoim głosie, że się uśmiechasz.

– A jak inaczej mogliby wprowadzić gen do organizmu?

– Zatem ta genowa terapia może mieć też wpływ na ciebie.

Westchnęłaś. Było to westchnienie typu: „proszę, zejdź ze mnie”, westchnienie młodszej siostry adresowane do starszej.

– Jestem twoją siostrą. Mam prawo martwić się o ciebie.

– A ja jestem matką mojego dziecka.

Twoja odpowiedź zaskoczyła mnie.

– Napiszę do ciebie, Bee.

Rozłączyłaś się.

– Często do pani pisała? – pyta pan Wright.

Zastanawiam się, czy go to ciekawi, czy też pytanie ma jakiś cel.

– Tak. Zazwyczaj wtedy, gdy wiedziała, że coś spotka się z moją dezaprobatą. Niekiedy też po to, by uporządkować swoje myśli, potrzebowała mnie w roli milczącego słuchacza.

Nie jestem pewna, czy o tym wiesz, ale zawsze podobały mi się te Twoje monologi. Mimo że często mnie drażnią, to dają mi też komfort zwolnienia z obowiązków krytyka.

– Policja przekazała mi kopię jej listu – oświadcza pan Wright.

Przepraszam. Musiałam dać policji wszystkie Twoje listy.

Pan Wright się uśmiecha.

– List o ludziach-aniolach.

Cieszę się, że podkreślił, co miało dla Ciebie znaczenie, a nie co jest ważne w świetle dochodzenia. Nie potrzebuję tego listu, by przypomnieć sobie jego fragment.

*Wszyscy ci ludzie, których nie znam, o których istnieniu nawet nie wiedziałam, pracowali godzinę za godziną, dzień po dniu, przez wiele lat, by znaleźć lekarstwo. Początkowo badania były finansowane z funduszy charytatywnych. To są naprawdę anioły, ludzie-anioly w białych kitlach laboratoryjnych i tweedowych spódnicach, organizujący biegi masowe, sprzedaż ciast i zbiórki pieniędzy, żeby pewnego dnia ktoś, kogo nawet nie spotkali, mógł wyleczyć swoje dziecko.*

– Czy to jej list rozwiał pani obawy dotyczące terapii? – pyta pan Wright.

– Nie. Dzień przed tym, jak go otrzymałam, w amerykańskiej prasie pojawił się temat prób terapii genetycznych. O opracowanej przez Gene-Med kuracji genetycznej mukowiscydozy pisano we wszystkich gazetach i mówiono w telewizji. Pokazywano bez końca zdjęcia wyleczonych dzieci, nie podając dużo informacji naukowych. Nawet w gazetach dużego formatu pisano częściej o „cudownym dziecku”, a nie „kuracji



genetycznej”.

Pan Wright potakuje.

– Tak, u nas było tak samo.

– Pisano o tym w Internecie, więc mogłam dogłębnie zbadać temat. Dowiedziałam się, że próby poddano wszystkim ustawowym testom i nie tylko. W Wielkiej Brytanii na świat przyszło dwadzieścioro dzieci wyleczonych z mukowiscydozy. Były jak najbardziej zdrowe. Matki też nie ucierpiały. Ciężarne kobiety w Stanach, noszące w łonach płody, u których stwierdzono mukowiscydozę, błagały, by poddano je terapii. Dotarło do mnie, jakie szczęście spotkało Tess.

– Co pani wiedziała o Gene-Med?

– Że jest to instytucja o ugruntowanej pozycji, przeprowadzająca badania genetyczne od lat. Dowiedziałam się też, że zapłaciła profesorowi Rosenowi za opracowanie chromosomu i zatrudniła go, by kontynuował badania.

Dzięki temu Twoje panie w tweedowych spódnicach mogły przestać zbierać pieniądze.

– Obejrzałam z pół tuzina telewizyjnych wywiadów z profesorem Rosenem, człowiekiem, który wymyślił tę kurację.

Wiem, że to nie powinno mieć znaczenia, niemniej to właśnie profesor Rosen wpłynął na moją zmianę opinii, a przynajmniej otworzył mnie na tę terapię. Pamiętam, jak zobaczyłam go w telewizji po raz pierwszy.



Prezenterka telewizyjna wypowiedziała miękkim głosem swoje pytanie:

– Profesorze Rosen, jak to jest być „człowiekiem stojącym za cudem”? Tak się pana przecież często określa.

Siedzący naprzeciwko niej profesor Rosen wyglądał absurdalnie banalnie: miał okulary w drucianych oprawkach, wąskie barki i krzaczaste brwi; na pewno niedaleko wisiał jego laboratoryjny kitel,

który zdjął na czas wystąpienia przed kamerą.

– To nie jest cud. Poświęciliśmy dziesiątki lat na badania...

– Naprawdę? – przerwała mu.

To w zamierzeniu była kropka, ale profesor źle ją zrozumiał i uznał jej wypowiedź za zachętę do kontynuowania wątku.

– Gen odpowiedzialny za mukowiscydozę znajduje się w chromosomie siódmym. Wytwarza on białko zwane błonowym regulatorem przewodnictwa, w skrócie CFTR.

Dziennikarka wygładziła obcisłą spódnicę na długich nogach i uśmiechnęła się do profesora.

– Gdybyśmy mogli prosić o prostą wersję.

– To jest prosta wersja. Opracowałem sztuczny mikrochromosom...

– Nie sądzę, by nasi widzowie... – powiedziała dziennikarka, wymachując rękami, jakby to, co mówił naprawdę wykraczało poza możliwości zrozumienia przez zwykłych śmiertelników.

Zirytowała mnie i ucieszyłam się, gdy dostrzegłam, że profesor Rosen też się zdenerwował.

– Pani widzowie zostali obdarzeni mózgami, prawda? Mój sztuczny mikrochromosom może bezpiecznie przenieść zdrowy gen do komórek, bez żadnego ryzyka.

Pomyślałam, że ktoś musiał go nauczyć, jak przedstawiać osiągnięcia nauki w potocznym języku. Zdaje się, że profesor Rosen miał już tego dość.

– Sztuczny ludzki chromosom może nie tylko wprowadzić geny, ale też podtrzymywać ich stabilne, terapeutyczne działanie. Syntetyczne centromery...

Kobieta pospiesznie mu przerwała:

– Obawiam się, że musimy zrezygnować z tej lekcji, profesorze, ponieważ jest tu ktoś, kto chciałby panu podziękować.

Odwróciła się w stronę wielkiego telewizora, transmitującego na żywo obraz ze szpitala. Zalana łzami matka i świeżo upieczony ojciec tulili

nowo narodzone dziecko. Dziękowali profesorowi Rosenowi za wyleczenie ich pięknego synka. Profesor Rosen był wyraźnie zde gustowany i zażenowany. Nie upajał się swoim sukcesem i dlatego mi się spodobał.



– Zaufała pani profesorowi Rosenowi? – upewnia się pan Wright, ale nie dzieli się ze mną własnymi wrażeniami, choć na pewno widział go w telewizji w czasie medialnej wrzawy.

– Tak. We wszystkich wywiadach telewizyjnych, jakie widziałam, prezentował się jako pewny siebie naukowiec. Nie szukał rozgłosu. Wydawał się skromny, zażenowany pochwałami i zdecydowanie nie był zachwycony swoją telewizyjną popularnością.

Nie mówię tego panu Wrightowi, ale profesor kojarzył mi się także z panem Normanssem (uczył Cię matematyki?), miłym człowiekiem, który musiał radzić sobie z głupotą dorastających dziewcząt i wyrzucał z siebie równania niczym karabin maszynowy. Niechęć do medialnego rozgłosu, okulary w drucianych oprawkach i podobieństwo do starszego nauczyciela nie były logicznymi przesłankami, które pozwoliłyby mi zaakceptować fakt, że te próby są bezpieczne, niemniej potrzebowałam czegoś natury osobistej, by wyzbyć się obiekcji.

– Czy Tess opisała, co się wydarzyło, gdy została poddana terapii? – pyta pan Wright.

– Nie w szczegółach. Powiedziała tylko, że zrobiono jej zastrzyk i teraz musi czekać.



*Zadzwo niłaś do mnie w środ ku nocy. Zapomniałaś o różnicy czasu lub nie przejęłaś się nią. Todd obudził się i odebrał telefon. Ziry towany, podał mi słuchawkę. Bezgłośnie oznajmił:*

*– Przecież jest czwarta trzydzieści nad ranem, jak Boga kocham.*

– *Udało się, Bee. Wyleczyli go.*

*Rozpłakałam się. Szlochałam, z oczu ciekły mi wielkie, mokre łzy. Tak bardzo się martwiłam; nie o dziecko, ale o to, jak Ty się będziesz czuła, opiekując się i kochając dziecko z mukowiscydozą. Todd myślał, że stało się coś strasznego.*

– *To cholernie wspaniale.*

*Nie wiem, co go bardziej zaskoczyło – fakt, że płaczę z powodu czegoś wspaniałego, czy to, że przeklęłam.*

– *Dam mu na imię Xavier. Jeśli mama nie będzie miała nic przeciwko temu.*

*Pamiętam, że Leo był taki dumny ze swojego drugiego imienia. Bardzo chciał, by tak się do niego zwracano.*

– *Leo uznałby, że ten pomysł jest ekstra – powiedziałam i pomyślałam o tym, jakie to smutne, że ktoś umiera w wieku, kiedy jest się wciąż tak młodym, żeby mówić, że coś jest ekstra.*

– *Zgadza się.*



Sekretarka pana Wrighta, kobieta w średnim wieku, pojawia się z wodą mineralną i nagle do mnie dociera, jaka jestem spragniona. Opróżniam od razu cienki, papierowy kubeczek; sekretarka patrzy na mnie z lekką dezaprobatą. Gdy zabiera pusty kubek, zauważam, że wnętrza dłoni ma pomarańczowe. Musiała nakładać wczoraj wieczorem samoopalacz. Jestem wzruszona tym, że ta puszysta, ciężka pani w średnim wieku starała się ładnie wyglądać. Uśmiecham się do niej, ale tego nie zauważa. Patrzy na pana Wrighta. Dostrzegam w jej spojrzeniu, że jest w nim zakochana, że to dla niego brązowiła sobie ramiona i twarz, że z myślą o nim kupiła sukienkę, którą ma dzisiaj na sobie. Pan Wright przerywa moje myślowe ploteczki.

– *Zatem, o ile pani wiadomo, z dzieckiem i ciążą nie działo się nic złego?*

– Myślałam, że wszystko było w porządku. Martwiłam się tylko tym, jak Tess sobie poradzi jako samotna matka. Wtedy wydawało mi się to wielkim zmartwieniem.

Panna Zadurzona Sekretarka wychodzi, niezauważona przez pana Wrighta, który patrzy na mnie. W imieniu kobiety zerkam na jego dłonie; nie ma obrączki. Tak, mój umysł znowu błądzi. Nie chce dalej pracować. Wiesz, do czego się zbliżam. Przykro mi.

---

[3] Zmutowane, groźne dla ludzkości rośliny z powieści Johna Wyndhama *Dzień Tryfidów*.

## ROZDZIAŁ 3

Przez moment dzwonek przy drzwiach był elementem mojego czerwonego snu. Potem pobiegłam otworzyć, pewna, że to Ty. Sierżant Finborough wiedział, że jest niewłaściwą osobą. Był łaskaw wyglądać na zażenowanego i pełnego współczucia.

– Wszystko w porządku, Beatrice. Nie znaleźliśmy jej.

Wszedł do Twojego saloniku. Za nim szła funkcjonariuszka Vernon.

– Emilio Codi widział rekonstrukcję – oznajmił sierżant, siadając na Twojej kanapie. – Tess urodziła już dziecko.

Przecież byś mi powiedziała.

– To musi być jakaś pomyłka.

– Szpital św. Anny potwierdził, że Tess urodziła u nich w ubiegły wtorek i wypisała się tego samego dnia. – Przerwał na chwilę, pełen współczucia, odbezpieczał bowiem kolejny granat. – Dziecko urodziło się martwe.

Niegdyś myślałam, że określenie „urodzić się martwym” brzmi spokojnie. Jak „martwa natura”. Bez ruchu. Bez zamętu. Teraz sędzę, że jest to określenie pełne rozpaczki z powodu braku życia; okrutny zwrot. Lecz ja nawet nie myślałam o Twoim dziecku. Przykro mi. Jedyne, o czym mogłam myśleć, to to, że wydarzyło się to tydzień temu, a ja nie dowiedziałam się o tym od Ciebie.

– Rozmawialiśmy z oddziałem psychiatrii w szpitalu św. Anny – dodał sierżant Finborough. – Tess skierowano tam natychmiast z powodu

śmierci dziecka. Zajmował się nią niejaki doktor Nichols. Rozmawiałem z nim w domu i wyjawiał mi, że Tess cierpi na depresję poporodową.

Fakty wylatujące z eksplodującego pocisku rozrywały nasz związek. Nie powiedziałaś mi, kiedy Twoje dziecko umarło. Miałaś depresję, lecz nie zwróciłaś się do mnie. Znałam każdy obraz, nad którym pracowałaś, każdą Twoją przyjaciółkę, wiedziałam nawet, jaką książkę czytasz i znałam imię Twojej kotki. (Pudding, przypomniało mi się następnego dnia). Znałam najdrobniejsze szczegóły z Twojego życia. Ale nie wiedziałam nic o rzeczach wielkich. Nie znałam Cię.

Tak więc diabeł wreszcie podsunął mi pakt. Jeśli zaakceptuję, że nie byłam Ci bliska, nie okażesz się porwana. Nie zamordowano Cię. Żyjesz. Chwyciłam pakt zachłannie.

– Rzecz jasna, nadal się o nią martwimy – odezwał się sierżant Finborough. – Niemniej nie ma powodu sądzić, że w sprawę zaangażowany jest ktoś inny.

Przez chwilę milczałam, żeby sprawdzić, co napisano drobnym drukiem.

– A co z anonimowymi telefonami?

– Doktor Nichols twierdzi, że Tess zareagowała przesadnie z powodu stanu emocjonalnego, w jakim się znajdowała.

– A wybite okno? Na podłodze sypialni było szkło, kiedy tu przyjechałam.

– Zbadaliśmy tę kwestię, gdy zgłoszono nam jej zaginięcie. We wtorkowy wieczór chuligani wybili szyby w pięciu samochodach przy tej ulicy. Widocznie cegła trafiła też w okno mieszkania Tess.

Ulga wymyła z mojego ciała napięcie i zrobiła miejsce dla przejmującego zmęczenia.

Po wyjściu policji udałam się do Amiasa.

– Wiedziałaś, że jej dziecko zmarło, prawda? – zapytałam. – To dlatego powiedziałaś, że mogę oddać te ubranka.

Spojrzał na mnie zasmucony.

– Przepraszam. Myślałem, że wiesz.

Nie chciałam iść tą drogą. Jeszcze nie.

– Dlaczego nie powiedziałeś policji o dziecku?

– Nie jest mężatką.

Dostrzegł na mojej twarzy brak zrozumienia.

– Bałem się, że uznają ją za rozwiązłą. Że wtedy nie będą jej szukać.

Może miał rację, choć nie w pełni. Gdy policja ustaliła, że cierpisz na depresję poporodową, poszukiwania przestały być aż tak pilne. Lecz wtedy nie dostrzegałam tego faktu.

– Tess powiedziała mi, że dziecko zostało wyleczone – odezwałam się.

– Z mukowiscydozy tak. Ale było coś jeszcze, o czym nie wiedzieli. Chodziło chyba o nerki.

Pojechałam do mamy, żeby podzielić się z nią dobrymi wieściami. Tak, to były dobre wieści, bo żyłaś. Nie myślałam o Twoim dziecku, przykro mi. To był pakt z diabłem.

I fałsz. Gdy jechałam do niej, pomyślałam, że byłam głupia, skoro dałam się tak łatwo okantować. Tak bardzo chciałam przyjąć ten pakt, że nie dostrzegałam prawdy. Znałam Cię od urodzenia. Byłam przy Tobie, gdy odszedł tata. Gdy umarł Leo. Znam te wielkie chwile. Powiedziałabyś mi o swoim dziecku. I powiedziałabyś mi, że wyjeżdżasz. Tak więc coś lub ktoś musiał Ci to uniemożliwić.

Mama poczuła taką samą ulgę jak ja. Czułam się okrutna, gdy ją jej zabrałam.

– Uważam, że się mylą, mamó. Ona by tak po prostu nie wyjechała, nie bez poinformowania mnie.

Mama jednak trzymała się kurczowo dobrych wieści i nie zamierzała ich wypuścić bez walki.

– Kochanie, ty nigdy nie miałaś dziecka. Nie potrafisz sobie wyobrazić, jak ona musiała się czuć. Już sama depresja poporodowa by jej



wystarczyła, nie mówiąc o reszcie.

Mama zawsze radziła sobie świetnie z eufemizmami.

– Nie twierdzę, że cieszę się ze śmierci jej dziecka, ale przynajmniej dziewczyna ma drugą szansę. Niewielu mężczyzn jest gotowych zaakceptować dziecko innego.

Odkryła dla Ciebie świetlaną przyszłość. W swoim stylu.

– Naprawdę nie sędzę, że zniknęła z własnej woli – powiedziałam.

Mama jednak nie chciała mnie słuchać.

– Pewnego dnia urodzi drugie dziecko w znacznie szczęśliwszych okolicznościach.

Lecz jej głos drżał, gdy próbowała ukuć Ci bezpieczną przyszłość.

– Mamo...

Przerwała mi, nie chcąc słuchać.

– Wiedziałaś, że była w ciąży, prawda?

Teraz zamiast myśleć o Twojej przyszłości, zaczęła zgłębiać przeszłość. Wszystko, byle nie myśleć o teraźniejszości.

– Uważasz, że nie miała nic przeciwko byciu samotną matką?

– Ty sobie poradziłaś. Pokazałaś nam, że to możliwe.

Chciałam być miła, ale to ją jeszcze bardziej rozwścieczyło.

– Nie można porównywać zachowania Tess z moim. Nie ma porównania. Ja byłam mężatką, zanim zaszłam w ciążę. Mój mąż mnie porzucił. To nie był mój wybór.

Nigdy nie słyszałam, by nazywała go „swoim mężem”. A Ty? Zawsze był „naszym ojcem”.

– Wiem też, co to jest wstyd – ciągnęła. – Tess by nie zaszkodziło, gdyby się co nieco zapoznała z tym tematem.

Jak mówiłam, złość może powstrzymać dreszcz przerażenia, przynajmniej na jakiś czas.

Zaczęła się śnieżycyca, gdy jechałam z Little Hadston do Londynu. Autostrada M11 przekształcała się w brutalną, śnieżną krainę. Na

ziemię spadały miliony płatków śniegu, uderzały w przednią szybę. Było ich zbyt wiele i spadały zbyt szybko, by wycieraczki zdążyły je zbierać. Na wyświetlaczach nad autostradą jaśniały znaki ostrzegające przed niebezpiecznymi warunkami na drodze oraz wprowadzające nakaz wolniejszej jazdy, żeby zapewnić zmotoryzowanym bezpieczeństwo. Minęła mnie karetka z wyjącą syreną.

– *To nie jest hałas, Bee.*

– *Zatem harmider.*

– *Syrena to dźwięk pędzącej kawalerii dwudziestego pierwszego wieku.*

*Właśnie zaczęłaś naukę na Akademii i byłaś pełna myśli, na które nie wpadł jeszcze nikt przed Tobą. I miałaś tę irytującą cechę studentki, która uważa, że osoby niebędące studentami nie są w stanie czegoś zrozumieć.*

– *Chodzi mi o kawalerię straży pożarnej, policji lub pogotowia, pędzącą komuś na ratunek.*

– *Zrozumiałam Cię od początku. Dzięki, Tess.*

– *Uznałaś, że to zbyt głupie, by to komentować?*

– *Taa.*

*Zachichotałaś.*

– *Poważnie. Według mnie syrena to dźwięk społeczeństwa dbającego o swoich obywateli.*

Karetka zniknęła mi z oczu. Nie słyszałam już jej wycia. Czy ku Tobie pędziła jakaś kawaleria? Nakazałam sobie przestać tak myśleć. Nie mogłam sobie pozwolić na zastanawianie się, co się z Tobą działo. Jednak moje ciało odczuwało chłód, przerażenie i samotność.

Ulice w okolicy Twojego mieszkania nie zostały posypane piachem i były niebezpiecznie śliskie. Wpadłam w poślizg, gdy parkowałam, i prawie przewróciłam motocykl stojący przed domem. Na dole schodów siedział dwudziestolatek. Dzierżył w dłoniach absurdalnie ogromny

bukiet. Płatki śniegu topniały, gdy lądowały na celofanie. Rozpoznałam go na podstawie Twojego opisu – to był Simon, syn parlamentarzysty. Masz rację. Jego przekłute kolczykiem usta sprawiają, że dziecięca buzia wygląda, jakby przeszedł tortury. Miał przemoczony strój motocyklisty, a palce zbieleły mu z zimna. Mimo że było mroźno, czułam zapach wody po goleniu. Przypomniałam sobie, jak opowiadałaś mi o jego niezdarnych zalotach i Twojej reakcji na nie. Musiałaś być jedną z nielicznych osób, które rzeczywiście dotrzymują pocieszającej obietnicy życia w przyjaźni.

Powiedziałam mu, że zaginęłaś. Przycisnął bukiet do piersi, miażdżąc kwiaty. Jego akcent rodem z Eton był cichy.

– Kiedy?

– W ubiegły czwartek.

Wydawało mi się, że jego twarz zrobiła się blada.

– Byłem z nią w czwartek.

– Gdzie?

– W Hyde Parku. Byliśmy razem do około szesnastej.

To dwie godziny po Twojej wizycie na poczcie. Musiał być ostatnią osobą, która Cię widziała.

– Zadzwoiła do mnie tego dnia rano i poprosiła o spotkanie. Zapropozowała galerię Serpentine w Hyde Parku. Spotkaliśmy się tam przy kawie. Pogadaliśmy o tym, co słyhać.

Tym razem jego akcent trącił Północnym Londynem. Byłam ciekawa, który był autentyczny.

– Później zapytałem, czy mogę ją odprowadzić do domu. Odrzuciła moją propozycję. – W jego głosie brzmiała nutka użalania się nad sobą. – Od tego czasu nie dzwoniłem do niej ani nie przychodziłem. Owszem, nie było to z mojej strony wspierające zachowanie, ale chciałem, żeby poczuła, jak to jest zostać potraktowanym oziębło.

Ten chłopak musi mieć ego monstualnych rozmiarów, skoro wierzy, że jego zranione uczucia mogły mieć dla Ciebie jakiegokolwiek znaczenie po tym, jak zmarło Twoje dziecko; tak jak dla mnie teraz, gdy zaginęłaś.

– Gdzie ją zostawiłeś? – zapytałam.

– To ona mnie zostawiła. Ja jej nigdzie nie zostawiałem.

Byłam pewna, że kłamał. Udawany był akcent z Północnego Londynu.

– Gdzie?

Nie odpowiedział.

– Gdzie?! – teraz już wykrzyczałam to pytanie.

– Przy Lido.

Nigdy wcześniej na nikogo nie nakrzyczałam.

Zadzwoiłam do sierżanta Finborougha i zostawiłam dla niego pilną wiadomość. Simon był w łazience i rozgrzewał odrętwiałe palce pod gorącą wodą. Później unosiła się tam woń jego wody kolońskiej i byłam na niego zła, że zamaskował zapach Twojego mydła i szamponu.

– Co powiedziała policja? – zapytał, gdy weszłam do niego.

– Mają to sprawdzić.

– Jakie to amerykańskie.

Tylko Ty masz prawo droczyć się ze mną w ten sposób. Policjant powiedział dokładnie: „Zbadam sprawę natychmiast”.

– Zamierzają przeszukać Hyde Park? – ciągnął Simon.

Staralam się nie myśleć o tym, co policjant miał na myśli, mówiąc, że „zbada sprawę”. Zastąpiłam brytyjski eufemizm amerykańskim – owinęłam folią bąbelkową brutalną rzeczywistość, jaką przedstawiały te słowa.

– I zadzwonią do nas? – zapytał.

To ja jestem Twoją siostrą. Sierżant Finborough zadzwoni do mnie.

– Tak, sierżant Finborough da mi znać, jeśli cokolwiek będą wiedzieli – odpowiedziałam.

Simon rozparł się na kanapie. Jego ośnieżone buty zostawiły ślady na Twoim indyjskim szalu. Musiałam jednak zadać mu kilka pytań, więc zamaskowałam rozdrażnienie.

– Policja uważa, że jest w depresji poporodowej. Jakie odniosłeś

wrażenie?

Przez chwilę nie odpowiadał. Zastanawiałam się, czy próbował coś sobie przypomnieć, czy też wymyślał kłamstwo.

– Była zrozpaczona – odparł. – Musiała brać te specjalne pigułki, żeby przestać produkować mleko. Powiedziała mi, że to jedna z najgorszych rzeczy. Nadal wytwarzała pokarm dla dziecka i nie była w stanie mu go dać.

Śmierć Twojego dziecka zaczynała do mnie docierać. Powolutku. Przykro mi, że to trwało tak długo. Na swoją obronę mam tylko to, że nie było miejsca dla dziecka w moim martwieniu się o Ciebie.

Coś mi nie dawało spokoju. Wiedziałam, co.

– Powiedziałaś: „była”.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Powiedziałaś, że „była zrozpaczona”.

Przez chwilę wydawało mi się, że wyglądał na przypartego do muru, ale pozbierał się. W jego głosie znowu zabrzmiał fałszywy akcent z Północnego Londynu.

– Chodziło mi o to, że gdy ją widziałem w czwartkowe popołudnie, była zrozpaczona. Skąd niby mam wiedzieć, jak się miewa teraz?

Jego twarz straciła dziecięcy wygląd. Wydawała mi się okrutna. Kolczyki nie były przejawem nastoletniego buntu, tylko masochizmu. Miałam do niego kolejne pytanie.

– Tess powiedziała mi, że dziecko zostało wyleczone.

– Tak. To nie miało nic wspólnego z mukowiscydozą.

– To przez to, że urodziło się trzy tygodnie przed terminem?

– Nie. Powiedziała, że to by go zabiło nawet wtedy, gdyby przyszedł na świat w terminie. To miało związek z nerkami.

Opanowałam się.

– Czy wiesz, dlaczego nie powiedziała mi o śmierci dziecka?

– Myślałam, że powiedziała.

W wyrazie jego twarzy było coś tryumfalnego.

– Wiedziałaś, że miałem zostać ojcem chrzestnym?

Wyszedł niechętnie po tym, jak moje uprzejme sugestie przeszły w nietypowe dla mnie bezpośrednie żądanie.

Czekałam dwie i pół godziny na telefon od sierżanta Finborougha, po czym zadzwoniłam na komisariat. Policjantka poinformowała mnie, że sierżant jest niedostępny. Postanowiłam udać się do Hyde Parku. Miałam nadzieję, że sierżanta nie będzie w pobliżu. Liczyłam na to, że jest niedostępny z powodu zajmowania się znacznie pilniejszą sprawą. Twoją zaliczono do kategorii spraw osób zaginionych, które znajdują się szczęśliwie same w odpowiednim czasie. Miałam nadzieję, że ja się mylę i że to on ma rację, że po prostu wyjechałaś gdzieś po śmierci dziecka. Zamknęłam drzwi i włożyłam klucz pod doniczkę z różowymi cyklamenami, w razie gdybyś wróciła podczas mojej nieobecności.

Gdy zbliżałam się do Hyde Parku, minął mnie radiowóz z włączoną syreną. Wpadłam w panikę. Przyspieszyłam. Kiedy dotarłam do Lancaster Gate, samochód policyjny, który mnie wyprzedził, dołączył do innych, zaparkowanych już na miejscu. Wokół było słychać ich elektroniczne wycie.

Weszłam do parku; wokół mnie padał miękki śnieg. Żałuję, że nie zaczekałam chwilę dłużej, że nie dałam sobie jeszcze godziny lub więcej własnego życia. Większości ludzi wyda się to samolubne, ale Ty żyłaś z żalobą albo, dokładniej to ujmując, jakaś część Ciebie umarła z żaloby, dlatego wiem, że zrozumiesz.

W pewnej odległości wewnątrz parku zobaczyłam policjantów; było ich z tuzin. Samochody jechały w ich stronę. Zaczęli nadchodzić gapie, których przyciągało zamieszanie – to był program na żywo.

Śnieg znaczyło tak wiele śladów stóp i opon.

Podeszłam powoli. Mój umysł był dziwnie spokojny, dostrzegał jednak, że serce uderzało nieregularnie o żebra, że brakowało mi tchu, że

miałam dreszcze. W jakiś sposób mój umysł dystansował się od reszty ciała i jego reakcji.

Przechodziłam obok strażnika parku w brązowym uniformie. Rozmawiał z człowiekiem z labradorem.

– Zapytano nas o kąpielisko Lido i jezioro, myślałem, że będą przeszukiwać dno. Dowodzący postanowił jednak sprawdzić najpierw nieużywane budynki. Z powodu cięć budżetowych mamy ich sporo.

Kolejni spacerowicze z psami i biegacze dołączali do grona jego słuchaczy.

– Ten budynek był przed laty męską toaletą, jednak taniej było postawić nowe szalety, niż remontować stare.

Minęłam go i jego audytorium. Szłam w kierunku policji. Formowali kordon otaczający mały, zrujnowany, wiktoriański budynek, częściowo ukryty w krzakach.

Niedaleko kordonu stała funkcjonariuszka Vernon. Jej zazwyczaj różowe policzki były blade. Miała oczy zapuchnięte od płaczu i trzęsła się. Jakiś policjant obejmował ją ramieniem. Nie widzieli mnie. Kobieta mówiła szybko i urywanym głosem:

– Tak, widziałam, ale tylko w szpitalu i nigdy kogoś tak młodego. Ani tak samotnego.

Później będę uwielbiać tę kobietę za jej współczucie. W owym czasie jednak jej słowa wgrzyły się w moją świadomość, zmuszając mózg do zaangażowania się w wydarzenia.

Dotarłam do policyjnego kordonu. Sierżant Finborough dostrzegł mnie. Przez chwilę był zdumiony, że tam jestem, ale na jego twarzy szybko pojawiła się litość. Podeszedł do mnie.

– Beatrice, tak mi przykro.

Przerwałam mu – jeśli nie pozwolę mu wygłosić tych słów, to nie będzie prawdą.

– Myli się pan.

Chciałam od niego uciec. Przytrzymał mnie za rękę. Myślałam, że

stara się ograniczyć moją swobodę ruchu. Teraz sędzę, że był to delikatny, uprzejmy gest.

– Znaleźliśmy Tess.

Próbowałam mu się wyrwać.

– Nie możecie tego wiedzieć na pewno.

Spojrzał na mnie i nawiązał kontakt wzrokowy; nawet wtedy zdawałam sobie sprawę, że wymagało to odwagi.

– Tess miała przy sobie legitymację studencką. Obawiam się, że nie ma mowy o pomyłce. Przykro mi, Beatrice. Pani siostra nie żyje.

Puścił moją dłoń. Odeszłam od niego. Funkcjonariuszka Vernon ruszyła za mną.

– Beatrice...

Usłyszałam, jak sierżant Finborough odwołał ją:

– Ona chce być sama.

Byłam mu za to wdzięczna.

Usiadłam w zagajniku drzew o czarnych konarach, pozbawionych liści i życia w tym tłumiącym dźwięki śniegu.

W którym momencie wiedziałam, że nie żyjesz? Czy wtedy, gdy powiedział mi o tym sierżant Finborough? Kiedy ujrzałam bladą twarz funkcjonariuszki Vernon? Gdy zobaczyłam Twoje przybory toaletowe w łazience? Czy może wówczas, gdy mama zadzwoniła, by poinformować o Twoim zaginięciu? Kiedy to wiedziałam?

Dostrzegłam nosze, które wynoszono z rozpadającego się szałetu. Leżał na nich worek z ciałem. Podeszłam.

Kosmyk Twoich włosów zaplątał się między zęby suwaka.

Wtedy wiedziałam już na pewno.



## ROZDZIAŁ 4

Dlaczego piszę do Ciebie? Wymigałam się od odpowiedzi na to pytanie poprzednim razem, mówiłam o potrzebie znalezienia w tym wszystkim sensu, o tym, że te szczegóły mają stworzyć pointylistyczny obraz. Uniknęłam jednak odpowiedzi na najważniejszą część pytania – dlaczego do Ciebie? Czy to jest zabawa w udawanie w wykonaniu prawie szalonej osoby? Z prześcieradeł i koców można zrobić namiot, statek piratów lub zamek. Ty jesteś nieustraszonym rycerzem, Leo jest zawadiackim księciem, a ja księżniczką i narratorem historii, którą opowiadam, jak chcę. Zawsze lubiłam opowiadać różne historie, prawda?

Czy uważam, że możesz mnie usłyszeć?

Zdecydowanie tak./Zdecydowanie nie.

Wybieraj; ja waham się nieustannie.

Po prostu muszę z Tobą rozmawiać. Mama powiedziała mi, że do czasu Twoich narodzin mówiłam niewiele, a gdy na świat przyszła moja siostrzyczka, buzia mi się nie zamykała. Nie chcę zamilknąć. Jeśli to zrobię, stracę jakąś część siebie. I będzie mi jej brakowało. Wiem, że nie jesteś w stanie skrytykować lub skomentować mojego listu do Ciebie, ale to nie znaczy, że nie znam Twojego krytykanctwa lub nie jestem w stanie domyślić się komentarzy, podobnie jak Ty znałaś moje i je odgadywałaś. Jest to monolog, ale taki, który mogę wygłosić tylko w Twojej obecności.

Chcę Ci też powiedzieć, dlaczego zostałaś zamordowana. Mogłabym zacząć od końca, udzielić Ci odpowiedzi, napisać ostatnią stronę, ale

zadawałabyś pytania, które kazałyby mówić o tym, co napiszę kilka stron wcześniej, i tak doszłybyśmy do miejsca, w którym jestem teraz. Opowiem więc wszystko po kolei, tak, jak sama to odkrywałam, bez cofania się w czasie.



– Jakiś policjant, którego wcześniej nie widziałam, poprosił mnie, żebym ją zidentyfikowała.

Powiedziałam panu Wrightowi to, co Tobie. Usunęłam tylko informację o pakcie z diabłem i inne nieistotne dygresje.

– O której to było godzinie? – pyta uprzejmym głosem, jak przez cały czas tej rozmowy, ale nie potrafię mu odpowiedzieć.

W dniu, w którym Cię znaleziono, czas zwariował; minuta trwała pół dnia, a godzina mijała w ciągu kilku sekund. Zupełnie jak w dziecięcych bajkach, przelatywałam między tygodniami i latami; stałam na drugiej gwieździe po prawej, po czym przenosiłam się do ranka, który nigdy nie nastanie<sup>[4]</sup>. Żyłam w świecie sflaczałych zegarów Dalego, w czasie herbatki szalonego kapelusznika. Nic dziwnego, że Auden wzywał, by „zatrzymać zegary” – to była rozpaczliwa próba zachowania zdrowych zmysłów.

– Nie wiem, która to była godzina – odpowiadam.

Postanawiam zaryzykować i wyjawić część swojej prawdy.

– Czas przestał mieć dla mnie znaczenie. Zazwyczaj zmienia się i wpływa na wszystko, lecz gdy umiera ktoś ukochany, czas nie może tego zmienić, dlatego jako taki przestaje się liczyć.

Gdy zobaczyłam kosmyk Twoich włosów, wiedziałam, że żal jest miłością przekształconą w wieczną tęsknotę. To jest trochę za dużo dla pana Wrighta, wiem, ale chcę, by dowiedział się czegoś więcej o rzeczywistości Twojej śmierci. Nie da się jej zamknąć w kategoriach godzin, dni lub minut. Pamiętasz te łyżeczki z lat trzydziestych XX wieku, z których każda miała trzonek przypominający roztopiony

cukierek? Tak właśnie upływało moje życie, w małych, odmierzonych porcjach. Lecz Twoja śmierć była ogromnym morzem, w którym tonęłam. Czy wiedziałaś, że ocean może osiągać głębokość ponad jedenastu kilometrów? Tak głęboko nie dotrze żaden promień słońca. W zupełnych ciemnościach żyją wyłącznie zniekształcone, nie dające się rozpoznać stworzenia; zmutowane emocje, z których istnienia nie zdawałam sobie sprawy do chwili Twojej śmierci.

– Czy na tym poprzestaniemy? – pyta pan Wright.

Przez moment zastanawiam się, czy wypowiedziałam swoje myśli na głos a on się zmartwił, że oszalałam. Jestem raczej pewna, że udało mi się zachować je dla siebie, a on jest po prostu troskliwy. Jednak nie mam ochoty wracać tu dzisiaj jeszcze raz.

– Wolałabym skończyć.

Sztywnieje prawie niedostrzegalnie i wyczuwam, że zbiera się w sobie. Nie sądziłam, że to będzie dla niego trudne. Sędziwemu marynarzowi<sup>[5]</sup> trudno było opowiadać swoją historię, ale trudno było też słuchać go gościom weselnym, którzy byli do tego zmuszeni. Pan Wright kiwa głową, więc kontynuuję.

– Policja przywiozła mamę do Londynu, ale ona nie była w stanie podjąć się identyfikacji Tess, więc udałam się do kostnicy sama. Był ze mną sierżant z policji. Mężczyzna przed sześćdziesiątką. Nie pamiętam jego nazwiska. Był bardzo miły.



Gdy weszliśmy do kostnicy, sierżant wziął mnie za rękę i nie puszczał jej. Minęliśmy pomieszczenie, w którym wykonuje się sekcje zwłok. Błyszczące, metalowe powierzchnie, białe kafelki i ostre oświetlenie przywodziły na myśl skrajnie nowoczesny projekt kuchni. Policjant zaprowadził mnie do pokoju, w którym się znajdowałaś. Zapach środków antyseptycznych był przytłaczający. Policjant zapytał, czy jestem gotowa. Nigdy nie będę. Skinęłam głową. Odciągnął koc.

Miałaś na sobie gruby, zimowy płaszcz – bożonarodzeniowy prezent ode mnie. Chciałam mieć pewność, że będzie Ci ciepło. Poczułam głupie zadowolenie, że miałaś go na sobie. Nie da się opisać koloru śmierci, nie ma we wzorniku numeru, który odpowiadałby barwie twojej twarzy. To było przeciwieństwo koloru, przeciwieństwo życia. Dotknęłam Twoich włosów, miały nadal satynowy połysk.

– Była taka piękna.

Sierżant ścisnął moją dłoń.

– Tak. Jest piękna.

Użył czasu teraźniejszego i pomyślałam, że źle mnie usłyszał. Teraz sędzę, że próbował mi trochę pomóc; śmierć nie obrabowała Cię jeszcze ze wszystkiego. Sierżant miał rację. Byłaś piękna, jak bohaterki szekspirowskich tragedii. Zostałaś Desdemoną, Ofelią, Kornelią; bladą i sztywną; skrzywdzoną heroiną; pasywną ofiarą. Jednak nigdy nie byłaś postacią tragiczną, pasywną ani ofiarą. Byłaś radosna, pełna namiętności i niezależna.

Dostrzegłam, że grube rękawy płaszcza nasiąknęły krwią, która zaschła i usztywniła wełnę. Miałaś pocięte wnętrza rąk. W tych miejscach uszło z Ciebie życie.

Nie pamiętam, co policjant powiedział, ani co odpowiedziałam. Pamiętam tylko, że trzymał mnie za rękę.

Gdy wyszliśmy z budynku, sierżant spytał, czy chcę, żeby policja we Francji poinformowała tatę w naszym imieniu. Podziękowałam mu.

Mama czekała na mnie na zewnątrz.

– Przepraszam. Nie mogłam znieść myśli, że miałabym ją zobaczyć w takim stanie.

Zastanawiam się, czy uważała, że ja byłam na to gotowa.

– Nie powinnaś musieć tego robić. Powinni wykorzystać DNA albo coś innego.

Nie zgodziłam się z nią. Bez względu na to, jakie to było straszne,

musiałam zobaczyć brutalną rzeczywistość Twojej bezbarwnej buzi, by uwierzyć, że nie żyjesz.

– Poradziłaś sobie sama? – zapytała mama.

– Był ze mną policjant. Bardzo miły.

– Wszyscy byli uprzejmi. – Musiała znaleźć coś dobrego. – To nie jest w porządku, że prasa na nich tak nastaje, prawda? Nie mogliby zachowywać się milej, czy... – Głos jej się urwał; to było na nic. – Czy jej twarz...? To znaczy, czy była...?

– Nietknięta. Idealna.

– Taka śliczna.

– Tak.

– Zawsze taka była. Ale nie było jej widać zza tych włosów. Ciągłe powtarzałam, żeby je spinała albo porządnie ostrzygła. Żeby każdy mógł widzieć jej piękną buzię, nie dlatego, że nie podobały mi się jej włosy.

Pękła. Przytrzymałam ją. Gdy do mnie przywarła, doświadczyliśmy fizycznej bliskości, której obydwie potrzebowałyśmy od chwili, gdy wysiadłam z samolotu. Jeszcze się nie rozplakałam i zazdrościłam mamie, jakby łzy mogły osłabić moją mękę choć odrobinę.

Zawiozłam mamę do domu i pomogłam jej ułożyć się do snu. Siedziałam przy niej, aż zasnęła.

W środku nocy wróciłam do Londynu. Na M11 otworzyłam szyby i przekrzyczałam hałas silnika, warkot autostrady. Krzyczałam w ciemność, aż rozboleło mnie gardło, a głos zachrypł. Gdy dojechałam do Londynu, ulice były ciche i wyludnione. Trudno było sobie wyobrazić, że do mrocznego, porzuconego miasta wrócą następnego dnia światło i ludzie. Nie myślałam o tym, kto Cię zabił. Twoja śmierć zakłócała myślenie. Chciałam tylko wrócić do Twojego mieszkania, żeby być bliżej Ciebie.

Zegar w samochodzie wskazywał godzinę 3.40, gdy dotarłam na miejsce. Pamiętam to, bo to nie był już dzień, w którym Cię znaleziono.

To był dzień później. Przechodziłaś już do przeszłości. Ludzie myślą, że słowa „życie toczy się dalej” niosą pocieszenie – czy nie rozumieją, że właśnie to, iż nasze życie trwa, a ukochanej osoby już nie, jest przyczyną tego dotkliwego bólu i żalu? Nastąpią kolejne dni, nie będące dniem, w którym Cię znaleziono, w którym nadzieja i moje życie z siostrą się zakończyły.

W mroku pośliznęłam się na schodach wiodących do Twojego mieszkania i chwyciłam lodowatą poręcz. Skok adrenaliny i zimno uzmysłowiły mi Twoją śmierć jeszcze bardziej. Po omacku szukałam klucza pod doniczką z różowymi cyklamenami, zdzierając sobie kostki o zmarznięty beton. Klucza nie było. Dostrzegłam, że drzwi były szeroko otwarte. Weszłam do środka.

W Twojej sypialni ktoś był. Żal zdusił wszelkie inne emocje i nie czułam strachu, kiedy otwierałam drzwi. W środku jakiś mężczyzna szperał w Twoich rzeczach. Przez smutek przebiła się wściekłość.

– Co pan tu, do cholery, robi?

W nowym krajobrazie głębokiej żałoby nie rozpoznawałam nawet swoich słów. Mężczyzna się odwrócił.



– Czy zakończymy na tym? – pyta pan Wright.

Zerkam na zegar. Jest prawie dziewiętnasta. Jestem wdzięczna, że pozwolił mi opowiedzieć do końca o dniu, w którym Cię znaleziono.

– Przepraszam. Nie wiedziałam, że jest tak późno.

– Jak pani mówiła, czas przestaje mieć znaczenie, gdy umiera ktoś, kogo się kocha.

Zastanawiam się, czy to wykorzysta. Wyczuwam nieporównywalność naszych sytuacji. Od pięciu godzin obnażam się przed nim emocjonalnie. Zapada między nami cisza i jestem bliska poproszenia go, by też coś o sobie wyjawiał.

– Dwa lata temu straciłem żonę. Wypadek samochodowy.

Nasze spojrzenia spotykają się i zawiązuje się między nami braterstwo. Dwójka weteranów tej samej wojny, znużonych walką i emocjonalnie poranionych. Dylan Thomas mylił się – śmierć ma władzę. To śmierć zwycięża wojnę, a dodatkowymi zniszczeniami przez nią dokonany jest żal. Jako studentka literatury angielskiej nigdy nie sądziłam, że będę się spierała z poetami, zamiast po prostu uczyć się ich słów.

Pan Wright prowadzi mnie korytarzem do windy. Sprzątaczką odkurza; w innych biurach jest ciemno. Pan Wright wciska guzik i czeka ze mną na przyjazd windy. Wchodzę do niej sama.

Gdy winda zjeżdża, czuję w ustach żółć. Moje ciało odtwarzało przeżycia, o których opowiadałam i ponownie czułam nasilające się mdłości, jakbym próbowała fizycznie wyrzucić z siebie to, co wiedziałam. Serce znowu szamotało się w klatce piersiowej, zapierając mi dech. Wychodzę z windy; głowa boli mnie potwornie, jak w dniu, w którym Cię znaleziono. Wtedy fakt, że nie żyjesz, wybuchał w moim mózgu raz po raz. Gdy rozmawiałam z panem Wrightem, znowu wyszłam z zawiązanymi oczami na pole minowe. Twoja śmierć nigdy nie zostanie rozbrojona w mojej pamięci, lecz w niektóre dni, te dobre, odkrywałam, jak ją omijać. Ale nie dzisiaj.

Wychodzę z budynku. Wieczór jest ciepły, ale ja nadal dygoczę i włoski na ramionach podnoszą się, próbując utrzymać ciepło przy ciele. Nie wiem, czy to zimno, czy też szok wywołał tego dnia tak gwałtowne dreszcze.

Inaczej niż wczoraj, nie czuję za sobą czyjejś groźnej obecności; może dlatego, że po opisanie tego dnia, w którym Cię znaleziono, nie mam już emocjonalnej energii, by się bać. Postanawiam iść pieszo, zamiast jechać metrem. Moje ciało potrzebuje bodźców ze świata zewnętrznego, a nie klimatu wspomnień. Zmiana w Coyote zaczyna się za ponad godzinę, więc powinnam zdążyć tam dość.

Jesteś zdumiona, i tak, owszem, jestem hipokrytką. Nadal pamiętam

swój protekcjonalny ton.

– *Ale praca w barze? Nie mogłaś znaleźć czegoś mniej...? – zawiesiłam głos, lecz wiedziałas, że miałam na myśli „odmóżdżającego”, „niegodnego Ciebie”, „pozbawionego perspektyw”.*

– *To ma służyć opłaceniu rachunków, a nie robieniu kariery.*

– *Dlaczego nie poszukasz pracy dziennej, która może do czegoś prowadzić?*

– *To nie jest praca dzienna, tylko wieczorowa.*

*Za twoim humorem kryło się coś szorstkiego. Dostrzegłaś zawoalowaną drwinę – mój brak wiary w Twoją przyszłość artystki.*

Dla mnie to coś więcej, niż praca dzienna czy wieczorowa. To jedyna praca, jaką mam. Po trzech tygodniach mojej nieobecności w firmie współczucie szefa wyczerpało się. Musiałam się zdeklarować. „Wóz albo przewóz, Beatrice”. Pozostanie w Londynie oznaczało rezygnację. Może się wydawać, że jestem niefrasobliwą osobą, potrafiącą elastycznie reagować na sytuację i bez wahania zamieniającą posadę dyrektora w firmie projektującej tożsamości korporacyjne na dorywcze zajęcie barmanki. Wiesz jednak, że taka nie jestem. Moja nowojorska praca z jej regularną pensją, składkami emerytalnymi i zorganizowanymi godzinami była moim ostatnim punktem oparcia w życiu, przewidywalnym i bezpiecznym. Ale, o dziwo, podoba mi się praca w Coyote.

Spacer pomaga mi i po czterdziestu minutach oddech zwalnia; bicie serca wraca do rozpoznawalnego rytmu. Wreszcie dostrzegam, że powtarzasz mi, iż powinnam w końcu zadzwonić do taty. Sądziłam, że jego nowa żona pocieszy go znacznie lepiej, niż ja. Owszem, są osiem lat po ślubie, niemniej ciągle myślę o niej jak o nowej pannie młodej – świeżej, białej, iskrzącej się młodością oraz tiarą ze sztucznych brylantów, nieskażonej stratą. Nic dziwnego, że tata wołał ją od nas.



Docieram do Coyote i widzę, że Bettina rozciągnęła już zieloną markizę i rozstawia na zewnątrz stare, drewniane stoły. Na powitanie wyciąga ramiona – czeka, bym wpadła w jej objęcia. Kilka miesięcy temu wydawałoby mi się to odpychające. Na szczęście przestałam już reagować taką alergią na dotyk. Tulimy się mocno i jestem wdzięczna za ten kontakt fizyczny. Wreszcie przestaję się trząść.

Bettina patrzy na mnie z troską.

– Nadajesz się do pracy?

– Nic mi nie jest.

– Oglądaliśmy to w wiadomościach. Proces ma się odbyć latem?

– Tak.

– Jak myślisz, kiedy oddadzą mi komputer? – pyta z uśmiechem. – Mojego pisma nie da się odczytać. Nikt nie jest w stanie rozszyfrować menu.

Policja zabrała jej komputer, bo często go używałaś. Szukają czegoś, co może pomóc w dochodzeniu. Ta kobieta ma naprawdę piękny uśmiech, który zawsze mnie urzeka. Obejmuje mnie ramieniem i wprowadza do środka. Dociera do mnie, że czekała na mnie.

Odbywam swoją zmianę, cały czas czując mdłości i ból głowy. Jeśli ktokolwiek dostrzega moje milczenie, nikt go nie komentuje. Zawsze radziłam sobie świetnie z liczeniem w myślach, więc ten aspekt pracy barmanki przychodzi mi z łatwością. Za to pogaduszki z klientami niekoniecznie. Na szczęście Bettina może mówić za dwoje, więc tego wieczoru polegam na niej, tak jak często polegałam na Tobie. Mamy tylko stałych klientów, którzy są wobec mnie tak samo uprzejmi, jak personel. Nie zadają pytań ani nie wygłaszają komentarzy na temat tego, co się dzieje. Takt jest zaraźliwy.

Do domu docieram późno, wykończona dniem. Marzę, by pójść spać. Na szczęście na posterunku zostało tylko troje wiernych dziennikarzy. Może to wolni strzelcy potrzebujący gotówki? Nie są już częścią stada,

więc nie wykrzykują swoich pytań i nie przybliżają obiektywów do mojej twarzy. Rozgrywa się raczej scenariusz przypominający przyjęcie koktajlowe – przynajmniej mają świadomość, że mogą nie chcieć z nimi rozmawiać.

– Panno Hemming?

Wczoraj było „Beatrice” i nie spodobała mi się ta poufałość (ci, którzy byle jak odrobili pracę domową, nazywali mnie „Arabellą”).

– Czy mogę zadać kilka pytań? – Dziennikarka zachowuje uprzejmy dystans.

To ją słyszałam za kuchennymi drzwiami w niedzielny wieczór, jak rozmawiała przez telefon komórkowy.

– Nie wolałaby pani czytać w domu bajek na dobranoc?

Jest wyraźnie zaskoczona.

– Podśluchiwałam.

– Mój syn jest dzisiaj z ciotką. Niestety, nikt nie płaci mi za czytanie bajek na dobranoc. Czy jest coś, co chciałaby pani powiedzieć ludziom o swojej siostrze?

– Kupiła dla swojego dziecka farby do malowania palcami.

Nie jestem pewna, co mnie skłoniło, by to powiedzieć. Może to, że po raz pierwszy przestałaś żyć chwilą obecną i zaczęłaś planować przyszłość. Naturalnie dziennikarka chce usłyszeć coś innego. Czeka.

Staram się obmyślić podsumowujące Cię zdanie. Myślę o Twoich cechach, ale zaczyna mi się w głowie roić tekst notki reklamowej: „Piękna, utalentowana dwudziestojednolatka, lubiana i lubiąca zabawę, szuka...”. Słyszę Twój śmiech. Zrezygnowałam z poczucia humoru, ale w Twoim przypadku to jest całkowita prawda. To dlatego ludzie Cię kochają. Lecz gdy wymieniam powody, zbliżam się niebezpiecznie do tekstu nekrologu, a przecież jesteś na to za młoda. Starszy dziennikarz, który do tej pory milczał, wtrąca się bezceremonialnie:

– Czy to prawda, że wyrzucono ją ze szkoły?

– Tak. Nienawidziła zasad, zwłaszcza absurdalnych.

Zapisuje to, a ja szukam dalej zdania, które byłoby opisem Ciebie. Ile zdań podrzędnych może składać się na zdanie złożone?

– Panno Hemming?

Napotykam jej wzrok.

– Powinna być tutaj. Teraz. Żywa. – To jest moje podsumowanie składające się z pięciu słów.

Wchodzę do mieszkania i słyszę, jak mi mówisz, że zbyt ostro potraktowałam tatę. Masz rację. Ale wtedy nadal byłam na niego zła. Byłaś zbyt młoda, by poradzić sobie z tym, przez co mama i Leo przechodzili, gdy on odszedł, trzy miesiące przed śmiercią Leo. Wiem, że to przez mukowiscydozę; Leo był tak chory, że ojciec nie mógł znieść tego widoku; mama była tak spięta, że jej serce ścisnęło się w małą kulkę, która z trudem pompowała krew dla organizmu, i nie było w stanie bić dla nikogo więcej. Tak więc wiem, że na poziomie racjonalnym tata miał swoje powody. Ale miał też dzieci, więc uważałam, że tych powodów nie było. (Miał, bo dwoje z nich nie żyło, a ja nie byłam już dzieckiem).

Uwierzyłaś mu, kiedy Ci powiedział, że wróci. Byłam o pięć lat starsza, ale nie mądrzejsza i przez lata snułam fantazje dotyczące szczęśliwego zakończenia. Podczas pierwszej nocy po rozpoczęciu studiów moja fantazja prysła, ponieważ uznałam, że szczęśliwe zakończenie nie ma sensu. Nie pragnęłam ojca – brakowało mi tylko szczęśliwego początku. Żałowałam, że tata nie opiekował się mną, gdy byłam dzieckiem. Nie zależało mi na dogadaniu się z nim w dorosłości. Teraz jednak nie jestem tego taka pewna.

Wyglądam przez okno i widzę, że wszyscy dziennikarze odeszli. Pudding owija swoim mruczącym ciałkiem moje stopy – próbuje wymusić więcej jedzenia. Nakarmiwszy ją, napełniam konewkę i wychodzę przez kuchenne drzwi.

– *To jest twoje podwórko?* – zapytałam podczas pierwszej wizyty, zdziwiona, że nie miałaś na myśli podwórka takiego jak w Stanach, czyli

ogrodu.

*Zamiast niego ujrzałam kilkadziesiąt centymetrów ziemi narzuconej na gruz i kilka kubłów na śmieci. Uśmiechnęłaś się:*

*– Będzie tu pięknie, Bee. Poczekaj.*

Musiałaś się naharować jak wół. Wszystkie kamienie zebrane, ziemia przekopana, rośliny posadzone. Zawsze uwielbiałaś ogrodnictwo. Gdy byłaś mała, chodziłaś za mamą po ogrodzie z małym kolorowym rydłem, ubrana w specjalny, ogrodowy fartuszek. Mnie się to nigdy nie podobało. Nie przeszkadzał mi bynajmniej długi czas oczekiwania między sianiem i pojawieniem się rośliny (Tobie tak, bo byłaś niecierpliwa); drażniło mnie to, że gdy roślina wreszcie zakwitła, kwiaty zniknęły za szybko. Rośliny były zbyt efemeryczne i przemijające. Wolałam zbierać porcelanę, solidne przedmioty nieożywione, na których można polegać, które nie zmieniają się i nie umrą następnego dnia.

Odkąd mieszkam u Ciebie, naprawdę się staram, słowo, dbać o ten skrawek ogrodu z tyłu domu. (Na szczęście Amias zajmuje się Twoim doniczkowym ogrodem Semiramidy na schodach przed wejściem do mieszkania). Codziennie podlewam rośliny i nawet dodaję do wody odżywkę. Nie, nie jestem pewna, dlaczego to robię – może sądzę, że to ma dla Ciebie znaczenie; a może chcę opiekować się Twoim ogrodem, bo nie opiekowałam się Tobą? Bez względu na motywację, obawiam się, że potwornie zawiodłam. Wszystkie rośliny umarły. Ich łodyżki są brązowe, a kilka listków, które się utrzymały, uschło i się pomarszczyło. Nic nie wyrasta z pustych placków ziemi. Dlaczego kontynuuję ten bezcelowy wysiłek i podlewam martwe badyle oraz gołą ziemię?

*– Będzie tu pięknie, Bee. Poczekaj.*

Napełnię konewkę i poczekam jeszcze trochę.

---

[4] Nawiązanie do piosenki *Second Star to the Right* Jesse McCartney

z filmu *Piotruś Pan*.

[5] Bohater wiersza *Rymy o sędziwym marynarzu* Samuela Taylora Coleridge'a.

## ROZDZIAŁ 5

*Środa*

Przybywam do budynku prokuratury i Panna Zadurzona Sekretarka gapi się na mnie. Lepiej powiedzieć, że analizuje jako swoją rywalkę. Wpada pan Wright – w jednej ręce trzyma aktówkę, w drugiej gazetę. Uśmiecha się do mnie otwarcie i ciepło; jeszcze nie przełączył się z kanału życia domowego na biurowy. Teraz już wiem, że Panna Zadurzona Sekretarka widzi we mnie konkurentkę, bo gdy pan Wright się do mnie uśmiecha, jej twarz przybiera wyraźnie wrogi wyraz. Pan Wright nie jest tego świadomy.

– Przepraszam, że musiała pani czekać. Proszę wejść.

Jest jeszcze roztargniony, jakby w myślach nadal wiązał krawat. Wchodzę za nim do gabinetu. Zamyka drzwi. Czuję wzrok sekretarki z drugiej strony – ciągle na niego patrzy.

– Czy noc minęła pani dobrze? – pyta. – Wiem, że to musiało być straszne.

Przed Twoją śmiercią przymiotniki opisujące moje życie należały do drugiej ligi: „stresujący”, „irytujący”, „przygnębiający”, w najgorszym razie „głęboko zasmucający”. Teraz pojawiają się wielkie słowa: „straszne”, „szokujące”, „druzgocące” – to one wchodzą w skład słownika terminów opisujących moje „ja”.

– Doszliśmy do tego, że odkryła pani kogoś w sypialni Tess.

– Tak.

Jego mentalny krawat został już zawiązany i wracamy do tematu. Odczytuje moje słowa: „Co pan tu, do cholery, robi?”.



Mężczyzna się odwrócił. Mimo że w mieszkaniu było lodowato, jego czoło pokrywał pot. Minęła chwila, zanim się odezwał. Jego włoski akcent był, celowo lub nie, kokieteryjny.

– Jestem Emilio Codi. Przepraszam, jeśli panią przestraszyłem.

Od razu wiedziałam, kto to jest. Czy wyczułam zagrożenie, bo podejrzewałam go o zabicie Ciebie, czy też uznałabym go za groźnego, nawet gdyby tak nie było? Bo w przeciwieństwie do Ciebie uważam, że południowy wdzięk – ta arogancka męskość ostrego zarysu szczęki i śniada skóra – jest raczej groźny, niż atrakcyjny.

– Czy pan wie, że ona nie żyje? – zapytałam.

Te słowa brzmiały komicznie; przesadnie teatralny fragment dialogu, którego nie potrafiłam wygłosić. Przypomniała mi się Twoja bezbarwna twarz.

– Tak, oglądałem wiadomości. To potworna tragedia.

Jego głos brzmiał czarująco, co było niestosowne, a ja pomyślałam, że czarować może też oznaczać „usidlić”.

– Przyszedłem po swoje rzeczy. Wiem, że to wygląda na skandaliczny pośpiech...

– Czy pan wie, kim jestem? – przerwałam mu.

– Domyślałam się, że przyjaciółką.

– Jej siostrą.

– Przepraszam za najście.

Nie był w stanie ukryć skoku adrenaliny w swoim głosie. Ruszył w kierunku drzwi, ale stanęłam mu na drodze.

– To pan ją zabił?

Wiem, to dość bezpośrednie, ale nie była to starannie wyreżyserowana chwila w duchu Agathy Christie.

– Jest pani bardzo zdenerwowana... – odparł, ale nie pozwoliłam mu skończyć.

– Próbował ją pan zmusić do aborcji. Ją też chciał pan usunąć?

Odłożył to, co miał w rękach. Zobaczyłam, że były to płótna.

– Nie myśli pani racjonalnie, co jest zrozumiałe, ale...

– Wynocha! Spieprzaj pan!

Wywrzeszczałam na niego swój wstrętny żal. Krzyczałam i krzyczałam, także wtedy, gdy wyszedł. Przez otwarte drzwi wbiegł do środka Amias, zapuchnięty od snu.

– Usłyszałem krzyki.

W ciszy spojrzał na moją twarz. Wiedział, choć nic nie powiedziałam. Skurczył się. Odwrócił się ode mnie, żebym nie patrzyła na jego smutek.

Zadzwoił telefon i pozwoliłam, by włączyła się automatyczna sekretarka.

– Cześć, mówi Tess.

Na moment złamałam reguły rzeczywistości – żyłaś. Sięgnęłam po słuchawkę.

– Kochanie, jesteś tam? – zapytał Todd.

To, co usłyszałam wcześniej, to było, rzecz jasna, Twoje nagranie na sekretarce.

– Beatrice? Podniosłaś słuchawkę?

– Znalaziono ją w publicznej toalecie. Leżała tam pięć dni. Sama. Nastąpiła cisza; ta informacja nie pasowała do jego scenariusza.

– Będę u ciebie jak najszybciej.

Todd był moją linią asekuracyjną. To dlatego go wybrałam. Cokolwiek się działo, mogłam się go uchwycić.

Spojrzałam na stos płócien, które Emilio zostawił. Były to przedstawiające Cię akty. Nigdy nie byłam tak zawstydzona z Twojego powodu. Najwyraźniej to on je namalował. Na każdym z tych obrazów odwracałaś twarz.



– Następnego ranka poszła pani do sierżanta Finborougha, by powiedzieć mu o swoich niepokojach? – pyta pan Wright.

– Tak. Oznajmił, że wtargnięcie Emilia po obrazy świadczyło o wielkiej niewrażliwości, ale niekoniecznie musiało oznaczać coś innego. Poinformował mnie, że koroner będzie prosił o sekcję i powinniśmy poczekać na wyniki, zanim wystąpimy z jakimikolwiek oskarżeniami lub wnioskami.

Jego słowa były takie wyważone, opanowane. Rozwścieczył mnie tym. Może zazdrościłam mu tej równowagi.

– Myślałam, że sierżant Finborough przynajmniej zapyta Emilia, co robił w dniu zabójstwa. Oświadczył, że do czasu otrzymania wyników sekcji nie będzie wiadomo, kiedy Tess zginęła.

Panna Zadurzona Sekretarka wchodzi z wodą mineralną i cieszę się z tej przerwy. Dziwnie odwodniona, pochłaniam zawartość kubka i zauważam najpierw różowoperłowy lakier na paznokciach, a potem obrączkę ślubną na palcu. Dlaczego przyjrzałam się wczoraj tylko dłoni pana Wrighta? Robi mi się żal Pani Zadurzonej Sekretarki, której nie grozi, co prawda, rychła zdrada fizyczna, ale która codziennie od 9.00 do 17.30 emocjonalnie przyprawia rogi mężowi. Pan Wright uśmiecha się do niej.

– Dzięki, Stephanie.

Uśmiech jest pozbawiony jakiegokolwiek podtekstu, ale jego szczerość jest kusząca i można go błędnie zinterpretować. Czekam, aż sekretarka wyjdzie.

– Poszłam spotkać się z Emiliem Codim osobiście.

Wracam do rozgrywającej się szybko przeszłości. Trzymam się teraźniejszości nieco mocniej z powodu lakieru do paznokci i obrączek.



Wyszłam z komisariatu. Złość wybijała się ponad wyczerpanie. Sierżant Finborough powiedział, że oni nie wiedzieli, kiedy umarłaś. Ja

wiedziałam. To było w czwartek. Tego dnia zostawiłaś Simona przy plaży Lido w Hyde Parku. Nigdy już z parku nie wyszłaś. Nic innego nie miało sensu.

Zadzwoiłam do Twojej Akademii i sekretarka z niemieckim akcentem poinformowała mnie cierpko, że Emilio pracuje w domu. Kiedy jej powiedziałam, że jestem Twoją siostrą, zrobiła się słodsza i dała mi jego adres.

Gdy tam jechałam, przypomniała mi się nasza rozmowa o miejscu zamieszkania Emilia.

– *Nie mam pojęcia, gdzie mieszka. Spotykamy się tylko w Akademii lub w moim mieszkaniu.*

– *Co on próbuje ukryć?*

– *Po prostu się nie składa, żebym go miała odwiedzić. To wszystko.*

– *Spodziewam się, że mieszka w miejscu takim, jak Hoxton. Jak modna klasa średnia z szykowną nutką w postaci biedaków wokół.*

– *Naprawdę go nie znosisz, prawda?*

– *Jest tam dość graffiti, żeby miejsce przypominało miejską dżunglę. Przypuszczam, że ludzie tacy jak on wychodzą w nocy z farbami w sprayu, żeby okolica miała modną etykietkę i nie zdegenerowała się do poziomu wszawej doliny średniej klasy o średnich dochodach.*

– *Co on zrobił, że na to zasłużył?*

– *Och, nie wiem. Może to, że uprawiał seks z moją siostrą, zapłodnił ją, po czym odmówił poniesienia odpowiedzialności.*

– *To brzmi tak, jakbym kompletnie nie panowała nad własnym życiem. Pozwoliłam, by Twoje słowa zawisły na drucie między naszymi telefonami. Słyszałam chichot w Twoim głosie.*

– *Przedstawiasz go jako mojego nauczyciela, który wykorzystał swoją pozycję i władzę.*

Nigdy nie potrafiłaś traktować poważnie mojej powagi.

Dowiedziałam się, gdzie mieszka i nie jest to ani Hoxton, ani Brixton, ani żadne inne miejsce, do którego napływa modna klasa średnia, gdy tylko powstanie tam kawiarnia serwująca odtłuszczoną latte. Mieszka w Richmond; pięknym, rozsądnym Richmond. Jego dom nie jest budynkiem w stylu Richarda Rogersa, lecz królowej Anny – sam ogród przed domem musi być wart tyle, ile jedna lub dwie ulice w Peckham. Przeszłam przez ten imponująco długi plac i zastukałam do drzwi oryginalną kołatką.

Nie jesteś w stanie uwierzyć, że to zrobiłam? Moje postępowanie wydaje się skrajne, ale surowy żal odziera człowieka z logiki i umiaru. Emilio otworzył drzwi, a ja pomyślałam, że można by go opisać przymiotnikami rodem z typowego romansu: piekielnie przystojny; roztacza zwierzęcy magentyzm – w tych wszystkich określeniach tkwi też zagrożenie.

– Zabił ją pan? – zapytałam. – Nie odpowiedział mi pan na to pytanie poprzednio.

Próbował zamknąć przede mną drzwi, ale przytrzymałam je. Nigdy wcześniej nie stosowałam siły fizycznej względem mężczyzny i byłam zaskoczona efektem. Wszystkie skrupulatnie odbywane zajęcia z osobistym trenerem jednak czemuś służyły.

– Powiedziała dozorczy, że odbierała przerażające, anonimowe telefony. Czy to pan dzwonił?

Wtedy usłyszałam kobiecy głos w holu za nim.

– Emilio?

Jego żona stanęła obok niego. Nadal mam naszą wymianę e-maili na jej temat.

Od: tesshemming@hotmail.co.uk

Do: i-phone: Beatrice Hemming

Cześć Bee. Pytałam go o nią, zanim to wszystko się zaczęło.

Powiedział, że pobrali się w pośpiechu, ale nie żałują. Lubią

swoje towarzystwo, niemniej kontakty fizyczne ustały między nimi wiele lat temu. Nie są zazdrośni o siebie nawzajem. Zadowolona?

T XXXX

Od: i-phone: Beatrice Hemming

Do: tesshemming@hotmail.co.uk

Najdroższa Tess,

jakie to dla niego wygodne. Domyślam się, że też ma czterdzieści parę lat, a natura jest dla kobiet znacznie okrutniejsza, więc jaki ona ma wybór? Niezadowolona.

lol

Bee

PS Dlaczego używasz czcionki Comic Sans w e-mailach. Nie jest czytelna.

Od: tesshemming@hotmail.co.uk

Do: i-phone: Beatrice Hemming

Kochana Bee, stąpasz po swojej prostej i cienkiej linii moralnej. Nawet się nie zachwiejesz, podczas gdy ja spadam z niej przy pierwszej utracie równowagi. Wierzę mu. Nie ma powodu, by ktokolwiek miał zostać skrzywdzony.

T XXXX

PS Myślałam, że to przyjazny krój czcionki.

PPS Czy wiesz, że lol znaczy: laughing out loud<sup>[6]</sup>?

Od: i-phone: Beatrice Hemming

Do: tesshemming@hotmail.co.uk

Droga Tess,

Chyba nie jesteś aż tak naiwna. Zmądrzej.

lol

Bee

(Ode mnie to znaczy: lots of love<sup>[7]</sup>)

Od: tesshemming@hotmail.co.uk

Do: i-phone: Beatrice Hemming

„Zmądrzej”? Za chwilę będziesz mi kazała to zakończyć. Musisz wyjechać ze Stanów i wrócić do domu. Miłego dnia, słonko, T. X

Wyobrażałam sobie czterdziestokilkuletnią kobietę, której uroda niesprawiedliwie przywiędła, w przeciwieństwie do urody jej męża. Wyobrażałam sobie, że w wieku dwudziestu pięciu lat pasowali do siebie, ale nie po dwudziestu latach małżeństwa. Kobieta stojąca w holu nie miała więcej niż trzydzieści lat. Miała irytująco błękitne oczy.

– Emilio, co się dzieje?

Jej głos brzmiał arystokratycznie; to musi być jej dom. Nie patrzyłam na nią i kierowałam pytanie do Emilia:

– Gdzie pan był w ubiegły czwartek, dwudziestego trzeciego stycznia, w dniu, w którym zamordowano moją siostrę?

Emilio odwrócił się w stronę żony.

– Chodzi o jedną z moich studentek, Tess Hemming. Mówiono o niej w lokalnych wiadomościach, pamiętasz?

Gdzie ja byłam, gdy w telewizji były wiadomości? Nadal w kostnicy z Tobą? Układałam mamę do snu? Jechałam do Londynu z otwartymi szybami i przekrzykiwałam ryk autostrady? Emilio objął żonę ramieniem; jego głos był wyważony.

– To jest starsza siostra Tess. Przechodzi potwornie traumatyczne chwile i... atakuje ludzi.

Uzasadniał moje zachowanie. Tłumaczył Twoją obecność w jego życiu.

– Na Boga, Tess była pańską kochanką! I zna mnie pan, bo ubiegłej nocy przeszkodziłam panu wynieść obrazy z jej mieszkania.

Żona wbiła w niego wzrok; jej twarz gwałtownie pobladła. Objął ją ciaśniej.

– Tess się we mnie kochała. To wszystko. To była tylko jej fantazja. Fantazja, która wymknęła się spod kontroli. Chciałem mieć pewność, że w jej domu nie było nic, co sfabrykowała przeciwko mnie.

Wiedziałam, co chciałabyś, żebym powiedziała.

– Dziecko też było fantazją?

Jego ramię nadal obejmowało żonę, która była spokojna i milcząca.

– Nie ma żadnego dziecka.

Przepraszam. I przepraszam za to, co nastąpiło potem.

– Mamusiu?

Po schodach szła na dół mała dziewczynka. Jego żona wzięła dziecko za rękę.

– Pora iść spać, kochanie.

Zapytałam Cię kiedyś, czy on ma dzieci. Byłaś zdumiona moim pytaniem.

– Oczywiście, że nie ma, Bee.

To miało znaczyć: „Oczywiście, że nie ma dzieci. Gdyby je miał, nie kochałabym się z nim. Za kogo ty mnie masz?”. Twoja lina moralna była znacznie grubsza od mojej, ale stanowiła dla Ciebie granicę, której byś nie przekroczyła. Nie po tym, co zrobił tata. Zatem to właśnie on próbował ukryć w domu.

Emilio zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Tym razem nie byłam dość silna. Usłyszałam, jak zakłada łańcuch.

– Proszę zostawić mnie i moją rodzinę w spokoju.

Zostałam na schodach i krzyczałam przez zamknięte drzwi. Jakimś cudem stałam się wariatką stojącą na progu, podczas gdy on był członkiem prześladowanej rodziny osaczonej w pięknym, zabytkowym domu. Wiem. W poprzednim dniu wykorzystałam teksty z serialu policyjnego, teraz zrobiłam się hollywoodzka. Jednak realne życie, przynajmniej to moje, nie dostarczyło mi żadnego modelu postępowania podczas takich wydarzeń.

Czekałam w ich ogrodzie. Zrobiło się ciemno i lodowato. Gdy

przebywałam w tym obcym, ośnieżonym ogrodzie, w którym nie było nic znajomego, w mojej głowie brzmiały cicho kolędy. Zawsze lubiłaś te wesole: *Mały dobosz, Trzej królowie ze Wschodu*. Śpiewa się je podczas spotkań, rozdając prezenty i dobrze się bawiąc. Ja zawsze wołałam te spokojniejsze, bardziej refleksyjne: *Cicha noc, Przybądźcie wszyscy wierni*. Tym razem słyszałam: „W środku mrocznej zimy jęczy mroźny wiatr. Ziemia twarda jak żelazo, woda niczym gład”<sup>[8]</sup>. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy z tego, że była to pieśń pogrążonych w smutku.

Żona Emilia wyszła z domu, przerywając moją bezgłosną solówkę. Zapaliło się światło, rozjaśniające jej drogę do mnie. Pomyślałam, że przyszła udobruchać wariatkę w ogrodzie, zanim zacznie świrować.

– Nie zostałyśmy sobie przedstawione. Jestem Cynthia.

Może zachowywanie zimnej krwi jest u arystokracji uwarunkowane genetycznie. Zareagowałam na tę dziwną, oficjalną uprzejmość i wyciągnęłam do kobiety rękę.

– Beatrice Hemming.

Uścisnęła moją dłoń raczej mocno. Jej uprzejmość była nieco serdeczniejsza.

– Przykro mi z powodu pani siostry. Też mam młodszą siostrę.

Jej współczucie wydawało się szczere.

– Wczoraj wieczorem, tuż po wiadomościach, powiedział, że zostawił laptopa w Akademii. Jest drogi, ważny dla jego pracy. To przekonujący kłamca. Widziałam jednak jego komputer w gabinecie przed kolacją. Pomyślałam, że jedzie się zabawić.

Mówiła szybko, jakby chciała to z siebie wyrzucić i mieć z głowy.

– Wiedziałam o tym, tylko nie rozmawiałam z nim. I myślałam, że to się skończyło wiele miesięcy temu. Zasłużyłam na to. Miałam tego świadomość. Zrobiłam to samo jego poprzedniej żonie. Nigdy wcześniej nie zdawałam sobie sprawy z tego, przez co musiała przechodzić.

Nie odpowiedziałam, ale w tej najbardziej nieprawdopodobnej sytuacji zaczęłam czuć do niej sympatię. Światło z czujką reagującą na ruch

zgasło i stałyśmy w niemal całkowitej ciemności. To budziło dziwną intymność.

– Co się stało z ich dzieckiem? – zapytała.

Nigdy nie myślałam o Twoim synu inaczej, niż o Twoim dziecku.

– Umarło.

W tym mroku miałam wrażenie, że jej oczy wypełniły się łzami. Ciekawe, czy z powodu Twojego dziecka, czy też jej nieudanego małżeństwa.

– W jakim wieku?

– W czasie porodu, więc chyba nie można mówić o wieku.

To jeszcze nasila dramatyzm wyrażenia: „urodzić się martwym”. Dostrzegłam, że kobieta nieświadomie położyła dłoń na brzuchu. Wcześniej nie zauważyłam, że był nieco wzdęty – może to piąty miesiąc? Szorstko otarła łzy.

– Pewnie nie jest to coś, co chciałaby pani usłyszeć, ale Emilio pracował w ubiegły czwartek w domu. Zazwyczaj tak jest w czwartki. Byłam z nim przez cały dzień, a potem poszliśmy na przyjęcie. Mąż jest słaby, nie można mówić w jego przypadku o moralności, ale nikogo by nie skrzywdził. W każdym razie fizycznie.

Odwróciła się, żeby odejść. Zanim jej na to pozwoliłam, musiałam rzucić na nią bombę.

– Dziecko Tess miało mukowiscydozę. To znaczy, że Emilio jest nosicielem genu.

Równie dobrze mogłam ją uderzyć.

– Ale naszej córeczce nic nie jest.

Od dziecka znałyśmy się na genetyce tak, jak inne dzieci dorastają ze znajomością drużyn piłkarskich ich ojców. To nie była najlepsza chwila na urządzenie komuś jazdy próbnej, ale spróbowałam.

– Gen odpowiadający za mukowiscydozę jest genem recesywnym. To znaczy, że nawet jeśli Emilio i pani jesteście nosicielami, macie też zdrowe geny. Tak więc dziecko jest zagrożone w pięćdziesięciu



procentach.

– A jeśli ja nie jestem nosicielką genu?

– Wówczas dziecko nie może być chore. Oboje rodzice muszą być nosicielami genu.

Skinęła głową, nadal chwiejąc się po ciosie.

– Lepiej będzie to sprawdzić.

– Tak.

Chciałam uspokoić jej roztrzęsiony głos.

– Nawet w przypadku najgorszego scenariusza, proszę pamiętać, że jest teraz nowa terapia.

Czułam jej ciepło w tym ośnieżonym ogrodzie.

– Jest pani bardzo wspaniałomyślna, przejmując się tym.

Emilio wyszedł na zewnątrz i zawołał ją. Nie poruszyła się ani nie dała znać inaczej, że tu jest. Patrzyła na mnie uważnie.

– Mam nadzieję, że znajdą człowieka, który zabił pani siostrę.

Odwróciła się i odeszła powoli w kierunku domu. Zapaliło się światło. Zobaczyłam, jak Emilio obejmuje ją ramieniem, ale odtrąciła je i skrzyżowała ręce na piersiach. Dostrzegł mnie, jak ich obserwuję, po czym też się odwrócił.

Zaczekałam w zimowym mroku, aż światła w ich domu zgasły.

---

[6] Laughing out loud (ang.) – śmiać się głośno.

[7] Lots of love (ang.) – bardzo cię kocham.

[8] Kolęda *In the deep midwinter*, do której tekst napisała Christina Rossetti; jedna z popularniejszych kolęd w Anglii.

## ROZDZIAŁ 6

Gdy jechałam do domu po niebezpiecznie oblodzonych drogach, zadzwonił do mnie Todd, żeby mi powiedzieć, że wsiada do samolotu, i na Heathrow wyląduje rano. Myśl o nim sprawiła, że poczułam się bezpieczniej na drodze.

Następnego ranka, gdy stałam przy barierce w hali przylotów, nie rozpoznałam go. Moje oczy cały czas wypatrywały kogoś innego – wyidealizowanego Todda? Ciebie? Kiedy go ujrzałam, miałam wrażenie, że jest nieco drobniejszy, niż go zapamiętałam, trochę mniejszy. Zaczęłam od pytania, czy przyszedł list od Ciebie. Nic nie przyszło.

Przywiózł walizkę moich rzeczy – było w niej wszystko, co według niego mogło mi się przydać, także stosowny strój na Twój pogrzeb i recepta na tabletki nasenne od mojego amerykańskiego lekarza. Tego pierwszego ranka zaczął dbać o to, żebym się prawidłowo odżywiała. Wiem, że ten opis jego, nas, pokazuje, iż dzielił nas pewien dystans, ale tak się właśnie czułam.

Był moją liną asekuracyjną. Ale nie zapobiegł – jeszcze nie – mojemu upadkowi.



Pominięłam przyjazd Todda, ale opowiedziałam panu Wrightowi o scenie pod drzwiami domu Emilia oraz o rozmowie z jego żoną w ogrodzie.

– Wiedziałam, że Emilio miał motyw, by zabić Tess. Mógł stracić

pracę, a może też żonę. Wiedziałam, że potrafił żyć w kłamstwie. Jak również dopasowywać prawdę do swoich potrzeb. Nawet w moim towarzystwie, jej siostry, twierdził, że Xavier był tylko fantazją mającej obsesję studentki.

– Uwierzyła pani w alibi podane przez panią Codi?

– Wtedy tak. Polubiłam ją.

Później jednak pomyślałam, że mogła kłamać dla niego, aby chronić swoją małą dziewczynkę i nienarodzone dziecko. Myślałam, że jej dzieci były dla niej najważniejsze i że z ich powodu nie chciałyby, żeby trafił do więzienia. Uznałam, że to one mogły być powodem, dla którego nie odeszła od Emilia, gdy odkryła jego niewierność.

Pan Wright patrzy na leżące przed nim akta.

– Nie powiedziała pani policji o tym spotkaniu?

Widocznie to jest zapis moich rozmów z policją.

– Nie. Dwa dni później sierżant Finborough powiedział mi, że Emilio Codi złożył na mnie formalną skargę do jego szefa, inspektora Hainesa.

– Co, według pani, mogło być powodem? – pyta pan Wright.

– Nie byłam pewna i nie zastanawiałam się wtedy nad tym, ponieważ podczas tej samej rozmowy sierżant Finborough poinformował mnie, że są już wyniki sekcji. Byłam zdumiona, że zrobili to tak szybko. Powiedział, że zawsze starają się działać szybko, żeby rodzina mogła zorganizować pogrzeb.

Przykro mi, że Twoje ciało ponownie zostało rozkrojone. Zażądał tego koroner i nie miałyśmy nic do powiedzenia. Jednak wydaje mi się, że nie masz nic przeciwko temu. Zawsze miałaś pragmatyczny stosunek do śmierci. Nie darzyłaś sentymentem pozostających na ziemi ciał. Kiedy Leo umarł, mama i ja tuliłyśmy do siebie jego ciało; oszukiwałyśmy się, że nadal tulimy jego. A Ty, mając zaledwie sześć lat, odeszłaś. Współczułam Ci Twojej odwagi.

Ja natomiast zawsze darzyłam ciało nabożną czią. Gdy znalazłyśmy martwą Thumbelinę w jej klatce, Ty, chociaż płakałaś, dotykałaś ją

szczupłymi paluszkami pięciolatki, by zobaczyć, jaka śmierć jest w dotyku, natomiast ja owinęłam ją jedwabnym szalem, wierząc z powagą dziesięciolatki, że to martwe ciało jest cenne. Już słyszę, jak się śmiejesz z tego, że mówię o króliku. Chodzi jednak o to, że zawsze uważałam, iż ciało to coś więcej, niż tylko naczynie dla duszy.

Tego wieczoru, gdy Cię znaleziono, miałam przemożne wrażenie, że opuściłaś swoje ciało i wyciągnęłaś z niego niczym wir wszystko, co było Tobą. Zabierałaś z niego swoją chwałę. Może to wyobrażenie podsunęła mi reprodukcja obrazu Chagalla, wisząca w kuchni – przedstawiał eteryczne postaci unoszące się ku niebu – niemniej wiedziałam, że w Twoim ciele nie ma już ani cząstki Ciebie.

Pan Wright patrzy na mnie. Zastanawiam się, jak długo milczałam.

– Jak pani zareagowała na sekcję? – pyta.

– Dziwnie. Nie przejmowałam się tym, co stało się z jej ciałem.

Postanawiam zostawić dla siebie to wysysanie Twojej chwały, ale trochę mu się pozwierzam.

– Ciało dziecka jest tak bardzo częścią nas; może dlatego, że możemy wziąć drobne ciało na ręce. Możemy utulić je całe. Kiedy jednak robimy się zbyt duzi, by ktoś mógł nas wziąć na ręce, nasze ciało już nas nie definiuje.

– Gdy zapytałem panią o reakcję na sekcję, chodziło mi o to, czy uwierzyła pani w jej wyniki.

Czuję się zażenowana, ale cieszę się, że przynajmniej Chagalla zostawiłam dla siebie. Twarz pana Wrighta łagodnieje.

– Cieszę się, że wyraziłem się niejasno.

Nadal mam wrażenie, że się ośmieszyłam, ale odwzajemniam uśmiech; to jest nieśmiały pierwszy krok ku roześmianiu się. Wydaje mi się, że chciał, abym omówiła wyniki. Podobnie jak postanowiłam zapytać sierżanta Finborougha, dlaczego sekcję wykonano tak szybko, tak też i w obecności pana Wrighta odpychałam od siebie kwestię wniosków. Muszę się tym zająć.

– W dalszej części tego dnia sierżant Finborough przyszedł do mnie do mieszkania z raportem, żeby przekazać mi rezultaty.

Powiedział, że wolałby zrobić to osobiście i uznałam, że to z jego strony uprzejme.



Obserwowałam przez okno Twojego dużego pokoju, jak sierżant Finborough schodzi po schodach i zastanawiałam się, czy idzie powoli, bo są śliskie, czy też ociąga się przed tym spotkaniem. Za nim szła funkcjonariuszka Vernon. Solidne buty zapewniały jej dobrą przyczepność. Dłonią w rękawiczce trzymała się na wszelki wypadek poręczy – rozsądna kobieta, na którą w domu czekały dzieci, opiekowała się nimi popołudniami.

Sierżant Finborough wszedł do dużego pokoju, ale nie usiadł ani nie zdjął płaszcza. Próbowałam odpowiedzieć grzejniki, lecz w mieszkaniu nadal było nieprzyjemnie zimno.

– Na pewno poczuje pani ulgę, że na ciele Tess nie ma śladów napastowania seksualnego.

Nie wyraziłam obawy, że Cię zgwałcono, choć podgryzała ona moją wyobraźnię. Odczułam wręcz fizyczną ulgę. Sierżant Finborough kontynuował z miłym wyrazem twarzy:

– Wiemy już z całą pewnością, że zmarła w czwartek, dwudziestego trzeciego stycznia.

To potwierdzało, co już wiedziałam, mianowicie, że nie opuściłaś parku po spotkaniu z Simonem.

– Sekcja wykazała, że Tess zmarła wskutek wykrwawienia się z powodu nacięć na rękach – ciągnął sierżant. – Nie było żadnych oznak walki. Nie ma powodu, by sądzić, że w sprawę był zaangażowany ktoś inny.

Potrzebałam chwili, by jego słowa do mnie dotarły, jakbym tłumaczyła z obcego języka.

– Koroner orzekł samobójstwo – oznajmił.

– Nie. Tess by się nie zabiła.

Sierżant Finborough był uprzejmy.

– W normalnych okolicznościach zapewne miałyby pani rację, lecz to nie były normalne okoliczności, prawda? Tess odczuwała nie tylko żal, ale też była w depresji...

Przerwałam mu, zła, że miał czelność mówić o Tobie, skoro Cię nie znał.

– Czy widział pan kiedyś, jak umiera człowiek chory na mukowiscydozę? – zapytałam.

Zaprzeczył ruchem głowy i już miał coś powiedzieć, ale ubiegłam go.

– Patrzyliśmy, jak nasz brat próbuje oddychać i nie mogłyśmy mu pomóc. Tak bardzo starał się żyć, ale utonął we własnych płynach. Nie można było nic zrobić. Gdy widzi się, że ktoś, kogo się kocha, walczy o życie tak bardzo, ceni się je zbyt wysoko, by z niego zrezygnować.

– Jak już powiedziałem, w normalnych okolicznościach na pewno...

– W każdych okolicznościach.

Mój emocjonalny atak nie osłabił jego pewności. Musiałam przekonać go na poziomie logicznym, użyć twardego, męskiego argumentu.

– Niewątpliwie musi to mieć jakiś związek z anonimowymi telefonami, które odbierała – powiedziała.

– Psychiatra uważa, że najprawdopodobniej była to jej wyobraźnia.

Oślupiałam.

– Słucham?

– Powiedział, że miała psychozę poporodową.

– Te telefony były wymyślone, a moja siostra była wariatką? Czy tak?

– Beatrice...

– Powiedział pan wcześniej, że miała depresję poporodową. Dlaczego nagle przekształciła się w psychozę?

Ja znowu byłam napastliwa, a jego ton wyważony.

– To się wydaje najbardziej prawdopodobne na podstawie dowodów.

– Amias powiedział przecież, że te telefony były prawdziwe, gdy zgłosił jej zaginięcie.

– Nigdy go przy niej nie było, gdy telefon dzwonił.

Myślałam, czy mu powiedzieć, że Twój telefon miał wtyczkę wyciągniętą z gniazdka, gdy przyjechałam. Ale to niczego nie dowodziło. Telefony wciąż mogły być dziełem wyobraźni.

– Psychiatra Tess powiedział nam, że objawy psychozy poporodowej obejmują halucynacje i paranoję – dodał sierżant Finborough. – Niestety, wiele cierpiących na nią kobiet myśli też o zrobieniu sobie krzywdy, z czego część realizuje ten zamiar.

– Ale nie Tess.

– Obok jej ciała znaleziono nóż, Beatrice.

– Myśli pan, że chodziła z nożem?

– To był nóż kuchenny. Były na nim odciski jej palców.

– Jaki to był nóż?

Nie wiem, dlaczego o to zapytałam. Może mgliście przypomniało mi się seminarium na temat nadużywania autorytetu. Sierżant zawahał się przez moment, zanim odpowiedział.

– Trzynastocentymetrowy nóż do filetowania mięsa firmy Sabatier.

Usłyszałam tylko słowo „Sabatier”, może dlatego, że odciągnęło moją uwagę od ohydnej brutalności reszty opisu. A może to słowo mnie uderzyło, bo myśl, że mogłabyś posiadać ten nóż, była absurdalna.

– Tess raczej nie było stać na nóż firmy Sabatier.

Czy ta rozmowa nabierała charakteru farsy? Przeskok od spraw wzniosłych do przyziemnych?

– Może dostała od przyjaciółki? – zasugerował sierżant Finborough. – Albo od kogoś innego?

– Powiedziałyby mi.

Współczucie przysłoniło nieco wyraz niedowierzania na jego twarzy. Chciałam, żeby zrozumiał, że dzieliłyśmy się szczegółami z naszego życia, bo były niemi, które wiązały nas tak blisko. Na pewno byś mi

powiedziała o nożu Sabatier, bo byłby to rzadki szczegół tak bezpośrednio łączący Twoje życie z moim – dzieliłyśmy zamiłowanie do ekskluzywnego wyposażenia kuchni.

– Mówiliśmy sobie o drobiazgach. To dzięki temu byliśmy sobie tak bliskie, dzięki tym małym rzeczom. Tess by wiedziała, że chciałabym usłyszeć o nożu Sabatier.

Wiem, że to nie brzmiało przekonująco.

Głos sierżanta Finborough był pełen współczucia, ale stanowczy. Przez krótką chwilę zastanawiałam się, czy policjanci, podobnie jak rodzice, wierzą w zasadę ustanawiania granic.

– Rozumiem, jak trudno musi być pani to zaakceptować. Rozumiem też, dlaczego musi pani winić kogoś za jej śmierć. Jednak...

Przerwałam mu. Byłam Ciebie pewna.

– Znałam ją od urodzenia. Znam ją lepiej, niż ktokolwiek inny. Nigdy, przenigdy by się nie zabiła.

Spojrzał na mnie niemal z litością. Nie podobało mu się to, co musiał zrobić:

– Nie wiedziała pani o śmierci dziecka, prawda?

Nie mogłam mu odpowiedzieć. Jego cios powalił jakąś część mnie, która była posiniaczona i słaba. Już wcześniej zasugerował, nie wprost, że nie byliśmy żyte, ale wtedy dotyczyło to tego, że uciekłaś z kimś, nie mówiąc mi o tym. Ten brak bliskości znaczył, że żyjesz. Tym razem jednak nagroda nie była tak wielka.

– Tuż przed śmiercią kupiła znaczki pocztowe, prawda? Na poczcie przy Exhibition Road. Musiała do mnie napisać.

– Dostała pani list?

Poprosiłam sąsiada, żeby codziennie zaglądał do mieszkania. Zadzwoiłam na naszą pocztę w Nowym Jorku i zażądałam, by poszukali listu. Nic nie znaleziono, a przecież z pewnością dotarłby już do tego czasu.

– Może zamierzała do mnie napisać, ale jej przeszkodzono.



Słyszałam, jak marnie to brzmiało. Sierżant Finborough patrzył na mnie z empatią.

– Według mnie, Tess po śmierci dziecka przeżywała piekło – oznajmił.  
– A w tym miejscu nikt nie mógł do niej dołączyć. Nawet pani.

Poszłam do kuchni, żeby „spuścić parę”, jak mawiała mama, tyle że to nie było „spuszczenie pary”, ale raczej zaprzeczenie temu, co on mówił. Kilka minut później usłyszałam, że drzwi wejściowe się zamknęły. Nie wiedzieli, że ich słowa przesączają się przez kiepsko oprawione okna. Funkcjonariuszka Vernon mówiła cicho:

– Czy to nie było nieco za...? – Zawiesiła głos, a może po prostu nie usłyszałam.

Głos sierżanta Finborough brzmiał smutno.

– Im szybciej zaakceptuje prawdę, tym pręcej pojmie, że nie może się winić.

Ale ja znałam prawdę, tak jak znam ją teraz. Kochamy się; jesteśmy żyte; nigdy byś nie odebrała sobie życia.

Chwilę później funkcjonariuszka Vernon zeszła po schodach, niosąc Twój plecak.

– Przepraszam, Beatrice. Miałam to pani dać.

Otworzyłam plecak. Wewnątrz był Twój portfel z kartą biblioteczną, biletym okresowym i legitymacją studencką – dowody przynależności do społeczeństwa, w którym istnieją biblioteki, transport publiczny i akademie sztuki, a nie takiego, w którym dwudziestojednolatka może zostać zamordowana w opuszczonej toalecie publicznej, gdzie leży pięć dni, po czym uznaje się ją za samobójczynię...

Rozerwałam podszewkę, ale w środku nie było schowanego listu do mnie. Funkcjonariuszka Vernon siedziała na kanapie obok mnie.

– Jest też i to.

Wyciągnęła z usztywnionej koperty fotografię, wsuniętą między dwa kawałki kartonu. Jej troska wzruszyła mnie, podobnie jak wtedy, gdy spakowała Twoje ubrania na potrzeby rekonstrukcji.

– To zdjęcie jej dziecka. Znaleźliśmy je w kieszeni płaszcza.

Wzięłam od niej zdjęcie z polaroidu. Nie rozumiałam tego.

– Ale jej dziecko umarło.

Funkcjonariuszka Vernon potaknęła. Jako matka miała więcej zrozumienia.

– Może to zdjęcie miało dla niej tym większe znaczenie.

W pierwszej chwili ujrzałam Twoje ręce trzymające dziecko – miałaś nietknięte nadgarstki. Nie było widać Twojej twarzy i nie śmiałam wyobrażać jej sobie. Nadal nie mam śmiałości.

Spojrzałam na niego. Miał zamknięte oczy, jakby spał. Jego brwi tworzyła cieniutka linia puszkę, były ledwie ukształtowane i niemożliwie doskonałe; ta twarz nie ujrzy nigdy nic ordynarnego, okrutnego lub ohydneho. Był piękny, Tess. Bez skazy.

Mam to zdjęcie przy sobie. Noszę je cały czas.

Funkcjonariuszka Vernon otarła łzy, żeby nie upadły na fotografię. Jej współczucie nie miało granic. Zastanawiałam się, czy ktoś tak otwarty może pozostać w policji. Próbowałam myśleć o czymś innym, niż o Twoim synu; niż o Tobie trzymającej go w objęciach.



Powiedziawszy panu Wrightowi o zdjęciu, wstaję i mówię, że muszę na chwilę wyjść. Wchodzę do damskiej toalety i łzy ściekają mi po policzkach, gdy tylko zamykam za sobą drzwi. Przy umywalkach stoi kobieta – może sekretarka albo prawniczka. Kimkolwiek jest, zachowuje dyskrecję i nie komentuje moich łez. Wychodząc, uśmiecha się do mnie lekko – gest solidarności. Mam więcej do powiedzenia Tobie, ale nie panu Wrightowi, tak więc siedząc tutaj i łkając nad Xavierem, opowiem Ci ciąg dalszy.



Mniej więcej godzinę po wyjściu funkcjonariuszki Vernon przyjechali mama i Todd. Todd pojechał po nią do Little Hadston moim wynajętym samochodem, prezentując się jako rycerski zięć, którym, nie miałam wątpliwości, będzie. Przekazałam im, co powiedział sierżant Finborough. Na twarzy mamy pojawiła się ulga.

– Uważam, że się mylą, mamó – oznajmiłam.

Wzdrygnęła się. Widziałam, że nie chce, żebym mówiła dalej.

– Według mnie nie popełniła samobójstwa.

Mama owinęła się szczelniej płaszczem.

– Wolałabyś, żeby ją zamordowano?

– Muszę się dowiedzieć, co stało się naprawdę. Ty nie...

Przerwała mi.

– Wszyscy wiemy, co się stało. Nie panowała nad sobą. Inspektor powiedział nam o tym.

Awansowała sierżanta na inspektora, podnosząc tym samym rangę swojego argumentu. Dostrzegłam w jej głosie nutę desperacji.

– Prawdopodobnie nawet nie wiedziała, co robi.

– Twoja mama ma rację, kochanie – wtrącił Todd. – Policja wie, o czym mówi.

Usiadł obok niej i jak przystało na mężczyznę, rozparł się i rozłożył nogi, zajmując dwukrotnie więcej miejsca, niż powinien; był męski i duży. Jego uśmiech ześliznął się z mojej zamkniętej twarzy na otwartą twarz mamy, a głos brzmiał niemal szczerze.

– Dobrze, że przeprowadzono już sekcję i możemy zorganizować pogrzeb.

Mama potaknęła i spojrzała na niego z wdzięcznością, jak mała dziewczynka. Kupiła tę aurę wielkiego faceta.

– Gdzie chcecie, żeby spoczęła? – zapytał.

„Spoczęła” – jakbyś miała iść do łóżka, a rano wszystko będzie lepiej. Biedny Todd, to nie jego wina, że ten eufemizm mnie rozwścieczył. Mamie to nie przeszkadzało.

– Chciałabym ją pochować przy kościele w wiosce. Obok Leo.

Jeśli jeszcze tego nie wiesz, to tam właśnie znajduje się Twoje ciało. W trudniejszych chwilach wyobrażam sobie, że Ty i Leo jesteście gdzieś razem, gdziekolwiek to jest. Myśl, że macie siebie nawzajem, zmniejsza nieco moją rozpacz. A jeśli to „gdzieś” istnieje, to jest z wami też trzecia osoba.

Chcę Cię ostrzec, że to, co nastąpi, będzie bolesne. Wyjęłam fotografię z kartonowych okładek.

– To jest zdjęcie dziecka Tess.

Mama nie wzięła zdjęcia ode mnie; nawet na nie nie spojrzała.

– Ono nie żyło – stwierdziła.

Przykro mi.

– To był chłopiec.

– Po co robić zdjęcie? To makabryczne.

Todd próbował ratować sytuację.

– Chyba pozwalają ludziom fotografować martwe dzieci w ramach procesu osuwania żałoby.

Mama obrzuciła Todda spojrzeniem zarezerwowanym tylko dla rodziny. Wzruszył ramionami, jakby dystansując się od tak dziwacznego i niesmacznego pomysłu. Nie ustępowałam.

– Tess chciałaby, żeby jej dziecko było pochowane z nią.

Głos mamy nagle zabrzmiał donośnie.

– Nie. Nie zgadzam się.

– Ona by tego chciała.

– Chciałaby, żeby wszyscy wiedzieli o jej nieślubnym dziecku? Tego by chciała? Upublicznić swój wstyd?

– Nigdy by się go nie wstydziła.

– A powinna.

To była mama działająca automatycznie; od czterdziestu lat chorowała na uprzedzenia angielskiej klasy średniej.

– Chcesz wyryć na jej grobie szkarłatną literę? – zapytałam.

Todd ukrócił to.

– Kochanie, to nie na miejscu.

Wstałam.

– Idę na spacer.

– W śniegu?

W tych słowach było więcej krytyki, niż troski. Wypowiedział je Todd, ale równie dobrze mogłaby je wygłosić mama. Nigdy wcześniej nie przebywałam z nimi dwojgiem na raz i dopiero zaczęłam dostrzegać ich podobieństwa. Zastanawiałam się, czy to był prawdziwy powód, dla którego zamierzałam za niego wyjść. Może podobieństwo, nawet w kwestiach negatywnych, budzi raczej poczucie bezpieczeństwa, a nie potępienia? Spojrzałam na Todda, czy pójdzie ze mną.

– Zostanę z twoją mamą.

Myślałam, że nawet jeśli wydarzy się najgorsze, zawsze będę mogła przywrzeć do Todda. W owej chwili zrozumiałam, dlaczego nikt nie może być moją liną asekuracyjną. Od chwili, w której Cię znaleziono, spadałam zbyt szybko i zbyt daleko, żeby ktokolwiek potrafił mi w tym przeszkodzić. Potrzebowałam kogoś, kto zaryzykowałby dołączenie do mnie na mrocznej głębokości jedenastu kilometrów.



Pan Wright musi widzieć moją opuchniętą twarz, gdy wchodzę.

– Możemy kontynuować?

– Oczywiście.

Mój głos brzmi energicznie. Wright wyczuwa, że to jest styl, jakiego chcę, więc zaczyna mówić.

– Poprosiła pani sierżanta Finborougha o kopię raportu z sekcji?

– Wtedy nie. Przyjęłam jego zapewnienie, że nie znaleziono nic więcej, oprócz nacięć na rękach.

– I poszła pani do parku?

– Tak. Sama.

Nie jestem pewna, dlaczego to dodałam. Moje poczucie, że Todd mnie zawiódł, musiało tkwić we mnie nawet teraz, choć nie miało z niczym związku.

Zerkam na zegar. Zbliżyła się trzynasta.

– Czy możemy sobie zrobić przerwę na lunch? – pytam.

O trzynastej dziesiątą mam się spotkać z mamą w restauracji za rogiem.

– Naturalnie.

Powiedziałam, że opowiem Ci tę historię, jakbym sama ją rozgryzła – nie wyprzedzając faktów – ale pomijanie uczuć mamy nie jest w porządku ani wobec niej, ani Ciebie. To ja ustanawiam zasady, tak więc mam prawo sporadycznie je naginać.

Przychodzę do restauracji kilka minut przed czasem. Widzę przez okno, że mama siedzi już przy stoliku. Nie „robi” już sobie włosów i bez rusztowania z trwałej ondulacji opadają, proste i wiotkie, wokół jej twarzy.

Gdy mnie dostrzega, jej napięta twarz się rozluźnia. Obejmuje mnie na środku restauracji, tylko lekko przejęta tym, że zatrzymuje kelnera idącego do kuchni. Odgarnia moje (teraz dłuższe) włosy z twarzy. Wiem, zupełnie nie jak mama. Smutek jednak wycisnął z niej wszystko, co uznawałyśmy za mamine i odsłonił kogoś, kto wydawał się głęboko znajomy, kto miał związek ze szmerem szlafroka w ciemności i ciepłym objęciem, które istniały, zanim nauczyłam się mówić.

Zamawiam pół butelki Riocca. Mama patrzy na mnie zatroskana.

– Jesteś pewna, że powinnaś pić?

– To tylko pół butelki. Na nas dwie.

– Nawet odrobina alkoholu może działać przygnębiająco. Czytałam gdzieś o tym.

Zapada chwila ciszy, po czym obydwie śmiejemy się, niemal szczerze, ponieważ przygnębianie byłoby tak miłą odmianą w porównaniu z bólem

żałoby po bliskiej osobie.

– Musi ci być ciężko przechodzić przez to wszystko, przypominać to sobie – mówi.

– Nie jest tak źle. Prokurator Wright jest bardzo miły.

– Dokąd dotarliście?

– Do parku. Tuż po wynikach sekcji.

Kładzie swoją dłoń na mojej. Trzymamy się za ręce, niczym kochankowie, otwarcie, na stole.

– Powinam była cię powstrzymać. Było tak lodowato.

Dotyk jej cieplej dłoni sprawia, że do oczu napływają mi łzy. Na szczęście obie z mamą zawsze nosimy po dwie paczki chusteczek higienicznych w kieszeniach i torebkach, jak też małe, plastikowe woreczki na te zużyte. Noszę też wazelinę i balsam do ust oraz preparat Rescue Remedy, w daremnej nadziei, że pomoże, gdy łzy dopadną mnie w niestosownym miejscu, jak na przykład na autostradzie lub w supermarkecie. Do torebki trafia tak wiele rzeczy związanych z żałobą.

– Powinien pójść z tobą Todd – dorzuca mama i jej krytyka Todda jest w jakiś sposób pochwałą mnie.

Wycieram nos chusteczką, którą dała mi w ubiegłym tygodniu – to taka dziewczęca, bawełniana chusteczka z wyhaftowanymi kwiatkami. Mama twierdzi, że bawełna mniej ociera nos niż bibuła; poza tym, to bardziej ekologiczne rozwiązanie i wiem, że ty byś to doceniła. Mama ściska mnie za rękę.

– Zasługujesz na miłość. Taką właściwą.

W ustach kogoś innego brzmiałoby to jak banał. Mama jednak nigdy nie mówiła takich rzeczy, przez co wydają się nowe.

– Ty również – odpowiadam.

– Nie jestem pewna, czy jestem jej warta.

Bezpośredniość tej rozmowy musi wydawać Ci się dziwna. Przywykłam do tego, ale Ty jeszcze nie. Na rodzinnych spotkaniach

zawsze pojawiały się jakieś widma – tematy tabu, których nikt nie śmiał poruszyć, które obchodziliśmy w naszych rozmowach na paluszkach, trafiając w ślepe zaułki braku jakichkolwiek rozmów. Teraz rozbieramy z mamą tych niechcianych gości do naga: Zdradę, Samotność, Stratę, Wściekłość. Mówimy o nich tak długo, aż znikną i nie tkwią już między nami.

Jest takie pytanie, którego nigdy nie zadałam, po części dlatego, że jestem raczej pewna, iż znam na nie odpowiedź, po części dlatego, że – jak sądzę, celowo – nigdy nie stworzyłyśmy sprzyjającej okazji, by je zdać.

– Dlaczego zwracałaś się do mnie moim drugim imieniem? – pytam.

Przypuszczam, że mama i tata, zwłaszcza tata, uważali, iż Arabella to piękne, romantyczne imię, nie pasujące do mnie od samego początku. Wybrali więc sztywną Beatrice. Chciałabym poznać szczegóły.

– Kilka tygodni przed twoim przyjściem na świat byliśmy w Teatrze Narodowym na *Wiele hałasu o nic* – odpowiada mama; musi widzieć moje zaskoczenie, bo dodaje: – Robiliśmy z twoim ojcem takie rzeczy, zanim pojawiły się dzieci. Jeździliśmy wieczorami do Londynu i wracaliśmy do domu ostatnim pociągiem. Beatrice to bohaterka tej komedii. Też jest dzielna. I szczerza do bólu. Niezależna. Pasowało to do ciebie nawet wtedy, gdy byłaś dzieckiem. Ojciec uznał, że Arabella brzmi nijak.

Odpowiedź mamy jest absolutnie nieoczekiwana. Jestem nią poruszona. Ciekawe, czy gdybym znała historię swojego imienia jako dziecko, próbowałabym żyć stosownie do niej; zamiast być nieudaną Arabellą mogłam być dzielną Beatrice. Ale nie chcę się nad tym rozwodzić. Zadałam to pytanie tylko po to, by przejść do następnego.

Jesteś zdenerwowana tym, że mama mogła uwierzyć, iż popełniłaś samobójstwo – po śmierci Leo, wiedząc, jakie to spowoduje cierpienie. Próbowałam Ci powiedzieć, że chwyciła się liny asekuracyjnej; to było działanie w samoobronie. Powinnaś usłyszeć to od niej.



– Dlaczego myślałaś, że Tess popełniła samobójstwo? – pytam.

Jeśli to pytanie ją zaskoczyło, nie okazuje tego. Ani przez moment nie waha się z udzieleniem odpowiedzi.

– Wolałabym czuć się winna do końca życia, niż żeby ona bała się chociaż przez sekundę.

Jej łzy spadają na biały obrus, ale nie przejmuję się tym, że przygląda się jej kelner. Nie zwraca już uwagi na „formę” i społeczną poprawność zachowania. Jest mamą w szeleszczącym szlafroku, siedzącą przy naszych łóżkach i pachnącą w mroku kremem do twarzy. Dawna mama, którą jakiś czas temu na chwilę odsłoniła, jest w tej chwili w pełni widoczna.

Do czasu, gdy zaczęła opłakiwać Ciebie, nie wiedziałam, że można kogoś kochać tak bardzo. Kiedy zmarł Leo, byłam w szkole z internatem i nie widziałam tego. Jej smutek jest dla mnie zarówno szokujący, jak i piękny. Sprawia też, że boję się być matką – nie chcę podejmować ryzyka i czuć tego, co ona czuje teraz, co Ty musiałaś czuć w przypadku Xaviera.

Zapada krótka chwila ciszy, kac związany z tyloma latami milczenia. Wreszcie mama się odzywa:

– Wiesz, nie przejmuję się tak bardzo procesem. Ani trochę, jeśli mam być zupełnie szczerą.

Spogląda na mnie, sprawdzając moją reakcję. Nic nie mówię. Słyszałam już wcześniej, jak to wypowiedziała na wiele sposobów. Nie dba o sprawiedliwość czy rewanż; liczysz się tylko Ty.

– Przez wiele dni była na pierwszych stronach – oznajmia mama z dumą.

Chyba Ci już mówiłam, że jest dumna z tej wrzawy w mediach? Według niej zasługujesz na to, by być na wszystkich pierwszych stronach i w najważniejszych serwisach informacyjnych, nie ze względu na Twoją historię, ale dlatego, że wszyscy powinni się o Tobie dowiedzieć. Powinni usłyszeć o Twojej dobroci, ciepłe, talencie, urodzie.

Mama nie chce „zatrzymać zegarów”, ale „czytać gazety!”, „oglądać telewizję!”, „patrzeć na moją cudowną córkę!”.

– Beatrice?

Obraz rozmazuje mi się przed oczami. Słyszę tylko głos mamy:

– Nic ci nie jest? Skarbie?

Lęk w jej głosie przywraca mi pełną świadomość. Widzę w jej twarzy zmartwienie i jest mi źle, że to ja je wywołałam, ale kelner nadal sprząta sąsiedni stolik, czyli nie mogłam być nieobecna przez długą chwilę.

– W porządku. Nie powinnam pić tego wina. Upaja mnie w porze lunchu.

Przed restauracją obiecuję, że przyjadę do niej w weekend i zapewniam, że zadzwonię dzisiaj wieczorem, jak codziennie. W ostrym, wiosennym słońcu obejmujemy się na pożegnanie i patrzę za nią, jak odchodzi. Wśród lśniących włosów kroczących zwawo pracowników biur, wracających z przerwy na lunch, matowe, siwe włosy mamy wyróżniają się szarością, a jej krok wydaje się niepewny. Mama sprawia wrażenie przytłoczonej przez smutek, garbi się, jakby nie miała siły dźwigać swojego ciężaru. Kiedy tak obserwuję ją w tłumie, kojarzy mi się z malutką łódką na środku ogromnego morza – o dziwo, nadal utrzymuje się na wodzie.

Jest pewna granica tego, o co mogę ją pytać podczas jednego spotkania. Chcesz jednak wiedzieć, czy Xavier jest z Tobą pochowany. Oczywiście, że tak. W Twoich ramionach.

## ROZDZIAŁ 7

Na popołudniową sesję z panem Wrightem przychodzę kilka minut spóźniona. Nadal dziwnie się czuję, nie do końca skupiona. Proszę Panią Zadurzoną Sekretarkę o mocną kawę. Chcę opowiadać Twoją historię, mając wyostrzone zmysły. Neurony mojej pamięci muszą działać błyskawicznie, a nie na wpół śpiąco. Chcę powiedzieć to, co mam do powiedzenia, wrócić do domu i zadzwonić do mamy, żeby się upewnić, że wszystko z nią w porządku.

Pan Wright przypomina mi, dokąd doszliśmy:

– Poszła pani do Hyde Parku.



Zostawiłam mamę i Todda, i pospiesznie wdrapałam się po oblodzonych schodach, naciągając na siebie płaszcz. Sądziłam, że mam rękawiczki w kieszeniach, ale została tylko jedna. Było późne popołudnie i chodniki opustoszały; było zbyt zimno, żeby ktokolwiek chciał przebywać na dworze bez powodu. Szłam szybko w stronę Hyde Parku, jakbym musiała dotrzymać jakiegoś terminu, jakbym się spóźniała. Kiedy doszłam do wejścia Lancaster Gate, zatrzymałam się. Co ja tu robiłam? Czy to był tylko zły humor, którego musiałam się pozbyć? „Nie dąsam się! Idę poszukać mojego serwisu do herbaty” – przypomniał mi się mój atak wściekłości, gdy miałam sześć lat i biegłam po schodach. Tym razem jednak miałam prawdziwy powód, choć do wyjścia z domu skłoniła mnie chęć ucieczki od mamy i Todda. Musiałam zobaczyć

miejsce, w którym zakończyło się Twoje życie.

Przeszłam przez bramę z kutego żelaza. Było równie zimno i śnieżnie, jak w dniu, w którym Cię znaleziono; poczułam się tak, jakby czas cofnął się do popołudnia sprzed sześciu dni. Ruszyłam w kierunku porzuconych toalet i wsunęłam dłoń bez rękawiczki głęboko w kieszeń. Dostrzegłam małe dzieci lepiące bałwana z energiczną sumiennością; ich mama przestępowała z nogi na nogę, żeby się rozgrzać. Kazała dzieciom kończyć. Dzieci i ich bałwan były jedyną różnicą i być może dlatego skupiałam na nich uwagę; a może to ich niewinność i niewiedza o tym, co się tutaj stało, kazały mi się im przyglądać? Szłam w stronę miejsca, w którym Cię znaleziono; moją dłoń bez rękawiczki szczypało zimno. Czułam ubity śnieg pod podeszwami butów. Nie zaprojektowano ich z myślą o zaśnieżonym parku, ale o nowojorskim przyjęciu w innym życiu.

Dotarłam do porzuconego budynku, zupełnie nieprzygotowana na widok wiązanek. Były ich setki. Nie było to morze kwiatów, jak w przypadku Lady Diany, ale i tak mnóstwo. Niektóre były do połowy przysypane śniegiem – musiały leżeć od kilku dni. Inne były świeższe, nadal nieskazitelne w swoim foliowym opakowaniu. Były też misie. Przez chwilę byłam skonsternowana, zanim dotarło do mnie, że to były prezenty dla Xaviera. Budynek otoczono małym, policyjnym ogrodzeniem – żółto-czarna, plastikowa taśma opasała miejsce Twojej śmierci. Wydało mi się dziwne, że policja nadal zaznacza swoją obecność tutaj tak długo po tym, jak potrzebowałaś jej pomocy. Taśma i kwiaty były jedynymi plamami koloru w białym parku.

Rozejrzałam się, że w pobliżu nie ma nikogo, po czym przeszłam nad żółto-czarną taśmą. W owej chwili nieobecność policjanta nie wydała mi się dziwna. Funkcjonariuszka Vernon powiedziała mi później, że przy policyjnym ogrodzeniu w miejscu zbrodni zawsze musi być obecny policjant. Musi stać na posterunku bez względu na pogodę. Vernon mówi, że wtedy zawsze bardzo chce się jej iść do toalety. I pewnie przez

to skończy się jej kariera policjantki, a nie z powodu nadmiaru empatii. Owszem, wykręcam się od tematu.

Weszłam do środka. Nie muszę Ci opisywać, jak tam jest. W jakimkolwiek stanie się znajdowałaś, widziałabyś swoje otoczenie w szczegółach. Masz oczy artystki. Żałuję, że ostatnie miejsce, które widziałaś, było brudne, plugawe i ohydne. Weszłam do kabiny i zobaczyłam plamy krwi na betonowej podłodze oraz łuszczących się ścianach. Zwymiotowałam do umywalki, zanim dostrzegłam, że nie jest podłączona do żadnego odpływu. Wiedziałam, że nikt nie zdecydowałby się z własnej woli wejść tutaj. Nikt by nie zechciał tu umierać.

Starałam się nie myśleć o tym, że byłaś tu przez pięć nocy, sama. Starałam się trzymać na wodzy swoje chagallowskie wyobrażenie Ciebie opuszczającej ciało, ale nie byłam pewna, ile czasu to mogło trwać. Czy opuściłaś ciało, jak miałam gorącą nadzieję, w chwili śmierci? A może później, kiedy Cię znaleziono, gdy Twoje ciało ujrzał ktoś inny, niż Twój zabójca. A może w kostnicy, gdy sierżant odciągnął koc, a ja Cię zidentyfikowałam – uwolnił Cię mój żal?

Wyszłam ze śmierdzącego, odrażającego budynku i wdychałam zimne powietrze, aż rozboleły mnie płuca. Byłam wdzięczna za lodowaty chłód. Te bukiety wydały mi się sensowne. Porządni ludzie próbowali zwalczyć kwiatami zło; dobro walczyło pod proporcami bukietów. Przypomniał mi się widok drogi do Dunblane, wzdłuż której ciągnął się rząd miękkich zabawek. Nigdy wcześniej nie rozumiałam, dlaczego ktoś miałby myśleć, że rodzina, której dziecko zostało zastrzelone, mogłaby chcieć misie. Teraz jednak zrozumiałam. Tysiące emanujących współczuciem zabawek tłumiły nieco dźwięk strzałów i odbijające się echem przerażenie. „Ludzkość taka nie jest – mówili darczyńcy. – My tacy nie jesteśmy. Świat nie wygląda tylko tak”.

Zaczęłam czytać kartki. Niektóre były nieczytelne, mokre od śniegu – tusz rozlewał się na rozmokłym papierze. Rozpoznałam imię Kasi. Zostawiła tu misia; na kartce napisała dużymi, dziecinnymi literami

„Xavier”; zamiast kropki nad „i” narysowała serduszko, były też krzyżyki symbolizujące pocałunki i kółeczka oznaczające uściski. Snobistyczna część mnie wzdrygnęła się na widok tego bezguścia, ale doznałam też wzruszenia i poczucia winy w związku ze swoim snobizmem. Postanowiłam, że po powrocie do domu poszukam jej numeru telefonu i podziękuję za życzliwość.

Pozbierałam dające się przeczytać kartki, żeby zabrać je ze sobą – czytać ich nie będzie chciał nikt, oprócz mnie i mamy. Kiedy wkładałam je do kieszeni, ujrzałam w pewnej odległości mężczyznę w średnim wieku z labradorem. Pies szedł na napiętej smyczy, a człowiek niósł bukiet chryzantem. Pamiętałam go z tego popołudnia, kiedy Cię znaleziono. Obserwował czynności policji. Również wtedy pies próbował się wyrwać. Mężczyzna zawahał się i nie położył kwiatów – może czekał, aż odejdę. Podeszłam do niego. Miał na sobie tweedowy kapelusz i kurtkę Barbour. Wyglądał jak ziemianin i powinien raczej przebywać w swojej wiejskiej posiadłości, niż w londyńskim parku.

– Przyjaźnił się pan z Tess? – zapytałam.

– Nie. Nawet nie znałem jej imienia do czasu, gdy powiedziano o niej w telewizji – odpowiedział. – Pozdrawialiśmy się machnięciem ręki, to wszystko. Jeśli mijamy się z kimś dość często, rodzi się między nami swoista więź, naturalnie słaba. Tylko się rozpoznajemy. – Wyczyścił nos.

– Nie mam prawa tego przeżywać. Wiem, że to absurdalne. A pani? Znała ją pani?

– Tak.

Bez względu na to, co mówił sierżant Finborough, znałam Cię. Ziemianin zawahał się, niepewny co do zasad prowadzenia rozmowy nad wieńcami i wiązkami dla zmarłych.

– Policjant sobie poszedł? Powiedział, że niebawem zdejmą taśmę, skoro to już nie jest miejsce zbrodni.

Naturalnie, że to nie było już miejsce zbrodni. Policja uznała przecież, że popełniłaś samobójstwo. Mężczyzna miał nadzieję na moją reakcję

i zachęcał mnie do podjęcia tematu.

– Cóż, znała ją pani, więc pewnie wie pani lepiej ode mnie, co się dzieje.

Może ta konwersacja sprawiała mu pewną przyjemność. Łzy napływające do oczu nie są niczym niemiłym. Bliskość przerażenia i rozpacz jest podniecająca; słaby związek ze smutkiem i tragedią innych może być nawet ekscytujący. Ten człowiek mógł opowiadać innym, co bez wątpienia czynił, że był w to nieco zaangażowany, odgrywał w tym dramacie drobną rolę.

– Jestem jej siostrą.

Owszem, użyłam czasu teraźniejszego. To, że umarłaś, nie sprawiło, że przestałam być Twoją siostrą, że nasz związek odszedł w przeszłość – gdyby tak było, nie oplakiwałabym Cię w czasie teraźniejszym. Ziemia się przeraziła. Chyba miał nadzieję, że ta sprawa nie była mi aż tak bliska.

Odeszłam.

Miękkie płatki śniegu zaczęły padać gęściej i gwałtowniej. Zobaczyłam, jak zagarniały bałwana ulepionego przez dzieci. Postanowiłam opuścić park innym wyjściem, jakby wspomnienie moich uczuć z poprzedniego tu pobytu było zbyt dotkliwe, abym przeżywała je po raz kolejny.

Gdy zbliżałam się do galerii Serpentine, zawierucha była już bardzo silna; biały puch dusił drzewa i trawę. Niebawem przysypie też kwiaty dla Ciebie i misie dla Xaviera. Stopy drętwiały mi z zimna, dłoń bez rękawiczki bolała. Mdłości mnie opuściły, w ustach pozostał obrzydliwy smak. Chciałam zajrzeć do Serpentine i poszukać kafejki, w której mogłabym napić się wody. Zbliżając się do budynku, dostrzegłam, że był pogrążony w ciemności. Drzwi zamknięto na łańcuch. Na kartce w oknie napisano, że galeria wznowi działalność w kwietniu. Simon nie mógł się tutaj z Tobą spotkać. Był ostatnią osobą, która widziała Cię za życia i zełgał. Jego kłamstwo rozbrzmiewało w mojej głowie, niczym szum

w uszach – to był jedyny dźwięk, którego nie tłumił padający śnieg.

Szłam Chepstow Road w stronę Twojego mieszkania i dzwoniłam z telefonu komórkowego do sierżanta Finborougha. Kieszenie miałam wypchane zebranymi kartkami. Z daleka zobaczyłam Todda, który stawiał krótkie, odzwierciedlające niepokój kroki. Mama wsiadła już do pociągu i pojechała do domu. Todd wszedł za mną do mieszkania. Ulga przekształciła jego lęk w irytację.

– Próbowałem do ciebie dzwonić, ale numer był zajęty.

– Simon skłamał, że widział się z Tess w galerii Serpentine. Muszę poinformować o tym sierżanta Finborougha.

Reakcja Todda, a w zasadzie jej brak, powinna mnie przygotować na reakcję sierżanta. Ten jednak właśnie w tym momencie odebrał. Powiedziałam mu o Simonie. Wykazał się cierpliwością, nawet łagodnością.

– Może Simon próbował zrobić dobre wrażenie.

– Kłamiąc?

– Mówiąc, że spotkali się w galerii. – Nie mogłam uwierzyć, że sierżant Finborough go tłumaczył. – Rozmawialiśmy z Simonem, kiedy się dowiedzieliśmy, że spędził z nią część owego dnia – ciągnął. – Nie ma powodu, by myśleć, że był w jakikolwiek sposób zaangażowany w jej śmierć.

– Jednak skłamał w kwestii tego, gdzie byli.

– Beatrice, według mnie powinna pani postarać się...

Przejrzałam w myślach komunały, które mógłby wykorzystać: powinnam „żyć dalej”, „zostawić to za sobą”, a nawet „zaakceptować prawdę i zająć się swoim życiem”. Przerwałam mu, zanim ubrał w słowa którykolwiek z tych banałów.

– Widział pan miejsce, w którym umarła, prawda?

– Owszem.

– Myśli pan, że ktoś mógł wybrać je na swoją śmierć?

– To nie była kwestia wyboru.



Przez chwilę miałam wrażenie, że zaczął mi wierzyć, lecz wnet dotarło do mnie, że za winowajcę Twojej śmierci uznał chorobę psychiczną. Podobnie jak osoba cierpiąca na zaburzenia obsesyjno-kompulsywne jest zmuszona setki razy wykonywać tę samą czynność, tak też kobieta z psychozą poporodową jest atakowana przez fale szału, co prowadzi nieuchronnie do autodestrukcji. Kiedy znajduje się martwą młodą kobietę, mającą przyjaciół, rodzinę, talent i urodę, rodzą się podejrzenia. Kres jej życia pozostaje pod znakiem zapytania także wtedy, gdy wiadomo, że straciła dziecko. Ów znak zapytania znika, jeśli do określeń opisujących tę osobę dorzuci się psychozę – zabójca otrzyma wówczas alibi, a ofiara będzie winna własnej śmierci.

– Ktoś ją zmusił, by weszła do tego ohydneho miejsca i zabił ją tam.

Sierżant Finborough nadal wykazywał się cierpliwością.

– Nie było powodu, by ktokolwiek chciał ją zabić. To nie było zabójstwo na tle seksualnym, dzięki Bogu. Nie doszło też do rabunku. Kiedy badaliśmy sprawę jej zniknięcia, nie znaleźliśmy nikogo, kto życzyłby jej źle. Było wręcz odwrotnie.

– Czy przynajmniej porozmawiacie jeszcze raz z Simonem?

– Naprawdę nie sądzę, by nam to cokolwiek dało.

– Czy to dlatego, że Simon jest synem ministra?

Powiedziałam to, by, zawstydzając, skłonić go do zmiany zdania, wymusić ją.

– Postanowiłem nie rozmawiać ponownie z Simonem Greenlym, ponieważ byłoby to bezcelowe.

Teraz, gdy znam tego człowieka lepiej, wiem, że używa oficjalnego języka, gdy czuje, że wywiera się na nim presję.

– Wie pan jednak, że ojcem Simona jest niejaki Richard Greenly?

– Nie wydaje mi się, żeby ta rozmowa zaprowadziła nas dokądkolwiek.

Być może...

– Dla Tess nie warto ryzykować, tak?

Pan Wright nalał mi szklanę wody. Opisywanie toalety wywołało u mnie mdłości. Powiedziałam mu o Simonie i telefonie do sierżanta Finborougha. Pominęłam to, że gdy rozmawiałam z sierżantem, Todd odwiesił mój płaszcz, wyjął kartki z kieszeni i rozkładał je, żeby wyschły. Nie dostrzegłam w tym troski; każda wygładzona kartka symbolizowała krytykę. Wiedziałam, że jest po stronie sierżanta, chociaż słyszał tylko moje słowa.

– Po tym, jak sierżant Finborough odmówił przesłuchania Simona, postanowiła to pani zrobić osobiście? – pyta pan Wright.

Mam wrażenie, że słyszę w jego głosie rozbawienie. Wcale by mnie to nie zaskoczyło.

– Tak, zaczęło mi to wchodzić w krew.

Osiem dni wcześniej, gdy leciałam do Londynu, byłam osobą, która zawsze unikała konfrontacji. Lecz w porównaniu z brutalnością Twojej śmierci, słowna utarczka wydawała się nieszkodliwa i odrobinę trywialna. Dlaczego wcześniej budziła we mnie zniechęcenie, nawet strach? Teraz moje obawy wydawały się groteskowym tchórzostwem.



Todd wychodził kupić toster (Nie do wiary, że twoja siostra opiekowała tosty na ruszcie). Nasze nowojorskie urządzenie miało funkcje rozmrażania i podgrzewania francuskich rogalików, z czego rzeczywiście korzystaliśmy. Przy drzwiach przystanął.

– Wyglądasz na wykończoną.

Troszczył się, czy krytykował?

– Mówiłem ci wczoraj, że powinnaś zażyć tabletkę nasenną od doktora Broadbenta.

Krytykował. Odwrócił się i ruszył po toster.

Nie wyjaśniłam mu, dlaczego nie mogłam wziąć tabletki. Czułabym się tchórzem, gdybym miała o Tobie nie pamiętać choćby przez kilka godzin. Nie powiedziałam mu też, że wybieram się do Simona, bo czułby

się zobligowany powstrzymać mnie przed zrobieniem czegoś tak „pochopnego i śmiesznego”.

Pojechałam pod adres, który znalazłam na przyklepnej karteczce w Twoim notesie. Zaparkowałam przed trzypiętrową rezydencją w Kensington. Simon wpuścił mnie domofonem. Weszłam na ostatnie piętro. Kiedy otworzył drzwi, nie poznałam go. Dziecięca twarz była pomarszczona ze zmęczenia, a wypiełgnowany „trzydniowy” zarost przekształcił się w zaczątki rzadkiej brody.

– Chciałabym pomówić z tobą o Tess.

– Dlaczego? Myślałem, że znasz ją najlepiej. – W jego głosie kipiała zazdrość.

– Też byliście sobie bliscy, prawda? – spytałam.

– Tak.

– Mogę wejść?

Zostawił otwarte drzwi i poszłam za nim do wystawnego salonu. Pewnie mieszka tu jego ojciec, gdy nie przebywa w swoim okręgu wyborczym. Dłuższą ścianę salonu zajmował wielki obraz przedstawiający więzienie. Przyglądając mu się z bliska, zorientowałam się, że był to kolaż. Węzienie wykonano z tysięcy paszportowych fotografii dziecięcych twarzątek. To było frapujące i odrzucające.

– Galeria Serpentine jest zamknięta do kwietnia, więc nie mogłeś się tam spotkać z Tess.

Wzruszył ramionami. Najwyraźniej nie zrobiło to na nim wrażenia.

– Dlaczego skłamałeś? – zapytałam.

– Spodobał mi się ten pomysł. To wszystko. Dzięki temu nasze spotkanie przypominało randkę. Ta galeria to miejsce, które Tess wybrałaby na schadzkę.

– Przecież to nie była randka?

– Jakie to ma znaczenie, że teraz pozmieniam trochę historię? Nagnę ją do swoich pragnień? Wprowadzę trochę fantazji? To jest nieszkodliwe.

Miałam ochotę na niego nakrzyczeć, lecz nie zyskałabym w ten sposób

nic, oprócz natychmiastowej gratyfikacji w formie wściekłości.

– Dlaczego spotkałeś się z nią w parku? Musiało tam być lodowato zimno.

– To Tess chciała iść do parku. Twierdziła, że musi przebywać na dworze. Podobno w pomieszczeniach wariowała.

– Wariowała? Tego słowa użyła?

Nigdy nie słyszałam, byś tak mówiła. Choć pleciesz trzy po trzy, uważnie dobierasz słowa i używasz wyłącznie brytyjskich zwrotów; łajasz mnie za amerykańizmy.

Simon wyjął aksamitną torebkę ze szklanej gablotki.

– Może powiedziała, że czuje się klaustrofobicznie. Nie pamiętam.

To brzmiało bardziej prawdopodobnie.

– Czy powiedziała, dlaczego chciała się z tobą zobaczyć?

Majstrował coś przy bibułkach do tytoniu i nie odpowiadał.

– Simon?

– Po prostu chciała ze mną pobyc. Jezu! Tak trudno to zrozumieć?

– Skąd się dowiedziałeś o jej śmierci? Ktoś ci powiedział? Wiedziałeś, że miała przecięte nadgarstki?

Chciałam sprowokować go do łez, bo wiem, że łzy rozpuszczają zasieki, które chronią to, co chcemy zostawić dla siebie.

– Powiedzieli ci, że spędziła tam pięć dni, sama w cuchnącej toalecie?

Oczy zrobiły mu się szkliste; głos był cichszy, niż zwykle.

– Tego dnia, gdy spotkaliśmy się przed jej mieszkaniem, czekałem tuż za rogiem, aż wyjdiesz. Potem śledziłem cię na motorze.

Mglisto przypomniałam sobie dźwięk motoru, który usłyszałam, wychodząc do parku. Ale go nie widziałam.

– Przez wiele godzin czekałem przed bramą parku. Padał śnieg – ciągnął. – Już wtedy byłem przemarznięty, pamiętasz? Zobaczyłem, jak wychodzisz z policjantką. Widziałem furgonetkę z przyciemnionymi szybami. Nikt by mi nic nie powiedział. Nie byłem rodziną.

Łzy ciekły mu po policzkach. Nie starał się ich powstrzymać. Był tak

samo odpychający, jak jego sztuka.

– Tego wieczoru wspomniano o tym w lokalnych wiadomościach. Krótka wzmianka, niecałe dwie minuty o młodej kobiecie, którą znaleziono martwą w toalecie w Hyde Parku. Pokazano jej zdjęcie z legitymacji. I tak się dowiedziałem o jej śmierci.

Musiał wytrzeć nos i oczy. Uznałam, że to jest właściwy moment na konfrontację.

– Dlaczego chciała się z tobą zobaczyć?

– Powiedziała, że się boi i chciała, bym jej pomógł.

Łzy zadziały; wiedziałam, że tak będzie. Zupełnie jak pierwszego dnia w szkole z internatem, kiedy to załamalam się i przyznałam przed wychowawczynią, że nie tęsknię za domem i mamą, tylko za tatą.

– Czy powiedziała, czego się bała?

– Odbierała dziwne telefony.

– Mówiła od kogo?

Pokręcił głową. Nagle przyszło mi do głowy, czy te łzy były prawdziwe. Może to krokodyle łzy, bezlitosne i niezwiązane z wyrzutami sumienia.

– Dlaczego wybrała ciebie, Simonie? A nie kogoś innego spośród przyjaciół?

Osuszył już łzy; zamknął sprawę.

– Byliśmy sobie bardzo bliscy.

Może dostrzegł mój sceptycyzm, ponieważ w jego głosie dało się słyszeć złość i urazę.

– Tobie jest łatwiej, jesteś jej siostrą. Masz prawo ją opłakiwać. Ludzie się spodziewają, że będziesz się rozklejać. A ja nawet nie mogę powiedzieć, że była moją dziewczyną.

– Nie zadzwoniła do ciebie, prawda? – spytałam.

Milczał.

– Nie wykorzystaliśmy uczuć, jakie do niej żywiłeś.

Próbował przypalić skręta, ale palce mu się trzęsły. Nie był w stanie zapalić zapalniczki.

– Co się stało tak naprawdę?

– Dzwoniłem do niej mnóstwo razy, ale zawsze zgłaszała się sekretarka albo linia była zajęta. Tym razem odebrała. Powiedziała, że musi wyjść z mieszkania. Zaproponowałem park i się zgodziła. Nie wiedziałem, że galeria Serpentine była zamknięta. Miałem nadzieję, że wejdziemy do środka. Kiedy spotkaliśmy się w parku, zapytała, czy mogłaby się u mnie zatrzymać. Powiedziała, że musi przebywać z kimś przez całą dobę, bez przerwy. – Przerwał, zły. – Oznajmiła, że jestem jedyną osobą na Akademii, która nie pracuje dorywczo.

– Przez całą dobę bez przerwy?

– Zgadza się. Nie pamiętam dokładnie jej słów. Rany, czy to ma znaczenie?

Owszem, miało, bowiem uwiarygodniało jego wypowiedź.

– Bała się i prosiła o pomoc, bo mogłem ją jej zapewnić.

– Dlaczego więc ją zostawiłeś?

To pytanie nim wstrząsnęło.

– Słucham?

– Powiedziałeś, że chciała się u ciebie zatrzymać. Dlaczego ją zostawiłeś?

Udało mu się przypalić skręta i zaciągnąć się.

– No dobrze. Powiedziałem jej, co do niej czuję. Jak bardzo ją kocham. Wyznałem wszystko.

– Przystawiałeś się do niej?

– To nie tak.

– I odrzuciła cię?

– Bez owijania w bawełnę. Powiedziała, że tym razem nie może zaproponować mi przyjaźni z „pełną wiarygodnością”.

Jego olbrzymie ego wyssało z niego wszelkie współczucie dla Ciebie, dla Twojego smutku, i uznał się za ofiarę. Moja wściekłość była jednak większa niż jego ego.

– Zwróciła się do ciebie i próbowałeś wykorzystać to, że potrzebowała

opieki.

– To raczej ona chciała mnie wykorzystać.

– Mimo wszystko chciała u ciebie zamieszkać?

Nie odpowiedział, ale mogłam się domyślić kolejnej kwestii.

– Bez zobowiązań?

Nadal milczał.

– Nie zgodziłbyś się na to, prawda?

– Miałbym się wykastrować?

Wydaje mi się, że przez chwilę gapiłam się na niego, zbyt zdumiona ogromem jego egocentryzmu, by odpowiedzieć. Myślał, że nie rozumiałam.

– Chciała u mnie zamieszkać tylko dlatego, że była śmiertelnie przerażona. Jak miałem się z tym poczuć?

– Śmiertelnie przerażona?

– Trochę przesadziłem. Była...

– Wcześniej mówiłaś, że się bała, a teraz, że była śmiertelnie przerażona?

– No, dobra. Powiedziała, że wydawało jej się, że w drodze do parku śledził ją jakiś facet.

Zmusiłam się do tego, by mój głos brzmiał neutralnie.

– Czy powiedziała, kto to?

– Nie. Szukałem go. Nawet buszowałem w krzakach, gdzie utyłałem się śniegiem i zamarzniętymi psimi odchodami. Nikogo nie było.

– Musisz iść na policję. Porozmawiać z sierżantem Finboroughem. Pracuje na komisariacie w Notting Hill. Dam ci jego numer.

– A po co? Popełniła samobójstwo. Tak powiedzieli w wiadomościach.

– Byłaś tam. Wiesz więcej niż telewizja, prawda? – Mówiłam jak do dziecka; starałam się go przekonać, ukryć swoją desperację. – Powiedziała ci, że ktoś ją śledził. Wiesz, że była przerażona.

– To pewnie były tylko urojenia. Podobno psychoza poporodowa robi z kobiet zupełnie wariatki.

– Kto ci to powiedział?

– Chyba słyszałem w telewizji.

Zorientował się, jak kulawo to zabrzmiało. Spojrzał na mnie, zupełnie niefrasobliwie.

– W porządku. Tata się dowiedział dla mnie. Nigdy go o nic nie proszę, ale gdy już to robię...

Zawiesił głos, jakby nie miał ochoty kończyć zdania. Zrobił krok w moją stronę i poczułam zapach jego wody po goleniu, gryzący w tym przegrzanym mieszkaniu. Zmysły mi się wyostrzyły, jak wtedy, gdy ujrzałam go po raz pierwszy, kiedy siedział na śniegu przed Twoim mieszkaniem, trzymał bukiet i pachniał tą samą wodą po goleniu pomimo zimna. Wtedy to do mnie nie dotarło, ale po co te kwiaty i woda po goleniu, skoro mogłaś mu zaoferować wyłącznie przyjaźń? A teraz wiedziałam, że odrzuciłaś go bez ogródek.

– Miałaś ze sobą kwiaty, gdy cię spotkałam, kiedy na nią czekałeś. Pachniałeś wodą po goleniu.

– To co?

– Pomyślałaś sobie, że spróbujesz jeszcze raz, prawda? Może będzie na tyle zdesperowana, że zgodzi się na twoje warunki.

Wzruszył ramionami, nie poczuwając się do winy. Dzieciak zepsuty od urodzenia; rozpieszczanie uczyniło go takim, a nie kimś, kim mógł potencjalnie być.

Odwróciłam się od niego i spojrzałam na wielki kolaż, na którym dziecięce buzie układały się w więzienie. Wzdrygnęłam się i ruszyłam w stronę drzwi. Kiedy je otworzyłam, poczułam na twarzy łzy i dopiero wtedy się zorientowałam, że płacę.

– Jak mogłaś ją tam tak zostawić?

– To nie moja wina, że się zabiła.

– Czy ty kiedykolwiek czujesz się winny?



Wracam do pana Wrighta. Zapach Simona i jego mieszkania nadal jest ostry w moich wspomnieniach. Cieszę się, że okno jest otwarte i z parku wpada do środka woń świeżo skoszonej trawy.

– Przekazała pani policji to, co powiedział Simon? – pyta pan Wright.

– Tak. Asystentowi sierżanta Finborougha. Był uprzejmy, ale wiedziałam, że to nic nie da. Mężczyzna, który ją śledził, był jej zabójcą, ale mógł też być wytworem jej rzekomej paranoi. Fakty, które potwierdzały hipotezę morderstwa, umacniały jednocześnie diagnozę wskazującą na psychozę.

Pan Wright zerka na zegarek. Jest kwadrans po siedemnastej.

– Kończymy na dzisiaj?

Kiwam potakująco głową. Gdzieś w głębi nosa i gardła czuję obecność zapamiętanego zapachu marihuany i wody po goleniu. Myśl, że mogę wyjść na zewnątrz i pooddychać świeżym powietrzem jest mi miła.

Przechodzę przez park św. Jakuba i wsiadam do autobusu wiozącego mnie do Coyote. Wiem, że jesteś ciekawa, jak podjęłam tam pracę. Początkowo chodziłam tam rozmawiać z ludźmi, z którymi pracowałam. Miałam nadzieję, że ktoś podsunie mi jakąś wskazówkę. Nikt nie potrafił mi pomóc. Nie widziano Cię od owej niedzieli przed urodzeniem Xaviera i w zasadzie nikt nie znał Twojego prywatnego życia. Tymczasem mój szef w Stanach „z wielkim wahaniem pozwolił mi odejść”. Nie miałam pojęcia, gdzie znajdę sobie pracę. Wiedziałam, że mój udział w spłacie kredytu za nowojorskie mieszkanie niebawem pochłonie wszystkie oszczędności. Musiałam zarabiać jakoś na życie, więc wróciłam do Bettiny i poprosiłam, żeby mnie zatrudniła.



Miałam na sobie jedyne czyste ubranie, czyli garnitur od Max Mary, i Bettina myślała, że sobie żartuję. Potem jednak zrozumiała, że mówię poważnie.

– No dobrze, przyda mi się dodatkowa para rąk. Dwie zmiany w weekend i trzy w ciągu tygodnia. Możesz zacząć dzisiaj wieczorem. Płacę sześć funtów za godzinę i daję darmowy obiad gotowany przeze mnie, jeśli zmiana trwa dłużej niż trzy godziny.

Chyba musiałam wyglądać na zaskoczoną tym, że zaproponowała mi pracę od zaraz.

– Prawda jest taka, że mi się podobasz. – Zachichotała, widząc przerażenie na mojej twarzy. – Przepraszam, nie mogłam się oprzeć.

Jej śmiech i moje zaskoczenie skojarzyło mi się z Tobą; nie było w tym nic niewłaściwego.

W czasie pracy tego wieczoru myślałam, że po Twojej śmierci zwolniło się stanowisko. Jednak niedawno odkryłam, że na Twoje miejsce już kogoś przyjęto, tak więc Bettina zatrudniła mnie przez lojalność wobec Ciebie i współczucie dla mnie.



Wracam do domu z Coyote prawie o północy i nie spodziewam się wielu dziennikarzy. Jest zbyt późno, poza tym w czasie ostatnich dni pewnie zrobili już wszystkie zdjęcia, jakich potrzebowali. Myliłam się jednak. Gdy się zbliżam, widzę całą grupkę; wielkie reflektory oświetlają stojącą pomiędzy nimi Kasię. Przez dwa dni mieszkała u przyjaciółki. Sądziłam, że atak prasy zelżał na tyle, że może już wrócić. Teraz mieszka ze mną, z czego pewnie byłabyś zadowolona. No i ciekawi Cię, jak udało nam się do siebie dopasować. Cóż, ona zajęła Twoje łóżko, a ja śpię w dużym pokoju na futonie, który rozwijam codziennie wieczorem. Jakoś udaje nam się pomieścić.

Kiedy podchodzę bliżej, dostrzegam, jaka jest nieśmiała, jak przeraża ją ta uwaga jej poświęcana i jaka jest wyczerpana. Wściekle opiekuńcza, odganiam dziennikarzy i fotografów.

– Długo czekasz? – pytam.

– Kilka godzin.

W jej przypadku to może być nieco ponad dziesięć minut.

– A co się stało z twoim kluczem?

Zażenowana wzrusza ramionami.

– Przepraszam.

Zawsze coś gubi i kojarzy mi się przez to z Tobą. Niekiedy jej roztrzepanie wydaje mi się urocze. Przyznaję, że tym razem nieco mnie zirytowało. (Ciężko zmienia się stare nawyki i, prawdę powiedziawszy, jestem wykończona po długiej sesji w prokuraturze oraz zmianie w barze; a teraz jeszcze fotografowie podsuwają mi aparaty prawie pod nos, by uchwycić żalosne ujęcie).

– Chodź, musisz coś zjeść.

Do wyznaczonej daty porodu został jej tylko tydzień i nie powinna być bez jedzenia zbyt długo. Wówczas mdleje, a to na pewno nie jest dobre dla dziecka.

Obejmuję ją ramieniem i prowadzę do domu. Towarzyszy nam pstrykanie aparatów.

Jutro obok zdjęcia przedstawiającego mnie obejmującą Kasię znowu pojawią się artykuły mówiące o tym, że ją „uratowałam”. Dziennikarze naprawdę używają takich słów: „uratowałam” i „dałam jej życie”; zwroty rodem z komiksów, które mogą uczynić ze mnie kogoś, kto wkłada spodnie na rajstopy, zmienia w budce telefonicznej strój i osobowość, jak też wystrzeliwuje z nadgarstka sieć. Napiszą, że spóźniłam się na ratunek Tobie (te przemiany w budkach telefonicznych nie odbywają się dość szybko), ale dzięki mnie Kasia i jej dziecko będą żyć. Jak my wszyscy, czytelnicy też pragną szczęśliwego zakończenia historii. Tyle że to nie jest moja historia. Moja kończyła się pasmem włosów, które wplątały się w suwak.

## ROZDZIAŁ 8

### *Czwartek*

Idę przez park św. Jakuba w stronę budynku prokuratury. Niebo znowu jest błękitne, a konkretnie ma odcień PMS 635 – niebo nadziei. Tego ranka pan Wright zamierza wypytywać mnie o kolejny odcinek Twojej historii, czyli o moje spotkanie z Twoim psychiatrą. Mojemu umysłowi, nadal na wpół śpiącemu, brakuje koniecznej bystrości, więc zrobię sobie próbę generalną, zanim zacznę rozmawiać z panem Wrightem.



Na wizytę u doktora Nicholasa w państwowym szpitalu czekało się cztery miesiące, więc zapłaciłam za spotkanie. Poczekalnia przed jego prywatnym gabinetem przypominała raczej ekskluzywny salon fryzjerski i nie kojarzyła się z medycyną. Znajdowały się w niej wazony z liliami, błyszczące czasopisma i pojemnik z wodą mineralną. Młoda recepcjonistka miała na twarzy obowiązkowe lekceważenie i zarządzała dostępem czekających pacjentów do swojego pracodawcy. Czekając, przeglądałam czasopismo (odziedziczyłam po mamie lęk przed sytuacją, w której nie wiem, co ze sobą począć). Na okładce widniała nazwa kolejnego miesiąca i przypomniało mi się, jak się śmiałaś z tych magazynów modowych wyprzedzających czas; twierdziłaś, że data na okładce powinna ostrzegać ludzi o absurdalności treści znajdującej się

w środku. Opowiadam tak dużo z nerwów, bo wiele zależało od tego spotkania. To doktor Nichols przekonał policję, że cierpiałas na psychozę poporodową; i to przez niego policja uwierzyła, że popełniłaś samobójstwo. To on przyczynił się do tego, że nikt nie szukał Twojego zabójcy.

Recepcjonistka zerknęła na mnie.

– Na którą godzinę jest pani umówiona?

– Na czternastą trzydzieści.

– Ma pani szczęście, że doktor znalazł dla pani czas.

– Niewątpliwie zapłacę za to należycie.

To była rozgrzewka przed ważniejszą konfrontacją. Recepcjonistka się zdenerwowała.

– Wypełniła pani formularz?

Podalam jej pusty arkusz, na którym umieściłam tylko informacje dotyczące karty kredytowej. Zabrała ode mnie formularz. Odezwała się drwiąco i spojrzała na mnie pogardliwie.

– Nie wpisała pani nic w historii choroby.

Pomyślałam o przychodzących tu ludziach, którzy mieli depresję, byli lękliwi, stracili kontakt z rzeczywistością i popadali w wir szaleństwa; o tych delikatnych, bezbronnych ludziach, którym należało się choć trochę uprzejmości ze strony pierwszej osoby rozmawiającej z nimi tutaj.

– Nie przyszedłam tu na konsultację.

Nie chciała mi pokazać, że ją to zaciekało. A może myślała, że jestem kolejną szurniętą pacjentką, którą nie należy się przejmować.

– Przyszedłam tu, bo zamordowano moją siostrę, a doktor Nichols był jej psychiatrą.

Na chwilę udaje mi się ją zainteresować. Spojrzała na moje przetłuszczone włosy (mycie włosów jest jedną z tych czynności, których się nie wykonuje w czasie żałoby), brak makijażu i worki pod oczami. Dostrzegła przejawy smutku, ale zinterpretowała je jako wyznaczniki obłędu. Zastanawiałam się, czy to samo, choć na większą skalę,

przydarzyło się Tobie – Twój lęk odczytano jako szaleństwo. Odebrała ode mnie formularz bez dalszych komentarzy.

Gdy czekałam dalej, przypomniały mi się e-maile, w których rozmawialiśmy o tym, że wybieram się do psychoterapeuty.

Od: tesshemming@hotmail.co.uk

Do: iphone Beatrice Hemming

Psychoanalitik? A po co Ci on, Bee? Jeśli chcesz o czymś pogadać, czemu nie zrobisz tego ze mną czy z kimś z przyjaciół?

T xox

Od: iphone Beatrice Hemming

Do: tesshemming@hotmail.co.uk

Pomyślałam sobie, że wizyta u psychiatry będzie interesująca, może nawet cenna. To zupełnie coś innego, niż rozmowa z przyjaciółką.

lol

Bee XX

PS Już rzadko nazywa się ich psychoanalitikami.

Od: tesshemming@hotmail.co.uk

Do: iphone Beatrice Hemming

Ze mną rozmawiasz za darmo i mam na uwadze Twój jak najlepszy interes. Poza tym nie ograniczam Cię do godziny.

Txoxo

PS Oni piorą ludziom osobowość i dostosowują ją do kategorii z podręcznika.

Od: iphone Beatrice Hemming

Do: tesshemming@hotmail.co.uk

Są dobrze wykształceni. Psychiatra (a nie psycholog) jest

w pełni wykwalifikowanym lekarzem, który robi specjalizację.  
Nie porównywałabyś ich z pralkami, gdybyś miała depresję  
dwubiegunową, demencję lub schizofrenię.

lol

Bee

Od: tesshemming@hotmail.co.uk

Do: iphone Beatrice Hemming

Słuszna uwaga. Ale Ty tego nie masz.

T X

PS Wykrzyczę głośniej, w razie gdyby nie dotarło to do Ciebie  
na tych Twoich wyżynach.

Od: iphone Beatrice Hemming

Do: tesshemming@hotmail.co.uk

Nie powiedziałam, że tylko poważnie chorzy potrzebują  
psychiatry. Życiowo poturbowanym też przydaje się niekiedy  
profesjonalna pomoc.

lol Bee x

Od: tesshemming@hotmail.co.uk

Do: iphone Beatrice Hemming

Bee, tak mi przykro. Możesz mi o tym powiedzieć?

T X XXXX

Od: iphone Beatrice Hemming

Do: tesshemming@hotmail.co.uk

Muszę iść na bardzo ważne spotkanie. Pogadamy później.

Bee x

Od: tesshemming@hotmail.co.uk

Do: iphone Beatrice Hemming

A ja powinnam obsługiwać gości, a nie skrzynkę mailową w komputerze Bettiny. Stolik czwarty nadal czeka na deskę serów, ale nie ruszę się stąd, dopóki nie odpiszesz.

T XXXX

Od: tesshemming@hotmail.co.uk

Do: iphone Beatrice Hemming

Stolik czwarty poszedł do domu, nie zjadłszy serów. Odpuść sobie, co? Używam nawet amerykańizmów, żebyś widziała, jak bardzo chcę, żebyś mi wybaczyła.

T XOX

Od: tesshemming@hotmail.co.uk

Do: iphone Beatrice Hemming

Moja zmiana się skończyła, Bee-beau, a ja nadal stoję przy komputerze Bettiny. Napisz do mnie, jak tylko przeczytasz tę wiadomość. Proszę.

T XXXOOOO

Od: iphone Beatrice Hemming

Do: tesshemming@hotmail.co.uk

Nie unikałam Cię. Byłam na spotkaniu, które się przeciągnęło. Nie przejmuj się tak tym psychologiem. Po prostu w Nowym Jorku trzeba żyć jak nowojorczyki. W Londynie jest pewnie po północy, więc idź do domu i się prześpij.

lol

Bee X

Od: tesshemming@hotmail.co.uk

Do: iphone Beatrice Hemming

Jeśli nie chcesz mi powiedzieć, w porządku. Domyślałam się, że Twoje poturbowanie ma związek z Leo? Czy tatą?



lol

T X

Recepcjonistka patrzy na mnie zza swojego biurka.

– Doktor Nichols może się z panią spotkać.

Kiedy szłam do jego gabinetu, przypomniała mi się rozmowa telefoniczna z tamtego wieczoru (wieczór był u mnie, u Ciebie była druga rano). Nadal Ci nie powiedziałam, z jakiego powodu chciałam się widzieć z psychiatrą, ale Ty wyjaśniłaś, dlaczego to jest strata czasu.

*– Nasz umysł decyduje o tym, kim jesteśmy. To on sprawia, że czujemy, myślimy i wierzymy. To dzięki niemu odczuwamy miłość i nienawiść, ufność i namiętność.*

*Poczułam lekkie zażenowanie wywołane Twoją zarliwością, ale ciągnęłaś dalej:*

*– Jak ktoś może mieć nadzieję, że uleczy czyjś umysł, jeśli nie jest równocześnie teologiem, filozofem i poetą?*

Otworzyłam drzwi gabinetu i weszłam do środka.

W szpitalu doktor Nichols chodził w białym kitlu, lecz w swoim prywatnym gabinecie nosił wytarte sztruksy i stary sweter z owczej wełny. Wyglądał niechlujnie na tle eleganckiej tapety w pasy. Powiedziałabym, że jest przed czterdziestką. Zgodzisz się?

Wstał z fotela i miałam wrażenie, że dostrzegłam na jego zmiętej twarzy współczucie.

– Panna Hemming? Tak mi przykro z powodu pani siostry.

Usłyszałam dudnienie dochodzące spod jego biurka i zobaczyłam starego labradora, który gonił we śnie króliki i zamiatał merdającym ogonem podłogę. Zdałam sobie sprawę z tego, że w pomieszczeniu pachniało lekko psem, co podobało mi się bardziej, niż lilie w poczekalni. Wyobraziłam sobie, jak recepcjonistka wpada tu między pacjentami

z odświeżaczem powietrza. Psychiatra wskazał krzesło obok swojego.

– Proszę usiąść.

Siadając, dostrzegłam wyraźnie wyeksponowane zdjęcie małej dziewczynki na wózku inwalidzkim. Spodobało mi się, że doktor Nichols był tak bezwarunkowo dumny.

– W czym mogę pomóc? – zapytał.

– Czy Tess powiedziała, kogo się bała?

Wyraźnie zaskoczony moim pytaniem, pokręcił przecząco głową.

– Mówiła o anonimowych telefonach, prawda?

– O niepokojących telefonach. Tak.

– Powiedziała, kto do niej dzwonił? Albo co mówiła ta osoba?

– Niechętnie o tym rozmawiała i zgłębianie tego tematu nie wydawało mi się przydatne. W owym czasie sądziłem, że to akwizytor lub ktoś, kto wybierał zły numer, a jej przygnębiony umysł wyolbrzymiał sprawę.

– Poinformował pan o tym Tess?

– Owszem, zasugerowałem, że tak mogło być.

– I rozplakała się?

Zdumiało go, że o tym wiedziałam. Już jako czterolatka mogłaś mieć podrapane kolana, czy rozkwaszony nos i nie płakałaś. Robiłaś to tylko wtedy, kiedy ktoś Ci nie wierzył, że mówisz prawdę – potoki łez wyrażały twoje wściekłe oburzenie.

– Powiedział pan, że wtedy pan sądził, że dzwoni jakiś akwizytor lub ktoś, kto wybierał zły numer?

– Tak. Później się zorientowałem, że Tess nie miała depresji, jak początkowo myślałem, tylko cierpiała na psychozę popołogową, popularniej zwaną poporodową.

Przytaknęłam. Odrobiłam pracę domową. Wiedziałam, że depresja popołogowa dotyczy sześciu tygodni po porodzie.

– W każdym razie – ciągnął doktor Nichols – kiedy pojąłem, że ma psychozę, zrozumiałem, że te telefony najprawdopodobniej były halucynacjami słuchowymi. Mówiąc potocznie, Tess „słyszała głosy”,

a konkretniej, dzwoniący telefon.

– Zmienił pan diagnozę, gdy znaleziono ją martwą, prawda? – zapytałam.

Dostrzegłam cień emocji na jego zmiętej twarzy, która na moment stężała. Po chwili odpowiedział.

– Tak. Może się przyda, jeśli powiem coś więcej o psychozie popołożowej. Objawy mogą obejmować paranoję, urojenia, halucynacje. Tragiczną konsekwencją jest zwiększone ryzyko popełnienia samobójstwa.

Wiedziałam to z własnych badań.

– Chcę coś wyjaśnić – powtórzyłam. – Dopiero po jej śmierci zmienił pan diagnozę z depresji na psychozę. I dopiero wtedy telefony stały się „halucynacjami słuchowymi”?

– Tak, ponieważ tego rodzaju halucynacje są objawem psychozy.

– Ona nie miała psychozy. Popołożowej, poporodowej czy jakiegokolwiek innej.

Bezskutecznie próbował mi przerwać.

– Ile razy spotkał się pan z moją siostrą?

– Psychiatria nie polega na bliskiej znajomości konkretnej osoby, jak wśród przyjaciół czy rodziny ani na długoterminowym związku terapeuty z pacjentem. Psychiatra uczy się rozpoznawać konkretne objawy zaburzeń psychicznych.

Z jakiegoś powodu miałam wrażenie, że przećwiczył tę mowę przed lustrem. Powtórzyłam swoje pytanie:

– Ile razy?

Odwrócił wzrok.

– Tylko raz. Skierowano ją do mnie, bo straciła dziecko. Wypisała się ze szpitala niemal natychmiast po porodzie, więc nie mogłem odwiedzać jej na oddziale. Miała wyznaczoną wizytę dwa dni później.

– Była pacjentką państwowej służby zdrowia?

– Tak.

– W ramach państwowej służby zdrowia na wizytę u pana czeka się cztery miesiące. Dlatego płacę za to spotkanie.

– Tess była nagłym przypadkiem. Potencjalną depresję lub psychozę popołogową załatwiamy natychmiast.

– Załatwiamy?

– Przepraszam. Chodziło o to, że takich pacjentów obsługujemy poza kolejnością.

– Ile czasu trwa taka wizyta?

– Wolałbym mieć więcej czasu na każdego pacjenta, ale...

– Na wizytę czeka się cztery miesiące, więc na pewno presja zajęcia się wszystkimi jest ogromna.

– Staram się poświęcać każdemu pacjentowi jak najwięcej czasu.

– Lecz to za mało, prawda?

Milczy przez chwilę.

– Za mało.

– Psychoza popołogowa to nagły przypadek psychiatryczny?

Chyba się zdrygnął, gdy usłyszał, że to wiem. Zrobiłam wcześniej rozeznanie.

– Zgadza się.

– Wymaga hospitalizacji?

Dobrze panował nad mową ciała – ręce trzymał przy bokach, nogi w sztruksach były lekko rozchylone – ale wiedziałam, że miał ochotę skrzyżować ręce na piersi i założyć nogę na nogę, aby fizycznie wyrazić psychiczną chęć obrony.

– Wielu psychiatrów zinterpretowałoby objawy Tess podobnie jak ja i dostrzegłoby w nich raczej wskaźniki depresji, a nie psychozy.

Bezwiednie sięgnął do jedwabistych uszu psa i pogłaskał je, jakby szukając pocieszenia.

– Diagnozę w psychiatrii stawia się znacznie trudniej, niż w innych dziedzinach medycyny. Nie pomagają nam w tym żadne prześwietlenia czy badania krwi. Nie miałem dostępu do jej karty, więc nie wiedziałem,

czy choroba miała swoją historię.

– Nie ma historii. Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

– Dwudziestego trzeciego stycznia o dziewiątej rano.

Nie zajął do kalendarza ani komputera. Przygotował się do tego spotkania. Pewnie wisiał na telefonie przez cały ranek, rozmawiając ze swoim związkiem zawodowym. Dostrzegłam w jego twarzy cień autentycznej emocji. Zastanowiłam się, czy bał się o siebie, czy też szczerze przejmował się Tobą.

– A więc widział ją pan w dniu jej śmierci? – zapytałam.

– Tak.

– I tego ranka uznał pan, że miała depresję, a nie psychozę?

Nie był już w stanie ukrywać, że próbuje się bronić. Założył nogę na nogę i skulił się.

– Wtedy nie dostrzegałem objawów sugerujących psychozę. Nic też nie wskazywało, że myślała o zrobieniu sobie krzywdy. Nic nie ostrzegało, że zamierzała odebrać sobie życie.

Miałam ochotę wyrzесzczеć do niego, że to oczywiste, ponieważ nie odebrałaś sobie życia. Ktoś zabrał Ci je brutalnie. Mój głos zabrzmiał obco spokojnie w porównaniu z krzykiem w głowie.

– Zatem to jej śmierć zmieniła diagnozę?

Nie odpowiedział. Jego zmięta twarz i sztruksy nie wydawały mi się już rozbijające, ale beznadziejnie niechlujne.

– Pański błąd nie polegał na tym, że zdiagnozował pan u niej depresję zamiast psychozy.

Próbował mi przerwać, ale kontynuowałam.

– Błąd polegał na tym, że nie wziął pan pod uwagę, że mogła mówić prawdę.

Znowu chciał mi przeszkodzić. Tobie też przerywał, gdy próbowałaś mu opowiedzieć, co się z Tobą działo? Wydawało mi się, że psychiatrzy powinni słuchać. Przypuszczam, że podczas wizyty w ośrodku państwowej służby zdrowia przyklejonym do kliniki nie ma dużo czasu

na słuchanie.

– Czy kiedykolwiek przyszło panu do głowy, że te anonimowe telefony były prawdziwe, podobnie jak mężczyzna, który śledził ją tego dnia w parku i ją zamordował? – zapytałam.

– Tess nie została zamordowana.

Jego kategoryczne trzymanie się tej wersji zdumiało mnie. Przecież morderstwo uwalniałoby go od zarzutu postawienia błędnej diagnozy. Przerwał, po czym zmusił się do wypowiedzenia słów, które niemal zadawały mu fizyczny ból.

– Tess miała halucynacje słuchowe, o których mówiłem wcześniej i możemy nie zgadzać się co do interpretacji ich, jeśli pani sobie życzy. Miała też halucynacje wzrokowe. W owym czasie uważałem je za żywe koszmary, nie będące niczym niezwykłym u pacjentki z depresją lub pogrążonej w smutku. Przeczytałem jednak jej notatki. To były halucynacje, które pominąłem. – Cień zdenerwowania, który dostrzegłam wcześniej, rozlał się na całą twarz. – Halucynacje wzrokowe to wyraźny wskaźnik ostrej psychozy.

– Co to były za halucynacje?

– Jestem winien pacjentce dyskrecję.

Wydało mi się dziwne, że nagle pomyślał o zasadzie poufności, skoro nie przeszkadzała mu w niczym aż do tej pory. Zastanowiło mnie, czy miał po temu jakiś powód, czy też był to kolejny przykład jego niekompetencji.

– Poprosiłem ją, żeby namalowała to, co widziała – ciągnął z miłym wyrazem twarzy. – Pomyślałem, że to jej pomoże. Może uda się pani znaleźć ten obraz.

Weszła sekretarka. Czas dobiegł końca, jednak ja nie wyszłam.

– Musi pan iść na policję i powiedzieć, że ma pan wątpliwości w kwestii jej psychozy popołogowej.

– Ale ja nie mam wątpliwości. Objawy były, tylko je przeoczyłem.

– Nie przez pana zginęła, ale przez pana ujdzie to na sucho jej zabójcy.

Z powodu pańskiej diagnozy nikt go nawet nie szuka.

– Beatrice...

Po raz pierwszy zwrócił się do mnie po imieniu. Dzwonek był; jest już po wizycie, więc może się spoufalić. Nie wstałam, choć on się podniósł.

– Bardzo mi przykro, ale nie mogę pomóc. Nie mogę zmienić swojego osądu, bo pani tak chce, bo pasowałoby to do pani wersji zdarzeń dotyczącej jej śmierci. Popełniłem błąd, potwornie się pomyliłem. I muszę się z tym zmierzyć.

Poczucie winy zaczęło się już przesączać do jego wypowiedzi; taka mała strużka, która przekształci się w główny wątek rozmowy. Wyglądało na to, że poczuł ulgę, że może to z siebie wyrzucić.

– Brutalne fakty są takie, że u młodej kobiety nie zdiagnozowano psychozy popołogowej, która ją nękała. Muszę wziąć na siebie część odpowiedzialności za jej śmierć.

Jakąż ironią jest to, że trudniej jest przeciwstawić się przyzwoitości, niż jej wyrachowanemu, nagannemu przeciwieństwu. Moralne wyżyny dają nadmierną pewność, nawet jeśli są niewygodne.



Za otwartym oknem pada wiosenny deszcz. Zbiera woń trawy i drzew, zanim spada na betonowy chodnik. Odczuwam niewielki spadek temperatury i najpierw czuję jego zapach, a dopiero potem go widzę. Prawie kończę opowiadać panu Wrightowi o swoim spotkaniu z doktorem Nicholsem.

– Wydawało mi się, że wierzył, że popełnił straszny błąd i był tym szczerze przerażony.

– Prosiła go pani, żeby poszedł na policję? – pyta pan Wright.

– Tak, ale utrzymywał, że jest pewien, że miała psychozę.

– Mimo że to stawiało go w złym świetle?

– Tak. Też mnie to zaskoczyło. Jednak przypisałam to źle rozumianej odwadze moralnej; przyznanie, że Tess nie miała psychozy, lecz została

zamordowana, byłoby tchórzostwem. Pod koniec naszego spotkania myślałam, że jest beznadziejnym psychiatrą, ale porządnym człowiekiem.

Robimy przerwę na lunch. Pan Wright jest umówiony, więc wychodzę sama. Na zewnątrz nadal pada.

Nigdy nie odpisałam na tamten e-mail i nie powiedziałam Ci, dlaczego naprawdę wybierałam się do psychoterapeuty. W końcu do niego poszłam. To było sześć tygodni po zaręczynach z Toddem. Myślałam, że zamążpójście zredukuje mój brak pewności siebie. Uważałam, że pierścionek zaręczynowy na palcu będzie nowym zabezpieczeniem, ale nie był. Spotykałam się z doktor Wong, inteligentną i empatyczną kobietą, która pomogła mi zrozumieć, że nietrudno jest dostrzec, dlaczego poczułam się porzucona i w konsekwencji zagrożona po odejściu taty i śmierci Leo kilka miesięcy później. Miałaś rację co do tych dwóch ran. Wysłanie mnie do szkoły z internatem w tym samym roku było ostatecznym odrzuceniem mnie.

W czasie terapii pojęłam, że mama mnie nie odrzuciła, tylko usiłowała chronić. Ty byłaś dużo młodsza, więc potrafiła osłaniać Cię przed swoim smutkiem – ze mną byłoby jej znacznie trudniej. Jak na ironię, wysłała mnie do szkoły z internatem, bo uważała, że będzie to rozwiązaniem bezpieczniejszym emocjonalnie.

Z pomocą doktor Wong zaczęłam pojmować lepiej nie tylko siebie, ale też mamę, i płytkie obwinianie jej szybko przekształciło się w trudniej osiągnięte zrozumienie.

Problem polegał na tym, że znajomość przyczyn mojego braku pewności siebie nie odczyniła wyrządzonych szkód. Coś we mnie pękło i wiedziałam już, że towarzyszyły temu dobre intencje – ozdoba spadła na kafelkową podłogę przez przypadek; nie rozbito jej celowo, ale i tak się potłukła.

Rozumiesz więc, dlaczego nie dzielam Twojego sceptycyzmu



względem psychiatrów. Zgadza się jednak, że przydaje im się artystyczna wrażliwość, a nie tylko wiedza naukowa (doktor Wong studiowała literaturę porównawczą, zanim poszła na medycynę) i że dobry psychiatra jest współczesną wersją człowieka renesansu. Kiedy Ci o tym mówię, zastanawiam się, czy szacunek i wdzięczność dla doktor Wong nie ubarwiły mojego zdania o doktorze Nicholsie; może z tego powodu uważałam, że był przyzwoitym człowiekiem.

Wracam do biura prokuratury wcześniej, niż pan Wright, który wpada pięć minut później. Wydaje się zakłopotany. Może spotkanie podczas lunchu nie przebiegło dobrze. Pewnie chodzi o Ciebie. Twoja sprawa jest ważna – pisze się o niej w gazetach, parlamentarzyści domagają się publicznego śledztwa. Pan Wright musi dźwigać na barkach ogromną odpowiedzialność, ale doskonale ukrywa presję, pod jaką się znajduje, jak też nie wywiera jej na mnie, co naprawdę doceniam. Włącza magnetofon i kontynuujemy.

– W jakim czasie po rozmowie z doktorem Nicholsem znalazła pani obrazy?

Nie musi nic precyzować. Oboje wiemy, o jakich obrazach mowa.

– Gdy tylko wróciłam do jej mieszkania, zaczęłam szukać ich w sypialni. Wyniosła z niej wszystkie meble z wyjątkiem łóżka. Nawet szafa stała w dużym pokoju, gdzie wyglądała komicznie.

Nie jestem pewna, dlaczego to powiedziałam. Może dlatego, że jeśli już musisz być ofiarą, chciałabym, żeby wiedział, że byłaś ofiarą z dziwactwami, z których niektóre irytowały Twoją starszą siostrę.

– Wzdłuż ścian stało około pięćdziesięciu płócien – ciągnę. – Większość stanowiły obrazy olejne, było też kilka na grubych deskach i kolaże. Wszystkie były duże, miały co najmniej trzydzieści centymetrów szerokości. Przejrzenie ich zabrało mi trochę czasu. Nie chciałam żadnego uszkodzić.

Twoje obrazy są oszałamiająco piękne. Czy powiedziałam Ci to kiedyś,

czy też byłam za bardzo przejęta tym, że nie zarobisz na swoje utrzymanie? Znam odpowiedź. Bałam się, że nikt nie kupi wielkich płócien w kolorach niepasujących do wystroju wnętrza, prawda? Martwiłam się, że farba była miejscami tak gruba, iż mogłaby się wykruszyć i zniszczyć czyjś dywan; nie docierało do mnie, że uczyniłaś fakturę miłą w dotyku.

Potrzebowałam około pół godziny na znalezienie obrazów, o których mówił doktor Nichols.

Pan Wright widział tylko cztery przedstawienia halucynacji, a nie Twoje wcześniejsze prace. Wydaje mi się, że najbardziej zaszokował mnie kontrast między nimi.

– Jej pozostałe obrazy były takie... – A co tam, mogę to powiedzieć – ...radosne. Piękne. To były eksplozje życia, światła i koloru.

Te cztery namalowałaś w palecie nihilistów. We wzorniku Pantone były to kolory od PMS 4625 do PMS 4715, czernie i brązy. Tematyka odrzucała patrzącego. Nie muszę wyjaśniać tego panu Wrightowi; ma w aktach zdjęcia – mogę na nie zerknąć. Choć mniejsze i ustawione do góry nogami, nadal budzą we mnie niepokój i pospiesznie odwracam od nich wzrok.

– Stały za dużym stosem. Farba obrazu z przodu brudziła tył kolejnego. Pewnie odstawiała je szybko, zanim zdążyły wyschnąć.

Musiałaś ukrywać twarz kobiety, ranę krzyczących ust, żeby móc spać? A może to ten zamaskowany mężczyzna, zmora czająca się w cieniu, niepokoił Cię najbardziej, tak, jak mnie?

– Według Todda to był dowód, że miała psychozę.

– Todda?

– To mój ówczesny narzeczonny.

Przeszkadza nam Pani Zadurzona Sekretarka, która przynosi panu Wrightowi kanapkę; najwyraźniej w porze lunchu nic nie jadł, a ona o tym pomyślała, zatroszczyła się o niego. Na mnie prawie nie patrzy i daje mi wodę mineralną. Pan Wright posyła jej szeroki, ujmujący

uśmiech.

– Dzięki, Stephanie.

Jego uśmiech się rozmazuje. W biurze robi się ciemno. Słyszę zmartwiony głos.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

Ciemność jednak spowiła biuro. Słyszę, ale nie widzę. Przytrafiło mi się to wczoraj w czasie lunchu z mamą i przyczynę upatrywałam w winie, ale dzisiaj nie mam kozła ofiarnego. Wiem, że muszę zachować spokój i mrok zniknie. Zmuszam więc pamięć do współpracy – i w tej ciemności Twoje ponure obrazy ozywają.



Płakałam, kiedy Todd wrócił; łzy spadały na obrazy i zamieniały się w krople atramentowej czerni i błotnistego brązu spływającego z płócien. Todd objął mnie ramieniem.

– To nie Tess to namalowała.

Nadzieja powróciła na chwilę; ktoś je tutaj podrzucił; to ktoś inny tak się czuł.

– Nie była sobą – ciągnął. – Nie była tą siostrą, którą znałaś. Obłąd tak właśnie robi. Zabiera człowiekowi tożsamość.

Rozzłościło mnie jego przekonanie, że coś wie o chorobie psychicznej; jakby tych kilka sesji terapeutycznych, które odbył w wieku trzynastu lat po rozwodzie rodziców czyniło go znawcą tematu.

Wróciłam do obrazów. Dlaczego je namalowałaś, Tess? To przesłanie? I czemu je schowałaś? Todd nie wiedział, że moje milczenie wypełniała nerwowa, mentalna paplanina.

– Trzeba to powiedzieć wprost, kochanie.

Nagle zrobił się taki prostacki, jakby zdecydowane bycie nie w porządku było takie męskie; jakby kreował się na Żelaznego Jana<sup>[9]</sup>. Tym razem wyczuł moją złość.

– Przepraszam. Może obłęd to zbyt ostre określenie.

W tamtej chwili w milczeniu i z wściekłością nie zgadzałam się z nim. „Psychoza” to dużo gorsze określenie, niż „obłęd”. Przecież nie można być tak psychotycznym, jak Kapelusznik czy Marcowy Zając. Żadna wesoła, lekka historyjka nie podsuwa uosobienia psychozy. Król Lear też nie był psychotykiem, kiedy odkrywał wielkie prawdy w czasie swoich majaczeń. Pomyślałam, że obłęd możemy traktować jako emocję intensywną i niepokojącą, a nawet szanować go z racji godnego rodowodu literackiego, natomiast psychoza to coś, czego należy się bać i unikać.

Teraz jednak obłędu raczej się boję, zamiast przyglądać się jego literackiemu rodowodowi. Pojmuję też, że mój wcześniejszy pogląd należał do obserwatora, a nie chorego. „O, nie pozwólcie mi oszaleć, nieba!”<sup>[10]</sup>. Utrata zmysłów, swego „ja”, rodzi rozpaczliwe przerażenie, bez względu na to, jaką etykietę się jej przypisze.

Znalazłam jakieś wytłumaczenie, żeby wyjść z domu. Todd wyglądał na rozczarowanego. Pewnie myślał, że obrazy położą kres mojemu „sprzeciwianiu się prawdzie”. Słyszałam ten zwrot w czasie jego prowadzonych cichym, zatroskanym tonem rozmów z przyjaciółmi z Nowego Jorku, które odbywał, gdy myślał, że nie słyszę. Rozmawiał o tym nawet z moim szefem. Z jego punktu widzenia Twoje obrazy miały mnie zmusić do zmierzenia się z rzeczywistością. Miałam ją przed sobą w czterech egzemplarzach, w postaci krzyczącej kobiety i mężczyzny-potwora. Psychotyczne, przerażające, piekielne wyobrażenia. Czegóż jeszcze potrzebowałam? Teraz na pewno zaakceptuję fakt, że popełniłaś samobójstwo i będę żyć dalej. Będziemy mieli to za sobą. Zajmiemy się swoim życiem. Te wyświechtane frazesy będą mogły stać się rzeczywistością.

Na zewnątrz ściemniło się, powietrze było chłodne. Początek lutego to kiepski czas na „spuszczanie pary”. Znowu szukałam w płaszczu nieobecnej tam rękawiczki. Gdybym była szczurem laboratoryjnym, źle

bym sobie radziła z uczeniem się nowych wzorców i unikaniem kar. Zastanawiałam się, czy poślizg na schodach będzie gorszy od chwycenia pokrytej śniegiem, żelaznej poręczy gołą ręką. Postanowiłam się przytrzymać i jęknęłam, gdy dotknęłam lodowatego metalu.

Wiedziałam, że nie mam prawa być zła na Todda. Na jego miejscu też bym chciała, żebym była taką osobą, jaką znał wcześniej: kimś rozsądnym i zrównoważonym, kto respektował władzę i nie wywoływał niepotrzebnych kłopotów. Sądzę jednak, że Ty jesteś zadowolona z tego, jak kłóciłam się z policjantem, nagabywałam dorosłych mężczyzn na progu ich domów i w mieszkaniach, nie zważając na autorytety, a robiłam to wszystko dla Ciebie.

Kiedy szłam ulicami śliskimi od zamarznętego błota pośniegowego, dotarło do mnie, że Todd tak naprawdę mnie nie znał. Ani ja jego. Nasz związek opierał się na grzecznościowych rozmówkach. Nigdy nie siedzieliśmy po nocach w nadziei, że wspólna rozmowa pozwoli nam odkryć połączenie umysłów. Nie wpatrywaliśmy się sobie w oczy, bo przecież, jeśli oczy są zwierciadłem duszy, byłoby niegrzecznie tam zaglądać. Zbudowaliśmy związek-obwodnicę, omijający trudne emocje i skomplikowane uczucia, aby nasze centra pozostały nieznane.

Było za zimno, by chodzić dłużej, więc wróciłam do mieszkania. Gdy dotarłam do schodów, zderzyłam się z kimś i odskoczyłam przerażona. Dopiero potem zauważyłam, że był to Amias. Wydaje mi się, że był równie przestraszony jak ja.

– Amias?

– Przepraszam. Przestraszyłem cię? Proszę...

Oświetlił schody latarką. Zauważyłam, że niósł worek ziemi.

– Dzięki.

Nagle do mnie dotarło, że przecież wynajmuję jego mieszkanie.

– Powinnam ci coś płacić za mieszkanie tutaj.

– Nie zgadzam się. Poza tym Tess opłaciła czynsz za kolejny miesiąc.

Musiał się domyślić, że mu nie wierzę.

– Poprosiłem ją, żeby mi płaciła swoimi obrazami. Picasso regulował tak rachunki w restauracjach. Namalowała mi już obrazy za luty i marzec.

Myślałam, że spędzałaś z nim czas, bo był Twoim kolejnym przybłądą, którego przygarnęłaś. On jednak ma rzadki urok, prawda? Jest w nim coś męskiego i z wyższych sfer, a równocześnie jest pozbawiony seksizmu i snobizmu; kojarzy mi się z czarno-białymi fotografiami przedstawiającymi kolej parową, z filcowymi kapeluszami i z kobietami w sukienkach w kwiaty.

– Obawiam się, że to nie jest najprzyjemniejszy lokal. Proponowałem Tess, że go odnowię, ale uznała, że ma swój charakter.

Zawstydziłam się na myśl o tym, jak zirytował mnie brak nowoczesnego wyposażenia kuchni, stan łazienki i nieszczelne okna.

Oczy przywykły mi do mroku jeszcze bardziej i zauważyłam, że wsadzał rośliny do Twoich donic. Ubrudził sobie ziemią gołe dłonie.

– Przychodziła do mnie w każdy czwartek – ciągnął. – Czasami tylko na drinka, kiedy indziej na kolację. Pewnie miała mnóstwo innych rzeczy, które wolałaby robić.

– Lubiła cię.

Dotarło do mnie, że to było prawdą. Zawsze miałaś przyjaciół, takich prawdziwych, należących do różnych pokoleń. Wyobrażałam sobie, że z wiekiem będziesz się przyjaźniła z coraz młodszymi osobami. Pewnego dnia miałaś być panią po osiemdziesiątce gawędzącą z ludźmi o dziesiątki lat od Ciebie młodszymi. Amias nie wydawał się skrepowany moim milczeniem. Miałam wrażenie, że wyczuł, kiedy moje myśli przestały dryfować. Wówczas się odezwał:

– Policja nie przejmowała się za bardzo moim zgłoszeniem o jej zaginięciu do czasu, gdy im powiedziałem o tych anonimowych telefonach. Wtedy podnieśli alarm i zaczęli działać.

Odwrócił się twarzą w stronę roślin. Staralam się wykazać grzecznością i pozwoliłam mu zakończyć bieg myśli w spokoju, zanim

spytałam:

– Czy Tess mówiła cokolwiek o tych telefonach?

– Tylko, że były nienawistne. Powiedziała mi o tym, bo wyłączyła telefon i martwiła się, że mógłbym starać się do niej dodzwonić. Miała komórkę, ale chyba ją zgubiła.

– Nienawistne? Tego słowa użyła?

– Tak. Przynajmniej tak mi się wydaje. W starości okropne jest to, że nie można już polegać na swojej pamięci. Rozpłakała się. Próbowwała się powstrzymać, ale nadaremnie. – Przerwał na chwilę i z trudem nad sobą zapanował. – Zasugerowałem, że powinna pójść na policję.

– Psychiatra Tess powiedział policji, że te telefony dzwoniły w jej głowie.

– Jej powiedział to samo?

– Tak.

– Biedna Tessie.

Nie słyszałam, by ktokolwiek tak na Ciebie mówił po tym, jak tata od nas odszedł.

– To straszne, gdy komuś nie wierzą.

– Owszem.

Odwrócił się w moją stronę.

– Słyszałem dzwoniący telefon. Zgłosiłem to policji, ale nie mogłem przysiąc, że to był jeden z anonimów. Zaraz po nim Tess poprosiła mnie, żebym zaopiekował się jej kluczem. To było na dwa dni przed jej śmiercią.

Dostrzegłam cierpienie malujące się na jego twarzy, na którą padało pomarańczowe światło latarni.

– Powinienem był naciskać, żeby poszła na policję.

– To nie twoja wina.

– Dziękuję. Jesteś bardzo miła. Zupełnie jak twoja siostra.

Zastanawiałam się, czy powiedzieć policji o kluczu, ale to i tak nic by nie zmieniło. Byłby to tylko kolejny dowód Twojej rzekomej paranoi.

– Psychiatra jest przekonany, że zwariowała. Myślisz, że była wariatką? Po śmierci dziecka, naturalnie – spytałam.

– Nie. Była bardzo zmartwiona i przerażona. Lecz nie była szalona.

– Policja też uważa, że zwariowała.

– A czy ktokolwiek z policji kiedykolwiek ją spotkał?

Dalej wsadzał w ziemię cebulki kwiatów swoimi starymi rękami o skórze cienkiej jak papier, powykręcany przez artretyzm. Pewnie bolały go z zimna. Pomyślałam, że w taki sposób radzi sobie ze smutkiem – sadił cebule wyglądające na martwe, z których wiosną wyrosnie cudem kwiat. Przypomniało mi się, jak po śmierci Leo Ty i mama spędzałyście mnóstwo czasu w ogrodzie. Dostrzegałam ten słaby związek.

– To jest odmiana King Alfred – odezwał się. – Jej ulubione żonkile o silnie żółtym odcieniu. Powinno się je sadić jesienią. Wschodzą za około sześć tygodni, więc jest szansa, że zakwitną tej wiosny.

Nawet ja wiedziałam, że nie należy wsadzać cebul do zamarzniętej ziemi. Z jakiegoś powodu myśl, że z cebulek Amiasa nie wyrosną kwiaty, rozwścieczyła mnie.

Tak gwoli wyjaśnienia: owszem, na początku podejrzewałam nawet Amiasa. Podejrzewałam wszystkich. Ale gdy tak sadił żonkile, wszelkie podejrzenia względem niego wydały mi się absurdalne. Przepraszam, że w ogóle przyszło mi to do głowy.

Amias uśmiechnął się do mnie.

– Powiedziała mi, że naukowcy wprowadzili geny żonkili do genotypu ryżu i w ten sposób powstał ryż z witaminą A. Niesamowite.

Też mi o tym mówiłaś.

– *Dzięki witaminie A żonkile są żółte. Czyż to nie jest niezwykle, Bee?*

– *Przypuszczam, że tak.*

*Próbowałam się skupić na szkicach przygotowanych przez mój zespół projektantów w związku z tworzeniem nowego logo dla firmy*



*rozprowadzającej olej i z rozdrażnieniem zauważyłam, że zaproponowali PMS 683, wykorzystany już w logo konkurencji. Nie wiedziałaś, że w mojej głowie toczy się jeszcze inna rozmowa.*

*– Tysiące dzieci traciły wzrok z powodu braku witaminy A w ich diecie. Teraz, dzięki nowemu ryżowi, wszystko będzie w porządku.*

*Przez chwilę nie myślałam o logo.*

*– Dzieci będą widziały dzięki żółci żonkili.*

Wydaje mi się, że dostrzegłaś cudowność w tym, że kolor mógł uratować ludziom wzrok. Uśmiechnęłam się do Amiasa i sądzę, że w tym momencie oboje wspominaliśmy Cię w ten sam sposób: Twój entuzjazm dla życia, mnóstwo możliwości i codziennych cudów.



Znowu zaczynam normalnie widzieć i w miejsce ciemności pojawia się jasność. Cieszę się, że uszkodzonego oświetlenia nie da się wyłączyć i że przez wielkie okno wpada do środka wiosenne słońce. Pan Wright patrzy na mnie z troską.

– Jest pani bardzo blada.

– Nic mi nie jest, naprawdę.

– Musimy przerwać, bo mam spotkanie.

Może i tak. Bardziej prawdopodobne jest, że martwi się o mnie.

Pan Wright wie, że jestem chora i sądzę, że to na jego polecenie sekretarka dba o to, abym zawsze miała wodę mineralną. Z tego samego powodu kończy dzisiejszą sesję wcześniej. Jest na tyle wrażliwy, by wyczuć, że nie chcę rozmawiać o swoich problemach fizycznych; jeszcze nie teraz, nie do chwili, gdy będę musiała.

Już się zorientowałaś, że miewam się nie najlepiej, prawda? I zastanawiałaś się, dlaczego nie powiedziałam Ci o tym nic więcej. Musiałaś pomyśleć, że to niedorzeczne, iż wstawiłam się wczoraj lampką wina do tego stopnia, że urwał mi się film. Nie próbowałam Cię oszukać.

Po prostu przed samą sobą nie chciałam się przyznać do swojej słabości. Muszę być silna, żeby przejść przez te zeznania. Muszę przez nie przejść.

Chcesz wiedzieć, przez co się rozchorowałam i powiem Ci o tym, kiedy dotrzemy do tego etapu opowieści – w którym Twoja historia staje się też moją. Do tego czasu będę się starała nie myśleć o przyczynach, bo moje tchórzliwe myśli podkulają ogon pod siebie i uciekają od tematu.

Rycząca muzyka przerywa mój monolog. Jestem blisko naszego mieszkania i przez odsłonięte okna widzę, jak Kasia tańczy do „Złotych przebojów lat siedemdziesiątych”. Dostrzega mnie i chwilę później stoi przy drzwiach. Chwyta mnie za rękę i nawet nie pozwala mi zdjąć płaszcza. Próbuje nakłonić mnie do tańca. Zawsze to robi. „Taniec bardzo dobry dla ciała”. Dzisiaj nie jestem w stanie, więc wykręcam się, siadam na kanapie i patrzę. Kiedy tak tańczy z promieniejącą, spoconą twarzą i śmieje się, że dziecko jest zachwycone, wydaje się taka błogo nieświadoma problemów, z jakimi będzie musiała się zmierzyć jako bezrobotna Polka i samotna matka.

Na górze Amias stuka nogą w podłogę w rytm muzyki. Gdy usłyszałam to po raz pierwszy, myślałam, że prosi nas o ściszenie muzyki. Chodzi jednak o to, że ta muzyka mu się podoba. Twierdzi, że było tu tak cicho, zanim Kasia się wprowadziła. Wreszcie udaje mi się przekonać zadyszana dziewczynę, by przestała tańczyć i zjadła coś ze mną.

Kasia ogląda telewizję. Daję Pudding miskę mleka, po czym biorę konewkę i idę to Twojego ogródka. Zostawiam uchylone drzwi, żeby cokolwiek widzieć. Już zaczęło się robić ciemno i chłodno. Wiosenne słońce nie jest wystarczająco mocne, by nagrzać powietrze na długo. Przez ogrodzenie widzę, że sąsiedzi na takim samym podwórku mają trzy kosze na śmieci na kółkach. Podlewając martwe rośliny i gołą ziemię zastanawiam się, jak zwykle, dlaczego to robię. Twoi sąsiedzi muszą myśleć, że zwariowałam. Też tak uważam. Wtem, jak za

dotknięciem czarodziejskiej różdżki, dostrzegam malutkie, zielone pędy wśród martwych gałązek. Czuję przypływ podniecenia i zdumienia. Otwieram szeroko kuchenne drzwi, by oświetlić malutki ogródek. Ze wszystkich martwych roślin wyrastają zielone pędy. Dalej z szarej ziemi wystaje kępka ciemnoczerwonych liści – to peonie, które znowu zakwitną latem swym bujnym pięknem!

Wreszcie rozumiem Twoje i mamy zamiłowanie do ogrodnictwa. To jest sezonowy cud – całe to zdrowie, wzrost, nowe życie, odrodzenie. Nic dziwnego, że politycy i religie przywłaszczają sobie wiosenne obrazy. Tego wieczoru też wykorzystuję ten widok na swoje potrzeby i pozwalam sobie mieć nadzieję, że śmierć nie musi oznaczać końca, że gdzieś tam, jak w ukochanych *Opowieściach z Narnii* Leo, jest niebo, w którym biała czarownica ginie, a posągi ożywają. Dzisiaj nie wydaje się to takie niewyobrażalne.

---

[9] Nawiązanie do książki Roberta Bly'ą *Żelazny Jan*.

[10] William Shakespeare, *Król Lear*, akt I, scena V; tłum. Stanisław Barańczak.

## ROZDZIAŁ 9

### *Piątek*

Chociaż jest późno, idę do biura prokuratury powoli. Są trzy rzeczy, o których mówi mi się szczególnie trudno. Pierwszą mam już za sobą – znalezienie Twojego martwego ciała – a kolejną tuż przed sobą. To brzmi trywialnie – rachunki. To wszystko, ale ich skutki były druzgocące. Gdy idę tak ślamazarnie, słyszę głos mamy, która mi mówi, że jest już za dziesięć dziewiąta i że się spóźnimy. „Pospiesz się, Beatrice”. Wtem przemykasz na swoim rowerze. Przywiązałaś tornister do kierownicy, oczy Ci błyszczą, a przechodnie uśmiechają się do Ciebie, gdy lawirujesz między nimi, zostawiając za sobą podmuch świeżego powietrza. „Nie mamy całego dnia, Beatrice”. Wiedziałaś, że mamy i cieszyłaś się każdą chwilą.

Docieram do biura pana Wrighta. Nie komentuje mojego spóźnienia i wręcza mi styropianowy kubek z kawą, którą pewnie kupił w automacie przy windzie. Jestem mu wdzięczna za jego troskliwość. Wiem, że pomniejszą przyczyną tego, że ociągam się z opowiedzeniem kolejnego epizodu jest to, że nie chcę, aby źle o mnie myślał.



Usiedliśmy z Toddem przy stole o blacie z laminatu. Przed nami leżała Twoja korespondencja. Porządkowanie papierów działało na mnie dziwnie kojąco. Zawsze robiłam sobie listy, a stos pism do Ciebie

świetnie nadawał się do tego, by odhaczać poszczególne pozycje. Zaczęliśmy od czerwonych upomnień, po czym zajęliśmy się mniej pilnymi rachunkami. Podobnie jak ja, Todd świetnie sobie radzi z biurokracją życia. Kiedy tak razem pracowaliśmy, po raz pierwszy od przyjazdu do Londynu czułam się z nim związana. Przypomniało mi się, dlaczego byliśmy razem i jak małe, codzienne sprawy tworzyły most między nami. Nasz związek opierał się na praktycznych aspektach, a nie namiętności, niemniej nadal ceniłam te łączące nas drobiazgi. Todd poszedł do Amiasa porozmawiać o „umowie najmu”, mimo że powiedziałam mu, iż wątpię, że coś takiego istnieje. Zauważył, rozsądnie zresztą, że nie będziemy wiedzieli na pewno, jeśli nie zapytamy.

Drzwi zamknęły się za nim, a ja otworzyłam kolejny rachunek. Po raz pierwszy od Twojej śmierci czułam się tak odprężona. Mogłam nawet pomyśleć o zaparzeniu sobie kawy i włączeniu radia. To był cień normalności i przez krótką chwilę mogłam sobie wyobrazić czas bez żałoby.



Opłacałam jej rachunki telefoniczne ze swojej karty kredytowej. Odkąd zgubiła komórkę, płaciłam za telefon stacjonarny co miesiąc. To był prezent urodzinowy ode mnie. Uznała, że jestem zbyt hojna, ale robiłam to też dla siebie.

Powiedziałam Ci, że chcę mieć pewność, że będziesz mogła do mnie dzwonić i rozmawiać ze mną tak długo, jak zechcesz, bez martwienia się o rachunki. Nie wyjawiałam Ci natomiast, że chciałam mieć pewność, że jeśli ja zapragnę zadzwonić do Ciebie, nie natknę się na odłączony przez operatora telefon.

– Ten rachunek opiewał na wyższą kwotę, niż rachunki z poprzednich miesięcy. Dołączono do niego billing, więc postanowiłam go przejrzeć. – Mówię coraz wolniej. – Zobaczyłam, że dwudziestego pierwszego stycznia dzwoniła do mnie o trzynastej, czyli ósmej rano czasu

nowojorskiego. Wtedy jechałam metrem do pracy. Nie wiem, skąd wzięło się kilkusekundowe połączenie. – Muszę to z siebie wyrzucić za jednym zamachem, bo nie będę w stanie znowu zacząć. – Tego dnia urodziła Xaviera. Pewnie dzwoniła, gdy jechała rodzić.

Milknę tylko na chwilę. Nie patrzę na pana Wrighta i ciągnę:

– Po raz kolejny zadzwoniła o dwudziestej pierwszej, czyli o szesnastej czasu nowojorskiego.

– Osiem godzin później. Jak pani myśli, skąd tak długa przerwa?

– Nie miała telefonu komórkowego, więc gdy udała się do szpitala, nie mogła do mnie zadzwonić. Poza tym, to nie była pilna sprawa. To znaczy, i tak nie zdążyłabym tu przyjechać na czas porodu.

Mówię już tak cicho, że pan Wright musi nachylać się w moją stronę, by cokolwiek usłyszeć.

– Po raz drugi zadzwoniła pewnie po powrocie do domu. Chciała mi powiedzieć o Xavierze. Rozmowa trwała dwanaście minut i dwadzieścia sekund.

– Co powiedziała?

W ustach nagle robi mi się sucho. Brakuje mi śliny, bym mogła mówić. Pociągam łyk kawy, ale nadal czuję suchość.

– Nie rozmawiałam z nią.



– Pewnie nie było cię w biurze, kochanie. Albo wyszłaś na jakieś spotkanie – powiedział Todd.

Wrócił od Amiasa, pełen niedowierzania, że opłacałaś czynsz obrazami. Zobaczył, że płaczę.

– Byłam w biurze.

Wróciłam do biura z dłuższego niż oczekiwałam spotkania w dziale projektów. Trish powiedziała mi, że czekasz na rozmowę ze mną, ale szef chciał mnie widzieć. Poprosiłam Trish, żeby Cię zawiadomiła, że oddzwonię. Wydaje mi się, że przykleiłam karteczkę z przypomnieniem

do ekranu monitora. Pewnie dlatego zapomniałam, bo gdy coś już zapiszę, nie muszę o tym pamiętać. Nie mam jednak wytłumaczenia. Żadnego.

– Nie odebrałam telefonu i zapomniałam do niej oddzwonić.

W moim głosie dało się wyczuć wstyd.

– Dziecko urodziło się trzy tygodnie przed terminem. Nie mogłaś tego przewidzieć.

Powinnam była.

– Dwudziestego pierwszego stycznia dostałaś awans – ciągnął Todd. – To naturalne, że myślałaś o czymś innym.

Mówił prawie wesoło. Znalazł dla mnie wytłumaczenie.

– Jak mogłam zapomnieć?

– Nie powiedziała, że to ważne. Nawet nie zostawiła dla ciebie wiadomości.

Oczyszczenie mnie z zarzutów oznaczało zrzucenie odpowiedzialności na Ciebie.

– Nie musiała mówić, że to ważne. I jaką wiadomość mogła zostawić sekretarce? Że jej dziecko nie żyje? – warknęłam.

Próbowałam zrzucić trochę winy na niego. Ale leży ona tylko po mojej stronie i nie mam się z kim nią dzielić.



– Wtedy pojechała pani do Maine? – pyta pan Wright.

– Tak. Dowiedziałam się w ostatniej chwili. To były kilkudniowe wakacje. Dziecko miało się urodzić za trzy tygodnie. – Gardzę sobą w związku z tą żalowaną próbą ratowania twarzy. – Z billingu wynikało, że na dzień przed jej śmiercią i rano tego dnia dzwoniła do mnie do biura i mieszkania piętnaście razy.

Widziałam kolumnę numerów. Moich numerów. Każdy z nich symbolizował, że Cię opuściłam. Każdy mnie oskarżał.

– Gdy dzwoniła, czekała po kilka sekund.

Do czasu, gdy zgłaszała się automatyczna sekretarka. Powinnam była zostawić wiadomość, że wyjechaliśmy. Nie zrobiłam tego, nie dlatego, że był to spontaniczny wyjazd, ale dlatego, że nie chcieliśmy ryzykować. „Nie ogłaszajmy wszem i wobec, że nas nie ma”. Nie pamiętam, czy to były słowa moje, czy Todda.

Pewnie przypuszczałaś, że niebawem wrócę, dlatego nie zostawiałaś wiadomości. A może nie byłaś w stanie wygłosić tych potwornych wieści, nie słysząc najpierw mojego głosu.

– Bóg jeden wie, ile razy próbowała dodzwonić się na moją komórkę. Wyłączyłam ją, bo w miejscu, w którym mieszkaliśmy, nie było zasięgu.

– Próbowała pani do niej dzwonić?

Chyba zadaje to pytanie z uprzejmości.

– Tak. W naszym domku nie było telefonu stacjonarnego, więc mogłam do niej dzwonić tylko wtedy, gdy chodziliśmy do restauracji. Próbowałam kilkakrotnie, ale jej numer był zajęty. Myślałam, że gawędzi z przyjaciółmi albo wyłączyła telefon, żeby skupić się na malowaniu.

Nie mam usprawiedliwienia. Powinnam była odebrać. A skoro nie odebrałam, powinnam przynajmniej oddzwonić jak najszybciej. I dzwonić tak długo, aż uzyskałabym połączenie. A gdyby mi się to nie udało, powinnam kogoś poprosić, żeby sprawdził, czy wszystko w porządku, po czym polecieć do Londynu.

W ustach robi mi się tak sucho, że nie mogę mówić. Pan Wright wstaje.

– Przyniosę szklanek wody.

Gdy drzwi za nim się zamykają, podnoszę się i chodzę po pokoju, jakbym mogła zostawić poczucie winy za sobą. Ono jednak podąża za mną – ohydny cień.

Wcześniej uważałam, że liczę się z innymi i jestem troskliwa. Skrupulatnie pilnowałam dat urodzin (co roku przepisywałam je do aktualnego kalendarza); natychmiast wysyłałam kartki z podziękowaniami (kupowałam gotowe, które czekały na właściwy



moment na dnie szuflady biurka). Numery w Twoim billingu pokazywały, że wcale nie byłam troskliwa. Pamiętałam o drobiazgach dnia codziennego, ale w przypadku rzeczy ważnych byłam samolubna i dopuszczałam się okrutnych zaniedbań.

Słyszę Twoje pytanie, domagające się odpowiedzi. Dlaczego, kiedy sierżant Finborough powiedział mi o Twoim dziecku, nie domyśliłam się, z jakiego powodu nie mogłaś mnie o tym powiadomić? Dlaczego skupiłam się na tym, że nie zwróciłaś się do mnie, zamiast zrozumieć, że to ja Ci to uniemożliwiłam? To dlatego, że myślałam, iż nadal żyjesz. Nie wiedziałam, że Cię zamordowano, zanim dotarłam do Londynu. Później, gdy znaleziono Twoje ciało, nie umiałam myśleć logicznie. Nie potrafiłam uszeregować dat.

Nie umiem sobie wyobrazić, co o mnie myślisz. (Nie umiem, czy nie śmiem?). Musisz być zaskoczona, że nie zaczęłam tego listu do Ciebie od przeprosin, a następnie wyjaśnień umożliwiających Ci zrozumienie mojego zaniedbania. Prawdą jest, że zabrakło mi odwagi i odkładałam to na później tak długo, jak mogłam. Wiedziałam, że nie mogę przywołać żadnego wytłumaczenia.

Tess, zrobiłabym wszystko, żeby tylko mieć drugą szansę. Lecz, inaczej niż w bajkach, nie mogę minąć drugiej gwiazdy na prawo i wlecieć przez okno, by znaleźć Cię żywą w Twoim łóżku. Nie mogę pożeglować kilka tygodni wstecz i wrócić do swojej sypialni, gdzie czeka na mnie gorąca kolacja i jest mi wybaczone. Nie ma nowego początku. Drugiej szansy.

Zwróciłaś się do mnie, a mnie nie było.

Nie żyjesz. Gdybym odebrała Twój telefon, żyłabyś.

Taka jest brutalna prawda.

Przepraszam.

## ROZDZIAŁ 10

Pan Wright wraca do gabinetu ze szklanką wody dla mnie. Przypomina mi się, że jego żona zginęła w wypadku samochodowym. Może to była jego wina; może prowadził po alkoholu lub na chwilę się zdekoncentrował – mojemu poczuciu winy ulżyłoby, gdyby miało towarzystwo. Nie mogę zapytać. Wypijam wodę, a on włącza magnetofon.

– Wiedziała pani, że Tess się do pani zwróciła?

– Tak.

– Jak też, że przez cały czas miała pani rację?

– Tak.

Moje poczucie winy ma drugą stronę. Zwróciłaś się do mnie po pomoc, byłyśmy zżyte, znałam Cię, dlatego też mogłam być całkowicie pewna, że się nie zabiłaś. Czy moja pewność się zachwiała? Trochę. Kiedy sądziłam, że nie powiedziałaś mi o dziecku; kiedy pomyślałam, że nie szukałaś u mnie pomocy, gdy byłaś przerażona. Wtedy zakwestionowałam naszą bliskość i zastanawiałam się, czy w ogóle Cię znałam. Cicho, na osobności, zadałam sobie pytanie, czy naprawdę ceniłaś życie na tyle wysoko, by go nie zakończyć. Odpowiedzią, choć bolesną, był Twój telefon do mnie – to było zdecydowane tak.



Następnego dnia obudziłam się jeszcze w nocy. Pomyślałam, że zażyję tabletkę nasenną, aby uciec od poczucia winy i smutku, lecz nie mogłam

być aż takim tchórzem. Wstałam ostrożnie, żeby nie obudzić Todda i wyszłam na zewnątrz w nadziei, że ucieknę przed własnymi myślami albo przynajmniej zdołam choć przez chwilę zająć się czymś innym.

Gdy otworzyłam drzwi, zobaczyłam Amiasa naciągającego torby na doniczki. Przyświecał sobie latarką. Musiał mnie zauważyć w progu.

– Niektóre pękły w nocy – powiedział. – Muszę je zabezpieczyć, zanim narobi się więcej szkód.

Przypomniało mi się, jak niedawno wsadzał cebule żonkili w zmarzniętą ziemię. Cebulki nie miały szans od samego początku. Nie chciałam go martwić, nie zamierzałam też wypowiadać się w kwestii skuteczności jego szklarni z torebek. Zmieniłam temat.

– O tej porze jest tak cicho.

– Poczekaj do wiosny. Wtedy panuje tu niezły harmider.

Musiałam wyglądać na zdziwioną, bo wyjaśnił:

– Poranne trele. Nie wiem, dlaczego ptaki upodobały sobie tę ulicę. Z jakiegoś im tylko znanego powodu tak jest.

– Nigdy nie rozumiałam, o co chodzi z tymi porannymi trelami.

Podtrzymałam rozmowę, by poprawić mu humor, czy uciec przed myślami?

– Ich pieśni służą przyciąganiu partnerów i zaznaczaniu terytorium – odparł Amias. – Jaka szkoda, że ludzie nie potrafią robić tego samego za pomocą muzyki, prawda?

– Owszem.

– Wiedziałaś, że mają ustaloną kolejność? Zaczynają kosy, potem są rudziki, strzyżyki, puszczyki, zięby, gajówki, drozdy. Kiedyś były też słowiki.

Kiedy opowiadał mi o ptasich trelach, wiedziałam już, że znajdę osobę, która Cię zamordowała.

– Czy wiedziałaś, że słowik może wyśpiewywać do trzystu miłosnych pieśni?

To był mój cel. Nie było już czasu na wypadki w krainę poczucia winy.

– Jakiś muzyk odtworzył pieśń skowronka w zwolnionym tempie i odkrył podobieństwa z piątą symfonią Beethovena.

Byłam Ci to winna jeszcze bardziej, niż przedtem. Muszę doprowadzić do tego, by sprawiedliwości stało się zadość.

Amias opowiadał mi o muzycznych cudach porannych treli, a ja zastanawiałam się, czy wiedział, jaką mi niósł pociechę. Prawdopodobnie tak. Pozwolił mi myśleć, ale nie w samotności. Oferował kojącą melodię stanowiącą tło dla ponurych myśli. Staralam się usłyszeć ptasie śpiewy, ale nie było ich. W tej ciszy i ciemności trudno było sobie wyobrazić wiosenny świt wypełniony ptasim świergoleniem.

O 9.00 podniosłam słuchawkę i wybrałam numer sierżanta Finborougha.

– Proszę z sierżantem Finboroughem. Mówi Beatrice Hemming.

Na wpół śpiący Todd spojrział na mnie zdeprymowany i zirytowany.

– Co robisz, kochanie?

– Mam prawo otrzymać kopię raportu koronera. W tym mnóstwie papierów, które dała mi funkcjonariuszka Vernon, była informująca o tym ulotka.

Byłam zbyt bierna; zbyt łatwo akceptowałam to, co mi mówiono.

– Kotku, tylko marnujesz czas wszystkich.

Nie powiedział, że to „strata czasu”; podkreślił, że to ja marnuję czas kogoś innego, kogoś, kogo nawet nie znał. Podobnie jak ja, zawsze wie, kiedy jest dla kogoś uciążliwy. Niegdyś też zwracałam na to uwagę.

– Dzień przed śmiercią dzwoniła do mnie co godzinę. Bóg jeden wie, ile razy dzwoniła na komórkę. Tego samego dnia poprosiła Amiasa, żeby zaopiekował się jej dodatkowym kluczem, bo bała się go zostawić pod doniczką.

– Może zaczęła się przejmować podstawowymi zasadami bezpieczeństwa.

– Nie. Amias powiedział, że tego dnia odebrała jeden z tych telefonów.

W dniu swojej śmierci zadzwoniła do mnie o dziesiątej. Pewnie wróciła wtedy od psychiatry. Dzwoniła co pół godziny do trzynastej trzydzieści, kiedy to wyszła na pocztę i na spotkanie z Simonem w Hyde Parku.

– Kochanie...

– Powiedziała psychiatrze, że się bała. Simon też powiedział, że szukała opieki przez całą dobę, że była „śmiertelnie przerażona” i że widziała, jak ktoś ją śledził w drodze do parku.

– Tak mówiła, ale miała przecież popołogową...

Sierżant Finbouroug odebrał telefon i przeszkodził nam. Powiedziałam mu o Twoich licznych telefonach do mojego biura i mieszkania.

– Musi się pani z tym czuć okropnie. Może nawet czuje się pani odpowiedzialna.

Zaskoczyła mnie uprzejmość w jego głosie, chociaż nie wiem, dlaczego. Zawsze był dla mnie miły.

– Nie wiem, czy to jest dla pani jakimś pocieszeniem – ciągnął – ale z tego, co mówił psychiatra, wynika, że i tak doprowadziłaby sprawę do końca, nawet gdyby pani z nią porozmawiała.

– Doprowadziła do końca?

– Te telefony to pewnie było wołanie o pomoc. Co nie znaczy, że ktokolwiek zdołałby jej pomóc, nawet bliska rodzina.

– Potrzebowała pomocy, bo jej grożono.

– Z pewnością tak się czuła. W świetle wszystkich faktów te telefony nie zmieniają jednak naszej opinii, że popełniła samobójstwo.

– Chciałabym zobaczyć kopię raportu koronera.

– Na pewno chce pani przez to przechodzić? Przekazałem pani podstawowe informacje...

– Mam prawo przeczytać raport.

– Naturalnie. Obawiam się jednak, że będzie to dla pani przygnębiające.

– To ja powinnam podjąć decyzję, nie sądzi pan?

Poza tym widziałam, jak z nieczynnej toalety wnoszono Twoje ciało w worku i po tym doświadczeniu uznałam, że „przygnębiające” będzie określeniem, z którym relatywnie łatwo się żyje. Sierżant Finborough niechętnie się zobowiązał, że zwróci się do koronera o przysłanie mi kopii.

Gdy odłożyłam słuchawkę, zobaczyłam wpatrującego się we mnie Todda.

– Co masz nadzieję osiągnąć?

W jego słowach dostrzegłam małostkowość naszego związku. Łączyły nas sztuczne więzy kwestii drobnych i przyziemnych, ale ogrom Twojej śmierci rozrywał te wątle nici. Powiedziałam, że muszę iść do szpitala świętej Anny. Poczulałam ulgę, że mam powód, by opuścić mieszkanie i przerwać kłótnię, której jeszcze nie byłam gotowa odbyć.



Pan Wright sięga do leżących przed nim akt po jedną z wypchanych teczek oznaczonych jakimś kodem, którego jeszcze nie rozgryzłam. Na każdej wypisano odręcznie „Beatrice Hemming”. Podoba mi się to niedbałe pismo widniejące obok cyfr; dzięki temu myślę o wszystkich ludziach stojących za kulisami produkcji sprawiedliwości. Ktoś napisał na aktach moje nazwisko; może to ta sama osoba, która stuka na maszynie, bzyczącej w tle niczym wielki komar.

– Co pani myślała wówczas o sierżancie Finborough? – pyta pan Wright.

– Że był inteligentny i uprzejmy. Frustrowało mnie to, że nie mogłam zrozumieć, dlaczego telefony Tess do mnie mogły być interpretowane jako „wołanie o pomoc”.

– Poszła pani wtedy do szpitala?

– Tak. Chciałam zorganizować pochówek Xaviera z Tess.

Byłam Ci winna nie tylko sprawiedliwość, ale też pogrzeb, jakiego byś sobie życzyła.

Zadzwoiłam do szpitala o 6.30, telefon odebrała lekarka, mimo wczesnej pory pełna zrozumienia. zaproponowała, żebym przyszła później, kiedy szpital „jest otwarty”.

W drodze do szpitala podłączyłam telefon do zestawu głośnomówiącego i zadzwoniłam do ojca Petera, nowego proboszcza mamy, który miał prowadzić nabożeństwo żałobne. Mgliście pamiętałam z zajęć przed pierwszą komunią, że samobójstwo to grzech (Nie przechodzisz przez „START”. Nie otrzymujesz 200 £! Idź prosto do piekła!). Zaczęłam od agresywnej obrony:

– Wszyscy myślą, że Tess odebrała sobie życie. Ja tak nie uważam. Nawet jeśli to zrobiła, nie powinna być osądzana. – Nie dałam ojcu Peterowi szansy na reakcję. – Jej dziecko należy pochować razem z nią. Nie powinno się jej oceniać.

– Już nie chowamy samobójców na skrzyżowaniu dróg, słowo – odpowiedział proboszcz. – To oczywiste, że dziecko powinno spocząć razem z nią

Pomimo łagodności w jego głosie, nadal byłam podejrzliwa.

– Czy mama powiedziała panu, że będę dzwoniła?

– Maria też nie była mężatką.

Byłam zupełnie zaskoczona i nie miałam pewności, czy to był żart.

– To prawda – zgodziłam się. – Była jednak dziewicą. No i matką Boga.

Usłyszałam jego śmiech. Po raz pierwszy od chwili Twojej śmierci kogoś rozbawiłam.

– Moim zadaniem nie jest ocenianie ludzi. Księża mają uczyć ludzi miłować innych i wybaczać. To jest, według mnie, esencją chrześcijaństwa. Jak też dążenie do odkrycia, że miłość i zdolność wybaczenia sobie i innym codziennie powinny być naszym celem.

Zanim umarłaś, jego mowa wydawała mi się w złym guście. Wielkie Rzeczy wzbudzają zakłopotanie; lepiej ich unikać. Od chwili Twojej

śmierci wolę znaczące rozmowy. Odrzucimy wszystko z pozorów i dotrzyjmy do sedna. Miejmy emocje i przekonania, nie ukrywajmy ich za grzecznościowymi rozmówkami.

– Czy chce pani coś powiedzieć w czasie mszy?

– Nie. Zostawiam to mamie. Powiedziała, że chce to zrobić.

Czy tak? A może tylko chciałam to od niej usłyszeć?

– Zechce pani coś dodać?

– Prawda jest taka, że w ogóle nie chcę jej chować. Tess była wolnym duchem. Wiem, że to brzmi banalnie, ale nie potrafię jej inaczej opisać. Nie chodzi mi o to, że nie ulegała konwenansom, choć to prawda. Mam jednak na myśli to, że gdy myślę o niej teraz, wyobrażam ją sobie jak szybuje po niebie. Jej środowiskiem jest powietrze, nie ziemia. I nie mogę znieść myśli o zakopaniu jej pod ziemią.

Po raz pierwszy rozmawiałam tak o Tobie z kimś innym. Te słowa pochodziły z jakiejś warstwy położonej pod wieloma innymi. Przypuszczam, że księża często słyszą takie wynurzenia. Mają dostęp do głębokich myśli, gdzie można znaleźć wiarę, jeśli ona istnieje. Ojciec Peter milczał, ale wiedziałam, że słucha. Gdy mijałam Tesco, kontynuowałam naszą osobliwą rozmowę.

– Wcześniej nie rozumiałam idei stosów pogrzebowych, ale teraz ją pojmuję. Palenie ciała kogoś, kogo się kocha, jest koszmarem, ale widok dymu unoszącego się ku niebu wydaje mi się teraz piękny. Chciałabym, żeby Tess była w niebie. Gdzieś, gdzie jest obecny kolor, światło i powietrze.

– Rozumiem. Obawiam się jednak, że nie możemy zbudować stosu. Może powinny panie pomyśleć o kremacji? – mówił lekkim tonem, co mi się podobało.

Przypuszczam, że śmierć i pogrzeby były w jego pracy na porządku dziennym. Zachowywał szacunek, ale nie chciał, żeby świadomość tego wpływała na tok jego rozmowy.

– Myślałam, że katolicy nie mogą poddawać ciał kremacji. Mama



mówiła, że według kościoła jest to pogański zwyczaj.

– Tak było niegdyś. Dawno temu. Warunkiem jest wiara w to, że zostaniemy wskrzeszeni.

– Chcę w to wierzyć. – Też chciałam powiedzieć to lekkim tonem, ale zabrzmiało dość rozpaczliwie.

– Może panie jeszcze to przemyślą? Proszę zadzwonić, gdy zapadnie decyzja, a nawet tylko po to, by porozmawiać na ten temat.

– Dobrze. Dziękuję.

Kiedy ustawiałam wynajęty samochód na podziemnym parkingu szpitala, myślałam o tym, że zabiorę Twoje prochy do Szkocji na górę porośniętą fioletowym wrzosem i żółtym kolcolistem. Wdrapię się na szczyt wyrastający ponad najniższą warstwę chmur i w zimnym powietrzu rozrzucę Cię na wietrze. Wiedziałam jednak, że mama nigdy nie zgodzi się na kremację.

Byłam już kiedyś w szpitalu św. Anny, ale został odnowiony nie do poznania – pojawił się błyszczący hol, wielkie artystyczne instalacje i kawiarnia. W żadnym innym szpitalu, w którym byłam, nie miałam wrażenia, że należy on do świata na zewnątrz. Przez duże szklane drzwi widziałam przechodniów robiących zakupy. Hol był zalany naturalnym światłem i unosiła się w nim woń palonych ziaren kawy i nowych lalek właśnie wyjętych z pudełek, które wyciągnięto spod choinki (może nowiutkie krzesła w kawiarni zrobiono z takiego samego plastiku, jak lalki).

Wjechałam windą na czwarte piętro, jak mi kazano i ruszyłam w stronę oddziału położniczego. Blask nie sięgał tak daleko; odór środków dezynfekujących i strachu stłumił zapach kawy i nowych lalek (a może tylko my go wyczuwamy ze względu na Leo?). Nie było tam okien, tylko świetlówki odbijające się w linoleum; nie było też zegarów. Znalazłam się w świecie szpitalnym, w którym nie ma pogody i czasu, i gdzie nieprzewidziany ból, choroba i śmierć stawały się rzeczywistością

w duchu kafkowskim. Dostrzegłam znak, żądający, bym umyła ręce specjalnym żelem – teraz woń szpitalna przeszła na moją skórę i zmatowiła blask brylantu mojego zaręczynowego pierścionka. Na dzwonek domofonu przy zamkniętych drzwiach oddziału zareagowała kobieta po czterdziestce; kręcone, rude włosy spięła spinaczem do papieru; wyglądała na kompetentną i zmęczoną.

– Dzwoniłam do państwa. Beatrice Hemming.

– Oczywiście. Cressida, starsza położna. Doktor Saunders, położnik, czeka na panią.

Zaprowadziła mnie na oddział poporodowy. Zza ścian dobiegał płacz dzieci. Nigdy wcześniej nie słyszałam płaczu dzieci po kilku godzinach od narodzin – jedno z nich płakało rozpaczliwie, jakby zostało porzucone. Starsza położna wprowadziła mnie do pokoju dla odwiedzających. W jej głosie brzmiała zawodowa troska:

– Przykro mi z powodu siostrzeńca.

Przez moment nie wiedziałam, o kim mówi. Nigdy nie zastanawiałam się nad naszym pokrewieństwem.

– Zawsze nazywam go dzieckiem Tess, a nie siostrzeńcem.

– Kiedy odbędzie się jego pogrzeb?

– W czwartek. Zostanie pochowany razem z siostrą.

Z głosu starszej położnej zniknęła zawodowa troska. Jej miejsce zajęło zdumienie.

– Tak mi przykro. Powiedziano mi tylko, że zmarło dziecko.

Byłam wdzięczna uprzejmej lekarce, z którą rozmawiałam wcześniej tego ranka, że nie zrobiła z Twojej śmierci wiadomości dnia. Przypuszczam jednak, że w szpitalu temat śmierci jest dość spowszedniały.

– Chcę, żeby dziecko było przy matce.

– Naturalnie.

– Chciałabym też porozmawiać z każdym, kto był przy Tess w czasie porodu. To ja miałam jej towarzyszyć, ale mnie nie było. Nawet nie

odebrałam telefonu od niej.

Zacząłam płakać. Łzy stanowiły tu jednak normę. Nawet kanapę z pokrowcem dającym się prać ustawiono tu zapewne z myślą o płaczących krewnych. Starsza położna oparła dłoń na moim ramieniu.

– Dowiem się, kto jej towarzyszył i poproszę, żeby tu przyszli i z panią porozmawiali. Przepraszam na chwilę.

Wyszła na korytarz. Przez otwarte drzwi zauważyłam wiezioną na wózku kobietę z nowo narodzonego dzieckiem w ramionach. Obok nich lekarz obejmował ramieniem mężczyznę.

– Zazwyczaj to dziecko płacze, a nie ojciec.

Mężczyzna roześmiał się i lekarz uśmiechnął się do niego.

– Rano przyjechaliście tu jako para, a teraz jesteście rodziną. Czyż to nie wspaniale?

Starsza położna pokiwała głową.

– Jest pan położnikiem, doktorze Saunders. Nie powinno to pana dziwić.

Doktor Saunders przewiózł matkę i dziecko na salę. Przyglądałam mu się. Nawet z daleka widziałam, że jego twarz miała delikatne rysy, a oczy jaśniały wewnętrznym blaskiem, przez co był piękny, a nie tylko przystojny.

Wszedł do pokoju ze starszą położną.

– Doktorze, to jest pani Beatrice Hemming.

Lekarz uśmiechnął się do mnie bez skrepowania. Skojarzył mi się z Tobą, bo też nie zważał na swoją urodę, jakby jej nie doceniał.

– Koleżanka, która rozmawiała z panią rano, przekazała mi, że pani przyjdzie. Nasz szpitalny kapelan dokonał już niezbędnych ustaleń z przedsiębiorstwem pogrzebowym. Dziecko zostanie odebrane dzisiaj po południu.

Mówił bez pośpiechu, co stanowiło kontrast z krzątaniem na oddziale. To był ktoś, kto wiedział, że ludzie go słuchają.

– Kapelan zabrał już ciało. Uznaliśmy, że kostnica nie jest dla dziecka

dobrym miejscem. Przykro mi, że musiało spędzić tam tak dużo czasu.

Powinnam była pomyśleć o tym wcześniej. O dziecku. Nie powinnam była pozwalać, by leżało tak długo w kostnicy.

– Czy zaprowadzić tam panią? – zapytał.

– Ma pan na to czas?

– Naturalnie.

Doktor Saunders prowadził mnie korytarzem w kierunku wind. Usłyszałam krzyk kobiety. Dobiegał z góry. Domyśliłam się, że znajduje się tam pewnie porodówka. Podobnie jak płacz noworodków, jej krzyki też były mi obce – odzwierciedlały żywy ból. Windą jechali z nami pielęgniarce i lekarze, ale nie zważali na krzyki. Byli do nich przyzwyczajeni – przecież pracowali dzień w dzień w kafkowskim, szpitalnym świecie.

Drzwi windy się zamknęły. Staliśmy bardzo blisko siebie. Dostrzegłam złotą obrączkę zawieszoną na łańcuszku, ledwie widoczną pod kitem. Na pierwszym piętrze wszyscy wysiedli i zostaliśmy sami. Wtedy spojrzał na mnie z całą uwagą.

– Przykro mi z powodu Tess.

– Znał ją pan?

– Możliwe. Nie jestem pewien. Przepraszam, to musi brzmieć bezdusznie, ale...

– Spotyka pan setki pacjentek?

– Tak. Rocznie rodzi się u nas ponad pięć tysięcy dzieci. Kiedy urodził się jej syn?

– Dwudziestego pierwszego stycznia.

Zamilkł na chwilę.

– W takim razie nie było mnie tutaj. Przykro mi. Byłem na kursie w Manchesterze.

Zastanowiłam się, czy kłamię. Czy powinnam prosić go o dowód, że nie było go, gdy urodziło się Twoje dziecko, a potem zostałaś zamordowana? Nie usłyszałam Twojej odpowiedzi; nawet się ze mną nie droczyłaś.

Zamiast tego usłyszałam głos Todda, który mówił mi, żebym nie była śmieszna. I miał rację. Czy każdy mężczyzna miał być winien do czasu udowodnienia swojej niewinności? I kto powiedział, że to był mężczyzna? Może powinnam podejrzewać także kobiety, miłą położną, lekarkę, z którą rozmawiałam rano? Myśleli, że miałaś paranoję. Lekarze i pielęgniarki jednak mają władzę nad życiem i niektórych ta władza uzależnia. Lecz ten szpital jest pełen bezbronnych ludzi, po co więc jakiś pracownik służby medycznej miałby wybierać porzucone toalety w Hyde Parku, by dać upust swoim psychopatycznym zapędom? W tym momencie doktor Saunders uśmiechnął się do mnie, przez co poczułam się zakłopotana i trochę zawstydzona.

– Zaraz wysiadamy.

Nadal nie słyszałam Twojego głosu, ale powiedziałam sobie stanowczo, że uroda nie czyni z mężczyzny zabójcy – a tylko kogoś, kto odrzuciłby mnie, gdyby był do wzięcia, nawet nie wiedząc o tym, że to czyni. Chyba dlatego traktowałam go podejrzliwie. Przewiesiłam swoje zwyczajowe podejrzenia na inny – o wiele bardziej ekstremalny – kołek.

Doszliśmy do szpitalnej kostnicy. Nadal myślałam raczej o znalezieniu Twojego zabójcy, niż o Xavierze. Doktor Saunders przyprowadził mnie do sali przygotowanej dla krewnych na czas „spotkania ze zmarłymi”. Zapytał, czy chciałabym, żeby wszedł ze mną. Bez zastanowienia odparłam, że dam sobie radę sama.

Weszłam do środka. Pokój urządzone w sposób przemyślany i gustowny. Przypominał salon. Wisiały w nim drukowane zasłony, był dywan i kwiaty (sztuczne, ale drogie, jedwabne). Staram się go dobrze zaprezentować, nawet przedstawić jako miły, ale nie chcę Cię okłamywać – ten salon dla zmarłych był upiorny. Fragment dywanu, ten przy wejściu, był prawie całkowicie wytarty przez innych ludzi, którzy jak ja stali w tym miejscu i czuli ciężar bólu, nie chcieli podejść do osoby, którą kochali; bo przecież, jeśli podejdą, zdobędą pewność, że ukochana osoba przestała istnieć.

Podeszłam do niego.

Podniosłam go i owinęłam błękitnym, kaszmirowym kocykiem, który dla niego kupiłaś.

Przytuliłam go.

Nie ma więcej słów.



Pan Wright słuchał mnie z pełnym współczucia skupieniem, kiedy opowiadałam mu o Xavierze. Nie przerywał, nie ponaglał. Pozwalał mi na chwile milczenia. W którymś momencie musiał podać mi chusteczkę, bo trzymam ją, mokrą, w dłoni.

– W tym momencie zrezygnowała pani z kremacji? – pyta.

– Tak.

Jakiś dziennikarz zasugerował we wczorajszym artykule, że nie zezwoliłyśmy na kremację, ponieważ „nie chcieliśmy zniszczyć dowodów”. Lecz nie to było przyczyną.



Spędziłam z Xavierem ze trzy godziny. Gdy tak trzymałam go w objęciach, wiedziałam, że zimne powietrze nad górskim szczytem nie jest miejscem dla dziecka, a przez to, że byłaś jego matką, nie było też miejscem dla Ciebie. Wreszcie opuściłam ten pokój i zadzwoniłam do ojca Petera.

– Czy można go pochować w ramionach Tess? – zapytałam, spodziewając się usłyszeć, że to niemożliwe.

– Oczywiście. Według mnie to jest najlepsze miejsce dla niego – odpowiedział proboszcz.



Pan Wright nie naciska, bym podała powód decydujący o wyborze tradycyjnego pochówku i jestem mu wdzięczna za jego takt. Próbuję

mówić dalej i nie pozwalać, by do głosu doszły emocje.

– Potem wróciłam, żeby porozmawiać ze starszą położną. Sądziłam, że poznam osobę, która towarzyszyła Tess w czasie porodu. Położna nie zdołała jednak znaleźć karty ciąży Tess, nie wiedziała więc, kto to był. Zaproponowała, żebym przyszła w następny wtorek, kiedy będzie miała czas poszukać karty.

– Beatrice?

Wybiegam z gabinetu.

Dobiegam do toalety w samą porę. Jest mi potwornie niedobrze. Nie kontroluję tych mdłości. Cała się trzęsę. Widzę młodą sekretarkę, która zagląda do środka, po czym pospiesznie odchodzi. Leżę na zimnej posadzce i czekam, aż znowu odzyskam panowanie nad ciałem.

Wchodzi pan Wright. Obejmuje mnie i delikatnie pomaga wstać. Kiedy mnie tak trzyma, dociera do mnie, że lubię, gdy ktoś się mną opiekuje, nie patriarchalnie, ale z troskliwością. Nie rozumiem, dlaczego wcześniej nie zdawałam sobie z tego sprawy. Odpychałam troskliwość, zanim ktoś zdołał mi ją zaoferować.

Moje kończyny wreszcie przestają się trząść.

– Pora wracać do domu, Beatrice.

– Ale moje zeznania...

– Może umówimy się na jutro rano?

– Dobrze.

Chce wezwać taksówkę albo przynajmniej odprowadzić mnie do metra. Grzecznie odrzucam jego propozycję. Mówię, że potrzebuję świeżego powietrza. Wydaje się rozumieć.

Chcę być sama ze swoimi myślami, które dotyczą Xaviera. Od chwili, gdy wzięłam go na ręce, pokochałam go dla niego samego, a nie tylko dlatego, że był Twoim dzieckiem.

Wychodzę na zewnątrz i zwracam twarz w stronę bladoniebieskiego nieba, żeby powstrzymać łzy. Przypomina mi się Twój list o Xavierze,

ten, którego w tej opowieści jeszcze nie przytoczyłam. Myślę o Tobie, jak idziesz ze szpitala do domu w strugach deszczu. Wyobrażam sobie, jak spoglądasz na czarne, bezlitosne niebo. I jak krzyczysz: „Oddajcie mi go!”. I nikt Ci nie odpowiedział.

Myślę o tym, jak do mnie dzwoniłaś.



# ROZDZIAŁ 11

## *Sobota*

W sobotę o 8.30 rano na ulicach nie ma prawie nikogo, chodniki świecą pustką. W budynku prokuratury w głównej recepcji siedzi tylko jedna osoba w nieformalnym stroju. Winda jest pusta. Wjeżdżam na trzecie piętro. Dzisiaj nie ma Pani Zadurzonej Sekretarki, więc mijam recepcję i wchodzę do gabinetu pana Wrighta. Przygotował już dla mnie kawę i wodę mineralną.

– Jest pani gotowa? – pyta.

– Zdecydowanie. Dobrze się czuję.

Włącza magnetofon. Patrzy na mnie z troską. Mam wrażenie, że po wczorajszym zdarzeniu dostrzega we mnie znacznie delikatniejszą osobę, niż myślał.

– Czy możemy zacząć od raportu koronera? Prosiła pani o kopię.

– Tak. Otrzymałam ją pocztą dwa dni później.

Pan Wright ma przed sobą egzemplarz, w którym podkreślono niektóre linijki żółtym flamastrem. Wiem, które to zdania i za chwilę je przytoczę, zacznę jednak od wersu, który nie jest podkreślony na żółto, ale wyróżnia się w moich wspomnieniach. Na samym początku raportu patolog przysięga, że będzie mówił prawdę. Twoje ciało nie zostało poddane zimnej naukowej analizie; starano się podejść do sprawy w sposób bardziej archaiczny i ludzki.

*Departament medycyny sądowej,  
Chelsea & Westminster Hospital, Londyn*

Ja, Rosemary Didcott, licencjat medycyny, przysięgam uroczyście, że 30 stycznia 2010 roku przeprowadziłam w kostnicy Chelsea & Westminster Hospital w obecności koronera Paula Lewisa-Stevensa sekcję zwłok Tess Hemming (lat 21), zamieszkałej przy 35 Chepstow Road w Londynie, zidentyfikowanej przez sierżanta Finborougha z London Metropolitan Police, jak też, że raport ten zawiera prawdę.

Było to ciało białej, szczupłej kobiety, mającej 170 cm wzrostu. Na dwa dni przed śmiercią kobieta urodziła dziecko.

Na prawym kolanie i prawym łokciu były dwie blizny z dzieciństwa.

Na prawym nadgarstku i przedramieniu stwierdzono świeże nacięcie o długości dziesięciu centymetrów i głębokości czterech centymetrów, uszkadzające mięsień międzykostny oraz tętnicę promieniową. Na lewym nadgarstku i przedramieniu stwierdzono mniejsze nacięcie, mające pięć centymetrów długości i dwa centymetry głębokości oraz większe nacięcie, mające sześć centymetrów długości i cztery centymetry głębokości, które uszkodziły tętnicę łokciową. Rany zrobiono nożem do filetowania o ostrzu długości trzynastu centymetrów, który znaleziono przy ciele.

Nie znalazłam żadnych innych obrażeń, blizn lub śladów.

Nie było śladów niedawnego stosunku płciowego.

Pobrano próbki krwi i tkanek, które przekazano laboratorium Public Analyst.

Szacuję, że kobieta zmarła sześć dni przed wykonaniem sekcji, czyli 23 stycznia.

Na podstawie sekcji stwierdzam, że ta młoda kobieta zmarła

wskutek wykrwawienia się z przeciętych tętnic na nadgarstkach i przedramionach.

Londyn, 30 stycznia 2010.

Czytałam ten dokument już chyba setki razy, ale „nóż do filetowania” robi na mnie takie samo brutalne wrażenie, jak za pierwszym razem. Nie ma wzmianki, że był marki Sabatier, co ujmuje mu nieco domowego charakteru.

– Czy zamieszczono też wyniki z laboratorium? – pyta pan Wright.

(Chodzi o wyniki analizy krwi i tkanek, którą przeprowadzono po wstępnej sekcji w innym laboratorium).

– Owszem, załączono je na końcu ze świeżą datą, co znaczyło, że dopiero przyszły. Nie rozumiałam ich jednak. To był naukowy żargon, nie stworzony z myślą o tym, by rozumiał go laik. Na szczęście mam przyjaciółkę lekarzkę.

– Christinę Settle?

– Tak.

– Mam jej zeznania.

Dociera do mnie, że nad Twoją sprawą pracuje mnóstwo ludzi, zbierających równoległe zeznania od innych świadków.



Kiedy wyjechałam do Stanów, straciłam kontakt ze starymi przyjaciółmi ze szkoły i studiów. Od chwili Twojej śmierci dzwonią oni i piszą „jak najęci”, jak ujmuje to mama. Była wśród nich Christina Settle, obecnie lekarka w szpitalu Charing Cross. (Powiedziała mi, że ponad połowa kolegów z mojego zaawansowanego kursu biologii w Nuffield weszła na drogę kariery naukowej). Nieważne. Christina napisała ciepły list z kondolencjami tą swoją doskonałą kursywą, jaką pisała w szkole, i zakończyła go podobnie, jak kończyły się inne listy:

„jeśli będę mogła jakoś pomóc, daj mi znać”. Postanowiłam skorzystać z propozycji i zadzwoniłam do niej.

Wysłuchała uważnie mojej dziwacznej prośby. Powiedziała, że jest tylko starszą asystentką na oddziale pediatrii, nie patologii, więc nie uczyła się interpretować wyników analiz. Pomyślałam, że nie chce się angażować w sprawę, ale pod koniec rozmowy poprosiła, żebym przesłała jej faksem kopię raportu. Dwa dni później zadzwoniła i zapytała, czy spotkałabym się z nią na drinka. Raport przejrzał kolega koleżanki, patolog.

Gdy powiedziałam Toddowi, że idę na spotkanie z Christiną, poczuł ulgę – myślał, że wracam do normalnego życia i odnawiam stare przyjaźnie.

Weszłam do bistro, które zaproponowała Christina. Ogłuszył mnie normalny świat ustawiony na pełen regulator. Nie byłam w żadnym lokalu odkąd umarłaś i głośnie dźwięki oraz śmiech sprawiały, że czułam się zagrożona. Dostrzegłam machającą do mnie Christinę. Poczułam się lepiej, bo wygląda prawie tak samo, jak w szkole – nadal ma śliczne, ciemne włosy i nietwarzowe, grube okulary – a ponadto zarezerwowała dla nas boks oddzielony od pozostałej części baru. (Nadal jest świetna w polowaniu na dobre miejsca). Myślałam, że nie zapamiętała Cię zbyt dobrze – przecież była ze mną w szóstej klasie, gdy zaczęłaś szkołę z internatem – ale stanowczo twierdziła, że Cię pamięta.

– A jakże. Nawet jako jedenastolatka była zbyt fajna, by chodzić do szkoły.

– Nie jestem pewna, czy nazwałabym ją „fajną”...

– Nie miałam na myśli nic złego. Nie była zimna, ani nie trzymała się na uboczu. To było w niej niezwykle. I dlatego tak dobrze ją pamiętam. Przez cały czas się uśmiechała. To był superdzieciak, który się śmiał i uśmiechał. Nigdy wcześniej nie widziałam u nikogo takiego połączenia.

– Zamilkła, jakby się wahając. – Musiało ci być trudno z nią

rywalizować...

Nie wiedziałam, czy było to wścibstwo, czy troska, więc postanowiłam poruszyć temat będący celem naszego spotkania.

– Możesz mi powiedzieć, co znaczy ten raport?

Wyciągnęła z teczki raport i notes. Zauważyłam też opakowanie calpolu i dziecięcą miękką książeczkę. Christina nie zmieniła okularów i charakteru pisma, ale jej życie najwyraźniej uległo zmianie. Zajrzała do notesu.

– James, kolega koleżanki, o którym ci mówiłam przez telefon, jest starszym patologiem, więc zna się na tym. Bał się w to angażować, bo patologów ciągle podaje się do sądu i szkaluje w mediach. Nie można się na niego powoływać.

– Jasne.

– Uczyłaś się angielskiego, chemii i biologii, prawda Hemms?

To moje stare przezwisko już się zakurzyło. Potrzebowałam chwili, by skojarzyć je ze sobą.

– Tak.

– A potem biochemię?

– Nie. Zajęłam się anglistyką.

– W takim razie przetłumaczę to na język laika. Ujmując to prosto, w chwili śmierci we krwi Tess krążyły trzy substancje.

Nie widziała mojej reakcji, bo była pochylona nad notesem. Byłam ogłuszona.

– Jakie substancje?

– Jedna to kabergolina, którą podaje się na zatrzymanie laktacji.

Simon powiedział mi o tym specyfiku. Znowu wspomnienie o nim odsłoniło przede mną coś bolesnego, czemu nie chciałam się przyglądać. Przerwałam bieg swoich myśli.

– A pozostałe?

– Lek uspokajający. Zażyła sporą dawkę. Ponieważ nastąpiło to na kilka dni przed tym, jak ją znaleziono i pobrano krew... – przerwała

zdenerwowana; musiała się pozbierać, zanim mogła kontynuować. – Chodzi o to, że ze względu na upływ czasu trudno określić dokładnie dawkę. James mógł jedynie oprzeć się na swoim doświadczeniu.

– I?

– Zażyla tego znacznie więcej, niż się zaleca. Według Jamesa to nie mogło jej zabić, ale wystarczyło, by ją uśpić.

To dlatego nie było oznak walki. Najpierw Cię odurzył. Zorientowałaś się za późno? Christina dalej czytała notatki sporządzone doskonałą kursywą.

– Trzecia substancja to fencyklidyna, w skrócie PCP. To silny halucynogen opracowany w latach pięćdziesiątych jako środek znieczulający. Zaprzesano go podawać, gdy u pacjentów stwierdzono reakcje psychotyczne.

Potrafiłam tylko powtarzać jak papuga.

– Halucynogeny?

Christina pomyślała, że nie zrozumiałam, więc tłumaczyła cierpliwie:

– To znaczy, że ten lek wywołuje halucynacje, innymi słowy „odlot”. Podobnie jak LSD, tylko że jest bardziej niebezpieczny. Tu też, ze względu na czas, trudno ocenić, jak dużą dawkę zażyła i na jak długo przed śmiercią. Jest to trudne także dlatego, że ta substancja odkłada się w mięśniach i tkance tłuszczowej, zachowując swój psychoaktywny potencjał, więc może oddziaływać na człowieka także wtedy, gdy przestanie ją przyjmować.

Przez chwilę słyszałam tylko naukowy bełkot, zanim uformował się w coś, co mogłam zrozumieć.

– To znaczy, że na kilka dni przed śmiercią mogła mieć halucynacje? – zapytałam.

– Tak.

Zatem doktor Nichols miał rację, tyle że halucynacje nie były skutkiem psychozy popołogowej, ale substancji halucynogennej.

– Zaplanował to wszystko. Najpierw sprawił, że postradała zmysły.

– Beatrice?

– Zrobił z niej wariatkę. Wszyscy myśleli, że zwariowała. Odurzył ją, po czym zamordował.

Brązowe oczy Christiny wydawały się ogromne za szklami jak denka od butelek, wzmacniającymi spojrzenie pełne współczucia.

– Kiedy pomyślę o tym, jak bardzo kocham swoje własne dziecko, nie wyobrażam sobie, bym mogła zrobić coś takiego na miejscu Tess.

– W jej przypadku samobójstwo nie wchodziło w grę, nawet gdyby chciała zażyć te substancje. Nie odebrałaby sobie życia. Nie po tym, co się stało z Leo. I nigdy nie sięgała po narkotyki.

Zapadło między nami milczenie. Do boksu wdarł się niestosowny harmider dobiegający z baru.

– Znałaś ją najlepiej, Hemms.

– Tak.

Uśmiechnęła się do mnie. To był gest kapitulacji wobec mojej pewności popartej więzami krwi.

– Doceniam twoją pomoc, Christino.

Była pierwszą osobą, która pomogła mi praktycznie. Bez niej nie wiedziałabym o środkach uspokajających i halucynogennych. Byłam jej też wdzięczna za to, że uszanowała moją opinię, powstrzymując się od wygłoszenia swojej. Przez sześć lat byłyśmy w jednej klasie; kończyłyśmy szkołę jako nastolatki i wątpię, byśmy się kiedykolwiek dotykały; przed wyjściem z restauracji jednak uściskałyśmy się mocno na pożegnanie.



– Czy Christina powiedziała coś więcej o PCP? – pyta pan Wright.

– Nie, ale stosunkowo łatwo było znaleźć coś w Internecie. Dowiedziałam się, że ma wysoki współczynnik toksyczności behawioralnej. Ofiara popada w paranoję i ma przerażające wizje.

Czy byłaś świadoma, że poddawano Cię mentalnym torturom? A jeśli

nie, to jak interpretowałaś to, co się z Tobą działo?

– Jest szczególnie destrukcyjne dla ludzi, którzy doznali już urazu psychicznego.

Wykorzystał Twój smutek przeciwko Tobie, wiedząc, że jeszcze nasili działanie leku.

– Znalazłam strony oskarżające amerykańskie wojsko o stosowanie PCP w więzieniu w Abu Ghraib i opisujące przypadki uprowadzeń. Jasno z nich wynikało, że „odloty” wywoływane przez ten narkotyk były przerażające.

Co było dla Ciebie gorsze? Odloty, czy myśl, że popadasz w obłąd?

– Poinformowała pani policję? – pyta pan Wright.

– Tak. Zostawiłam wiadomość dla sierżanta Finborougha. Było już późno. Jego godzinny pracy dawno minęły. Zadzwoił do mnie następnego dnia rano i zaproponował spotkanie.



– Nie do wiary, że zmuszasz tego biednego człowieka, żeby znowu tutaj przychodził, kochanie. – Todd parzył herbatę i wykładał herbatniki, jakby to mogło zrekompensować sierżantowi niedogodności, na które go naraziłam.

– Musi się dowiedzieć o tych substancjach.

– Policja już o nich wie, kotku.

– Niemożliwe.

Todd wyłożył ciemne herbatniki obok jasnych, układając je w zgrabne żółte i brązowe rzędkie. Jego zdenerwowanie przejawiało się w zamiłowaniu do symetrii.

– Owszem, możliwe. I pewnie wysnuła takie same wnioski, jak ja.

Odwrócił się, by zdjąć z płyty rondel z gotującą się wodą. Poprzedniego wieczoru, gdy opowiadałam mu o narkotykach, milczał. Zapytał tylko, dlaczego nie poinformowałam go o prawdziwym celu spotkania z Christiną.



– Nie do wiary, że twoja siostra nie miała nawet czajnika.

Rozległ się dzwonek.

Todd przywitał sierżanta Finborougha, następnie wyszedł po mamę. Miałyśmy razem spakować Twoje rzeczy. Chyba Todd miał nadzieję, że ta czynność zmusi mnie do przejścia do fazy „zamknięcia”. Wiem, że to jest okropne sformułowanie, ale nie znam lepszego. Mama pewnie nazwałaby to „pogodzeniem się z faktami”.

Sierżant usiadł na kanapie i uprzejmie chrupał ciasteczko. W tym czasie relacjonowałam to, czego dowiedziałam się od Christiny.

– Wiemy o środku uspokajającym i PCP – powiedział.

Byłam zdumiona. Todd miał jednak rację.

– Dlaczego mi pan nie powiedział?

– Uznałem, że macie panie dość problemów. Nie chciałem dorzucać niepotrzebnych, moim zdaniem, zmartwień. Te narkotyki po prostu potwierdzają nasze przekonanie, że Tess odebrała sobie życie.

– Myśli pan, że wzięła je umyślnie?

– Nie było oznak przymusu. A ludzie zamierzający popełnić samobójstwo często zażywają środki uspokajające.

– Ta dawka nie mogła jej zabić.

– Nie. Ale może myślała, że wystarczy. Przecież w przeszłości nie podejmowała takich prób, prawda?

– Prawda. Nie podejmowała. Tym razem też nie. Ktoś podał je podstępem. – Próbowałam zetrzeć z jego twarzy wyraz opanowanego współczucia. – Czy pan nie rozumie? On ją odurzył narkotykami, żeby zabić bez walki. To dlatego na jej ciele nie ma żadnych śladów.

Nie udało mi się zmienić ani wyrazu jego twarzy, ani opinii.

– A może po prostu zażyła nie dość dużą dawkę?

Zostałam zdegradowana do roli dziewięciolatki, którą troskliwy nauczyciel próbuje naprowadzić na właściwe odpowiedzi na pytania do tekstu, który ma przed oczami.

– A co z PCP? – zapytałam. Sądziłam, że sierżant Finborough nie ma

wytłumaczenia na obecność tego narkotyku w Twoim organizmie.

– Rozmawiałem z inspektorem z wydziału narkotyków. Powiedział mi, że dilerzy od lat sprzedają go jako LSD. Ten środek występuje pod wieloma nazwami. Diler Tess pewnie...

– Uważa pan, że Tess miała dilerę? – przerwałam mu.

– Przepraszam. Chodziło mi o osobę, która jej dała lub sprzedawała PCP. Ten ktoś nie poinformowałby Tess, co jej oferuje. Rozmawiałem też z psychiatrą Tess, doktorem Nicholsem i...

Nie pozwoliłam mu skończyć.

– Tess nie tknęłaby żadnych narkotyków. Nienawidziła ich. Nawet w szkole, gdy jej przyjaciele palili skręty, ona odmawiała spróbowania czegokolwiek. Dostrzegała w swoim zdrowiu dar, którego nie otrzymał Leo, i uważała, że nie ma prawa go psuć.

Sierżant Finborough milczał przez chwilę, jakby rozważając mój punkt widzenia.

– Lecz nie była już uczennicą z dziewczęcymi lękami, prawda? Nie twierdzę, że zażyła narkotyk tym razem, czy kiedykolwiek wcześniej, ale byłoby w pełni zrozumiałe, gdyby w ten sposób chciała uciec przed smutkiem.

Przypomniało mi się, jak powiedział, że po urodzeniu Xaviera trafiłaś do piekła, w miejsce, w którym nikt nie mógł do Ciebie dołączyć. Nawet ja. Pomyślałam też o swoim pragnieniu, by sięgnąć po tabletki nasenne, by choć na kilka godzin uwolnić się od żalu. Nie zażyłam ich.

– Czy wiedział pan o tym, że PCP można palić? – zapytałam. – Wdychać, wstrzykiwać lub po prostu połknąć? Ktoś mógł jej to dodać do drinka bez jej wiedzy.

– Po co ktoś miałby to robić?

Chwila ciszy.

– Beatrice...

– Doktor Nichols mylił się co do przyczyn halucynacji. Nie były one skutkiem psychozy popołogowej.

– Nie. Próbowałem pani powiedzieć, że rozmawiałem z nim o PCP. Twierdzi, że choć przyczyna halucynacji była inna, nie zmienia to faktu, w jakim stanie znajdował się jej umysł. Nie zmienia też skutków. Najwyraźniej osoby po zażyciu PCP nie tak rzadko okaleczają się lub odbierają sobie życie. Inspektor z wydziału narkotyków mówił w zasadzie to samo.

Próbowałam mu przerwać, ale ciągnął swój logiczny wywód.

– Wszystkie wektory faktów są skierowane w tę samą stronę.

– I koroner w to uwierzył? Że ktoś niemający nic wspólnego z narkotykami sięgnął po nie i z własnej woli zażył silny halucynogen? Nawet nie próbował tego kwestionować?

– Nie. Powiedział mi, że... – sierżant Finborough na chwilę zawiesił głos, by głębiej przemyśleć wypowiedź.

– Co powiedział? Co dokładnie powiedział o mojej siostrze?

Sierżant milczał.

– Nie sądzi pan, że mam prawo wiedzieć?

– Tak. Powiedział, że Tess była studentką. Studiowała sztukę i mieszkała w Londynie, i bardziej by go zaskoczyło, gdyby była...

Znowu zawiesił głos. Dokończyłam za niego:

– Gdyby była „czysta”?

– Mniej więcej o to chodziło.

Zatem byłaś nieczysta, obciążona bagażem, który przypisuje się temu słowu także w dwudziestym pierwszym wieku. Wyjęłam billing z koperty.

– Nie mylił się pan co do tego, że Tess nie powiedziała mi o śmierci dziecka. Ale próbowała. Wiele razy. Bez skutku. Nawet jeśli uzna pan te telefony za „wołanie o pomoc”, było to wołanie skierowane do mnie. Bo byłyśmy sobie bliskie. Znałam ją. I wiem, że nie wzięłaby narkotyków. I nie odebrałaby sobie życia.

Milczał.

– Zwróciła się do mnie, a ja ją zawiodłam. Ale przecież zwróciła się

właśnie do mnie.

– Owszem.

Wydawało mi się, że dostrzegłam w jego twarzy coś więcej, niż tylko współczucie.

## ROZDZIAŁ 12

Pół godziny po wyjściu sierżanta Finborougha Todd przywiózł mamę. Ogrzewanie przestało działać zupełnie, więc mama nie zdjęła płaszcza. Widać było parę, jaką wydychała z powietrzem.

– Zajmijmy się jej rzeczami. Przyniosłam folię bąbelkową i materiały do pakowania.

Może miała nadzieję, że jej energia i poczucie celu ogłupią nas i pozwolą myśleć, że uda nam się uporządkować chaos, jaki nastąpił po Twojej śmierci. Choć, prawdę powiedziawszy, śmierć pozostawia za sobą zniechęcająco wiele praktycznych zadań. Trzeba było posegregować i rozdysponować w świecie żywych wszystkie Twoje rzeczy, które byłaś zmuszona tu pozostawić. Skojarzyło mi się to z pustym lotniskiem i jedną taśmą bagażową, z której tylko ja i mama mogłyśmy zdejmować Twoje ubrania, obrazy, książki, szkła kontaktowe, babcine zegary, i tak wkoło.

Mama zaczęła ciąć folię bąbelkową. Odezwała się oskarżycielskim tonem:

– Todd powiedział mi, że znowu chciałaś się spotkać z sierżantem Finboroughem.

– Tak. – Zawahałam się, czy mówić dalej. – W jej organizmie znaleziono narkotyki.

– Todd już mi o tym mówił. Wszyscy wiemy, że nie była sobą, Beatrice. Bóg jeden wie, że spotkało ją dość, by chciała uciec.

Nie dając mi okazji do sprzeczenia się z nią, wyszła do dużego pokoju,

żeby „zrobić jakieś postępy przed lunchem”.

Wyjęłam Twoje akty namalowane przez Emilia i szybko je zapakowałam. Nie chciałam, żeby mama je zobaczyła, sama też nie chciałam na nie patrzeć. Owszem, jestem pruderyjna, ale nie to było przyczyną. Nie mogłam znieść widoku żywych barw Twojego ciała, skoro Twoja twarz w kostnicy była taka blada. Kiedy owijałam płótna, pomyślałam, że Emilio miał najbardziej oczywisty powód, by Cię zamordować. Przez Ciebie mogły ucierpieć jego kariera i małżeństwo. Owszem, jego żona wiedziała o waszym romansie, ale tylko o tym. Twoja cięża zdradziłaby go, więc nie mogłam zrozumieć, dlaczego, jeśli zabił Cię, by chronić swoje małżeństwo, czekał z tym do czasu, aż urodzisz dziecko.

Skończyłam pakować akty i zaczęłam owijać folią bąbelkową jedno z Twoich płócien – nie patrzyłam na obraz i jego radosne kolory. Przypomniało mi się Twoje rozbawienie, gdy jako czterolatka zgmiotłaś bąbelki folii paluszkami. „PYK”! Do pokoju weszła mama i popatrzyła na stos obrazów.

– Co ona zamierzała z nimi zrobić?

– Nie jestem pewna, w każdym razie Akademia chce je pokazać na wystawie. Ma się odbyć za trzy tygodnie. Tess będzie miała oddzielną ekspozycję.

Zadzwonili do mnie kilka dni wcześniej i zgodziłam się chętnie.

– Ale nie zapłacą za nie, prawda? – zapytała mama. – Chodzi mi o to, jaki ona w tym widziała cel?

– Chciała być malarką.

– Dekoratorką wnętrz? – spytała mama zdumiona.

– Nie. Tak się nazywa artystów.

– *Tak się teraz mówi – powiedziałaś, drocząc się ze mną w związku z moimi przestarzałymi określeniami. – Artystami są teraz gwiazdy popu; artyści są malarzami; a malarze pokojowi dekoratorami.*

– Malowanie obrazów przez cały dzień to zajęcie dla przedszkolaków – ciągnęła mama. – Nie przejmowałam się tym, gdy była na poziomie szkoły średniej. Myślałam, że to miła odskocznia od zwykłych przedmiotów, ale żeby kontynuować tę naukę, to śmieszne.

– Rozwijała swój talent.

Wiem. Marnie mi poszło.

– To infantylne – ucięła mama. – Strata wszystkich jej osiągnięć.

Była zła o to, że nie żyłaś.

Nie powiedziałam dotychczas mamie o swoich planach pochowania Xaviera z Tobą. Bałam się konfrontacji, ale nie mogłam z tym dłużej zwlekać.

– Mamo, sądzę, że chciałaby, żeby Xavier...

– Xavier? – przerwała mi.

– Jej dziecko. Chciałaby...

– Użyła imienia Leo?

W jej głosie słychać było przerażenie. Przykro mi. Wróciła do dużego pokoju i zaczęła wrzucać ubrania do czarnego worka na śmieci.

– Tess nie chciałaby tego tak wyrzucać. Odzyskiwała surowce.

– To na nikogo nie będzie pasować.

– Kiedyś wspominała coś o kontenerze na używane ubrania...

Mama odwróciła się ode mnie i wyciągnęła szufladę z dołu szafy. Odwinęła z papieru malutki, kaszmirowy sweterek. Spojrzała na mnie; głos jej złagodniał.

– Jest piękny.

Też pamiętam swoje zdumienie, gdy po raz pierwszy znalazłam tak wyborne rzeczy dla dziecka pośród biedy wszechobecnej w mieszkaniu.

– Skąd to wzięła? – zapytała mama.

– Nie wiem. Amias powiedział, że zaszalała w sklepie.

– Za co? Czy to ojciec dał jej pieniądze?

Zdobyłam się na odwagę; miała prawo usłyszeć tę informację.

– Jest zonaty.

– Wiem.

Mama musiała dostrzec wyraz zdziwienia na mojej twarzy; łagodność zniknęła z jej głosu.

– Zapytałaś mnie, czy mam ochotę wypisać na jej grobie szkarłatne „A”. Tess nie była mężatką, tak więc szkarłatna litera, oznaka cudzołóstwa, mogła dotyczyć wyłącznie ojca. – Po tym, jak dostrzegła moje zaskoczenie, w jej głosie było słychać jeszcze większe napięcie. – Nie sądziłaś, że zrozumiałam aluzję?

– Przepraszam. To były okrutne słowa.

– Myślałyście, że gdy zdałyście maturę, zostawiłyście mnie z tyłu. Sądziłyście, że zastanawiałam się wyłącznie nad menu nudnej kolacji, która miała się odbyć za trzy tygodnie.

– Nigdy nie widziałam Cię z książką, to wszystko.

Nadal trzymała malutki sweterek Xaviera i gładziła go palcami.

– Niegdyś czytałam książki. Siedziałam przy włączonej lampce nocnej, podczas gdy wasz ojciec chciał spać. To go irytowało, ale nie potrafiłam przestać. Czułam taki przymus. Potem zachorował Leo. Już nie miałam czasu na czytanie. W każdym razie dotarło do mnie, że książki są o błahostkach i bzdurach. Kto by się przejmował romansem kogoś innego i tym, jak wygląda wschód słońca opisywany na kolejnych stronach? No, kto?

Odłożyła sweterek i wróciła do wrzucania Twoich ubrań do worka. Nie zdjęła ich z drucianych wieszaków, które porwały folię. Kiedy tak obserwowałam jej niezdarne, udręczone ruchy, przypomniał mi się piec w naszej szkole i wsuwana do niego blacha z naszymi glinianymi dzbankami. Twardniały coraz bardziej, aż te niedoskonale uformowane rozpadały się na kawałeczki. Twoja śmierć wytrąciła mamę z równowagi. Gdy tak ją obserwowałam, jak wiązała worek na śmieci, wiedziałam, że kiedy w końcu zmierzy się ze smutkiem Twojej śmierci, okaże się on dla niej właśnie takim piecem, w którym się rozpęknie.

Godzinę później zawiozłam ją na dworzec. Po powrocie do domu



wyjęłam Twoje ubrania z gorączkowo wypchanych worków i umieściłam je w szafie; ustawiłam zegar babci na gzymsie nad kominkiem. Nawet Twoje przybory toaletowe leżały nietknięte w łazienkowej szafce; swoje trzymałam w kosmetyczce na taborecie. Kto wie, może dlatego przez cały czas mieszkałam u Ciebie. Dzięki temu mogłam unikać spakowania Twoich rzeczy.

Ponownie zajęłam się zabezpieczaniem obrazów. Przygotowywałam je do wystawy, więc nie miałam z tym problemu. W końcu zostały tylko cztery. To były te koszmarne wizje namalowane grubą warstwą gwaszy, przedstawiające mężczyznę w masce, pochylonego nad kobietą, której usta rozrywały się i krwawiły od krzyku. Dostrzegłam, że jedyna biała plama na jej rękach to dziecko. Dotarło też do mnie, że malowałaś je, gdy byłaś pod działaniem PCP; były wizualnym zapisem Twoich piekielnych mąk. Mogłam się zdobyć tylko na zalanie się łzami, ale wiedziałam, że ktoś celowo Cię torturował; łzy wyschły i przerodziły się w nienawiść. Poprzysięgłam sobie go znaleźć.



W biurze jest za gorąco, a przez okno wlewa się słońce, które jeszcze mocniej nagrzewa pomieszczenie. Robię się senna. Wypijam kubek kawy i próbuję się pobudzić.

– Wtedy poszła pani do mieszkania Simona? – pyta pan Wright.

Musi sprawdzać zgodność mojej opowieści z zeznaniami pozostałych świadków.

– Tak.

– Żeby zapytać go o narkotyki?

– Tak.



Zadzwoiłam do drzwi Simona i gdy otworzyła mi sprzątaczką, weszłam do środka, jakbym miała wszelkie prawo tam przebywać.

Znowu uderzył mnie przepych tego miejsca. Spędziwszy w Twoim mieszkaniu jakiś czas, zrobiłam się wrażliwsza na materialne bogactwo. Simon siedział w kuchni przy barku. Kiedy mnie dostrzegł, przestraszył się, a potem rozzłościł. Jego dziecięcą twarz nadal pokrywał zarost. Pomyślałam, że podobnie jak kolczyki, był on przejawem jego pozerstwa.

– Dałeś Tess pieniądze na ubranka dla dziecka? – zapytałam.

To pytanie przyszło mi do głowy dopiero w jego mieszkaniu, ale wydawało mi się stosowne.

– Dlaczego tak tu wtargnęłaś?

– Drzwi były otwarte. Muszę zadać ci więcej pytań.

– Nie dałem jej pieniędzy. Raz próbowałem, ale nie przyjęła. – W jego głosie była obecna uraza, dlatego ta odpowiedź była wiarygodna.

– Czy wiesz, kto dał jej pieniądze?

– Nie mam pojęcia.

– Czy tego dnia w parku była śpiąca?

– Jezu! Co jest?

– Chcę tylko wiedzieć, czy była śpiąca, gdy się z nią spotkałeś.

– Nie. Raczej nerwowa.

Zatem dał Ci środek uspokajający później, po odejściu Simona.

– Miała halucynacje?

– Zdaje się, że nie wierzyłaś w jej psychozę poporodową? – zadrwił.

– Miała?

– Oprócz tego nieistniejącego faceta z krzaków?

Nie odpowiedziałam. Jego ironiczny głos był ohydny.

– Nie, poza tym wydawała się zupełnie normalna – dodał.

– W jej krwi znaleziono PCP. To jest narkotyk...

Przerwał mi. Zareagował natychmiast i z całym przekonaniem.

– Nie. To niemożliwe. Tess trzęsła tyłkiem przed narkotykami.

– Ale ty je zażywasz?

– Więc?

– Może chciałeś jej dać coś, po czym miała się poczuć lepiej? Jakiegoś

drinka? Z czymś, co miało jej polepszyć nastrój.

– Nie zaprawiłem niczym jej drinka. Nie dałem jej pieniędzy. I chcę, żebyś stąd natychmiast wyszła, zanim sprawy wymkną się spod kontroli.

Próbował udawać mężczyznę o większym autorytecie; może swojego ojca.

Wyszłam do przedpokoju i minęłam otwarte drzwi sypialni. Zauważyłam na ścianie Twoje zdjęcie. Miałaś rozpuszczone włosy. Weszłam do sypialni, żeby na nie popatrzeć. To był pokój Simona. Ubrania równiutko poskładane, marynarki na drewnianych wieszakach. Panował tu obsesyjny porządek.

Na jednej ścianie wisiał transparent z misternie wykaligrafowanym napisem: „Osobnik żeński”. Pod spodem wisiały Twoje zdjęcia, mnóstwo zdjęć przyczepionych do ściany. Na wszystkich byłaś zwrócona tyłem do obiektywu. Nagle Simon wyrósł obok mnie. Przyglądał się mojej twarzy.

– Wiedziałaś, że byłem w niej zakochany.

Te zdjęcia skojarzyły mi się z mieszkańcami wyspy Bequia, którzy wierzą, że fotografie kradną dusze.

– To zdjęcia do mojego portfolio na koniec roku. Wybrałem temat reportażu poświęconego jednemu tematowi. Według mojej nauczycielki to najbardziej oryginalny i ekscytujący projekt w grupie – chełpił się Simon.

Dlaczego nie pokazał Twojej twarzy?

Musiał się domyślić, nad czym się zastanawiałam.

– Nie chciałem, by projekt opowiadał o konkretnej osobie, więc postarałem się, by nie miała tożsamości. Chciałem, żeby mogła być każdą kobietą.

A może obserwował Cię i śledził niepostrzeżenie?

Nadal mówił zadowolonym z siebie głosem.

– „Osobnik żeński” to tytuł wiersza. Kolejny wers brzmi: „bardziej zabójczy jest od męskiego”.

W ustach mi zaschło, a słowa iskrzyły się od gniewu:

– Ten wiersz opowiada o matkach broniących swego potomstwa. To dlatego osobniki żeńskie są bardziej zabójcze niż męskie. Są odważniejsze. Kipling nazwał tchórzami mężczyzn. „Walczących z sumieniem”.

Simon był zaskoczony, że znałam wiersz Kiplinga, a w zasadzie, że znałam jakikolwiek wiersz. Może i Ciebie to dziwi. Przecież studiowałam anglistykę na Cambridge, pamiętasz? Też byłam kiedyś człowiekiem o artystycznej duszy. Jeśli mam być jednak szczerą, by zrozumieć literaturę wykorzystywałam raczej swoje analityczne podejście, a nie emocje.

Zerwałam zdjęcie ze ściany, potem kolejne i następne. Simon próbował mnie powstrzymać, ale zdjęłam wszystkie zdjęcia, żeby nie mógł już na Ciebie patrzeć. Dopiero wtedy wyszłam z jego mieszkania, zabierając fotografie ze sobą. Protestował z furją i tłumaczył, że są mu potrzebne, by zaliczyć rok, krzyczał, że jestem złodziejką i coś jeszcze, czego nie usłyszałam, bo zatrzasnęłam za sobą drzwi.

Kiedy jechałam do domu ze zdjęciami ułożonymi na kolanach, zastanawiałam się, ile razy Simon Cię śledził. Czy zrobił to także tego dnia, gdy zostawiłaś go w parku? Zatrzymałam samochód i przyjrzałam się fotografiom. Na wszystkich widać Cię od tyłu. Tło zmienia się od letniego, poprzez jesienne, po zimowe; masz na sobie koszulki, kurtkę i ciepły płaszcz. Musiał Cię śledzić przez wiele miesięcy. Nie mogłam jednak znaleźć zdjęcia przedstawiającego Cię w zaśnieżonym parku.

Przypomniało mi się, że wyspiarze z Bequia twierdzą, iż zdjęcie można wykorzystać w voodoo do rzucenia klątwy; jest mu przypisywana taka sama moc, jak krwi lub włosowi ofiary.

Gdy wróciłam do domu, spostrzegłam w kuchni nowy czajnik w pudełku i usłyszałam, że Todd urzęduje w sypialni. Weszłam tam i zobaczyłam, że próbuje zniszczyć jeden z Twoich „psychotycznych obrazów”, płótno jednak było mocne i nie poddawało się.

– Co ty wyrabiasz?

– Nie mieszczą się w worku na śmieci, a nie mogłem zostawić ich na śmietniku w takim stanie. – Odwrócił się w moją stronę. – Nie można ich zachować, skoro tak bardzo cię niepokoją.

– Muszę je zostawić.

– Po co?

– Ponieważ... – urwałam.

– Ponieważ?

„To jest dowód, że byłaś psychicznie torturowana” – ale nie powiedziałam tego. Wiedziałam, że to by wywołało kłótnię na temat tego, jak umarłaś, a kłótnia ta doprowadziłaby do naszego rozstania. A ja nie chciałam być bardziej samotna niż byłam.



– Powiedziała pani policji o zdjęciach Simona? – pyta pan Wright.

– Nie. Co najmniej sceptycznie odnosili się do pomysłu, że Tess została zamordowana i nie sądziłam, by zdjęcia mogły ich przekonać.

Nie mogłam wspomnieć o mieszkańcach Bequia i laleczkach voodoo.

– Wiedziałam, że Simon przekonywałby, że były mu potrzebne do zaliczenia – ciągnę. – Miał wytłumaczenie, dlaczego ją śledził.

Pan Wright spogląda na zegarek.

– Muszę iść na spotkanie za dziesięć minut. Zakończmy na tym.

Nie mówi mi, z kim ma się spotkać. To musi być coś ważnego, skoro umówił się na sobotnie popołudnie. A może dostrzegł, że jestem zmęczona. Przez większość czasu czuję się wyczerpana, lecz w porównaniu z tym, przez co przeszłaś, wiem, że nie mam prawa się skarżyć.

– Czy możemy kontynuować jutro? – pyta. – Jeśli czuje się pani na siłach.

– Oczywiście – odpowiadam.

Praca w niedzielę nie jest tu czymś normalnym. Pan Wright odgaduje

moje myśli.

– Pani zeznania mają decydujący wpływ na uzyskanie wyroku skazującego. Chcę usłyszeć jak najwięcej, gdy sprawa jest jeszcze świeża w pani pamięci.

Jakby moja pamięć była lodówką zawierającą kawałki pożytecznych informacji, które mogą się zepsuć w szufladzie na warzywa. To nie jest w porządku. Prawda jest taka, że pan Wright się zorientował, iż jestem w gorszym stanie, niż początkowo myślał. Jest dość bystry, by mieć obawy, że jeśli pogorszy się mój stan fizyczny, wpłynie to też na stan psychiczny, a zwłaszcza na pamięć. Ma rację, że chce kontynuować.

Siedzę w zatłoczonym autobusie, przyciśnięta do okna. Zaparowana szyba jest w jednym miejscu przetarta i mogę przyglądać się budynkom ciągnącym się wzdłuż ulic. Nigdy Ci nie mówiłam, że zamiast anglistyki wolałabym studiować architekturę, prawda? Już po trzech tygodniach nauki wiedziałam, że się pomyliłam. Mój ścisły umysł i niepewna natura potrzebowały czegoś trwalszego, niż konstruowanie porównań poetów metafizyków. Nie śmiałam jednak zapytać, czy mogłabym zmienić kierunek, bo bałam się, że jeśli wykreślą mnie z anglistyki, nie będzie dla mnie miejsca na architekturze. To było za duże ryzyko. Lecz za każdym razem, gdy widzę piękny budynek, żałuję, że zabrakło mi odwagi, by podjąć to ryzyko.

## ROZDZIAŁ 13

### *Niedziela*

Tego ranka przy recepcji nie ma nikogo. Wielki hol świeci pustkami. Jadę pustą windą na trzecie piętro. Dzisiaj pewnie jesteśmy tu tylko ja i pan Wright.

Powiedział mi, że dzisiaj chciałby się zająć „historią Kasi Lewski”. Będzie to dziwne doznanie, skoro widziałam się z nią godzinę temu w Twoim mieszkaniu. Miała na sobie Twój stary szlafrok.

Idę prosto do gabinetu pana Wrighta. Znowu czekają na mnie kawa i woda.

– Zacznę od przypomnienia tego, co już mi pani o niej powiedziała – mówi pan Wright, patrząc na sporządzone na maszynie notatki. To pewnie zapis z wcześniejszych rozmów. Czyta: – „Kasia Lewski przyszła do mieszkania Tess osiemnastego stycznia około szesnastej. Chciała się z nią zobaczyć”.

Pamiętam dźwięk dzwonka i to, jak pobiegłam otworzyć; prawie wykrzyknęłam „Tess” i gdy otworzyłam drzwi, miałam w ustach smak Twojego imienia. Pamiętam też moje rozdrażnienie, kiedy ujrzałam Kasię w tanich szpilkach, z wypukłymi żyłami i gęsią skórką na białych nogach. Wzdragam się na myśl o swoim snobizmie, ale cieszę się, że moja pamięć nadal dobrze działa.

– Powiedziała pani, że leżała w tym samym szpitalu, co Tess? – pyta pan Wright.

– Tak.

– Wspomniała, który to był szpital?

Kręcę przecząco głową i nie mówię mu, że byłam zbyt zajęta chęcią pozbycia się jej, żeby interesować się nią, a tym bardziej zadawać pytania. Pan Wright znowu zerka do notatek.

– Powiedziała, że też była samotna, ale jej chłopak wrócił.

– Tak.

– Poznała pani Michaela Fanagana?

– Nie. Siedział w samochodzie. Naciskał na klakson i pamiętam, że Kasia się denerwowała.

– Następnym razem widziała ją pani zaraz po wizycie w domu Simona Greenlyego?

– Tak. Wzięłam ze sobą dziecięce ubranka.

To jest drobna nieszczerłość. Wykorzystałam swoją wizytę u Kasi jako wymówkę, by unikać Todda i kłótni, o której wiedziałam, że zakończy nasz związek.



Mimo że padał śnieg i chodniki były śliskie, potrzebowałam niespełna dziesięciu minut, żeby dojść do mieszkania Kasi. Powiedziała mi później, że zawsze przychodziła do Ciebie. Domyślam się, że unikała Mitcha. Jej mieszkanie znajduje się w Trafalgar Crescent, betonowym ohydny budynku stojącym pomiędzy symetrycznymi ogrodami i właściwie ukształtowanymi domami przy półkolistych ulicach dzielnicy W11. W pobliżu, w zasadzie w zasięgu ręki, przebiega West Way i słychać ryczące dudnienie samochodów. Na klatce schodowej artyści graffiti (może teraz zwie się ich malarzami) zostawili swoje ślady, jak siusiające psy zaznaczające swoją ścieżkę. Kasia otworzyła drzwi, nie zdejmując łańcucha.

– Tak?

– Jestem siostrą Tess Hemming.



Zdjęła łańcuch i usłyszałam, jak otwiera zasuwę. Nawet gdy była sama (nie mówiąc o tym, że na zewnątrz padał śnieg, a ona była w ciąży) miała na sobie obcisłą, kusą koszulkę i czarne lakierowane szpilki z diamentkami po bokach. Przemknęła mi myśl, że jest prostytutką czekającą na klienta. Słyszę, jak się ze mnie śmiejesz. Przestań.

– Beatrice.

Zdumiałam się, że pamiętała moje imię.

– Proszę, wejdź.

Od czasu, gdy ją poprzednio widziałam, minęły zaledwie dwa tygodnie – wtedy przyszła zapytać o Ciebie – a jej brzuch urósł zauważalnie. Domyślałam się, że musiała być w siódmym miesiącu ciąży.

Weszłam do mieszkania, w którym pachniały tanie perfumy i odświeżacz powietrza – nie maskowały jednak naturalnego odoru pleśni i wilgoci widocznej na ścianach i dywanie. Indyjski szal, taki jak ten na Twojej kanapie (dałaś jej jeden ze swoich?) przybito nad oknem. Myślałam, że nie będę się starała przytaczać słów Kasi lub rozgryzać jej akcentu, ale podczas tego spotkania brak płynności w mowie sprawiał, że jej wypowiedź była jeszcze bardziej uderzająca.

– Tak mi przykro. Musi ci być... Jak to powiedzieć? – Usilnie szukała słowa, po czym wzruszyła przepaszająco ramionami. – Smutno, ale to za małe słowo.

Z jakiegoś powodu jej niedoskonała angielszczyzna brzmiała szczerzej, niż idealnie sformułowany list z kondolencjami.

– Bardzo ją kochasz, Beatrice.

Czy użyła czasu teraźniejszego, bo jeszcze nie zna przeszłego, czy też dlatego, że jest wrażliwsza niż inni na moją żałobę?

– Owszem.

Spojrzała na mnie; na jej twarzy malowało się ciepło i współczucie. Zbiła mnie z tropu. Z taką łatwością wyskoczyła z przegródki, w której ją umieściłam. Była dla mnie miła i musiałam jej to odwzajemnić. Podałam jej małą walizkę, którą przyniosłam ze sobą.

– Przyniosłam dziecięce ubranka.

Nie okazała ani trochę radości, jaką spodziewałam się ujrzeć. To pewnie przez to, że te rzeczy miały być dla Xaviera; były skażone smutkiem.

– Tess... pogrzeb? – zapytała.

– Ach, tak. Naturalnie. Odbędzie się w Little Hadston niedaleko Cambridge, w czwartek piętnastego lutego o jedenastej.

– Możesz zapisać?

Zapisałam szczegóły, po czym dosłownie wepchnęłam jej walizkę w ręce.

– Tess chciałaby, żebyś je dostała.

– Nasz ksiądz odprawia za nią mszę w niedzielę.

Zastanowiłam się, dlaczego zmienia temat. Nawet nie otworzyła walizki.

– Tak będzie dobrze?

Potaknęłam. Nie jestem pewna, co z tym poczniesz.

– Ojciec John. To bardzo miły człowiek. Jest bardzo... – Bezwiednie przyłożyła dłoń do brzucha.

– Chrześcijański? – zapytałam.

Zaśmiała się, rozumiejąc dowcip.

– Jak na księdza, tak.

Też żartowała? Owszem. Była o wiele inteligentniejsza, niż myślałam.

– Ta msza. Tess ma coś przeciwko?

Znowu się zastanowiłam, czy celowo użyła czasu teraźniejszego. Może tak – jeśli msza wystarczy, to jesteś w niebie lub w poczekalni czyśćca, w czasie teraźniejszym. Jesteś w „teraz”, nawet jeśli nie „tu i teraz” – może msza Kasi dotarła do Ciebie i teraz jest Ci trochę głupio z Twoim ziemskim ateizmem.

– Czy zechcesz zajrzeć do walizki i zdecydować, co ci się przyda?

Nie jestem pewna, czy byłam miła, czy próbowałam powrócić do pozycji, w której byłam lepsza. Z pewnością nie czułam się komfortowo,

otrzymując tyle uprzejmości od kogoś takiego, jak Kasia. Tak, nadal byłam snobką, skoro myślałam o niej w kategoriach „kogoś takiego”.

– Zaparzę najpierw herbatę?

Poszłam za nią do obskurnej kuchni. Linoleum na podłodze było podarte i odsłaniało beton pod spodem. Wszystko jednak było czyste, na ile tylko mogło być w takich warunkach. Biała popękana porcelana lśniła, stare garnki błyszcząły wokół zardzewiałych plam. Napełniła czajnik i postawiła go na płycie. Nie spodziewałam się, że powie mi coś ważnego, ale postanowiłam mimo to spróbować.

– Wiesz może, czy ktokolwiek próbował dać Tess narkotyki?

Przeraziła się.

– Tess nigdy nie brać narkotyki. Przy dziecku nic złego. Ani herbata, ani kawa.

– Wiesz, kogo Tess się bała?

– Tess nie bała.

– Po urodzeniu dziecka?

Do oczu napłynęły jej łzy. Odwróciła się ode mnie i starała się nad sobą zapanować. Była na Majorce z Mitchem, kiedy urodziłaś Xaviera. Wróciła dopiero po Twojej śmierci. Zapukała do Twoich drzwi, za którymi spotkała mnie, nie Ciebie. Poczułam się winna, że ją przepytywałam, zdenerwowałam, podczas gdy nie mogła mi pomóc. Parzyła dla mnie herbatę, więc nie mogłam wyjść, a nie miałam pojęcia, co powiedzieć.

– Pracujesz? – zapytałam.

To raczej mało subtelna wersja standardowego pytania podczas przyjęcia koktajlowego: „Czym się zajmujesz”?

– Tak. Sprzątam... Czasami półki w supermarkecie, ale w nocy. Okropność. Niekiedy pracuję dla pism.

Natychmiast pomyślałam o pismach pornograficznych. Moje uprzedzenie poparte jej gustem przywarło do mnie zbyt mocno, bym pozbyła się go bez wysiłku. Choć, jeśli mam być sprawiedliwa dla siebie,

nie tylko ją osądzałam, ale zaczęłam się też martwić, że wykorzystują ją w branży erotycznej. Była dość bystra, by spostrzec, że mam jakieś zastrzeżenia co do jej pracy dla czasopism.

– Tych darmowych – ciągnęła. – Wrzucam je do skrzynek. W domach z napisami „Nie wrzucać materiałów reklamowych” też. Nie czytam po angielsku.

Uśmiechnęłam się do niej. Wydawała się zadowolona z tego pierwszego szczerego uśmiechu, jakim ją obdarzyłam

– We wszystkich domach w bogatych miejscach nie chcą darmowych gazet. A my nie chodzimy w biedne miejsca. Zabawne, prawda?

– Tak. – Szukałam jakiegoś innego tematu do rozmowy. – Gdzie poznałaś Tess?

– Nie mówiłam ci?

Oczywiście, że mówiła, tylko zapomniałam – to nie jest zaskoczeniem, jeśli uwzględnisz się, jak mało poświęciłam jej uwagi.

– W szpitalu. Dziecko też chore – powiedziała.

– Też ma mukowiscydozę?

– Mukowiscydoza, tak. Ale teraz... – Dotknęła brzucha. – Teraz lepiej. Cud. – Przeżegnała się gestem tak naturalnym, jak odgarnięcie włosów z czoła. – Tess nazywała go „szpitalem dla mam z tragediami”. Kiedy ją poznałam, rozśmieszyła mnie. Zaprosiła mnie do mieszkania.

Słowa uwięzły jej w gardle. Odwróciła się ode mnie. Nie widziałam jej twarzy, ale wiedziałam, że starała się nie rozplakać. Wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć jej ramienia, ale nie mogłam. Dla mnie dotknięcie nieznajomej osoby jest równie trudne, jak dla osoby z arachnofobią dotknięcie pająka. Może Ci się to wydawać zabawne, ale tak jest. To jest prawie upośledzenie.

Kasia skończyła parzyć herbatę i postawiła dzbanek na tacy. Dostrzegłam, jaka jest porządna – przygotowała filiżanki i spodeczki, dzbanek na mleko oraz sitko na listki herbaty; a najpierw wyparzyła dzbanek.

Gdy szłyśmy do dużego pokoju, na przeciwległej ścianie zobaczyłam rysunek, którego wcześniej nie zauważyłam. To był portret Kasi wykonany węglem. Przepiękny. Zmusił mnie, bym dostrzegła, że Kasia też jest piękna. Wiedziałam, że to Twoja praca.

– Narysowała go Tess? – zapytałam.

– Tak.

Na chwilę nasze spojrzenia spotkały się i przekazałyśmy sobie coś, do czego język nie jest potrzebny, co nie uznaje granic. Gdybym miała przełożyć to „coś” na słowa, to by oznaczało, że byłyście sobie na tyle bliskie, abyś chciała ją narysować; widziałaś w ludziach piękno, którego inni nie dostrzegali. To nie było jednak nic aż tak rozwlekłego, nie przeszkadzał nam język. To było coś subtelniejszego. Przestraszył mnie dźwięk trzaśnięcia drzwiami.

Zobaczyłam wchodzącego do pokoju mężczyznę. Duży i umięśniony, miał około dwudziestu lat i wydawał się absurdalnie wielki w tym mieszkanku. Był ubrany w roboczy kombinezon, bez koszulki pod spodem, tatuaże pokrywały muskularne ramiona. Włosy miał matowe od pyłu. Mówił zaskakująco cicho, jak na tak wielkiego człowieka, ale w jego głosie brzmiała groźba.

– Kash? Dlaczego, do cholery, nie zamknęłaś drzwi? Mówiłem ci... – Przerwał, gdy mnie zobaczył. – Ze służby zdrowia?

– Nie – odpowiedziałam.

Zignorował mnie. Zwrócił się z pytaniem do Kasi.

– Więc kto to, kurwa, jest?

Kasia była zdenerwowana i zażenowana.

– Mitch...

Usiadł i zaznaczył swoje prawa do pokoju, sugerując, że ja nie mam tu żadnych praw. Kasia była poruszona. Taki sam wyraz twarzy widziałam u niej wtedy, gdy trąbił przed Twoim mieszkaniem.

– To jest Beatrice.

– A czegoż to Beatrice od nas chce? – zapytał drwiącym tonem.

Nagle uświadomiłam sobie, że jestem ubrana w markowe dzinsy i szary, kaszmirowy sweter. W Nowym Jorku jest to strój weekendowy, ale trudno nie wyróżniać się w nim w poniedziałek w Trafalgar Crescent.

– Mitch pracuje na noc. Bardzo ciężko – odezwała się Kasia. – Jest bardzo...

Szukała odpowiedniego słowa, ale trzeba było mieć w głowie słownik mojej mamy, żeby znaleźć eufemizm opisujący zachowanie Mitcha. Przyszło mi do głowy „nieswój”; niemal chciałam jej to napisać.

– Nie musisz mnie usprawiedliwiać.

– Moja siostra, Tess, przyjaźniła się z Kasią – powiedziałam. Mówiłam jak mama; lęk zawsze podkreślał mój akcent z wyższych sfer.

Mitch spojrzał na Kasię ze złością.

– To ta, do której zawsze zwiewałaś?

Nie wiedziałam, czy Kasia zna angielski na tyle dobrze, by rozumieć, że on ją tyranizował. Byłam ciekawa, czy uciekał się też do przemocy fizycznej. Kasia odpowiedziała cicho:

– Tess, moja przyjaciółka.

Od szkoły podstawowej nie słyszałam, by ktoś bronił drugiej osoby, mówiąc po prostu, że „ona jest moją przyjaciółką”. Poruszyła mnie niezwykła prostota tego sformułowania. Wstałam, bo nie chciałam narażać jej na dalsze niezręczności.

– Lepiej sobie pójdę.

Mitch rozparł się w fotelu. Musiałam przejść nad jego nogami, żeby dostać się do drzwi. Kasia wyszła ze mną.

– Dziękuję za ubrania. To bardzo miłe.

Mitch spojrzał na nią.

– Jakie ubrania?

– Przyniosłam ubranka dla dziecka. To wszystko.

– Lubisz grać panią szczodrobliwą?

Kasia nie zrozumiała, co powiedział, ale wyczuła jego wrogość.

Zwróciłam się do niej.

– To takie śliczne rzeczy. Nie chciałam ich wyrzucać albo oddawać do sklepu z używaną odzieżą, gdzie mógłby je kupić ktokolwiek.

Mitch zerwał się na równe nogi, zadziorny facet skory do bitki. Podobało mu się to.

– Jeśli nie my, to sklep dla biedoty?

– Kiedy zrezygnujesz z tego pozowania na macho?

Niegdyś konfrontacja była mi obca. Teraz oswajałam już to terytorium.

– Mamy, kurwa, swoje rzeczy dla dziecka – rzucił, wychodząc do sypialni.

Kilka chwil później przyszedł z pudłem, które rzucił mi pod nogi. Zajrzałam do niego. Wypełniały je drogie ubranka dziecięce. Kasia wydawała się zakłopotana.

– Tess i ja, zakupy, razem. My...

– Skąd miałyście pieniądze? – spytałam i zanim Mitch zdążył wybuchnąć, pospiesznie dodałam: – Tess też nie miała pieniędzy. Chcę się tylko dowiedzieć, od kogo je dostała.

– Od ludzi przeprowadzających próby – odparła Kasia. – Trzysta funtów.

– Jakie próby? Dotyczące mukowiscydozy?

– Tak.

Zastanawiałam się, czy to mogło być przekupstwo. Nabrałam zwyczaju podejrzewania każdego o wszystko, co miało z Tobą związek. A te próby, co do których miałam na samym początku wątpliwości, stanowiły już dość podatny grunt, oparty na lęku: nieufność mogła się na nim śmiało zakorzenić.

– Pamiętasz nazwisko osoby?

Kasia pokręciła głową przecząco.

– To była tylko koperta z ulotkami. Żadnego listu. Niespodzianka.

Mitch jej przerwał.

– I wydałaś te cholerne pieniądze na dziecięce ubranka, a wystarczyłoby nam na kilka tygodni. Bóg jeden wie, że potrzebujemy mnóstwa rzeczy.

Kasia odwróciła od niego wzrok. Wyczułam, że ta kłótnia trwa od dawna i zabrała jej wszelką radość, jaką dało jej nabycie tych ubranek.

Odprowadziła mnie na zewnątrz. Kiedy szłyśmy po betonowych schodach na klatce ozdobionej graffiti, domyśliła się, co bym powiedziała, gdybyśmy mówiły biegle wspólnym językiem i odpowiedziała:

– On jest ojcem. Nic tego nie zmieni.

– Mieszkam u Tess. Odwiedzisz mnie?

Zdziwiłam się, jak bardzo miałam nadzieję, że to zrobi. Mitch rozdarł się na górze:

– Zapomniałaś tego!

Wyrzucił walizkę z ubrankami przez poręcz. Gdy uderzyła o betonowy podest, otworzyła się. Na mokrej posadzce leżały malutkie sweterki, czapeczka i kocyk. Kasia pomogła mi je pozbierać.

– Nie przyjeżdżaj na pogrzeb, Kasiu. Proszę.

Tak. Ze względu na Xaviera. Byłoby to dla niej za trudne.

Szłam do domu. Zimny wiatr smagał mnie po twarzy. Podniosłam kołnierz płaszcza i owinęłam głowę szalikiem. Próbowałam osłonić się przed zimnem. Nie słyszałam komórki. Dzwoniła mama, która nagrała wiadomość: tata chciał ze mną porozmawiać i zostawił swój numer. Wiedziałam, że do niego nie zadzwonię. Byłam niepewną siebie nastolatką, która czuła, że jej duże ciało nie pasowało do tego zupełnie nowego życia. Po raz kolejny poczułam przytłaczające odrzucenie. Wiem, że pamiętał o naszych urodzinach i przysyłał nam ekstrawaganckie prezenty, zbyt dorosłe dla nas, jakby chciał przyspieszyć nasz proces dojrzewania, by czym prędzej pozbyć się odpowiedzialności. Latem spędzałyśmy z nim dwa tygodnie wakacji, w czasie których



zatrwałyśmy promienie słońca Prowansji swoimi pełnymi wyrzutów, angielskimi twarzami, przywożąc ze sobą mikroklimat smutku. A gdy wyjeżdżałyśmy, wszystko wyglądało tak, jakby nas nie było. Kiedyś zobaczyłam kufry z „naszymi” rzeczami, przechowywane na strychu przez pozostałą część roku. Wyczuwałaś to nawet Ty, tryskająca optymizmem i dysponująca umiejętnością dostrzegania w ludziach tego, co w nich najlepsze.

Gdy tak myślę o tacie, dociera do mnie nagle, dlaczego nie prosiłaś Emilia, żeby wziął na siebie odpowiedzialność za Xaviera. Twoje dziecko było zbyt cenne, zbyt kochane, aby ktokolwiek miał je traktować jak wrzód na swoim życiu. Nie powinien nigdy czuć się niedoceniany lub niechciany. Nie chroniałaś Emilia, tylko swojego syna.



Nie powiedziałam panu Wrightowi o tym, że nie zadzwoniłam do taty. Poinformowałam go tylko o pieniądzach, które otrzymałyście z Kasią za udział w próbach.

– To nie były duże kwoty – ciągnę. – Uznałam jednak, że mogły stanowić pokusę dla Tess i Kasi.

– Tess nie powiedziała pani o pieniądzach?

– Nie. Zawsze widziała w ludziach to, co najlepsze, ale wiedziała też, że jestem bardziej sceptyczna od niej. Pewnie chciała uniknąć kazania.

Znałaś moje poglądy w podobnych kwestiach: „Nie ma czegoś takiego, jak darmowy lunch”, „Korporacyjny altruizm to oksymoron”.

– Sądzi pani, że to pieniądze ją przekonały? – pyta pan Wright.

– Nie. Wierzyła, że te próby to jedyna szansa dla jej dziecka. Zapłaciłaby za udział w nich. Pomyślałam jednak, że może ten ktoś, kto dał pieniądze, nie wiedział o tym. Podobnie jak Kasia, Tess wyglądała na osobę, której przydałaby się gotówka. – Milknę na chwilę, a pan Wright coś notuje. – Przyjrzałam się dokładnie medycznym kwestiom badań, kiedy Tess mi o nich powiedziała, ale nigdy nie zainteresowałam

się aspektem finansowym. Postanowiłam się tym zająć. Ze stron internetowych dowiedziałam się, że za udział w badaniu leków ludziom się płaci. Są nawet specjalne strony WWW, na których werbuje się uczestników badań, obiecując im, że „opłacą sobie kolejne wakacje”.

– Dotyczy to także uczestników badań Gene-Med?

– Nie było słowa na temat wynagrodzenia dla nich. GeneMed ma własną stronę, na której jest mnóstwo szczegółów na temat badań, ale nic o płatnościach. Wiedziałam, że opracowanie kuracji genetycznej kosztuje fortunę i 300 funtów w porównaniu z tym to niewiele, niemniej wydawało mi się to dziwne. Na stronie znajdowały się adresy wszystkich członków firmy, pewnie po to, by prezentowała się jako otwarta i przejrzysta, więc napisałam do profesora Rosena. Byłam raczej pewna, że wiadomość zostanie przekazana któremuś z jego podwładnych, niemniej warto było spróbować.

Pan Wright ma przed sobą kopię e-maila.

Od: i-phone Beatrice Hemming

Do: professor.rosen@gene-med.com

Szanowny Panie Profesorze!

Czy może mi Pan powiedzieć, dlaczego matkom objętym badaniami leczenia mukowiscydozy płacie państwo 300 funtów za uczestnictwo? A może powinnam sformułować to poprawniej, mówiąc o „wynagrodzeniu za poświęcony czas”?

Beatrice Hemming.

☺

Zgodnie z moimi przewidywaniami, nie dostałam odpowiedzi od profesora Rosena. Kontynuowałam jednak poszukiwania w sieci, nadal ubrana w płaszcz po powrocie od Kasi. Torebkę rzuciłam koło stóp. Nie zapaliłam światła i zrobiło się ciemno. Nie zauważyłam wchodzącego

Todda. Nie zastanawiałam się, gdzie był przez cały dzień. Nawet o to nie zapytałam. Nie spojrzałam na niego znad monitora.

– Tess dostała pieniądze za udział w badaniach, podobnie jak Kasia. Nigdzie nie ma o tym wzmianki.

– Beatrice...

Przestał mówić do mnie „kochanie”.

– Nie to jest jednak ważne – ciągnęłam. – Nie pomyślałam wcześniej, by zainteresować się aspektem finansowym badań. Kilka liczących się stron, „Financial Times”, „New York Times”, podają informacje, że Gene-Med wejdzie za kilka tygodni na giełdę.

Pewnie pisali o tym w prasie, ale od czasu Twojej śmierci przestałam czytać gazety. Wejście Gene-Med na giełdę było dla mnie ważną wiadomością, Todd jednak nie zareagował na nią.

– Dyrektorzy Gene-Med zbiją fortunę. Szacunki są różne, niemniej będzie to ogromna kwota. Wszyscy pracownicy są udziałowcami, więc też na tym skorzystają.

– Firma zainwestowała w badania miliony, jeśli nie miliardy dolarów – odezwał się Todd zniecierpliwiony. – Próby się powiodły, więc pora, by inwestycja się zwróciła. To oczywiste, że wchodzi na rynek papierów wartościowych. Jest to całkowicie logiczne posunięcie biznesowe.

– Ale te wypłaty dla kobiet...

– Przestań. Na miłość Boską, przestań! – krzyknął.

Przez chwilę oboje milczeliśmy zaskoczeni. Przez cztery lata byliśmy dla siebie uprzejmi. Krzyk był kłopotliwie bezpośredni. Todd starał się panować nad głosem.

– Najpierw był jej zonaty nauczyciel, potem student i dziwak z obsesją na jej punkcie, a teraz dodałaś do listy firmę prowadzącą badania, którą wszyscy, także prasa światowa i społeczność naukowa, gorąco popierają.

– Tak. Podejrzewam różnych ludzi, także tę firmę. To dlatego, że jeszcze nie wiem, kto ją zabił. Ani dlaczego. Wiem tylko, że ktoś to zrobił. I muszę rozważyć każdą możliwość.

– Nie. Nie musisz. To jest zadanie policji. Ty nie masz nic do zrobienia.

– Moja siostra została zamordowana.

– Kochanie, proszę. W którymś momencie musisz pogodzić się z tym, że...

– Nigdy by się nie zabiła – przerwałam mu.

Na tym etapie kłótni oboje czuliśmy się niezręcznie i trochę zażenowani. Miałam wrażenie, że odgrywamy jakieś role, jesteśmy aktorami zmagającymi się z kiepskim scenariuszem.

– Tylko ty w to wierzysz – podsumował Todd. – To, że chcesz w to wierzyć, nie czyni tego prawdą.

– A skąd ty możesz wiedzieć, co jest prawdą? – warknęłam. – Widziałeś ją zaledwie kilka razy, a wtedy też niechętnie z nią rozmawiałeś. Nie była osobą, jaką chciałbyś poznać.

Z pozoru kłóciłam się z przekonaniem, mówiłam podniesionym głosem i moje ostre słowa raniły, ale, prawdę powiedziawszy, nadal przebywałam na obwodnicy naszego związku i w środku pozostawałam niezaangażowana i nieporuszona. Ciągnęłam swój występ, lekko dziwiąc się temu, jak łatwo mi było odnaleźć właściwy ton, skoro nigdy wcześniej nie uczestniczyłam w kłótni.

– Jak ją nazywałeś? Świruską? – zapytałam, ale nie czekałam na odpowiedź. – Nie sądzę, byś zadał sobie trud wsłuchania się w jej słowa podczas dwóch posiłków, w których wszyscy braliśmy udział. Oceniałeś ją, nie odbywając z nią porządnej rozmowy.

– Masz rację. Nie znałem jej dobrze. Przyznaję też, że za nią nie przepadałem. Jeśli mam być szczery, irytowała mnie. Nie mówimy jednak o tym, jak dobrze...

– Lekceważyłeś ją, bo studiowała sztukę, a także ze względu na to, jak żyła i w co się ubierała.

– Na Boga...

– Nie widziałeś w niej osoby, jaką była.

– Odbiegasz od tematu. Posłuchaj. Rozumiem, że chcesz znaleźć winnego jej śmierci. Wiem, że nie chcesz czuć się za nią odpowiedzialna.

Zmuszał się do panowania nad głosem, a mnie przypomniła się moja rozmowa z policją.

– Boisz się, że będziesz musiała żyć z poczuciem winy – ciągnął. – Rozumiem i to. Chcę jednak, byś spróbowała zrozumieć, że gdy zaakceptujesz to, co się naprawdę stało, pojmiesz, że nie jesteś za to w żaden sposób odpowiedzialna. Wszyscy to wiemy. Odebrała sobie życie z powodów, które według policji, koronera, twojej matki i lekarzy są przekonujące. Nie należy nikogo obwiniać, włącznie z tobą. Gdybyś tylko w to uwierzyła, mogłabyś ruszyć dalej.

Niezdarnie położył mi dłoń na ramieniu i nie cofnął jej. Podobnie jak ja, ma problemy z dotykiem.

– Kupiłem bilety powrotne dla nas obojga. Wylatujemy w wieczór po jej pogrzebie.

Milczałam. Jak mogłabym wyjechać?

– Wiem, że się martwisz, że twoja mama potrzebuje wsparcia. Zgadza się jednak ze mną, że im prędzej wrócisz do domu, do swojego normalnego życia, tym lepiej.

Uderzył dłonią w stół. Najpierw zwróciłam uwagę na drgnięcie obrazu na monitorze, a dopiero potem na nietypowe dla niego zachowanie.

– Nie poznaję cię! Mówię do ciebie, a ty nawet nie raczysz na mnie spojrzeć i oderwać się od tego pieprzonego Internetu!

Spojrzałam na niego i dopiero wtedy dostrzegłam jego bladą twarz i skulone ciało; był nieszczęśliwy.

– Przykro mi, ale nie mogę wyjechać. Do czasu, gdy nie dowiem się, co się z nią stało.

– Wiemy, co się z nią stało. I musisz się z tym pogodzić. Bo życie toczy się dalej, Beatrice. Nasze życie.

– Todd...

– Wiem, jak ciężko musi ci być bez niej. Rozumiem to. Masz jednak

mnie. – Oczy zaszły mu łzami. – Mamy się pobrać za trzy miesiące.

Próbowałam wymyślić, co mam powiedzieć, a on w milczeniu poszedł do kuchni. Jak miałam mu wyjaśnić, że nie mogę wyjść za mąż, bo małżeństwo to zobowiązanie na przyszłość, a ja nie potrafiłam sobie wyobrazić przyszłości bez Ciebie. I to z tego właśnie powodu, a nie z braku uczuć do niego, nie mogłam go poślubić.

Weszłam do kuchni. Stał plecami do mnie i zobaczyłam, jak będzie wyglądał na starość.

– Todd, przepraszam, ale...

Odwrócił się w moją stronę i wrzasnął:

– Ja cię kocham, do cholery!

Krzyczał tak, jak krzyczy się do obcokrajowca w przekonaniu, że dzięki temu nas zrozumie; chciał mnie zmusić, żebym znowu go kochała.

– Nie znasz mnie. Gdybyś mnie znał, nie kochałbyś mnie.

To była prawda. Nie znał mnie. Nie pozwoliłam mu na to. Gdybym miała swoją pieśń, nigdy bym nie próbowała śpiewać jej dla niego; nigdy nie zabarłóżyłam z nim w łóżku w niedzielny poranek. To zawsze ja wpadałam na pomysł, żebyśmy wstali i dokądś poszli. Może i patrzył mi w oczy, ale gdy to robił, odwracałam wzrok.

– Zasługujesz na więcej – powiedziałam i próbowałam wziąć go za rękę. Wyrwał się. – Przykro mi.

Wzdrygnął się. Było mi przykro. Nadal jest. Żałuję, bo nie dostrzegłam tego, że tylko ja znajdowałam się na bezpiecznej obwodnicy, podczas gdy on był w środku, sam i obnażony. Po raz kolejny byłam samolubna i okrutna względem kogoś, o kogo powinnam się troszczyć.

Zanim umarłaś sądziłam, że nasz związek był dojrzały i rozsądny. Był to mój przejaw tchórzostwa; pasywna opcja wynikająca z mojego braku pewności siebie, a nie to, na co Todd zasługiwał – czyli aktywny wybór inspirowany miłością.

Kilka minut później wyszedł. Nie powiedział dokąd.

Pan Wright postanowił, że będziemy pracować w czasie lunchu i kupił w delikatesach kanapki. Prowadzi mnie pustymi korytarzami do sali konferencyjnej, w której znajduje się stół. Z jakiegoś powodu opustoszała wielka przestrzeń biurowa wydaje mi się przytulna.

Nie powiedziałam panu Wrightowi, że w czasie swoich poszukiwań zerwałam zaręczyny, jak też, że niemający przyjaciół w Londynie Todd musiał brnąć przez śnieg do hotelu. Przekazałam tylko informację o wejściu Gene-Med na rynek papierów wartościowych.

– I o dwudziestej trzeciej trzydzieści zadzwoniła pani do sierżanta Finborougha? – pyta pan Wright, zerkając do policyjnego zapisu rozmów.

– Tak. Zostawiłam dla niego wiadomość z prośbą, żeby do mnie oddzwonił. Nie zrobił tego do dziewiętej trzydzieści następnego ranka, więc poszłam do szpitala św. Anny.

– Zorganizowała pani ponowną wizytę?

– Tak. Starsza położna powiedziała, że musi poszukać karty ciąży i umówiła się ze mną.



Przybyłam do szpitala. Skórę głowy miałam napiętą ze zdenerwowania, bo myślałam, że niebawem spotkam osobę, która towarzyszyła Ci przy narodzinach Xaviera. Wiedziałam, że muszę to zrobić, choć nie byłam pewna dlaczego. Może to miała być pokuta? Moje poczucie winy rozwinęło się w pełni. Dotarłam na miejsce kwadrans przed czasem i poszłam do kawiarni. Kiedy siedziałam i piłam kawę, zobaczyłam, że dostałam nową wiadomość:

Do: i-phone Beatrice Hemming

Od: biuro profesora Rosena, Gene-Med

Szanowna Pani Hemming.

Zapewniam Panią, że nie oferujemy uczestnikom naszych

badania pokusy natury finansowej. Każdy zgłasza się bez przymusu i zachęty. Jeżeli zechce Pani zwrócić się do komisji etyki szpitali biorących udział w programie, dowie się Pani, że przestrzegamy ściśle zasad etycznych.

Z poważaniem,

Sarah Stonaker, rzecznik prasowy profesora Rosena.

Odpisałam natychmiast.

Do: professor.rosen@gene-med.co.uk

Od: i-phone Beatrice Hemming

Jedną z uczestniczek była moja siostra. Otrzymała 300 funtów w zamian za udział w badaniach. Nazywała się Tess Hemming, (drugie imię Annabel, po babci). Miała 21 lat. Zamordowano ją po tym, jak urodziła martwe dziecko. Pogrzeb jej i syna odbędzie się w czwartek. Brakuje mi jej bardziej, niż jesteście w stanie sobie wyobrazić.

Wydawało się, że znajduję się w stosownym miejscu, by pisać taką wiadomość. W oddziałach powyżej walczono z chorobą i śmiercią, ale odnosiłam wrażenie, że miały one dostęp do szpitalnego holu i trafiały do tutejszych cappuccino i ziołowych herbat. Nie ja pierwsza pisałam przy tym stoliku kipiącą emocjami wiadomość. Zastanawiałam się, czy rzeczniczka prasowa przekaze jej treść profesorowi Rosenowi. Wątpiłam w to.

Na pięć minut przed spotkaniem, zgodnie z poleceniem wjechałam winą na czwarte piętro i weszłam na oddział położniczy.

Starsza położna wyglądała na spiętą, gdy mnie zobaczyła, chociaż może to przez kręcone, rude włosy sprawiała takie wrażenie.



– Jak dotąd nie znaleźliśmy karty ciąży. A bez niej nie byłam w stanie ustalić, kto jej towarzyszył w czasie porodu.

Poczułam ulgę, ale uznałam, że poddanie się byłoby tchórzostwem.

– Nikt nie pamięta?

– Obawiam się, że nie. Od trzech miesięcy cierpimy na brak personelu, tak więc pomagało nam wiele położnych z agencji i lekarzy na zastępstwie. Podejrzewam, że tak było w tym przypadku.

Do rozmowy przyłączyła się młoda pielęgniarka z kolczykiem w nosie:

– Mamy podstawowe informacje z komputera centralnego, czyli godzinę i datę przyjęcia i wypisu, jak też, niestety, informację o śmierci dziecka. Żadnych szczegółów. Nic na temat jej historii ani tego, kto się nią opiekował. Wczoraj sprawdziłam na oddziale psychiatrii. Doktor Nichols powiedział, że karta do niego nie dotarła. Oznajmił, że nasz oddział powinien „wziąć się w garść”, co w jego przypadku sugeruje, że jest zły.

Pamiętałam, że doktor Nichols mówił, iż nie miał Twojej „historii choroby psychicznej”. Nie wiedziałam o zaginięciu Twojej karty ciąży.

– Czy nie ma tego w jakimś komputerze? To znaczy, jakichś szczegółowszych informacji – zapytałam.

Starsza położna pokręciła przecząco głową.

– Używamy papierowej wersji, żeby kobieta mogła nosić kartę przy sobie, na wypadek, gdyby musiała rodzić w innym szpitalu. Później dołączamy do niej wypisywany ręcznie raport z porodu i odsyłamy te dokumenty do archiwum.

Zadzwoił telefon, ale położna zignorowała go, poświęcając całą uwagę mnie.

– Naprawdę jest mi przykro. Rozumiemy, jakie to musi być dla pani ważne.

Gdy w końcu odebrała telefon, moje poczucie ulgi przekształciło się w podejrzliwość. Czy w Twojej karcie ciąży znajdowała się jakaś wskazówka dotycząca zabójstwa? Czy dlatego właśnie karta „zniknęła”?

Zaczekałam, aż położna skończy rozmowę.

– Czy to nie dziwne, że ginie karta ciążowa pacjentki? – zapytałam.

Położna się skrzywiła.

– Niestety, nie ma w tym nic dziwnego.

Obok nas przechodził tęgi lekarz w garniturze w prążki. Zatrzymał się i wtrącił do rozmowy.

– Cały wózek z dokumentacją pacjentów zniknął we wtorek z kliniki dla diabetyków.

Do punktu pielęgniarek podszedł doktor Saunders i przeglądał kartę pacjentki. Zdawał się mnie nie zauważać.

– Naprawdę? – odezwałam się, niezainteresowana, do lekarza.

Ten nabrał wiatru w żagle.

– Kiedy w ubiegłym roku zbudowali szpital św. Jana, nikt nie pamiętał o kostnicy. Gdy zmarł ich pierwszy pacjent, nie było go gdzie umieścić.

Położna była wyraźnie zakłopotana jego obecnością. Zastanawiałam się, dlaczego ten człowiek tak otwarcie opowiadał mi o szpitalnych błędach.

– Przeniesiono nastoletnie pacjentki chorujące na raka i nikt nie pamiętał, gdzie przewieziono ich zamrożone komórki jajowe – ciągnął lekarz. – Teraz ich szanse na zajście w ciążę są zerowe.

Doktor Saunders uśmiechnął się do mnie pocieszająco.

– Nie jesteśmy całkowicie niekompetentni, zapewniam.

– Czy wiedział pan, że kobietom płacono za udział w badaniu nad leczeniem mukowiscydozy? – zapytałam.

Wydawał się trochę poirytowany nagłą zmianą tematu.

– O tym nie wiedziałem.

– Ja też nie – powiedział doktor Saunders. – Czy wie pani, jakie to były kwoty?

– Trzysta funtów.

– Równie dobrze mogła to być uprzejmość lekarza lub pielęgniarki –

skwitował Saunders uprzejmym tonem. Znowu skojarzył mi się z Tobą, tym razem dlatego, że dostrzegał w ludziach dobro. – W ubiegłym roku na onkologii była taka pielęgniarka, prawda?

Lekarz specjalista potaknął.

– Wydała wszystkie pieniądze z funduszu oddziału na nowe ubrania dla staruszka, którego zrobiło się jej żal.

Przyłączyła się zakolczykowana pielęgniarka.

– Położne niekiedy próbują pomóc matkom w trudnej sytuacji i dają im pieluchy oraz mleko w proszku przy wypisie. Niekiedy znika jakiś sterylizator czy wanienska.

Tęgi lekarz wyszczerzył się w uśmiechu.

– Chcesz powiedzieć, że wróciliśmy do czasów, w których pielęgniarki były troskliwe?

Zakolczykowana pielęgniarka spojrzała na niego groźnie i lekarz się roześmiał.

Odezwały się dwa dzwonki i telefon. Lekarz w garniturze zareagował na dzwonek swojego pagera, zakolczykowana pielęgniarka odebrała telefon, a starsza położna zajęła się dzwonkiem od pacjentki. Zostałam sama z doktorem Saundersem. Przystojni mężczyźni zawsze mnie onieśmielali, że o pięknych już nie wspomnę. Kojarzyli mi się nie tyle z nieuchronnym odepchnięciem mnie, ile raczej z tym, że w ogóle mnie nie dostrzegali.

– Napiłaby się pani kawy? – zapytał.

Chyba się zarumieniłam. Pokręciłam przecząco głową – nie chciałam być odbiorcą emocjonalnej jałmużny.

Muszę przyznać, że choć nadal byłam z Toddem, oddawałam się fantazjom na temat doktora Saundersa, choć wiedziałam, że nie powinnam się nimi zajmować. Nawet jeśli potrafiłabym wykreować wizję, w której bym mu się podobała, jego obrączka nie pozwalała na trwałość, pewność i cokolwiek innego, czego pragnęłam w związku.

– Zostawiłam starszej położnej swoje namiary, w razie gdyby znaleziono kartę ciężową Tess. Ostrzegła mnie jednak, że karta mogła zaginąć na dobre.

– Powiedziała pani, że zaginięcie karty wzbudziło w pani podejrzenia?  
– pyta pan Wright.

– Początkowo tak. Ale im dłużej byłam w szpitalu, tym trudniej było mi sobie wyobrazić, że mogło się tam dziać coś złego. Wydawał mi się miejscem zbyt publicznym, pełnym ludzi, którzy patrzyli sobie na ręce. Nie wyobrażałam sobie, jak komuś mogłoby tu cokolwiek ujść na sucho. Choć nie wiedziałam, czym to „cokolwiek” mogłoby być.

– A te pieniądze?

– Pracownicy szpitala nie byli tym zaskoczeni i bynajmniej nie budziło to ich podejrzliwości.

Pan Wright zerka do policyjnego wykazu rozmów.

– Sierżant Finborough nie oddzwonił do pani. Nie nalegała pani?

– Nie, no bo co miałabym mu powiedzieć? Że kobiety dostawały pieniądze, ale nikt z osób, z którymi rozmawiałam w szpitalu, nie widział w tym niczego złego, czy choćby dziwnego? Że Gene-Med miało wejść na giełdę, ale nawet mój narzeczony uważał, że jest to logiczna decyzja biznesowa? Karta Tess zaginęła, ale personel uważał, że to się dzieje nagminnie. Nie miałam mu nic do przekazania.

Zaschło mi w ustach. Wypijam trochę wody i mówię dalej:

– Myślałam, że zabrnęłam w ślepią uliczkę i powinnam wrócić do podejrzeń względem Emilia Codiego i Simona. Wiedziałam, że większość zabójstw ma charakter domowy. Nie pamiętam, gdzie to słyszałam.

Pamiętam natomiast, że określenie „zabójstwo domowe” wydawało mi się oksymoronem. Prasowanie w niedzielny wieczór i opróżnianie zmywarki mają charakter domowy; morderstwo nie.

– Uważałam, że zarówno Simon, jak i Emilio byli zdolni do zabicia jej. Emilio miał oczywisty motyw, Simon zaś miał na jej punkcie obsesję.

Dowodem na to były jego zdjęcia. Obaj byli związani z Tess poprzez uczelnię. Simon jako student, Emilio – nauczyciel. Po wyjściu ze szpitala poszłam na Akademię. Chciałam sprawdzić, czy ktokolwiek potrafi mi cokolwiek powiedzieć.

Pan Wright pewnie myśli, że byłam zaangażowana i energiczna. To nieprawda. Odwlekałam powrót do domu. Po części nie chciałam do niego wracać, nie poczyniwszy żadnych postępów, ale też unikałam Todda. Zadzwoił z propozycją, że przyjedzie na pogrzeb, ale powiedziałam mu, że nie ma takiej konieczności. Postanowił więc polecieć do Stanów jak najszybciej i miał przyjść po swoje rzeczy. Nie chciałam być przy tym obecna.



Nie odgarnięto śniegu ze ścieżek przed Akademią i większość okien była ciemna. Sekretarka z niemieckim akcentem powiedziała mi, że to jest ostatni z trzech dni prac administracyjnych. Zgodziła się, żebym zostawiła ogłoszenia. Pierwsze informowało o Twoim pogrzebie. W drugim zapraszałam Twoich przyjaciół za kilka tygodni na spotkanie w kawiarni, którą widziałam naprzeciwko uczelni. To była spontaniczna notatka, datę wyznaczyłam losowo i gdy przypinałam kartkę obok ogłoszeń o szukaniu współlokatora i sprzedaży sprzętu, wydawała mi się śmieszna. Spodziewałam się, że nikt nie przyjdzie. Niemniej ją zostawiłam.

Gdy dotarłam do domu, zobaczyłam Todda czekającego w ciemnościach. Naciągnął kaptur, chroniąc się przed śniegiem z deszczem.

– Nie mam klucza.

Myślałam, że miał.

– Przepraszam.

Otworzyłam drzwi, wszedł do sypialni. Stałam na progu

i obserwowałam, jak skrupulatnie się pakuje. Nagle się odwrócił. Po raz pierwszy patrzyliśmy na siebie jak należy.

– Wróć ze mną, proszę.

Zawahałam się, patrząc na nienagannie spakowane ubrania, przypominając sobie porządek i schludność naszego życia w Nowym Jorku, które byłoby ucieczką od tutejszej zawieruchy. Moje uporządkowane życie należało już jednak do przeszłości. Już nigdy do niego nie wrócę.

– Beatrice?

Pokręciłam głową i ten niewielki przeczący gest przyprawił mnie o zawrót głowy.

Zaproponował, że odda samochód do wypożyczalni na lotnisku. Przecież nie miałam pojęcia, ile czasu tu spędzę. A wynajem był potwornie drogi. Przyziemność tej rozmowy, uwaga poświęcana kwestiom praktycznym, były tak kojąco znajome, że chciałam go poprosić, żeby ze mną został; chciałam go o to błagać. Nie mogłam jednak tego od niego wymagać.

– Na pewno nie chcesz, żebym został na pogrzeb? – zapytał.

– Nie. Ale dziękuję.

Dałam mu kluczyki do samochodu i, dopiero gdy usłyszałam uruchamiany silnik, zdałam sobie sprawę z tego, że powinnam była oddać mu pierścionek. Obracając brylant na palcu obserwowałam przez piwniczne okno, jak Todd odjeżdża; patrzyłam jeszcze długo, aż straciłam go z oczu; słyszałam już tylko dźwięki obcych samochodów.

Poczułam się uwięziona przez samotność.



Powiedziałam panu Wrightowi o ogłoszeniach w Akademii, ale nie o Toddzie.

– Może przyniosę nam jakieś ciastka? – proponuje pan Wright.

Zaskoczył mnie zupełnie.

– Miła propozycja.

„Miła”. Muszę jutro przynieść słownik. Zastanawiam się, czy pan Wright jest uprzejmy. A może głodny? A może to romantyczny gest – wspólna herbatka w starym stylu? Dziwię się, jak bardzo mam nadzieję na to, że tak właśnie jest.

Kiedy wychodzi, wybieram numer Todda do pracy. Telefon odbiera jego asystentka, ale nie rozpoznaje mojego głosu. Pewnie znowu mówię z brytyjskim akcentem. Łączy mnie z Toddem. Nadal czujemy się względem siebie niezręcznie, ale już mniej, niż wcześniej. Zaczęliśmy proces sprzedaży naszego mieszkania i ustaliśmy warunki. Todd nagle zmienia temat.

– Widziałem cię w wiadomościach. Wszystko w porządku?

– Tak, dziękuję.

– Chciałbym cię przeprosić.

– Nie masz mnie za co przeproszać. Tak naprawdę to ja...

– Ależ mam. Przez cały czas miałaś rację w sprawie siostry.

Zapada między nami cisza, którą przerywam.

– Zamierzasz zamieszkać z Karen?

Milczy przez chwilę.

– Tak. Naturalnie nadal będę spłacał swoją część kredytu do czasu sprzedaży mieszkania.

Karen to jego nowa dziewczyna. Kiedy mi o niej powiedział, poczułam zaprawioną poczuciem winy ulgę, że znalazł kogoś tak szybko.

– Nie sądziłem, że będziesz miała coś przeciwko – ciągnie Todd i mam wrażenie, że chciałby, aby było inaczej. Udaje, że jest radosny. – Przypuszczam, że jest podobnie, jak było z nami, tylko że role są odwrócone.

Nie mam pojęcia, co mogłabym powiedzieć.

– „Jeżeli miłość nie jest nigdy jednakowa” – mówi lekkim tonem, ale wiem, że nie powinnam tego błędnie interpretować.

Marzę, żeby dodał: „Niech to ja będę zawsze tym, kto bardziej

kocha”<sup>[11]</sup>.

Żegnamy się.

Przypomniałam Ci, że studiowałam literaturę, prawda? Dysponuję niezliczonym zasobem cytatów, które zawsze podkreślają niedoskonałość mojego życia, zamiast podnosić mnie na duchu.

Wraca pan Wright z ciasteczkami i herbatą. Robimy sobie pięciominutową przerwę na rozmowę o rzeczach nieistotnych – nad wyraz ciepłej pogodzie, roślinach cebulowych w parku św. Jakuba, wschodzących peoniach w Twoim ogródku. Nasza wspólna herbatka wydaje się trochę romantyczna w taki bezpieczny, dziewiętnastowieczny sposób; chociaż bohaterki Jane Austen z pewnością nie piły herbaty ze styropianowych kubków i nie jadły ciasteczek z plastikowych opakowań.

Mam nadzieję, że pan Wright nie czuje się urażony tym, iż poczułam zbyt silne mdłości, by skończyć ciastko.

Wypiwszy herbatę, przeglądamy kolejne strony moich zeznań. Pan Wright upewnia się w kilku kwestiach, po czym proponuje, byśmy na dzisiaj skończyli. Musi zostać i dokończyć papierkową robotę, niemniej odprowadza mnie do windy. Kiedy idziemy długim korytarzem i mijamy puste, nieoświetlone gabinety, mam wrażenie, że prowadzi mnie pod drzwi mojego domu. Czeka, aż drzwi windy się otworzą. Wsiadam do niej.

Wychodzę z budynku prokuratury i idę na spotkanie z Kasią. Wydaję dwudniową pensję na bilety na London Eye. Obiecałam jej to. Czuję się jednak zmęczona. Moje nogi są tak ciężkie, jakby nie należały do mnie. Chciałabym wrócić do domu i położyć się spać. Gdy widzę długie kolejki, mam pretensję do tej karuzeli, że uczyniła z Londynu miasto-cyklopa.

Dostrzegam Kasię, stojącą na początku jednej z kolejek i machającą do mnie. Pewnie czekała tu kilka godzin. Ludzie przyglądają się jej. Lękają się, że zacznie rodzić w kabinie. Dołączam do niej i dziesięć minut później „wchodzimy na pokład”.



Nasza kabina jest coraz wyżej, Londyn rozwija się pod nami niczym kobierzec. Nie czuję się już chora czy zmęczona. Jestem upojona. Myślę sobie, że choć daleko mi do zdrowia, to przynajmniej nie urwał mi się dzisiaj film, co pewnie jest dobrym znakiem. Może powinnam pozwolić sobie na nadzieję, że wyszłam z tego bez szwanku; że naprawdę wszystko może być dobrze.

Pokazuję Kasi różne obiekty i proszę ludzi za nami, żeby się przesunęli – chcę jej pokazać Big Bena, elektrownię Battersea, Izbę Gmin, most Westminster. Wymachuję ramionami i jestem zdziwiona nie tylko tym, że czuję się dumna ze swojego miasta, ale dlatego, że jest ono „moje”. Wybrałam życie w Nowym Jorku, leżącym za Atlantykiem, ale bez jakiegoś konkretnego powodu czuję się związana z tym miejscem.

---

[11] Wiersz W.H. Audena *The More Loving One* w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka.

## ROZDZIAŁ 14

### *Poniedziałek*

Dzisiaj rano obudziłam się nieprzyzwoicie wcześnie. Pudding udaje futrzaną mruczącą poduszkę na moich nogach (niegdyś nie rozumiałam, dlaczego ją przygarnęłaś). Pan Wright powiedział mi, że dzisiaj zajmiemy się Twoim pogrzebem. O 5.30 rezygnuję z prób spania i wychodzę do ogródka. Muszę najpierw uporządkować wszystko w pamięci, upewnić się, że pamiętam to, co ważne, ale moje myśli pierzchają, gdy tylko próbuję skoncentrować się na zdarzeniach. Zamiast tego przyglądam się listkom i pączkom; jest ich mnóstwo na gałązkach, o których myślałam, że są martwe. Niestety, była jedna ofiara śmiertelna – różę Constance Spry zabił mocz lisa. Na jej miejsce posadziłam odmianę Kardynał Richelieu. Żaden lis nie odważy się na nią nasiusić.

Czuję, że ktoś otula mi ramiona płaszczem. Widzę, jak śpiąca Kasia wraca chwiejnym krokiem do łóżka. Twój szlafrok nie zakrywa już jej brzucha. Do daty porodu zostały tylko trzy dni. Poprosiła, żebym towarzyszyła jej na porodówce, była jej „doułą” (to brzmi zbyt wykwintnie, zważywszy na moją podstawową wiedzę o tym, co należy robić). Nigdy mi nie wspominałaś o „doulach”, kiedy prosiłaś, bym Ci towarzyszyła przy porodzie Xaviera. Mówiłaś tylko, że mam tam być. Być może uznałaś, iż wyda mi się to odpychające (i miałaś rację). A może w tym przypadku nie była potrzebna specjalna nazwa. Jestem Twoją

siostrą. I ciotką Xaviera. To wystarczy.

Mogłabyś pomyśleć, że Kasia daje mi drugą szansę po tym, jak zawiodłam Ciebie. Choć byłoby to proste, nie jest prawdą. Dziewczyna nie jest też dla mnie żywym, gadającym prozakiem. Niemniej zmusiła mnie do tego, bym spojrzała w przyszłość. Pamiętasz, jak Todd powiedział mi, że „życie musi toczyć się dalej”? Nie mogłam cofnąć swojego życia do czasu, w którym nadal żyłaś, więc chciałam je zatrzymać; podążanie dalej wydawało mi się samolubstwem. Rozwijające się dziecko Kasi (dziewczynka, jak niedawno się dowiedziałyśmy) jest jednak żywym przypomnieniem, że życie faktycznie toczy się dalej – jest przeciwieństwem *memento mori*. Nie wiem, czy jest coś takiego, jak *memento vitae*.

Amias miał rację; poranne trele są tu głośne. Ptaki śpiewają jak oszalałe od godziny. Próbuję przypomnieć sobie kolejność, o której mówił. Zdaje się, że teraz powinny odezwać się skowronki. Kiedy słucham ptaków wyśpiewujących, jak mi się wydaje, tony podobne do Bachowskich preludiów, które trochę mnie zadziwiają i dziwnie pocieszają, wracam pamięcią do Twojego pogrzebu.



Noc przed pogrzebem spędziłam w Little Hadston, w mojej dawnej sypialni. Od lat nie spałam na pojedynczym łóżku i jego rozmiar, dobrze utkane prześcieradło i ciężka pierzyna dały mi kojące poczucie bezpieczeństwa. Wstałam o 5.30 i kiedy zeszłam do kuchni, mama już tam była. Na stole ustawiła dwa kubki z kawą. Podała mi jeden.

– Przyniosłabym ci kawę na górę, ale nie chciałam cię budzić.

Już zanim pociągnęłam łyk, wiedziałam, że będzie zimna. Na dworze było ciemno, dudnił deszcz. Mama nieprzytomnie rozsunała zasłony, jakby na zewnątrz było coś widać, ale zobaczyła tylko swoje odbicie w szybie.

– Gdy ktoś umrze, może być w takim wieku, w jakim go pamiętamy,

prawda? – zapytała. Kiedy zastanawiałam się nad odpowiedzią, ciągnęła: – Ty pewnie myślisz o dorosłej Tess, bo nadal byliście sobie bliskie. Po przebudzeniu się myślałam o niej, gdy miała trzy lata i była ubrana w spódniczkę wróżki, którą kupiłam jej w Woolworce, oraz policyjny hełm. Różdżkę zrobiła sobie z drewnianej łyżki. Wczoraj w autobusie wyobrażałam sobie, jak trzymam ją w ramionach, gdy miała zaledwie dwa dni. Czułam jej ciepło. Przypomniało mi się, jak chwyciła wszystkimi paluszkami mój palec. Były takie malutkie, że nie obejmowały go całego. Pamiętam kształt jej główki i to, jak głaskałam ją po karku, aż zasnęła. Przypomniał mi się jej zapach. Woń niewinności. Kiedy indziej widzę ją, jak miała trzynaście lat i była taka śliczna, że martwiłam się o nią za każdym razem, gdy spojrzał na nią jakiś mężczyzna. Każda z tych Tess to moja córka.

O 10.55 poszliśmy do kościoła. Wiatr kierował lodowaty deszcz na nasze twarze i nogi. Czarna spódnica mamy oblepiła jej uda, moje kozaki były zabłocone. Byłam jednak zadowolona z tego deszczu i wiatru. „Dmij, wietrze, dmij, aż ci policzki pękną!”<sup>[12]</sup>. Wiem, że to nie było zwiędnięte wrzosowisko, tylko Little Hadston w czwartkowy ranek. Przy drodze wiodącej do kościoła stały zaparkowane samochody.

Przed kościołem stało ponad sto osób. Smagał je deszcz. Niektórzy kryli się pod parasolami, inni naciągnęli kaptury. Myślałam, że nie otwarto jeszcze drzwi i dopiero po chwili dotarło do mnie, że nie wszyscy zmieścili się w środku. W tłumie dostrzegłam sierżanta Finborougha i funkcjonariuszkę Vernon, większość osób jednak była nierozpoznawalna za zasłoną deszczu i emocji.

Kiedy spojrzałam na zgromadzonych przed kościołem ludzi i pomyślałam o tych w środku, wyobraziłam sobie, że każdy z nich nosi w sobie własne wspomnienie Ciebie – Twojego głosu, twarzy, śmiechu, czynów i słów. Gdyby udało się poskładać te wszystkie elementy w całość, uzyskalibyśmy Twój pełny obraz.

Ojciec Peter spotkał się z nami przy bramie cmentarza i osłonił nas parasolem. Powiedział, że wpuścił ludzi na chór i przyniósł dodatkowe krzesła, ale nie było już miejsc. Przeprowadził nas przez cmentarz do kościoła.

Gdy szłam za ojcem Peterem, zobaczyłam plecy samotnego mężczyzny. Miał gołą głowę i przemoczone ubranie. Stał pochylony nad zięjącym otworem w ziemi, która czekała na przyjęcie Twojej trumny. To był tata. Po tych wszystkich latach, w czasie których czekałyśmy na niego, a on nie przychodził, teraz on czekał na Ciebie.

Odezwał się kościelny dzwon. Nie ma potworniejszego dźwięku. Nie słyhać w nim życia, ludzkiego rytmu, a jedynie mechaniczne podkreślanie straty. Musiałyśmy wejść do kościoła. Wydawało mi się to niemożliwe i przerażające, jak wyjście za okno na ostatnim piętrze wieżowca. Mama czuła chyba to samo. Ten jeden stopień dzielił nas od złożenia Twojego ciała w mokrej ziemi. Poczułam, że ktoś mnie obejmuje i zobaczyłam tatę. Drugim ramieniem obejmował mamę. Wprowadził nas do kościoła. Przez jego ciało wyczułam, jak mama zatrzęsa się, gdy spojrzała na Twoją trumnę. Tata nadal nas obejmował, kiedy szliśmy niekończącą się nawą w kierunku naszych miejsc przed ołtarzem. Potem usiadł między nami i trzymał nas za ręce. Nigdy wcześniej nie byłam tak wdzięczna za ludzki dotyk.

W pewnej chwili odwróciłam się na chwilę i spojrzałam na wypełniony po brzegi kościół oraz wylewających się na zewnątrz tłum osób, stojących w deszczu. Zastanawiałam się, czy jest wśród nas zabójca.

Mama poprosiła o pełne nabożeństwo. Byłam z tego zadowolona, bo to oznaczało, że mamy więcej czasu, zanim złożymy Cię w grobie. Nigdy nie lubiłaś kazań, ale sądzę, że słowa ojca Petera Cię wzruszyły. Dzień wcześniej były walentynki i może z tego powodu mówił o nieodwzajemnionej miłości. Pamiętam w przybliżeniu, co powiedział:

„Kiedy mówię o nieodwzajemnionej miłości, większość z was pewnie myśli o miłości romantycznej. Jest jednak wiele innych rodzajów miłości,

której nie odwzajemniamy w sposób wystarczający, jeśli w ogóle. Zbuntowana nastolatka może nie kochać matki tak, jak ona kocha ją; agresywny ojciec nie odwzajemnia niewinnej, otwartej miłości małego dziecka. Żałoba jest jednak najbardziej nieodwzajemnioną miłością. Bez względu na to, jak mocno i jak długo obdarzamy miłością kogoś, kto umarł, ten ktoś nigdy nie może odwzajemnić tego uczucia. Przynajmniej tak nam się wydaje...”

Po mszy wyszliśmy z kościoła, żeby Cię pochować.

Niesłabnący deszcz zamienił śnieg pokrywający cmentarz w błoto. Ojciec Peter zaczął obrządek:

– Powierzamy naszą siostrę Tess i jej syna Xaviera Bożej łasce i chowamy ich ciała w ziemi. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. Jesteśmy pełni nadziei i oczekiwania wskrzeszenia umarłych i życia wiecznego.

Przypomniał mi się pogrzeb Leo i to, jak trzymałam Cię za rękę. Miałam jedenaście lat, a ty sześć. Twoja rączka wydawała się mała i miękka. Kiedy ksiądz powiedział: „Jesteśmy pełni nadziei i oczekujemy wskrzeszenia umarłych i życia wiecznego”, spojrzałaś na mnie: „Ja nie chcę być pełna nadziei, ja chcę wiedzieć na pewno, Bee”.

W czasie Twojego pogrzebu też chciałam mieć pewność. Ale nawet kościół może mieć tylko nadzieję, nie może obiecywać, że po zakończeniu życia czeka nas wieczne szczęście.

Trumnę opuszczono do głębokiego dołu wykopanego w ziemi. Widziałam, jak mija odsłonięte korzenie trawy, przecięte szpadlem. I zagłębia się jeszcze bardziej. Zrobiłabym wszystko, by móc znowu trzymać Cię za rękę, cokolwiek, by zrobić to raz jeszcze, choćby przez kilka sekund.

Deszcz dudnił o Twoją trumnę, chlap, chlap.

„Chlap, chlap, pada deszcz”. Miałam wtedy pięć lat i śpiewałam dla Ciebie. Niedawno się urodziłaś.

Trumna dotarła do dna ogromnej dziury. Jakaś część mnie zeszła w błotnistą ziemię, położyła się obok Ciebie i umarła razem z Tobą.

Mama zrobiła krok do przodu i wyjęła z kieszeni płaszcz drewnianą łyżkę. Twoją czarodziejską różdżkę. Rozluźniła palce i łyżka spadła na trumnę.

A ja wrzuciłam do dołu swoje wiadomości z dopiskiem „lol”. I tytuł starszej siostry. I przydomek Bee, niemający znaczenia dla nikogo więcej. To była nasza więź. Dorzuciłam też różne drobiażdżki. Błahostki. Wiedziałaś, że nie układałam słówek z makaronu-literek. Oddawałam Ci swoje samogłoski, żebyś mogła ułożyć więcej wyrazów. Wiedziałam, że Twoim ulubionym kolorem był fiolet, do czasu, gdy zakochałaś się w jaskrawej żółci; („Ochra to artystyczne słowo, Bee”). Wiedziałaś, że ja uwielbiam pomarańczowy. Potem odkryłam, że ciemnoszary jest bardziej elegancki, a Ty się ze mną z tego powodu droczyłaś. Wiedziałaś, że moim pierwszym porcelanowym zwierzątkiem był kot (pożyczyłaś mi 50 pensów ze swojego kieszonkowego, żebym mogła go kupić); że kiedyś wyciągnęłam ze szkolnego kufra wszystkie swoje ubrania i rozrzuciłam je po całym pokoju – tylko ten jeden raz byłam bliska ataku hysterii. Wiedziałam, że gdy miałaś pięć lat, wsuwałaś się do mojego łóżka każdej nocy przez rok. Wrzuciłam do tej ziemi razem z Tobą wszystko, co miałyśmy wspólnego, silne korzenie, gałązki i liście, jak też piękne, delikatne pączki naszego siostrzanego związku. I stałam, tak pomniejszona tą stratą, że myślałam, iż nie mogę już istnieć.

Dla siebie mogłam pozostawić jedynie tęsknotę za Tobą. Czyli co? Piekące łzy, emocje, które uwięzły w gardle, pustkę w piersi, która była większa ode mnie. Czy tylko to mi zostało? Nic prócz dwudziestu jeden lat miłości do Ciebie? Czy poczucie, że wszystko jest w porządku w świecie, moim świecie, miała zastąpić pustka, bowiem fundament tego świata, uformowanym w dzieciństwie i wzmacnianym w wieku dorosłym, byłaś Ty? Miejsce tego przeświadczenia miał zająć koszmar nicości? Przecież nie byłam już niczyją siostrą.

Zobaczyłam, że tacie podano garść ziemi. Trzymał pięść nad Twoją trumną, ale nie mógł rozprostować palców. Wreszcie włożył dłoń do kieszeni i wrzucił ziemię do niej, nie na trumnę. Patrzył, jak ojciec Peter rzucił zamiast niego pierwszą grudkę, która rozpadła się z bólem. Podeszłam do ojca i wzięłam go za ubrudzoną rękę. Czuliśmy cząstki ziemi między naszymi dłońmi. Spojrzał na mnie z miłością. Samolubna osoba może kochać kogoś innego, prawda? Nawet, jeśli tego kogoś skrzywdziła i zawiodła. Ja powinnam to dobrze rozumieć.

Mama milczała, gdy na Twoją trumnę spadała ziemia.

Kosmicznej eksplozji nie towarzyszy żaden dźwięk.



Niemy krzyk mamy nadal rozbrzmiewa w mojej głowie, gdy docieram do budynku prokuratury. Mamy poniedziałek i jest tu mnóstwo ludzi. Kiedy wsiadam do zatłoczonej windy, zaczynam się denerwować, jak zawsze, że winda utknie między piętrami, a moja komórka nie będzie miała zasięgu i Kasia nie zdoła skontaktować się ze mną, gdy zacznie rodzić. Dotarłszy na trzecie piętro, sprawdzam, czy dostałam wiadomość. Nic. Sprawdzam też pager. Tylko Kasia ma ten numer. To przesada, zgadzam się, ale podobnie jak świeże nawrócenie się na katolicyzm, tak i nawrócenie się na troszczenie się o innych ma być realizowane „jak należy” – oprócz różańca i kadzidełek potrzebny jest pager i specjalny dzwonek w telefonie ustawiony tylko dla Kasi. Nie jestem osobą z natury troszczącą się o innych – nie dysponuję tym zabezpieczeniem. Przynajmniej tyle się nauczyłam. Nie mogę tego traktować swobodnie, jak makijażu. Owszem, mój lęk o Kasię jest sposobem skierowania myśli na kogoś, kto żyje. Potrzebuję tego *memento vitae*. Wchodzę do gabinetu pana Wrighta. Tego ranka nie uśmiecha się do mnie, może dlatego, że wie, iż zaczniemy od Twojego pogrzebu; a może płomyczek romantyzmu, który dostrzegłam w weekend, zdusiło to, o czym opowiadam. Moje zeznania i ich motyw centralny – zabójstwo – kiepsko się nadają na



sonet miłosny. Idę o zakład, że ptaki Amiasa nie śpiewają do siebie na takie tematy.

Pan Wright opuścił żaluzje, żeby do środka nie wpadało jaskrawe wiosenne światło. Ponure oświetlenie wydaje się stosowne, by mówić o Twoim pogrzebie. Dzisiaj postaram się nie wspominać o moich fizycznych słabościach. Jak mówiłam, nie mam prawa się skarżyć, nie, kiedy Twoje ciało zostało uszkodzone tak, że nie da się go wyleczyć i leży pod ziemią.

Opowiadam panu Wrightowi o pogrzebie. Trzymam się faktów, nie emocji.

– Chociaż nie byłam tego w owej chwili świadoma, jej pogrzeb podsunął mi dwa ważne tropy – mówię. Nie wspominam o przytłaczającej duszę męce, jaką było obserwowanie zasypywania trumny. – Po pierwsze zrozumiałam, dlaczego Emilio Codi, jeśli to on zamordował Tess, czekał aż do chwili narodzin Xaviera.

Pan Wright nie ma pojęcia, do czego zmierzam, ale Ty chyba wiesz.

– Od zawsze wiedziałam, że Emilio miał motyw. Romans z Tess zagrażał jego małżeństwu i karierze zawodowej. To prawda, że żona nie porzuciła go, gdy się o tym dowiedziała, ale nie mógł o tym wiedzieć. Jeśli to on zabił Tess, by chronić swoje małżeństwo i pracę, dlaczego nie uczynił tego, gdy odmówiła aborcji?

Pan Wright potakuje mi. Chyba jest zainteresowany.

– Pamiętałam też, że to Emilio Codi zadzwonił na policję po emisji rekonstrukcji i powiedział, że Tess już urodziła. To oznaczało, że musiał się z nią widzieć lub przynajmniej rozmawiać. Złożył już na mnie formalną skargę, więc musiałam uważać, by nie mógł powiedzieć na policji, że go nękam. Zadzwoniłam do niego i zapytałam, czy nadal chce odzyskać obrazy przedstawiające Tess. Był na mnie wściekły, ale wciąż zależało mu na płótnach.

Emilio wydawał się zbyt duży do Twojego mieszkania. Jego męskość i wściekłość zalewały je. Rozpakował każdy z aktów – żeby sprawdzić, czy ich nie zniszczyłam? Nie domalowałam listków figowych? A może po prostu znowu chciał popatrzeć na Twoje ciało? W jego głosie brzmiał ohydny gniew.

– Moja żona nie musiała dowiedzieć się o Tess, mukowiscydozie i tak dalej. Teraz poddaje się badaniom na nosicielstwo. Ja również.

– To rozsądne. Jest pan nosicielem; w przeciwnym razie Xavier nie byłby chory. Dziecko może zachorować tylko wtedy, gdy oboje rodzice są nosicielami genu.

– Wiem. Lekarze uzmysłowili nam to. Jest jednak tak, że mogę nie być ojcem.

Zaskoczył mnie. Wzruszył ramionami.

– Nie bała się seksu. Równie dobrze mogła mieć innych kochanków.

– Powiedziałaaby panu o nich. Mnie też. Nie kłamała.

Milczał, bo wiedział, że to prawda.

– To pan zadzwonił na policję, żeby powiedzieć, że urodziła już Xaviera? – zapytałam.

– Uznałem, że tak trzeba.

Chciałam rzucić mu wyzwanie. On nigdy nie robił tego, co trzeba. Ale nie po to go wypytywałam.

– Musiała też powiedzieć panu o śmierci Xaviera.

Milczał.

– Zrobiła to przez telefon czy osobiście?

Wziął obrazy i odwrócił się, żeby wyjść.

– Chciała, żeby uznał pan Xaviera za syna, prawda?

– Musimy to wyjaśnić. Kiedy mi powiedziała, że jest w ciąży, jasno oznajmiłem, jakie jest moje stanowisko. Oświadczyłem, że nie pomogę w żaden sposób ani jej, ani dziecku. Nie zamierzałem być jego ojcem. I nie sprzeciwiała się temu. Powiedziała nawet, że beze mnie będzie dziecku lepiej.

– Dobrze. Ale jak było po jego śmierci?

Odłożył obrazy. Przez chwilę myślałam, że zamierza mnie pchnąć, żeby wyjść. Zamiast tego wykonał absurdalnie teatralny gest poddania się, ohydny w jego dziecinności.

– Ma pani rację. Poddaję się. Zagroziła, że mnie wyda.

– Chciała, żeby pan przyznał, że Xavier był pańskim synem?

– To jedno i to samo.

– Jej dziecko zmarło. Chciała tylko, żeby jego ojciec się go nie wstydził. Nadal trzymał ręce w górze i zacisnął pięści, jakby rozważał, czy mnie nie uderzyć. Potem rozluźnił je i opuścił wzdłuż ciała.

– Powinna pani pogadać z tym chłopakiem. Zawsze się za nią kręcił z cholernym aparatem. Miał na jej punkcie obsesję. I był zazdrosny jak diabli.



– Wiedziałam, że Tess nie poprosiłaby Emilia o nic, gdyby Xavier żył – mówię. – Po śmierci dziecka nie mogła tolerować tego, że ojciec się go wyrzekł.

Kiedy patrzyłam na tatę nad Twoim grobem, odkupił swoje winy. Gdy trzeba było – kiedy Twoje martwe ciało zasypywano błotnistą, zimną ziemią – wystąpił w roli mężczyzny, który był Twoim ojcem. Nie można wyprzeć się nieżyjącego dziecka.

Pan Wright czeka chwilę z zadaniem kolejnego pytania.

– Uwierzyła mu pani odnośnie Simona?

– Podejrzewałam ich obydwu, ale na żadnego z nich nie miałam nic konkretnego. Nic, co podważyłoby wiarę policji w to, że Tess popełniła samobójstwo.

Opowiedziałam panu Wrightowi o spotkaniu z Emiliem, jakbym była detektywem, ale sedno sprawy dotyczyło tego, że byłam Twoją siostrą. To też muszę mu powiedzieć, bo może to ważne. Czuję się zażenowana, odsłaniając się tak bardzo, ale nie mogę już być skromna i nieśmiała.

Muszę zaryzykować i dowiedzieć się, co o mnie myśli. Więc kontynuuję.



Emilio stał w otwartych drzwiach wejściowych; z wściekłości pot spływał mu po twarzy; trzymał przedstawiające Cię akty.

– Pani nie rozumie, prawda? Mnie i Tess łączył seks, świetny, ale tylko seks. I ona o tym wiedziała.

– Nie sądzi pan, że ktoś tak młody jak Tess mógł widzieć w panu ojca? Tak uważałam, choć Ty wielokrotnie temu zaprzeczałaś.

– Nie. Nie zgadzam się z tym.

– Nie uważa pan, że skoro ojciec ją porzucił, a pan był jej nauczycielem, to szukała u pana czegoś więcej, niż tylko seksu?

– Nie.

– Też mam taką nadzieję. Bo srodze by się zawiodła.

Byłam zadowolona, że wreszcie mu to powiedziałam.

– A może podniecało ją łamanie zasad – rzekł. – Byłem poza jej zasięgiem i może to jej się podobało. – Powiedział to prawie kokieteryjnie. – Zakazany owoc zawsze jest bardziej podniecający, prawda?

Milczałam, a on podszedł trochę bliżej. Za blisko.

– Ale pani nie lubi seksu?

Nie odzywałam się. Czekał na moją reakcję.

– Tess mi mówiła, że uprawia pani seks tylko po to, by opłacić bezpieczeństwo, jakie daje związek.

Czułam jego świdrujący wzrok.

– Wybrała pani zawód, który jest bezpieczny. To samo dotyczy narzeczonego.

Próbował zniszczyć izolacyjne warstwy siostrzanej miłości.

– Powiedziała, że woli pani bezpieczeństwo od szczęścia. – Dostrzegł, że trafił w czuły punkt, więc zaczął atakować wścieklej. – Boi się pani życia.

Miałaś rację. Wiesz o tym. Inni potrafią płynąć przez życie jak po spokojnym morzu, tylko od czasu do czasu przeżywają jakąś nawałnicę. Dla mnie życie zawsze było jak góra – stroma i niebezpieczna. I, jak Ci pewnie mówiłam, trzymałam się jej za pomocą raków i lin w postaci bezpieczniejszej pracy, mieszkania i związku.

Emilio nadal wpatrywał się w moją twarz, oczekując, że poczuję się zdradzona przez Ciebie i zraniona. Ja natomiast wzruszyłam się głęboko. I czułam się jeszcze bardziej związana z Tobą. Znałaś mnie o wiele lepiej, niż sądziłam i nadal mnie kochałaś. Byłaś na tyle dobra, żeby nie mówić mi, że wiesz o moim lęku, i pozwoliłaś mi zachować szacunek do siebie jako Wielkiej Siostry. Szkoda, że Ci o tym nie powiedziałam. I tego, że wiedziałam, iż gdybym ośmieliła się oderwać wzrok od niebezpiecznej góry, zobaczyłabym Ciebie szybującą w powietrzu, nieskrępowaną poczuciem zagrożenia i lękami, niespętana linami asekuracyjnymi.

Nie było lin zabezpieczających Ciebie.

Czy uważasz, że odnalazłam trochę odwagi?

---

[12] William Shakespeare, *Król Lear*, akt III, scena II; tłum. Stanisław Barańczak.

## ROZDZIAŁ 15

Pan Wright wysłuchał mojej relacji ze spotkania z Emiliem, a ja próbuję wyczuć, czy myśli o mnie gorzej. Pani Zadurzona Sekretarka wpada do biura, by podać panu Wrightowi kawę w filizance; na talerzyku leżą ciasteczka w czekoladzie, która topi się i spływa na białą porcelanę. Ja dostaję styropianowy kubek; nie ma dla mnie ciasteczek. Pan Wright jest trochę zakłopotany nierównym traktowaniem. Czeka, aż sekretarka wyjdzie, po czym kładzie ciasteczko obok mojego kubka.

– Powiedziała pani, że pogrzeb podsunał pani dwa tropy.

Tropy? Naprawdę użyłam tego słowa? Czasami słyszę swoje nowe słownictwo i niekiedy absurdalność tego wszystkiego grozi przekształceniem mojego życia w farsę.

– *To pan Musztarda w kuchni trzyma świeczkę.*

– *Bee, jesteś taka głupiutka. To panna Śliwka w bibliotece trzyma linę!*

Pan Wright czeka.

– Tak. Drugi dotyczył profesora Rosena.



Chociaż wielu osób nie widziałam wyraźnie z powodu deszczu i smutku, dostrzegłam profesora Rosena. Może dlatego, że był znaną twarzą z telewizji. Stał pośród tłumu, który nie mieścił się w kościele. Trzymał parasol z otworami wentylacyjnymi, parasol naukowca, który

przepuszczał wiatr, podczas gdy parasole innych żałobników wywracały się na drugą stronę. Po pogrzebie profesor podszedł do mnie i niezgrabnie wyciągnął do mnie dłoń, po czym pozwolił jej opaść, jakby zabrakło mu śmiałości, by kontynuować gest.

– Alfred Rosen. Chciałem przeprosić za e-mail, który rzeczniczka prasowa wysłała do Pani. Był nieczuły. – Okulary zaszły mu mgłą i przetarł je chusteczką. – Przesłałem pani kontakt bezpośrednio do siebie, jeśli chciałaby pani jeszcze ze mną porozmawiać. Chętnie odpowiem na wszystkie pani pytania.

Mówił sztywno i był spięty. Tylko tyle zauważyłam. Nic więcej, bo myślami byłam przy Tobie.



Mniej więcej tydzień po pogrzebie zadzwoniłam do profesora Rosena na podany przez niego numer.

Pomijam ten tydzień emocjonalnego zamętu po Twoim pogrzebie, kiedy to nie myślałam jasno, nie mogłam jeść i prawie się nie odzywałam. Mówię szybko. Próbuję wyrzucić tamten czas z pamięci.

– Powiedział, że wybiera się w podróż, by wygłosić serię wykładów i proponował, byśmy spotkali się przed jego wyjazdem.

– Podejrzewała go pani? – pyta pan Wright.

– Nie. Nie miałam powodu, by łączyć jego lub badania ze śmiercią Tess. Wtedy myślałam, że wypłaty dla kobiet były niewinne, jak mówili ludzie ze szpitala. Nie zapytałam go o nie i chciałam to zrobić.

Myślałam, że muszę kwestionować wszystko i podejrzewać wszystkich. Nie mogłam sobie pozwolić na to, by pójść tylko jedną aleją. Musiałam iść wszystkimi, dopóki na końcu jednej z nich, w samym środku labiryntu, nie znajdę Twojego zabójcy.

– Byliśmy umówieni na dziesiątą. Seminaria informacyjne rozpoczynają się w Gene-Med o dziewiątej trzydzieści, więc zarezerwowałam sobie miejsce.

Pan Wright wydaje się zdumiony.

– To przypomina trochę sytuację elektrowni jądrowych – mówię. – Wszystko ma być jawne i wydawać się niewinne. „Odwiedźcie naszą elektrownię i weźcie ze sobą kosz piknikowy” i takie tam.

Pan Wright się uśmiecha. Wydarzyło się coś przedziwnego. Przez chwilę miałam wrażenie, że mówiłam jak Ty.



Były poranne godziny szczytu, w metrze tłok. Kiedy tak stałam ściśnięta wśród innych podróżnych, ku mojemu przerażeniu przypomniało mi się, że zostawiłam w Akademii ogłoszenie, w którym zapraszałam Twoich przyjaciół na spotkanie ze mną. W całym tym zamieszaniu po pogrzebie zapomniałam o tym. Miało się odbyć w południe tego samego dnia. Bałam się go bardziej, niż spotkania z profesorem Rosenem.

Dotarłam do Gene-Med tuż przed 9.30. Szklany budynek miał dziesięć pięter, a przezroczyste windy jeździły wzdłuż zewnętrznych ścian i przypominały bąbelki w gazowanej wodzie mineralnej. Budynek opasały mające postać rur lampy mieniające się fioletowym i niebieskim światłem; miały chyba informować, że „naukowa fikcja staje się rzeczywistością”.

Tę iskrzącą się fantazję zaburzała obecność około dziesięciu demonstrantów, trzymających transparenty z napisami: „Stop projektowanym dzieciom” i „Zostawcie zabawę w Boga Bogu”. Demonstracji nie towarzyszyły żadne okrzyki, biorący w niej udział ludzie ziewali i nie mieli energii, jakby było jeszcze za wcześnie na jakąkolwiek działalność. Zastanawiałam się, czy przyszli tu, by ściągnąć telewizję, chociaż zainteresowanie mediów w ostatnich tygodniach zmalało i telewizja wykorzystywała ujęcia z archiwum. A może przyszli dlatego, że był to pierwszy dzień od kilku tygodni bez śniegu, deszczu ze śniegiem lub deszczu.



Kiedy podeszłam bliżej, usłyszałam jak jedna z protestujących, mocno obkolczykowana kobieta z najeżonymi włosami, rozmawiała z dziennikarzem.

– Tylko bogaczy będzie stać na to, by ich dzieci były mądrzejsze, piękniejsze i lepiej zbudowane. Tylko bogaczy będzie stać na geny, dzięki którym ich dzieci nie będą miały raka lub chorób serca.

Dziennikarz trzymał tylko dyktafon i wyglądał na znudzonego, ale kobieta z najeżonymi włosami nie zniechęcała się i z furją wyrzucała z siebie:

– Stworzą w końcu genetyczną superklasę. I nie będzie szans na mezalians. No bo kto chciałby pobierać się z kimś brzydszym, słabszym, głupszym i bardziej podatnym na choroby? Po kilku pokoleniach powstaną dwa gatunki ludzi. O bogatych genach i biednych genach.

Podeszłam do najeżonej protestującej.

– Czy kiedykolwiek spotkałaś kogoś z mukowiscydozą? Albo dystrofią mięśni? Bądź płasawicą Huntingtona? – zapytałam.

Spojrzała na mnie zirytowana, bo przerwałam jej wywód.

– Nie wiesz, jak to jest żyć z mukowiscydozą i świadomością, że cię zabija i wreszcie zaleje cię twoją własną flegmą. Nic o tym nie wiesz, prawda?

Odeszła ode mnie.

– Masz szczęście. Natura wyposażyła cię w bogate geny – zawołałam za nią i weszłam do budynku.

Podaliśmy swoje nazwisko przez domofon i zostałam wpuszczona. Podpisałam się w recepcji i pokazałam paszport, zgodnie z poleceniem. Aparat za kontuarem automatycznie zrobił mi zdjęcie do przepustki i wtedy mogłam iść dalej. Nie jestem pewna, czego szukali, ale maszyna była tam o wiele bardziej zaawansowana technologicznie, niż na lotniskach. Piętnaście osób zostało zaproszonych do sali zdominowanej przez wielki ekran. Powitała nas młoda kobieta imieniem Nancy, nasza dziarska przewodniczka.

Po podstawowym wprowadzeniu do genetyki Dziarska Nancy pokazała nam krótki film o myszach, którym wstrzyknięto embrion z genami meduzy. W czasie filmu światła były zgaszone i – ojej! – myszy świeciły na zielono. Rozległy się „achy” i „ochy”. Zauważyłam, że oprócz mnie tylko jeden człowiek, mężczyzna w średnim wieku z siwym kucykiem, nie bawił się dobrze.

Dziarska Nancy puściła drugi film o myszach w labiryncie.

– Oto Einstein i przyjaciele – opowiadała z entuzjazmem. – Te maluchy mają dodatkową kopię genu odpowiadającego za kodowanie informacji w pamięci, przez co są o wiele bystrzejsze.

„Einstein i przyjaciele” znajdowali wyjście z labiryntu oszałamiająco szybko w porównaniu z błędzącymi, głupszymi, nieulepszonymi genetycznie kumplami.

Mężczyzna z kucykiem przemówił agresywnym tonem:

– Czy ten gen ilorazu inteligencji znajduje się w linii germinalnej? – zapytał.

Nancy uśmiechnęła się do pozostałych.

– Chodzi o to, czy gen jest przekazywany młodym? – Nadal się uśmiechając, odwróciła się do mężczyzny z kucykiem. – Tak. Pierwsze myszy ulepszono genetycznie blisko dziesięć lat temu. To byli pra, pra, pra, skrócę tę wyliczankę, pradziadkowie tych maluchów. Poważnie mówiąc, gen związany z ilorazem inteligencji był przekazywany przez wiele pokoleń.

Postawa mężczyzny z kucykiem, jak i jego ton głosu, były wojownicze.

– A kiedy będziecie testować na ludziach? Wtedy ich zabijecie, prawda?

Wyraz twarzy Dziarskiej Nancy się nie zmienił.

– Prawo nie zezwala na genetyczne ulepszanie puli ludzkich genów. Wyjątkiem jest leczenie chorób.

– Lecz gdy tylko stanie się to legalne, będziecie zvarci i gotowi?

– Próby genetyczne służą wyłącznie poszerzaniu naszej wiedzy,

niczemu bardziej złowrogiemu ani celom komercyjnym – odparła Dziarska Nancy. Może była przygotowana do udzielania odpowiedzi na takie pytania.

– Zamierzacie wejść na giełdę, prawda? – zapytał.

– Nie do mnie należy rozmowa o finansowych aspektach działania firmy.

– Ale macie akcje? Każdy pracownik ma swoje udziały. Czy tak?

– Jak mówiłam...

Przerwał jej.

– Zatem będziecie kryć wszystko, co pójdzie nie tak. Nie chcielibyście tego upublicznić, prawda?

Dziarska Nancy mówiła słodkim tonem, ale pod lnianym kostiumem dostrzegłam stal.

– Zapewniam pana, że jesteśmy całkowicie transparentni. I nic nie „poszło nie tak”, jak to pan ujął.

Wcisnęła guzik i włączyła kolejny film, pokazujący myszy w klatce, do której jakiś pracownik naukowy wsuwał linijkę. Dopiero wtedy dostrzeżało się, jakie są duże – nie tyle dzięki pomiarowi, ile zestawieniu ich z dłonią naukowca. Były ogromne.

– Gen u tych myszy wspomaga wzrost mięśni – zachwycała się Dziarska Nancy. – Ma jednak zaskakujący efekt dodatkowy. Dzięki niemu myszy nie tylko zrobiły się większe, ale też łagodniejsze. Myśleliśmy, że stworzyliśmy Arnolda Schwarzeneggera, a otrzymaliśmy muskularnego Bambi.

Grupa roześmiała się, znowu z wyjątkiem mnie i mężczyzny z kucykiem. Niby opanowując własne rozbawienie, przewodniczka dodała:

– Ten eksperyment był bardzo ważny. Pokazuje, że jeden gen może kodować dwie zupełnie niezwiązane ze sobą cechy.

Właśnie to mnie martwiło. Okazuje się, że nie byłam panikarą.

Gdy Dziarska Nancy wyprowadziła grupę z sali, zobaczyłam, że ochroniarz rozmawiał z mężczyzną z kucykiem. Kłócili się, ale nie słyszałam o co. Ochroniarz wyprowadził mężczyznę z budynku.

Poszliśmy w drugą stronę. Zaprowadzono nas do dużego pomieszczenia w całości poświęconego próbom związanym z mukowiscydozą. Były tam zdjęcia wyleczonych dzieci i nagłówki gazet z całego świata. Dziarska Nancy błyskawicznie omówiła podstawy dotyczące choroby, podczas gdy na wielkim ekranie było widać cierpiące na nią dziecko. Wszyscy obecni wpatrywali się w nie. Tylko ja patrzyłam na Dziarską Nancy – miała różowe policzki, w jej głosie brzmiał entuzjazm.

– Historia leczenia mukowiscydozy zaczęła się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku, kiedy to międzynarodowy zespół lekarzy odkrył uszkodzony gen wywołujący chorobę. To brzmi prosto, ale pamiętajcie, że w każdej komórce ludzkiego ciała znajduje się czterdzieści sześć chromosomów, a każdy z nich zawiera trzydzieści tysięcy genów. Zatem odkrycie tego genu było fantastycznym osiągnięciem. I tak rozpoczęto poszukiwanie lekarstwa!

To brzmiało jak wprowadzenie do *Gwiezdnych wojen*. Przewodniczka ciągnęła w tym duchu:

– Naukowcy odkryli, że wadliwy gen odpowiadał za nadmierną produkcję soli i niewystarczającą produkcję wody w komórkach wyściełających płuca i jelita. Prowadzi to do wydzielania kleistego śluzu.

Odwróciła się w stronę ekranu, na którym dziecko oddychało z trudem. Głos jej się lekko załamał. Może działo się tak za każdym razem, gdy pokazywała ten film.

– Problem stanowiło to, jak przenieść zdrowy gen do organizmu chorego – ciągnęła. – Metoda wykorzystująca wirusy była daleka od ideału. Towarzyszyło jej ryzyko i często wirus był niszczone zbyt prędko. Wtedy profesor Rosen, przy współpracy Gene-Med, opracował sztuczny chromosom. Był to nowy i całkowicie bezpieczny sposób wprowadzenia

genu do organizmu.

Odezwał się wyglądający na zalęknionego młody mężczyzna w bluzie Oxfordu.

– Wprowadzacie dodatkowy chromosom do każdej komórki ciała?

– Tak – odpowiedziała Dziarska Nancy z błyszczącymi oczami. – U leczonych pacjentów w każdej komórce znajduje się czterdzieści siedem, a nie czterdzieści sześć chromosomów. To jest tylko mikrochromosom i...

Człowiek ten przerwał jej i w grupie powstało napięcie. Czy zastępował mężczyznę z kucykiem w roli niepokornego członka grupy?

– Czy ten chromosom znajduje się w linii germinalnej?

– Tak, zostanie przekazany przyszłym pokoleniom.

– Czy to państwa nie martwi?

– W ogóle – odparła Dziarska Nancy z uśmiechem.

Jej odpowiedź złagodziła wszelką wrogość, jaką ten człowiek mógł do niej żywić. A może po prostu jej nie dostrzegłam, bo przewodniczka znowu przygasiła światła.

Na wielkim ekranie rozpoczął się film, pokazujący podwójną helisę DNA powiększoną miliony razy. Razem z trzynastoma osobami zobaczyłam podświetlone wadliwe geny wywołujące mukowiscydozę. A potem patrzyłam, jak były zastępowane przez zdrowe geny.

Cudowność odkrycia naukowego i rzeczywistego przesunięcia granic wiąże się z trudnym do ogarnięcia zdumieniem. Tak zapewne było, gdy, patrząc przez teleskop, Hershel odkrył nową planetę, a Kolumb ujrział Nowy Świat. Sądziś, że przesadzam? Widziałam lekarstwo na mukowiscydozę, Tess, tuż przed sobą. Widziałam, że można było cofnąć wyrok śmierci wydany na Leo. Teraz by żył. To były moje myśli, gdy Nancy opowiadała o telomerach, mikromacierzach DNA i komórkach – Leo mógłby żyć.

Gdy na ekranie pojawiły się noworodki rodzące się bez mukowiscydozy, a ich wdzięczne matki i wstydzący się swojego

wzruszenia ojcowie całowali je, myślałam o chłopcu, który dorósł, który nie dostawał na urodziny kart z postaciami z kreskówek i który byłby teraz wyższy ode mnie.

Film dobiegł końca i dotarło do mnie, że na krótką chwilę zapomniałam o tym, czym zajmowałam się od miesiąca, a przynajmniej odstawiłam to na bocznicę. Ale zaraz sobie przypomniałam, naturalnie, że sobie przypomniałam i byłam zadowolona z tego, że nie ma powodu sądzić, iż ta kuracja wiązała się ze śmiercią Twoją lub Xaviera. Chciałam, żeby leczenie mukowiscydozy było naszym Nowym Światem nie wymagającym ofiar i nikczemności.

Wydawało mi się, że to był koniec filmu. Na ekranie pojawił się profesor Rosen wygłaszający mowę. Już ją słyszałam w Internecie i czytałam w gazetach, ale teraz miała inny wydźwięk.

– Większość ludzi sądzi, że naukowcy wykonują swoją pracę bez pasji. Gdybyśmy grali na instrumentach, malowali obrazy lub pisali poezję, ludzie spodziewaliby się po nas pasji; naukowcy jednak wydają się zimni, analityczni, obojętni. Większość osób słowo „kliniczny” odbiera jako zimne i pozbawione emocji, podczas gdy tak naprawdę wiąże się ono z leczeniem, czyli z czymś dobrym. Dlatego powinniśmy robić tak jak artyści, muzycy i poeci – pracować z energią, zaangażowaniem i pasją.

Dziesięć minut później sekretarka zabrała mnie z recepcji do windy. Wjechałyśmy na ostatnie piętro, gdzie powitał mnie profesor Rosen. Wyglądał tak samo, jak w telewizji i podczas Twojego pogrzebu. Miał te same karykaturalne, druciane oprawki okularów, wąskie ramiona i wyglądał nieporadnie; to dodawało otuchy. Podziękowałam mu za przybycie na Twój pogrzeb. Skinął głową, jak mi się wydawało, trochę szorstko. Szliśmy razem korytarzem. Przerwałam milczenie:

– Mój brat miał mukowiscydozę. Szkoda, że nie działał pan kilka lat wcześniej.

Odwrócił się nieco ode mnie i przypomniało mi się, jak w czasie

telewizyjnych wywiadów czuł się skrepowany pochwałami. Zmieniał temat. Podobała mi się jego skromność.

– Czy seminarium przyniosło pani wyczerpujące informacje? – zapytał.

– Tak. I wyjątkowe.

Chciałam powiedzieć coś jeszcze, ale przerwał mi, nawet nie dostrzegając, że to robi.

– Najbardziej niepokoją mnie myszy z wysokim ilorazem inteligencji. Zaproszono mnie do udziału w pierwszych próbach. Młody kolega po fachu z Imperial College szukał różnic między superbystrymi i normalnymi, czy jakiejś innej bzdury. To było wiele lat temu.

– I te myszy pokazujecie w filmie?

– Tak. Firma kupiła badania, a w zasadzie gen, który zrobił tyle dobrego. Na szczęście inżynieria genetyczna, przynajmniej w przypadku ludzi, jest zakazana. W przeciwnym razie bez wątpienia mielibyśmy ludzi świecących w ciemnościach i olbrzymów śpiewających kołysanki.

Pomyślałam, że zapożyczył od kogoś ten tekst, a przynajmniej wcześniej przećwiczył. Nie wydawał się człowiekiem skorym do dowcipkowania.

– Z leczeniem mukowiscydozy jest inaczej?

Zatrzymał się i odwrócił w moją stronę.

– Tak. Nie da się porównać genetycznej kuracji, która leczy potworną chorobę, z zabawą genami w imię ulepszania natury. Albo tworzenia dziwadeł. Nie można tego porównywać.

Ożywienie w jego głosie było zdumiewające i po raz pierwszy dotarło do mnie, że ten człowiek ma swoją fizyczność. Dotarliśmy do jego biura i weszliśmy do środka.

Był to duży pokój przeszklony z trzech stron. Za oknami rozciągała się panorama tak wspaniała, jak reszta tego budynku. Biurko jednak było małe i sfatygowane. Wyobraziłam sobie, że przenoszono je z pokoju studenta do coraz większych gabinetów, aż wreszcie trafiło tutaj.

Profesor Rosen zamknął za nami drzwi.

– Miała pani jakieś pytania?

Na chwilę zapomniałam o swoich podejrzeniach, a kiedy sobie przypomniałam, wydawało mi się śmieszne, że chciałam go wypytywać o wypłaty dla uczestników (jak już wcześniej pisałam, te trzysta funtów to była błahostka w porównaniu z ogromnymi nakładami na badania), a w świetle tego, co widziałam, wydawało mi się także bezczelne.

– Czy wie pan, dlaczego kobietom płacono za udział w badaniach? – spytałam.

Prawie nie zareagował.

– Odpowiedź od rzeczniczki prasowej była bezduszna, ale zgodna z prawdą. Nie wiem, kto zapłacił pani siostrze ani innym osobom. Zapewniam jednak, że nie był to nikt z nas lub osób zarządzających badaniami. Mam raporty komisji etycznych ze szpitali uczestniczących w programie. Może pani osobiście sprawdzić, że nie było żadnych wynagrodzeń. Byłoby to całkowicie niestosowne. – Wręczył mi plik dokumentów. – Prawda jest taka, że jeśli byłyby w to zaangażowane jakieś pieniądze, to raczej matki płaciłyby nam, a nie odwrotnie. Rodzice błagają nas o to, by mogli poddać dzieci kuracji.

Zapadła niezręczna cisza. Odpowiedział na moje pytanie, choć spędziliśmy w jego gabinecie niespełna trzy minuty.

– Nadal pracuje pan dla Imperial College? – zapytałam, dając sobie trochę czasu na przemyślenie ważniejszych pytań.

Trafiłam jednak w czuły punkt. Jego ciało i głos zdradzały, że przechodzi do defensywy.

– Nie. Pracuję wyłącznie tutaj. Mamy tu lepsze wyposażenie. Mogę jeździć i wygłaszać wykłady. – Wyczułam w jego głosie gorycz i zastanowiłam się, co ją wywołało.

– Musi pan być rozchwytywany – rzekłam, nadal uprzejmie.

– Owszem, bardzo. Zainteresowanie jest ogromne. Zaprosiły mnie wszystkie najbardziej prestiżowe uniwersytety europejskie, jak też



osiem amerykańskich uczelni należących do Ivy League. Cztery z nich zaproponowały mi tytuł profesora *honoris causa*. Jutro zaczynam wykłady w Stanach. Poczuję wielką ulgę, gdy będę mówił do ludzi, którzy rozumieją przynajmniej cokolwiek z tego, co mam do przekazania.

Czułam się, jakbym potarła lampę Alladyna i dżin odsłonił przede mną prawdę na temat tego człowieka. Myliłam się. On pragnął blasku jupiterów, ale na aulach prestiżowych uniwersytetów. Chciał wyrazów uznania, ale ze strony sobie równych.

Siedziałam w pewnej odległości od niego, a mimo to gdy mówił, odchyłał się do tyłu, jakby pokój był zatłoczony.

– Odpisując na naszą odpowiedź, zasugerowała pani, że może istnieć jakiś związek między śmiercią pani siostry, a moimi badaniami.

Zwróciłam uwagę, że powiedział „moimi badaniami” i przypomniało mi się, jak w telewizji mówił „mój chromosom”. Wcześniej nie dostrzegałam, jak bardzo się identyfikował z badaniami poświęconymi mukowiscydozie.

Odwrócił się i nie patrzył na mnie, tylko na odbicie swojego profilu w oknie gabinetu.

– Znalezienie lekarstwa na mukowiscydozę to moje życiowe dzieło. Poświęciłem mu życie, wszystko, co miałem w nim cennego: czas, zaangażowanie, energię, nawet miłość. Nie zrobiłem tego po to, by komukolwiek stała się krzywda.

– Co pana motywuje? – zapytałam.

– Chcę wiedzieć, że przed śmiercią uczynię świat lepszym. – Odwrócił się znowu do mnie i ciągnął: – Wierzę, że moje osiągnięcia będą uznane przez przyszłe pokolenia za przełomowe, otwierające drogę ku stworzeniu społeczeństwa wolnego od chorób. Żadnej mukowiscydozy, choroby Alzheimera, zaburzeń neuroruchowych, raka.

Zaskoczył mnie ten zapal w jego głosie.

– Nie tylko je usuniemy, ale też zadbamy, żeby te zmiany mogły być

przekazywane następnym pokoleniom. Miliony lat ewolucji nie wyleczyły zwykłego przeziębienia, nie mówiąc o poważniejszych chorobach, a nam może się to udać na przestrzeni kilku generacji.

Dlaczego czułam taki niepokój, skoro mówił o leczeniu chorób? Może dlatego, że każdy fanatyk jest odrażający. Przypomniała mi się jego wypowiedź, w której porównywał naukowców z malarzami, muzykami i poetami. To porównanie wydało mi się zatrważające, genetyk posługuje się bowiem ludzkimi genami, a nie nutami, słowami czy farbami. Wyczuł moje skrępowanie, ale mylnie odczytał jego przyczynę.

– Myśli pani, że przesadzam, panno Hemming? Mój chromosom trafił do naszej puli genów. W ciągu swojego życia dokonałem postępu, na który ludzkość potrzebowałaby milionów lat.

Oddałam przepustkę i wyszłam z budynku. Protestujący nadal tam byli, głośniejsi po tym, jak napili się kawy z termosów. Był z nimi mężczyzna z kucykiem. Zastanawiałam się, jak często chodził na seminaria i prowokował Dziarską Nancy. Zapewne ze względu na wizerunek firmy i prawo nie mogli mu tego zabronić. Zobaczył mnie i podszedł do mnie.

– Wie pani, jak mierzą iloraz inteligencji u tych myszy? – spytał. – Nie tylko za pomocą labiryntu.

Pokręciłam przecząco głową i odeszłam. Ruszył za mną.

– Umieszcza się je w komorze, w której są rażone prądem. Jeśli zamyka się je tam ponownie, te o wyższej inteligencji wiedzą, że powinny się bać. Oni wykorzystują strach.

Przyspieszyłam, ale gonił za mną.

– Wrzuca się je też do zbiornika wodnego z ukrytą platformą. Te bardziej inteligentne uczą się ją znajdować.

Szłam szybko w stronę stacji metra i starałam się powrócić do zachwytu nad badaniami poświęconymi mukowiscydozie, ale odczuwałam niepokój wywołany przez profesora Rosena i myszy. „Oni

wykorzystują strach”, słyszałam w myślach, choć próbowałam wymazać to zdanie z pamięci.



– Pragnęłam wierzyć, że badania nad mukowiscydozą były całkowicie legalne. Nie chciałam ich w żaden sposób kojarzyć ze śmiercią Tess. Niemniej, moja wizyta obudziła we mnie trwogę.

– Z powodu profesora Rosena? – pyta pan Wright.

– Po części tak. Sądziłam, że nie podoba mu się sława, bo czuł się niekomfortowo w telewizji. Chełpił się jednak tymi wykładami, o których wygłoszenie go poproszono, zaznaczył, że to były „najbardziej prestiżowe” uniwersytety na świecie. Wiedziałam, że pomyliłam się w jego ocenie.

– Obudził w pani podejrzliwość?

– Nieufność. Wcześniej myślałam, że przyszedł na pogrzeb Tess i zaproponował mi rozmowę, wiedziony współczuciem. Nie byłam już pewna, co nim kierowało. Pomyślałam, że przez większą część życia uchodził za jajogłowego, a już na pewno było tak w szkole i na studiach. Teraz stał się sławny, a za sprawą chromosomu będzie też sławny w przyszłości. Pomyślałam, że jeśli cokolwiek poszło nie tak w tych badaniach, nie będzie chciał narażać na szwank swojego nowego statusu.



Jednak to władza, jaką posiadli genetycy, nie tylko profesor Rosen, niepokoiła mnie najbardziej. Kiedy oddalałam się od budynku Gene-Med, myślałam o Parkach – jedna przedła ludzkie życie, druga je odmierzała, a trzecia przecinała. Pomyślałam o paciorkach naszego DNA nawleczonych na helisę – w każdej naszej komórce znajdowały się dwa połączone ze sobą pasma z zakodowanym na nich losem. Przyszło mi też do głowy, że nauka jeszcze nigdy nie była tak blisko związana z tym, co

czyni nas ludźmi i co decyduje o naszej śmiertelności.

## ROZDZIAŁ 16

Myślałam o wizycie w Gene-Med i większą część drogi do kawiarni naprzeciwko Akademii pokonałam pieszo. Na pogrzeb przybyło wielu Twoich znajomych, ale nie byłam pewna, czy ktokolwiek z nich pojawi się ponownie.

Kiedy weszłam do lokalu, było w nim mnóstwo studentów. Wszyscy czekali na mnie. Poczułam się kompletnie zagubiona. Odjęło mi mowę. Nigdy nie lubiłam roli gospodyni, nawet na przyjęciach, nie mówiąc już o grupowym spotkaniu z nieznajomymi. I czułam się taka sztywna w porównaniu z ich artystycznymi strojami, wymyślnymi fryzurami i kolczykami. Chłopak z dreadami i migdałowymi oczami przedstawił się jako Benjamin. Objął mnie ramieniem i zaprowadził do stolika.

Sądziłam, że chciałam usłyszeć więcej o Twoim życiu, więc opowiadali historyjki ilustrujące Twój talent, dobroć, humor. I kiedy tak snuli te urocze opowieści, patrzyłam na ich twarze i zastanawiałam się, czy ktoś z nich mógł Cię zabić. Czy Annette z rudymi jak miedź włosami i szczupłymi ramionami była dość silna i brutalna? Czy kiedy do migdałowych oczu Benjaminu nabiegły łzy, były one szczerze, czy może chłopak był świadomy, jak atrakcyjnie się prezentuje?



– Każdy ze znajomych Tess opisywał ją inaczej – mówię panu Wrightowi. – Był jednak zwrot pojawiający się we wszystkich wypowiedziach. Każdy powtarzał, że była pełna „radości życia”.

Połączenie radości i życia było, jak na ironię, najlepiej opisującym Cię określeniem.

– Miała wielu przyjaciół? – pyta pan Wright.

Jestem wzruszona jego zainteresowaniem, bo ta informacja nie jest mu potrzebna.

– Tak. Wysoko ceniła przyjaźń.

To prawda. Zawsze łatwo się zaprzyjaźniałaś i nie rezygnowałaś łatwo z przyjaźni. Na Twoich dwudziestych pierwszych urodzinach byli ludzie z podstawówki. Zabierałaś ludzi z przeszłości do swojej teraźniejszości. Czy można mieć ekologiczne podejście do przyjaźni? To jest coś zbyt cennego, by się tego pozbywać, gdy tylko przestaje być przydatne.

– Zapytała ich pani o narkotyki? – pyta pan Wright, naprowadzając moje myśli na właściwe tory.

– Tak. Podobnie jak Simon, stanowczo twierdzili, że ich nie ruszała. Zapytałam też o Emilia Codiego. Nie dowiedziałam się niczego przydatnego. Mówili tylko, że był „aroganckim dupkiem”, za bardzo przejętym własną sztuką, by był dobrym nauczycielem. Wiedzieli o romansie i ciąży. Wtedy zapytałam też o Simona i jego związek z Tess.



Atmosfera w kawiarni zmieniła się; zrobiła się cięższa od czegoś, czego nie rozumiałam.

– Wszyscy wiedzieliście, że chciał z nią być?

Potaknęli, ale nikt nic nie mówił.

– Emilio Codi powiedział, że Simon był zazdrosny – próbowałam sprowokować rozmowę.

Odezwała się dziewczyna z czarnymi jak atrament włosami i czerwonymi ustami. Wyglądała jak czarownica z ksiązek.

– Simon był zazdrosny o każdego, kogo Tess kochała.

Przez chwilę zastanowiłam się, czy to dotyczyło również mnie.

– Emilia Codiego nie kochała – powiedziałam.

– Nie. Z nim Simon raczej rywalizował – odrzekła Śliczna Czarownica.  
– Był zazdrosny o dziecko Tess. Nie mógł znieść myśli o tym, że ona kocha kogoś, kto jeszcze się nie narodził, skoro jego nie kochała.

Przypomniał mi się kolaż przedstawiający więzienie zrobione z dziecięcych buź.

– Czy był na pogrzebie? – spytałam.

Dostrzegłam, że Śliczna Czarownica zawahała się, zanim odpowiedziała.

– Czekaliśmy na niego na dworcu, ale się nie pojawił. Zadzwoiłam do niego i zapytałam, co wyprawia. Oznajmił, że zmienił zdanie i nie jedzie. Bo nie było dla niego „specjalnego miejsca”, a jego uczucia do Tess byłyby, niech sobie przypomnę, „ignorowane”. On „nie mógł tego tolerować”.

Czy z tego powodu atmosfera zrobiła się cięższa, kiedy o niego zapytałam?

– Emilio Codi powiedział, że on miał na jej punkcie obsesję.

– Miał – potwierdziła dziewczyna. – Kiedy pracował nad projektem „Osobnik żeński”, czy jakoś tak, chodził za nią jak jakiś cholerny cień.

Spostrzegłam, że Benjamin rzucił Czarownicy ostrzegawcze spojrzenie, ale nie zauważyła go.

– Cholera, on ją praktycznie śledził.

– Aparat był tylko wymówką? – spytałam, przypomniawszy sobie zdjęcia na ścianie jego sypialni.

– Tak – rzekła Śliczna Czarownica. – Nie był dość męski, by patrzeć na nią wprost. Potrzebował chować się za obiektywem. Czasami łaził za nią bardzo długo, jak jakiś pieprzony paparazzi.

– Wiecie, dlaczego go tolerowała?

Wyglądający na nieśmiałego chłopak, który do tej pory milczał, odezwał się:

– Była dobra i było jej go żal. Nie miał innych przyjaciół.

– Mam wrażenie, że sugerowałaś, że jego projekt został przerwany –

zwróciłam się do ślicznej czarownicy.

– Tak. Pani Barden, jego prowadząca, kazała mu przerwać pracę. Zorientowała się, że to tylko wymówka, by śledzić Tess. Zagroziła mu, że jeśli nie przestanie, zawiesi go.

– Kiedy to było?

– Na początku roku – powiedziała Annette. – Czyli w ostatnim tygodniu września. Tess poczuła ulgę.

Lecz zdjęcia ukazywały Ciebie jesienią i zimą.

– Nie przestał – poinformowałam ich. – Nikt z was o tym nie wiedział?

– Musiał działać subtelniej – rzucił Benjamin.

– To nie było trudne – dodała Śliczna Czarownica. – Nie spotykaliśmy się z Tess zbyt często po tym, jak dostała „urlop naukowy”.

Przypomniało mi się, jak Emilio powiedział: „Musi pani przepytąć tego chłopaka. Zawsze za nią chodził z cholernym aparatem”.

– Emilio Codi wiedział o tym. Uczy w Akademii. Dlaczego zatem nie wyrzucili Simona?

– Simon wiedział o romansie Emilia Codiego z Tess – odparła Śliczna Czarownica. – Pewnie zmuszali się nawzajem do milczenia.

Nie mogłam już dłużej odwlekać tego pytania.

– Czy myślicie, że któryś z nich ją zabił?

Grupa milczała, a ja czułam raczej zakłopotanie i niezręczność, niż zdumienie. Nawet Śliczna Czarownica nie patrzyła mi w oczy. Wreszcie odezwał się Benjamin. Pewnie chciał być miły.

– Simon powiedział nam, że miała psychozę poporodową. I dlatego popełniła samobójstwo. Twierdził, że takie było orzeczenie koronera i policja ma co do tego pewność.

– Nie wiedzieliśmy, czy mówił prawdę – dorzucił nieśmiały chłopak. – Ale napisali tak również w lokalnej gazecie.

– Simon powiedział, że nie było cię tutaj w tym czasie – ośmieliła się Annette. – Utrzymał, że się z nią widział i była... – urwała, ale mogłam sobie wyobrazić, co Simon powiedział im o stanie Twojej



psychiki.

Zatem prasa i Simon przekonali ich do wersji śmierci samobójczej. Dziewczyna, którą znali i opisywali, nigdy by się nie zabiła, ale padła ofiarą diabła współczesności, czyli depresji poporodowej – diabeł ten opętał radującą się życiem dziewczynę do tego stopnia, że je zakończyła. Zabiło Cię coś, co miało naukową nazwę, a nie ludzkie oblicze.

– Owszem, policja jest przekonana, że popełniła samobójstwo – odezwałam się. – Ich zdaniem cierpiała na depresję poporodową. Jestem pewna, że policja się myli.

Dostrzegłam na niektórych twarzach wyraz współczucia, a na innych jego biedniejszej kuzynki – litości. A wtedy zrobiło się już „po wpół do czternastej” i zajęcia „zaczynały się za dziesięć minut”. Wszyscy zaczęli wychodzić.

Uznałam, że Simon nastawił ich do mnie przed spotkaniem. Na pewno opowiedział im o nieprzewidywalnej siostrze z szalonymi teoriami, co wyjaśniało, dlaczego byli raczej zakłopotani niż zdumieni, kiedy zapytałam o morderstwo i czuli się względem mnie niezręcznie. Nie winiłam ich za to, że chcieli wierzyć raczej Simonowi, niż mnie; woleli wybrać dla Ciebie „nie zabójczy” koniec.

Benjamin i Śliczna Czarownica wychodzili jako ostatni. Zaprosili mnie na wystawę za tydzień. Upierali się przy tym wzruszająco. Będę miała kolejną okazję, żeby przepytąć Simona i Emilia.

Kiedy siedziałam samotnie w kawiarni, myślałam o tym, że Simon nie tylko okłamał mnie co do swojego „projektu”, ale też trochę ubarwił opowieść. „To zdjęcia do mojego portfolio na koniec roku. [...] Zdaniem mojej nauczycielki to najbardziej oryginalny i ekscytujący projekt w grupie”. Zastanawiałam się, co jeszcze było kłamstwem. Czy naprawdę rozmawiałaś z nim przez telefon tego dnia, w którym zginęłaś i umówiłaś się na spotkanie? A może śledził Cię, jak często to czynił, i cała reszta też była wyssana z palca, żebym go nie podejrzewała? Miał wielką skłonność do manipulacji. Czy tego dnia w krzakach naprawdę

siedział jakiś mężczyzna, czy też Simon go wymyślił – a konkretniej, Twoją paranoję, której ów mężczyzna był wytworem – żeby odsunąć uwagę od siebie? Ile razy siedział na progu Twojego mieszkania z bukietem, żeby wypaść na niewinnie czekającego na Ciebie, mimo że już nie żyłaś?

Kiedy tak rozmyślałam o Simonie i Emiliu, zastanawiałam się, i nadal to robię, czy w życiu wszystkich pięknych kobiet pojawiają się mężczyźni, którzy wydają się źli. Gdyby mnie znaleziono martwą, w moim otoczeniu nie byłoby nikogo podejrzanego, trzeba by było zainteresować się kimś spoza grona moich przyjaciół i byłych narzeczonych. Nie sądzę, by wyjątkowo piękne i charyzmatyczne kobiety wywoływały obsesję u normalnych mężczyzn – raczej przyciągają dziwaków i prześladowców; są płomieniem w mroku zamieszkiwanym przez tych niepokojących ludzi i przyciągają ich coraz bliżej, aż wreszcie duszą oni płomień, który ich zwabił.



– I wtedy wróciła pani do mieszkania? – pyta pan Wright.

– Tak.

Czuję się jednak zbyt zmęczona, by opowiadać mu o powrocie do domu tego dnia i przypominać sobie, co tam usłyszałam. Pan Wright patrzy na mnie z troską.

– Poprzestańmy na tym.

Proponuje, że wezwie dla mnie taksówkę, ale mówię, że spacer dobrze mi zrobi.

Towarzyszy mi do windy i wtedy dociera do mnie, jak bardzo cenię tę jego staromodną kurtuazję. Sądzę, że Amias był za młodu taki jak pan Wright. Uśmiecha się do mnie na pożegnanie i myślę, że może te słabe iskierki romansu nie zostały zduszone. Romantyczne myśli trochę mnie ożywiają, są słodsze od kawy i nie sądzę, by oddawanie się im było szkodliwe. Tak więc będę myślała o panu Wryghcie, pozwolę sobie na ten

mały luksus i przejdę przez park św. Jakuba, zamiast jechać zatłoczonym metrem.

Świeże wiosenne powietrze sprawia, że czuję się lepiej, a radosne, niespójne myśli dodają mi odwagi. Kiedy docieram do granicy parku św. Jakuba, zastanawiam się, czy iść dalej przez Hyde Park. Nadeszła pora, bym zmierzyła się ze swoimi demonami i zdobyła się na odesłanie duchów na wieczny spoczynek.

Serce wali mi szybciej i przechodzę przez bramę królowej Elżbiety. Tak jak jego sąsiad, Hyde Park stanowi obecnie feerię barw, dźwięków i zapachów. Nie znajduję pośród tej zieleni żadnych demonów; nie słyszę szeptów duchów pośród okrzyków ludzi grających w piłkę.

Przechodzę przez ogród różany i mijam estradę, która wygląda, jakby wyrwano ją z książki z „otwierającymi się obrazkami” dla dzieci – jest pastelworóżowa, a na górze biała, jakby polana lukrem, z boku podparta cukierkowymi palikami. Wtedy przypomina mi się, jak wybuchła tu bomba, kiedy zespół grał utwór *Olivier!*; posypały się gwoździe; to była masakra. Nagle wydaje mi się, że ktoś mnie obserwuje.

Czuję jego oddech za sobą, zimny w gorącym powietrzu. Idę szybko i nie odwracam się. Śledzi mnie. Jego oddech się zbliża, aż włoski jeżą mi się na karku. Mięśnie napinają się spazmatycznie. W oddali widzę Lido i ludzi. Biegnę w tę stronę. Nogi mi się trzęsą z powodu przyływu adrenaliny i strachu.

Docieram na plażę i siadam. Nogi nadal mi drżą. Czuję ból przy każdym oddechu. Obserwuję dzieci chlapiące się w basenie i dwie dyrektorki w średnim wieku, brodzące w wodzie z podwiniętymi nogawkami spodni od garnituru. Dopiero wtedy śmiem się odwrócić. Mam wrażenie, że między drzewami widzę cień. Czekam, aż będzie tylko cieniem rzucanym przez gałęzie.

Okrażam zagajnik i staram się trzymać blisko ludzi i zgiełku. Docieram na drugą stronę i widzę jaskrawozielony trawnik upstrzony krokusami. Idzie po nim boso jakaś dziewczyna. Trzyma buty w ręce

i cieszy się nagrzaną przez słońce trawą. Myślę o Tobie. Obserwuję ją, aż dochodzi do końca trawnika i dopiero wtedy dostrzegam budynek toalety, mroczną ranę pomiędzy żywymi barwami wiosny.

Biegnę za dziewczyną i docieram do szaletu. Dziewczyna jest już daleko. Obejmuje ją chłopak. Śmieją się i razem wychodzą z parku. Ja też wychodzę. Nogi nadal mi lekko drżą, oddech mam ciężki. Staram się to wszystko zlekceważyć. Nie ma się czego bać, Beatrice; tak się dzieje, gdy człowiek ma nadmiernie wybujałą wyobraźnię; umysł może wtedy płatać różne figle – to są zapewnienia wykradzione z bezpiecznego świata dzieciństwa. W szafie nie ma potwora. Tyle że Ty i ja wiemy, że on istnieje.

## ROZDZIAŁ 17

*Wtorek*

W budynku prokuratury wsiadam do windy, w której czuć zapach palonej gumy i potu; wszyscy stoją ściśnięci. W otoczeniu ludzi, w ten jasny poranek wiem, że nie powiem nic o mężczyźnie z parku. Bo pan Wright powie mi, zgodnie z prawdą, że on jest w więzieniu, nie ma prawa wyjść za kaucją, a po rozprawie zostanie skazany na dożywocie bez możliwości wcześniejszego zwolnienia. Z racjonalnej perspektywy powinnam wiedzieć, że on nigdy już mnie nie skrzywdzi. Gdy winda dociera na drugie piętro, mówię sobie stanowczo, że jego tu nie ma i nigdy nie będzie. I nie mogę mu pozwolić na to, by się pojawił, choćby w mojej wyobraźni.

Zatem jest to poranek nowych postanowień. Nie będę się bała wyimaginowanego zła. Nie pozwolę, by zawładnął moim umysłem tak, jak niegdyś zapanował nad ciałem. Zamiast tego znajdę oparcie w panu Wryghcie, Pani Zadurzonej Sekretarce i wszystkich otaczających mnie ludziach w tym budynku. Wiem, że cały czas zdarza mi się odpłynąć, teraz nawet częściej, jak też, że moje ciało słabnie, ale nie ugnę się przed irracjonalnym przerażeniem czy fizyczną słabością. Zamiast wyobrażać sobie rzeczy straszne i ohydne, spróbuję w każdym dniu dostrzegać piękno, tak jak Ty. Przede wszystkim jednak będę myślała o tym, przez co przeszłaś – i wiem, że w porównaniu z Tobą nie mam prawa oddawać się urojonemu zagrożeniu i użalaniu się nad sobą.

Postanawiam, że tego dnia to ja zrobię kawę. Nonsensem jest myśleć, że trzęsą mi się ręce. Patrz. Udało mi się nalać kawę do dwóch kubeczków i niosę je dość pewnie do gabinetu pana Wrighta.

Pan Wright, nieco zaskoczony, dziękuje za kawę. Wkłada nową kasetę do magnetofonu i zaczynamy.

– Doszliśmy do tego, jak rozmawiała pani z przyjaciółmi Tess o Simone Greenlym i Emiliu Codim? – pyta.

– Tak. Potem poszłam do naszego mieszkania. Tess miała przedpotopowy aparat z automatyczną sekretarką, który kupiła chyba na pchlim targu. Uważała, że jest na chodzie.

Omijam temat, ale muszę dojść do sedna.

– Gdy wróciłam do domu, zobaczyłam migającą lampkę. To znaczyło, że taśma była do końca nagrana.



Nie zdejmując płaszcza, odtworzyłam wiadomość. To było coś z gazowni, nic ważnego. Przesłuchałam pozostałe wiadomości, monologi, które jacyś ludzie wygłaszali do Ciebie.

Zdjęłam okrycie i już miałam cofnąć taśmę, gdy zauważyłam, że ma ona stronę AiB. Nigdy nie słuchałam B, więc obróciłam kasetę. Każdą wiadomość poprzedzała godzina i data podawana przez elektroniczny głos.

Ostatnie nagranie na stronie B ktoś zostawił we wtorek 21 stycznia o godzinie 20.20. Kilka godzin po tym, jak urodziłaś Xaviera.

Dźwięk kołysanki wypełnił pokój. Był słodko nienawistny.



Staram się mówić energicznie, trochę za głośno. Chcę, żeby słowa zagłuszyły wspomnienie tamtej melodii.

– To było profesjonalne nagranie. Uznałam, że ktokolwiek je odtwarzał, musiał przyłożyć słuchawkę do głośnika.

Pan Wright potakuje. Słyszał już to nagranie, lecz w przeciwieństwie do mnie, nie znał go na pamięć.

– Wiedziałam od Amiasa, że czuła się zagrożona z powodu telefonów – ciągnę. – Bała się osoby, która do niej dzwoniła, więc wiedziałam, że ten ktoś musiał to robić wielokrotnie. Ale nagranie było tylko jedno.

Nic dziwnego, że Twój telefon był wyłączony, gdy przyjechałam do Ciebie. Nie mogłaś już tego znieść.

– Zadzwoń pani na policję natychmiast? – pyta pan Wright.

– Tak. Zostawiłam wiadomość na skrzynce głosowej sierżanta Finborougha. Powiedziałam o fałszywym projekcie Simona i o tym, że odkryłam, dlaczego Emilio czekał z zabiciem Tess do czasu narodzenia się dziecka. Poinformowałam też, że coś może być nie tak z badaniami nad mukowiscydozą, ponieważ kobiety dostawały za udział w nich pieniądze, jak też, że zniknęła dokumentacja medyczna Tess, choć powątpiewałam, czy to miało jakiś związek. Oznajmiłam, że, moim zdaniem, kołysanki stanowiły klucz do rozwiązania zagadki. Jeśli uda im się dowiedzieć, kto je odtwarzał, znajdą zabójcę. Mój głos nie był ani opanowany, ani spokojny. Ale przecież dopiero co słyszałam tę kołysankę. Nie czułam się opanowana ani spokojna.



Po nagraniu wiadomości dla sierżanta Finborougha poszłam do szpitala św. Anny. Mój gniew i zdenerwowanie potrzebowały znaleźć fizyczny upust. Udałam się na oddział psychiatryczny, gdzie doktor Nichols przyjmował pacjentów ambulatoryjnych. Znalazłam jego nazwisko na kartce przypiętej do drzwi i wepchnęłam się przed pacjenta, który miał właśnie wchodzić. Słyszałam, jak recepcjonistka protestowała, ale nie zwracałam na nią uwagi.

Doktor Nichols spojrział na mnie zdumiony.

– Na jej automatycznej sekretarce było nagranie kołysanki – oznajmiłam i zaczęłam śpiewać: – Śpij, dziecino, śpij. Tatuś owce pasie.

Mamusia trzęsie drzewem snów, które spadają do twych stóp. Śpij, dziecino, śpij.

– Beatrice, proszę...

Przerwałam mu.

– Usłyszała ją wieczorem tego dnia, gdy wyszła ze szpitala. Zaledwie kilka godzin po tym, jak zmarło jej dziecko. Bóg jeden wie, ile razy puszczał jej tę kołysankę. Te telefony nie były „halucynacjami słuchowymi”. Ktoś ją psychicznie torturował.

Zdumiony doktor Nichols patrzył na mnie w milczeniu.

– Nie była szalona, ale ktoś próbował doprowadzić ją do obłądu. Albo sprawić, by wszyscy wokół myśleli, że zwariowała.

Jego głos sugerował, że był wstrząśnięty.

– Biedaczka. Te kołysanki musiały być dla niej czymś potwornym. Jest pani pewna, że to było celowe okrucieństwo? Może to był potworny nietakt ze strony kogoś z jej przyjaciół, kto nie wiedział, że dziecko nie żyło?

Jakież by to było dla niego wygodne.

– Nie sądzę.

Odwrócił się ode mnie. Tym razem miał na sobie biały kitel, ale pognieciony i poplamiony, przez co prezentował się jak oferma.

– Dlaczego jej pan nie wysłuchał? Nie zapytał o więcej?

– Spotkaliśmy się tylko raz w zatłoczonej klinice. Nagłe przypadki dorzuca się bez wydłużania godzin pracy. Musiałem zająć się wszystkimi i trzymać się wyznaczonych godzin.

Spojrzałam na niego, ale unikał mojego wzroku.

– Powinienem był poświęcić jej więcej czasu. Przepraszam.

– Wiedział pan o PCP?

– Tak. Policja mnie poinformowała. Ale dopiero po naszym ostatnim spotkaniu. Powiedziałem, że środek ten wywołuje halucynacje, prawdopodobnie potworne. I mógł mieć szczególnie silne działanie ze względu na rozpacz Tess. Literatura podaje, że zażywający go często



robią sobie krzywdę. Te kołysanki musiały przeważać szalę.

W szpitalnym gabinecie nie było psa, ale wyczułam, jak bardzo Nichols chciałby wyciągnąć rękę i pogłaskać jego jedwabiste uszy.

– To by wyjaśniało, dlaczego jej stan zmienił się od chwili, w której ją widziałem i pojawiła się skłonność samobójcza – ciągnął. – Pewnie usłyszała tę kołysankę, może zażyła PCP. To połączenie...

Przerwał, gdy zobaczył mój wyraz twarzy.

– Myśli pani, że próbuję się tłumaczyć?

Zaskoczył mnie ten przeblysłk intuicji.

– To żadne tłumaczenie – ciągnął. – Ewidentnie miała halucynacje wzrokowe. I nie jest ważne, czy ich podłożem była psychoza, czy PCP. Przegapiłem to. Bez względu na przyczyny była zagrożeniem dla samej siebie, a ja nie ochroniłem jej tak, jak powinienem.

Jak za pierwszym razem, tak i teraz usłyszałam w jego wypowiedzi poczucie wstydu. Przyszłam dać upust swojej wściekłości, ale wydawało mi się to bezcelowe. On sam już się karał. I nie zamierzał zmienić opinii. Drzwi otworzyły się i do środka wpadli recepcjonistka z pielęgniarką. Zaskoczyła ich cisza panująca w gabinecie.

Zamknęłam za sobą drzwi. Nie miałam mu już nic do powiedzenia.

Pospiesznie szłam korytarzem, jakbym mogła umknąć przed podążającymi za mną myślami. Nie miałam już celu, który mógłby mnie odciągnąć od rozmyślania o tym, jak słuchałaś tej kołysanki.

– Beatrice?

Dosłownie wpadłam na doktora Saundersa. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że płaczę. Łzy płynęły mi z oczu strumieniem, z nosa kapało, ścisnęłam w dłoni mokrą chusteczkę.

– Torturował ją psychicznie, zanim zabił. Upozorował jej samobójstwo.

Objął mnie, nie zadając żadnych pytań. Jego ramiona były silne, ale nie dawały mi poczucia bezpieczeństwa. Fizyczna bliskość zawsze budziła we mnie dyskomfort, nawet w przypadku członków rodziny, nie mówiąc o kimś obcym, tak więc poczułam raczej lęk, niż pocieszenie.

Saunders wydawał się przyzwyczajony do tulenia kobiet i zachowywał się swobodnie.

– Mogę zaprosić cię na kawę raz jeszcze?

Przyjęłam jego propozycję, bo chciałam go wypytać o doktora Nicholisa. Pragnęłam usłyszeć, że jest niekompetentny i że policja powinna przemyśleć ponownie to, co powiedział. Zgodziłam się też po części dlatego, że gdy wykrztusiłam, że nękanie Cię psychicznie, on przyjął to spokojnie, nie okazał niedowierzania i dołączył do Amiasa i Christiny, tworząc z nimi małą grupkę ludzi, którzy nie odrzucili mnie z miejsca.

Usiedliśmy przy stoliku w samym środku tętniącej życiem kawiarni. Patrzył na mnie z wielką uwagą. Przypomniały mi się nasze zawody w gapienie się w oczy.

– *Patrz prosto w źrenice, Bee. Na tym polega ta sztuczka.*

Nadal nie umiałam tego robić. Nie, gdy oczy należały do pięknego mężczyzny. Nie w tych okolicznościach.

– Doktorze Saunders, czy pan...

– Mów mi William, proszę – przerwał mi. – Nigdy nie byłem formalistą. Winię rodziców za to, że posłali mnie do nowoczesnej szkoły. Po raz pierwszy włożyłem jakiś uniform, gdy przyszedłem do tej pracy. – Uśmiechnął się. – Mam też w zwyczaju udzielać więcej informacji, niż jestem proszony. Przerwałem ci. Chciałaś o coś zapytać?

– Tak. Czy znasz doktora Nicholisa?

– Znaliśmy się. Wiele lat temu razem odbywaliśmy praktyki i zaprzyjaźniliśmy się. Nieczęsto go teraz spotykam. A dlaczego pytasz?

– Był psychiatrą Tess. Chcę się dowiedzieć, czy jest niekompetentny.

– Nie jest. Odpowiedź jest prosta. Choć pewnie uważasz inaczej?

Czekał na moją reakcję, ale ja chciałam uzyskać informacje, a nie ich udzielać. Chyba to zrozumiał.

– Wiem, że Hugo wydaje się trochę chaotyczny – ciągnął William. – Te jego tweedowe ubrania i stary pies, ale jest dobry w swoim fachu. Jeśli

coś poszło nie tak z opieką nad Twoją siostrą, to raczej należy winić żaloszny stan funduszków na państwową opiekę psychiatryczną, nie Hugona.

Znowu skojarzył mi się z Tobą. Też dopatrywałaś się w ludziach tego, co dobre, a ja ponownie okazałam się sceptyczką.

– Zanim zajął się praktyką, był badaczem – ciągnął William. – Wschodzącą gwiazdą uniwersytetu. Podobno był wspaniały, stworzony do czegoś wielkiego i tak dalej.

Byłam zaskoczona takim opisem doktora Nicholasa; w ogóle nie pasował do człowieka, którego poznałam. Nic w jego osobie tego nie sugerowało.

William poszedł po mleko do baru, a ja zastanawiałam się, czy doktor Nichols grał przede mną. Czy pies i niechlujne ubranie podczas pierwszego spotkania były starannie przemyślane, by zaprezentować mi wizerunek, któremu mimowolnie uległam? Lecz po co zadawałby sobie tyle trudu? I oszukiwał mnie? Manipulował mną? Podejrzewałam teraz każdego, kogo spotkałam. Ten brak zaufania stawał mi się bliski. Lecz nie mogłam go nadal podejrzewać. Był zbyt przyzwoity i neudaczny, by mógł mieć związek z przemocą. Plotki o jego genialności na pewno były fałszywe. W każdym razie poznał Cię dopiero po tym, jak urodziłaś Xaviera i widział Cię tylko raz, więc, jeśli nie był psychopata, nie mógł mieć powodu, by Cię zabijać.

William wrócił z mlekiem. Chciałam mu się zwierzyć. Poczulałabym ulgę, gdybym mogła podzielić się z kimś swoją wiedzą, ale zamiast tego pomieszałam kawę. Zauważyłam pierścioneł. Powinnam była oddać go Toddowi. William też go dostrzegł.

- Spory kamień.
- Tak. Nie jestem już zaręczona.
- Więc dlaczego go nosisz?
- Zapomniałam zdjąć.

Wybuchnęła śmiechem. Przyjaznym, jakim Ty śmiałaś się ze mnie.

Nikt nie droczy się ze mną w ten sposób.

Odezwał się jego pager. Skrzywił się.

– Zwykle mam dwadzieścia minut, żeby zgłosić się na wezwanie. Nasi dzisiejsi praktykanci potrzebują jednak więcej pomocy.

Kiedy wstał, zza kitla wysunęła się złota obrączka na łańcuszku. Może zasygnalizowała więcej, niż zamierzałam.

– Moja żona pracuje w Portsmouth – powiedział. – Nie jest łatwo znaleźć pracę w tym samym mieście, nie mówiąc już o szpitalu.

Wepchnął obrączkę z powrotem pod kitel.

– Nie możemy mieć niczego na palcach, żeby nie przenosić zarazków. A obrączka ma raczej symboliczne znaczenie, nie sądzisz?

Potaknęłam, zdziwiona. Miałam wrażenie, że traktuje mnie inaczej, niż byłam traktowana dotychczas. I nagle zdałam sobie sprawę z tego, że moje ubranie było wymięte, włosy niewymodelowane, twarz bez makijażu. Nikt z Nowego Jorku nie poznałby mnie, gdy z furią śpiewałam kołysankę w gabinecie doktora Nicholasa. Nie byłam tą efektownie ubraną, opanowaną osobą ze Stanów i zastanawiałam się, czy to nie zachęcało innych, żeby w moim towarzystwie odsłaniać nieczyste aspekty swojej natury i życia.

Kiedy tak patrzyłam, jak William wychodzi z kawiarni, zastanawiałam się, co zresztą nadal czynię, czy chciałam poznać kogoś, kto przypominał mi Ciebie choć trochę. Rozmyślałam też, czy to aby nie przez tę nadzieję dostrzegałam podobieństwo, czy też istniało ono naprawdę.



Opowiedziałam panu Wrightowi o mojej wizycie u doktora Nicholasa i rozmowie z Williamem.

– Kogo pani podejrzewała o puszczenie kołysanek? – pyta pan Wright.

– Sama nie wiem. Uważałam, że Simon był do tego zdolny. Emilio też. Nie wyobrażałam sobie, by doktor Rosen wiedział o młodej kobiecie na

tyle dużo, by ją torturować w ten sposób. Niemniej raz już go źle oceniłam.

– A doktor Nichols?

– On by wiedział, jak się nad kimś pastwić psychicznie. Ale nie wydawał się ani okrutny, ani sadystyczny. I nie miał motywu.

– Kwestionowała pani swoją opinię dotyczącą profesora Rosena, ale doktora Nicholasa nie?

– Zgadza się.

Zdaje się, że pan Wright chce zadać mi kolejne pytanie, ale rozmyśla się i coś notuje.

– Później tego dnia zadzwonił do pani inspektor Haines? – pyta.

– Tak. Przedstawił się jako szef sierżanta Finborougha. Początkowo myślałam, że to dobrze, że dzwoni do mnie ktoś wyższy rangą.



Głos inspektora dudnił w telefonie. Ten człowiek potrafił sprawić, by go słuchano.

– Mam dla pani dużo współczucia, panno Hemming, ale nie może pani chodzić po mieście i na oślep obwiniać różnych ludzi. Miałem nieco wątpliwości, gdy pan Codi złożył skargę. Współczułem pani straty, niemniej nadwerżyła pani moją cierpliwość. I powiem to jasno. Nie może pani ciągle podnosić fałszywego alarmu.

– Nie robię tego...

– Czyżby? Wszczęła pani kilka fałszywych alarmów naraz, bez żadnej pewności, czy którykolwiek z nich jest w ogóle uzasadniony. – Prawie się zakrztusił. – Koroner wydał orzeczenie o przyczynie śmierci pani siostry na podstawie faktów. Bez względu na to, jak trudna do przełknięcia jest dla pani prawda, a rozumiem, że nie jest łatwa, to jednak rzeczywistość jest taka, że pani siostra popełniła samobójstwo i za jej śmierć nikt nie jest odpowiedzialny.

Nie sądzę, by tacy ludzie nadal byli werbowani do policji: pełni

poczucia wyższości, patriarchalni i protekcyjnalni względem innych, a zupełnie bezkrytyczni wobec siebie.

Staralam się mówić tak, by sprawić wrażenie opanowanej, a nie wariatki, za jaką mnie uważał.

– Z pewnością kołysanka przekona pana, że ktoś próbował...

– Wiemy już o kołysance, panno Hemming – przerwał mi.

Byłam całkowicie zbита z tropu.

– Kiedy pani siostra zaginęła – ciągnął – jej sąsiad, starszy pan, wpuścił nas do jej mieszkania. Jeden z funkcjonariuszy sprawdził, czy było w nim coś, co mogłoby nam pomóc ją odnaleźć. Wysłuchał wiadomości nagranych na sekretarce. Według nas kołysanka nie była niczym złowrogim.

– Musiała słyszeć ją więcej niż jeden raz. To dlatego bała się telefonów i odłączyła aparat. Amias potwierdził, że były telefony, w liczbie mnogiej.

– To jest starszy człowiek, który przyznaje, że jego pamięć nie jest już doskonała.

Nadal starałam się nad sobą panować.

– Żadne z nagrań nie wydało się wam dziwne?

– Nie dziwniejsze od ustawienia szafy w salonie i posiadania mnóstwa obrazów olejnych, przy braku chociażby czajnika.

– Czy to z tego powodu nie powiedzieliście mi wcześniej o kołysance? Bo waszym zdaniem nie była złowroga, ani nawet dziwna?

– Zgadza się.

Włączyłam w telefonie głośnik, żeby móc oprzeć o coś trzęsące się ręce.

– W połączeniu z PCP te kołysanki dowodzą, że ktoś ją psychicznie torturował.

Jego gromki głos wypełnił pokój.

– Bardziej prawdopodobne jest to, że był to przyjaciel, który nie wiedział, że dziecko nie żyło i w niezamierzony sposób zachował się nietaktownie.

- Powiedział to panu doktor Nichols?
  - Nie musiał. To jest logiczny wniosek. Zwłaszcza że dziecko miało się urodzić dopiero za trzy tygodnie.
  - Dlaczego więc pan do mnie zadzwonił? Skoro wiedzieliście już o kołysankach, ale je zignorowaliście?
  - To pani do nas zadzwoniła, panno Hemming. Oddzwaniem z grzeczności.
  - W jej sypialni jest lepsze światło. Dlatego wyniosła z niej szafę, żeby móc tam malować.
- Ale on już się rozłączył.



- Tydzień po tym, jak usłyszała pani kołysankę, w Akademii odbywała się wystawa? – pyta pan Wright.
  - Tak. Zaprosili mnie przyjaciele Tess. Simon i Emilio na pewno mieli być obecni, więc musiałam się tam wybrać.
- Wydaje mi się właściwe, że to właśnie w Akademii – pośród Twoich wspaniałych obrazów, gdzie Twój duch i miłość były widoczne dla wszystkich – wreszcie znalazłam ścieżkę, która doprowadziła mnie do zabójcy.

## ROZDZIAŁ 18

Rankiem w dniu wystawy Twój przyjaciel Benjamin wyglądał bardzo profesjonalnie i spiął swoje dredy. Towarzyszył mu młody człowiek, którego nie rozpoznałam. Przyjechali zniszczoną białą furgonetką, żeby zabrać Twoje obrazy do Akademii. Benjamin powiedział, że, co prawda, to nie jest zakończenie pierwszego roku, które było formalną uroczystością, ale jest to ważne wydarzenie. Na wystawę mogli przyjść potencjalni nabywcy, były obecne rodziny wszystkich studentów. Twój przyjaciele byli dla mnie bardzo uprzejmi, jakbym była niezwykle delikatna i mógłby mnie uszkodzić głośniejszy dźwięk lub śmiech.

Kiedy wyszli z Twojego mieszkania z obrazami, dostrzegłam, że obaj byli bliscy płaczu. Coś musiało ich sprowokować, ale to była część Twojego życia, której nie znałam. Może po prostu wspominali ostatni raz, kiedy tu byli, i ten kontrast – ja zamiast Ciebie – był dla nich bolesny.

Osobiście zapakowałam Twoje płótna, ale kiedy weszłam na salę, chyba wydałam z siebie cichy okrzyk. Nie widziałam ich wcześniej wyeksponowanych na ścianie, tylko ustawione na podłodze. Wiszące wszystkie razem stanowiły eksplozję żywych barw; ich żywiołowość była poruszająca. Twój przyjaciele, których poznałam w kawiarni, podchodzili do mnie po kolei, jakby ustalili grafik opieki nade mną.

Nie widziałam Simona, ale na drugim końcu zatłoczonego pomieszczenia dostrzegłam Emilia. Obok niego stała Śliczna Czarownica



i z wyrazu jej twarzy wywnioskowałam, że coś się stało. Kiedy do nich podeszłam, zauważyłam, że Emilio wystawił akty przedstawiające Ciebie.

Zrobiłam się sina z wściekłości, ale mówiłam cicho; nie chciałam, by ktoś mnie usłyszał; nie chciałam przyciągać publiczności.

– Czy teraz, kiedy nie żyje, romans z nią nie jest już w żaden sposób groźny dla pana?

Wskazał na akty i wyglądał tak, jakby ta sprzeczka ze mną sprawiała mu przyjemność.

– One nie sugerują, że mieliśmy romans.

Musiałam mieć na twarzy wyraz niedowierzania.

– Beatrice, czy pani uważa, że artyści zawsze sypiają ze swoimi modelkami?

Owszem, tak myślałam. Zwrócenie się do mnie po imieniu było niestosownie intymne, podobnie jak wystawienie przedstawiających Cię aktów.

– Nie trzeba być kochankiem kobiety, by malować jej akty.

– Ale pan był jej kochankiem. I teraz pan chce, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli, prawda? W końcu ukazuje to pana w niezłym świetle, skoro piękna kobieta o dwadzieścia lat młodsza od pana chciała się z panem kochać. Fakt, że był pan jej nauczycielem i ma pan żonę, nie przeszkadza panu pozować na macho.

Śliczna Czarownica skinęła do mnie głową z aprobatą i może lekkim zdziwieniem. Emilio spojrzał na nią gniewnie. Dziewczyna wzruszyła ramionami i odeszła.

– Czyli pani zdaniem, poprzez te obrazy kreuję się na macho?

– Wykorzystując ciało Tess. Tak.

Ruszyłam w kierunku Twoich obrazów, ale poszedł za mną.

– Beatrice...

Nie odwróciłam się.

– Mam pewne wiadomości, które mogą panią zainteresować.

Dostaliśmy wyniki testów pod kątem mukowiscydozy. Moja żona nie jest nosicielką genu.

– Cieszę się.

Emilio jednak nie skończył.

– Ja też nie jestem nosicielem.

Musiał nim być. To nie miało sensu. Xavier miał mukowiscydozę, więc jego ojciec musiał być nosicielem genu. Zaczęłam tłumaczyć:

– Zwykle testy niekiedy nie wystarczą. Gen odpowiedzialny za mukowiscydozę ma tysiące mutacji i...

– Przeprowadzono wszystkie rodzaje testów – przerwał mi. – Powiedziano nam kategorycznie, że żadne z nas nie jest nosicielem genu.

– Czasami dziecko może być chore nawet wtedy, gdy tylko jedno z rodziców przenosi gen.

– A jakie jest prawdopodobieństwo? Jeden przypadek na milion. Xavier nie miał ze mną nic wspólnego.

Po raz pierwszy usłyszałam, jak użył imienia Xaviera – takim samym tonem, jak wtedy, gdy się go wyrzekał.

Prostym wyjaśnieniem było to, że Emilio nie był ojcem Xaviera. Ale powiedziałaś, że był, a Ty nie kłamiesz.



Wyczuwam, że pan Wright słucha tego, co mówię, w większym skupieniu.

– Wiedziałam, że Xavier nie miał mukowiscydozy.

– Bo oboje rodzice muszą być nosicielami genu? – pyta pan Wright.

– Zgadza się.

– Co się zatem według pani stało?

Milknę na chwilę, przypominając sobie emocję, która towarzyszyła temu odkryciu.

– Uznałam, że Gene-Med zastosowało terapię genetyczną na zdrowym dziecku.

– Z jakiego powodu?

– To musiało być oszustwo.

– Może pani rozwinąć myśl?

– Nic dziwnego, że „leczenie” mukowiscydozy było tak skuteczne, skoro dzieci nie były w ogóle chore. A właśnie ze względu na rzekomo cudowną kurację wartość Gene-Med podskoczyła tak gwałtownie. Za kilka tygodni firma miała wejść na giełdę.

– A co z organami nadzorującymi badania?

– Nie mogłam zrozumieć, jak mogły dać się tak omamić. Uznałam jednak, że musiało do tego dojść. Wiedziałam też, że pacjentki takie jak Tess nigdy by nie zakwestionowały diagnozy. Jeżeli miało się w rodzinie kogoś z mukowiscydozą, wiadomo, że można być nosicielem.

– Sądziła pani, że profesor Rosen był w to zamieszany?

– Uznałam, że musi być. Nawet jeśli to nie był jego pomysł, musiał go usankcjonować. Był dyrektorem Gene-Med, co oznaczało, że zarobi fortunę, gdy firma wejdzie na giełdę.

Gdy spotkałam się z profesorem Rosenem w Gene-Med, doszłam do wniosku, że jest fanatycznym naukowcem pragnącym uznania sobie równych. Trudno mi było zastąpić to wyobrażenie wizerunkiem głodnego pieniędzy defraudanta, uwierzyć, że nie kierowało nim stare jak świat pragnienie chwały, tylko jeszcze starsza chciwość. I nie mogłam uwierzyć, że mógł być aż tak dobrym aktorem; że jego mowa o wymazaniu chorób i dokonaniu przełomu w historii była tylko zasłoną, która miała zwieść mnie i innych. Jeżeli rzeczywiście tak było, człowiek ten był nadzwyczaj przekonujący.

– Skontaktowała się z nim pani na tym etapie?

– Próbowałam. Był w Stanach, gdzie wygłaszał wykłady. Miał wrócić szesnastego marca, za dwadzieścia dni. Nagrałam mu wiadomość, ale nie odpowiedział.

– Rozmawiała pani z sierżantem Finboroughem?

– Tak. Zadzwoiłam do niego i powiedziałam, że musimy się spotkać.

Umówiliśmy się na wczesne popołudnie.

Pan Wright zerka do swoich notatek.

– Na spotkaniu obecny był także inspektor Haines?

– Jak najbardziej.

Człowiek, który naruszał delikatne granice osobistej przestrzeni, jakby miał do tego prawo.

– Zanim przejdziemy dalej, chciałbym wyjaśnić jeszcze jedną kwestię – odzywa się pan Wright. – W jaki sposób to oszustwo miało być związane ze śmiercią Tess?

– Uznałam, że musiała je wykryć.



Inspektor Haines o kwadratowej szczęce patrzył na mnie z drugiej strony stołu; jego wygląd pasował do apodyktycznego tonu głosu. Obok niego siedział sierżant Finborough.

– Co wydaje się pani bardziej prawdopodobne, panno Hemming? – grzmiał inspektor. – To, że ciesząca się międzynarodowym uznaniem firma, działająca zgodnie z mnóstwem prawnych regulacji, testuje kuracje genetyczne na zdrowych dzieciach, czy że studentka pomyliła się co do tego, kto jest ojcem jej dziecka?

– Tess nie kłamałaby w tej kwestii.

– Podczas naszej ostatniej rozmowy telefonicznej prosiłem, żeby przestała pani szukać winnych.

– Tak, ale...

– W ubiegłym tygodniu na szczycie listy podejrzanych umieściła pani pana Codiego i Simona Greenly.

Przeklełam wiadomość, którą nagrałam na poczcie głosowej sierżanta Finborougha. Ukazywała mnie jako osobę kierującą się emocjami i nierzetelną. Zniszczyła moją wiarygodność.

– Teraz zmieniła pani zdanie? – spytał inspektor.

– Tak.

– Ale my nie, panno Hemming. Nie ma nic, co podważałoby opinię koronera, że to było samobójstwo. Przypomnę pani suche fakty. Może pani nie zechce tego słuchać, ale to nie znaczy, że one nie istnieją.

Trzykrotnie użył przeczenia. Jego mowa nie była aż tak imponująca, jak sądził.

– Niezamężna młoda kobieta – ciągnął, upajając się podkreślaniami słów – studiująca sztukę w Londynie, ma nieślubne dziecko chore na mukowiscydozę. Dziecko zostało wyleczone w łonie dzięki nowej terapii genetycznej.

Pomyślałam sobie, jaki musi być dumny z tej małej porcji wiedzy, którą mógł się teraz pochwalić w swoim monologu.

– Niestety dziecko umiera w czasie porodu z przyczyn niezależnych. Ktoś z przyjaciół, których miała wielu, zostawił jej na automatycznej sekretarce nietaktowną wiadomość, która była kolejnym bodźcem popychającym ją ku samobójstwu.

Próbowałam coś powiedzieć, ale ciągnął, prawie nie robiąc przerw na oddech. Musiał traktować mnie protekcjonalnie.

– Dziewczyna ma halucynacje z powodu zażycia narkotyku. Bierze kuchenny nóż i idzie do parku.

Zauważyłam, że sierżant Finborough i inspektor Haines wymienili spojrzenia.

– Może kupiła ten nóż specjalnie w tym celu – uciął Haines. – Może chciała, żeby był drogi i wyjątkowy. Albo po prostu ostry. Nie jestem psychiatrą, nie potrafię czytać w umyśle młodej kobiety o skłonnościach samobójczych.

Sierżant Finborough się wzdrygnął. Jego dezaprobata dla inspektora była oczywista.

– Poszła do opuszczonego szaletu – ciągnął Haines – albo po to, by jej tam nie znaleziono, albo żeby schronić się przed śniegiem. Tu też nie potrafię określić przyczyny. Albo przed pójściem do parku, albo już w szalecie, zażyła za dużą dawkę środków uspokajających.

Dziwię się, że zdołał się powstrzymać przed powiedzeniem, że „zabezpieczyła się z każdej strony”, bo było widać, że go korciło.

– Kuchennym nożem przecięła tętnice na rękach. Później okazuje się, że ojcem jej nieślubnego dziecka nie był jej nauczyciel, jak myślała, tylko ktoś inny, kto musi być nosicielem genu odpowiedzialnego za mukowiscydozę.

Próbowałam się z nim spierać, ale równie dobrze mogłabym udawać trójkąt ostrzegawczy ustawiony na utwardzonym poboczu autostrady M4. Wiem, to jest jedno z Twoich powiedzonek, które troszkę mnie pocieszyło, gdy tak na mnie krzyczał. Kiedy zachowywał się wobec mnie tak protekcyjnie i nie słuchał, co mam do powiedzenia, uświadomiłam sobie, jak niechlujnie jestem ubrana. Moje włosy wymagały strzyżenia. Nie byłam już uprzejma i nie uznawałam jego autorytetu. Nie dziwiłam się, że nie poświęcał mi uwagi. Niegdyś ja również jej nie poświęcałam ludziom wyglądającym tak jak ja.

Sierżant Finborough towarzyszył mi do wyjścia z komisariatu.

– Nie wysłuchał ani słowa z tego, co mówiłam – zwróciłam się do niego.

Sierżant był wyraźnie zakłopotany.

– To przez te oskarżenia pod adresem Emilia Codiego. I Simona Greenly.

– Podnosiłam fałszywy alarm?

Uśmiechnął się.

– I to z dużym przekonaniem. Nie pomaga pani także to, że Emilio Codi złożył na panią skargę, a Simon Greenly jest synem ministra.

– Przecież on musi dostrzegać, że coś jest nie tak.

– Gdy już raz wyciągnie wnioski poparte faktami i logiką, trudno go od nich odwieść. Chyba że przedstawi się mocniejsze fakty.

Pomyślałam, że sierżant Finborough był zbyt porządny i profesjonalny, żeby tak publicznie bez powodu krytykować szefa.

– A pan?

Zamilkł na chwilę, jakby się wahając, czy ma coś powiedzieć.

– Mamy wyniki analizy noża. Był zupełnie nowy. Nigdy wcześniej nieużywany.

– Nie było jej stać na nóż Sabatier.

– Zgadzam się, że to nie pasuje do osoby, która nie miała nawet czajnika ani tosterka.

Zatem to dostrzegł, gdy był u mnie ostatnio, żeby omówić wyniki raportu z sekcji. To nie była tylko, jak wówczas myślałam, wizyta wynikająca wyłącznie ze współczucia. Byłam mu wdzięczna za to, że przede wszystkim był policjantem. Zbierałam się na odwagę, by zadać mu to pytanie.

– Czy wierzy mi pan, że ona została zamordowana?

Przez chwilę moje pytanie wisiało w powietrzu między nami.

– Pojawił się znak zapytania.

– Czy będzie pan szukał odpowiedzi?

– Postaram się. Tylko tyle mogę obiecać.



Pan Wright skupia się uważnie na moich słowach; pochyla się, patrzy na mnie; nie jest biernym, tylko aktywnym odbiorcą; uświadamiam sobie, jak rzadko ludzie naprawdę słuchają.

– Po wyjściu z komisariatu poszłam prosto do mieszkania Kasi. Musiałam skłonić ją i Mitcha, żeby poddali się badaniu na obecność genu odpowiadającego za mukowiscydozę. Gdyby którekolwiek z nich nie było nosicielem, policja musiałaby zacząć działać.



W dużym pokoju panowała jeszcze większa wilgoć, niż podczas mojej ostatniej wizyty. Jednożeberkowy grzejnik elektryczny nie miał szans w walce z zimnem sączącym się z betonowych ścian. Cienki indyjski szal powiewał w przeciągu, choć okno było zamknięte. Widziałam się z Kasią

trzy tygodnie wcześniej. Dziewczyna była już prawie w ósmym miesiącu ciąży. Zdziwiła się.

– Nie rozumiem, Beatrice.

Po raz kolejny poczułam się źle z tym, że ktoś użył mojego imienia. Byłam tchórzem i nie chciałam być jej bliska, skoro ją martwiłam. Przyjęłam swój korporacyjny, narzucający dystans ton, gdy powiedziałam:

– Oboje rodzice muszą być nosicielami genu, żeby dziecko mogło mieć mukowiscydozę.

– Tak. Mówią to w klinice.

– Ojciec Xaviera nie jest nosicielem. Zatem Xavier nie mógł mieć mukowiscydozy.

– Xavier nie chory?

– Nie.

Mitch wyszedł z łazienki. Pewnie podsłuchiwał.

– No to co, kurwa? Skłamała po prostu, z kim się kochała.

Kiedy nie był przyprószony kurzem, był przystojny. Lecz kontrast między idealnie wyrzeźbioną twarzą i muskularnym wytatuowanym ciałem był niepokojący.

– Ona nie wstydziła się seksu. Jeśli uprawiałyby go z kimś innym, powiedziałyby mi o tym. Nie miała powodu, by kłamać. Naprawdę uważam, że powinnaś dać się zbadać, Mitch.

Popełniłam błąd, mówiąc do niego po imieniu. Nie zabrzmiało to przyjaźnie, raczej jak polecenie nauczycielki w podstawówce. Kasia nadal była zaszokowana.

– Ja mam gen mukowiscydozy. Test jest dodatni.

– Tak. Ale może Mitch nie jest nosicielem...

– Jasne – przerwał mi sarkastycznie. – Lekarze się mylą, a ty wiesz lepiej? – Spojrzał na mnie tak, jakby mnie nienawidził; może zresztą tak było. – Twoja siostra skłamała na temat ojca dziecka. Kto by ją za to winił. Przecież ty patrzyłaś na nią z góry. Protekcyjnalna suka.



Miałam nadzieję, że jest agresywny w obronie Kasi; próbował dowieść, że Twoje dziecko miało mukowiscydozę, jak ich dziecko, i że kuracja nie była oszustwem. Jedyнным sposobem było zrobienie z Ciebie kłamczuchy, a ze mnie spiętej, protekcyjnej suki. Jednak za bardzo upajał się swoimi słowami, by wierzyć w szczerść jego oburzenia.

– Prawda jest pewnie taka, że pieprzyła się z tyloma facetami, że nie miała pojęcia, kto był ojcem.

Kasia odezwała się cicho, ale wyraźnie.

– Nie. Tess nie taka.

Przypomniało mi się, z jaką prostotą nazwała Cię swoją przyjaciółką. Wzrok, który jej posłał, kipiał złością, ale dziewczyna dodała:

– Beatrice ma rację.

Powiedziała to i podniosła się. Wiedziałam, że to wskazywało na to, że kiedyś musiał ją uderzyć. Instynktownie go unikała.

Milczenie w pokoju nałożyło się na wilgotny chłód ścian, trwało, aż zapragnęłam gorąca kłótni. Wolałabym walkę na słowa od strachu przed fizyczną brutalnością. Kasia pchnęła mnie lekko w stronę drzwi i wyszliśmy na korytarz.

Schodziliśmy po brudnych betonowych schodach o ostrych krawędziach. Nie odzywałyśmy się. Gdy zawróciła, żeby iść na górę, przytrzymałam ją za rękę.

– Zamieszkaj ze mną.

Położyła dłoń na brzuchu. Nie spojrzała mi w oczy.

– Nie mogę.

– Kasiu, proszę.

Zadziwiłam samą siebie. Nigdy nie zaoferowałam nikomu nic więcej, oprócz podpisu na czeku w imię dobrej sprawy, a teraz proponowałam jej zamieszkanie u mnie i miałam nadzieję, że się zgodzi. To ta nadzieja mnie zdumiała. Kasia odwróciła się i poszła na górę, do zimnego, wilgotnego mieszkania i tego, co tam na nią czekało.

Gdy wracałam do domu, zastanawiałam się, czy powiedziała Ci,

dlaczego kocha Mitcha. Jestem pewna, że go kochała. Nie była osobą, która uprawiałaaby seks bez miłości. Ślubna obrączka Williama była znakiem, który wybrał; złoty krzyżyk na szyi Kasi nie miał związku z przynależeniem do kogoś czy z przysięgą. Oznajmiał: „zakaz wstępu” dla wszystkich, z wyjątkiem tych, których nosząca go osoba obdarzyła miłością i dobrocią. Byłam wściekła, że Mitch to ignorował. Bo robił to z wielką brutalnością.

Tuż po północy rozległ się dzwonek. Pobiegłam otworzyć drzwi. Miałam nadzieję, że to Kasia. Kiedy ją zobaczyłam, nie zwróciłam uwagi na kiepskie ubranie i źle ufarbowane włosy, tylko na siniaki na twarzy i obrzęknięte ręce.

Pierwszej nocy spałyśmy w jednym łóżku. Chrapała jak stara lokomotywa. Przypomniało mi się, jak opowiadałaś, że w ciąży kobiety mogą chrapać. Podobał mi się ten dźwięk. Przez wiele nocy nie spałam i wsłuchiwałam się w swój smutek; szloch był jedynym dźwiękiem wypełniającym pokój, serce krzyczało, rytmicznie uderzając w materac. Chrapanie Kasi było dźwiękiem codziennym, niewinnym i irytująco kojącym. Tej nocy spałam głęboko po raz pierwszy, odkąd umarłaś.



Pan Wright musi iść na spotkanie, więc wracam do domu wcześniej. Kiedy wychodzę ze stacji metra, okazuje się, że leje deszcz. Jestem przemoczona. Widzę, że Kasia przygląda mi się przez okno. Kilka sekund później wita mnie uśmiechnięta w drzwiach.

– Beata! – To jest polski odpowiednik mojego imienia.

Chyba Ci już mówiłam, że ma do dyspozycji łóżko, a ja śpię na futonie w dużym pokoju, który wydaje się wtedy absurdalnie zagrożony – nogami dotykam szafy, a głową drzwi.

Gdy przebieram się w suche ubranie, myślę, że to był dobry dzień. Udało mi się zrealizować poranne postanowienia. Nie bałam się i nie

czułam się onieśmielona. A gdy czułam słabość, drzenie lub mdłości, starałam się je ignorować i nie pozwalać ciału zdominować umysłu. Mam wrażenie, że poszło mi dość dobrze. Nie dotarłam jeszcze do etapu, żeby dostrzegać coś pięknego każdego dnia, ale może na razie to jest o krok za daleko.

Przebrawszy się, udzielam Kasi lekcji angielskiego. Uczę ją codziennie. Mam podręcznik angielskiego dla Polaków. Słowa są w nim pogrupowane i Kasia uczy się każdego zbioru przed „lekcją”.

- PIĘKNY – czytam na podstawie transkrypcji.
- Beautiful, lovely, gorgeous – odpowiada.
- Wspaniale.
- Dziękuję, Beata – odpowiada poważnie.

Staram się ukryć, jak bardzo mi się podoba, że nazywa mnie polskim imieniem.

- UKOCHANIE? – dukam.
- Love, adore, fond of, passionate.
- Świetnie. NIENAWIŚĆ?

Milczy. Powtarzam: „nienawiść”. Wzrusza ramionami. Próbuję z innym słowem: „nieszczęśliwy”, ale patrzy na mnie bez wyrazu.

Na początku frustrowały mnie te braki w jej słownictwie. Myślałam, że jest dziecinna w tej swojej odmowie uczenia się negatywnych słów; że chowa głowę w piasek. Lecz w przypadku pozytywnych określeń jest doskonała. Uczy się nawet kolokwializmów.

- Jak się masz, Kasia?
- Na tip-top, Beata. (Lubi musicale z lat pięćdziesiątych).

Zaproponowałam jej, żeby mieszkała ze mną po urodzeniu dziecka. Zarówno Kasia, jak i Amias są zachwyceni. Amias powiedział, że możemy zajmować mieszkanie za darmo, do czasu, gdy „staniemy na nogi”. Jakoś będę musiała sobie poradzić z opieką nad nią i jej dzieckiem. Bo przecież uporam się z tym. Wszystko będzie dobrze.

Po lekcji wyglądam przez okno i dopiero wtedy zauważam doniczki

przy schodach. Rośliny kwitną. Rośnie w nich cały zastęp (mały, ale jednak) żonkili.

Dzwonię do drzwi Amiasa. Jest zachwycony, że mnie widzi. Całuję go w policzek.

– Te żonkile, które posadziłeś. Kwitną.

Nie tak dawno obserwowałam, jak wsadzał cebule w pokrytą śniegiem ziemię i nawet przy braku wiedzy ogrodniczej zdawałam sobie sprawę z tego, że nie miały szansy przetrwać. Amias uśmiechnął się, zadowolony z mojego zdumienia.

– Wcale nie musisz się tak dziwić.

Podobnie jak Ty, tak i ja spotykam się z Amiasem regularnie, czasami przy kolacji, kiedy indziej przy whisky. Kiedyś myślałam, że robisz to z dobroci serca.

– Zamieniłeś je, kiedy nie patrzyłam? – pytam.

Zanosi się od śmiechu. Śmieje się bardzo głośno, jak na starszego człowieka, prawda? Rubasznie i głośno.

– Najpierw wlałem trochę ciepłej wody, wymieszałem ją z ziemią i dopiero wtedy wsadziłem cebule. Rośliny zawsze rosną lepiej, jeśli ogrzeje się ziemię.

Ich widok mnie pociesza.

## ROZDZIAŁ 19

*Środa*

Gdy przychodzę do budynku prokuratury tego ranka, odkrywam, że inni ludzie też uprawiają żonkile, bo Pani Zadurzona Sekretarka wyjmuje ich bukiet z mokrego papieru. Podobnie jak nasączone herbatą magdalenki Prousta budziły jego wspomnienia, tak też mokry papierowy ręcznik, który otulał łożyski kwiatów, sprawia, że wędruję myślami do słonecznej klasy i bukietu żonkili ode mnie na biurku pani Potter. Przez moment przytrzymuję tę nić łączącą mnie z przeszłością, kiedy Leo jeszcze żył, tata był z nami i szkoła z internatem nie rzucała cienia na pocałunek mamy na dobranoc. Ta nić pęka jednak i niknie. Zastępuje ją mniej przyjemnie wspomnienie, które datuje się na pięć lat później, kiedy to Ty zaniósłś pani Potter bukiet żonkili. Zdenerwowałam się, bo nie miałam nauczycielki, której chciałabym dać kwiaty. Poza tym, byłam w szkole z internatem, gdzie nawet jeśli jakieś kwiaty rosły, to i tak nie pozwolono by mi ich zerwać. No i wszystko się zmieniło.

Przychodzi pan Wright. Oczy ma czerwone i załzawione.

– Spokojnie. To katar sienny. Nie jest zaraźliwy.

Wchodzimy do gabinetu. Robi mi się żal sekretarki, która musi wyrzucić radośnie piękne żonkile z powodu czulej troski o szefa. Pan Wright podchodzi do okna.

– Czy mogę zamknąć?

– Proszę.

Wyraźnie cierpi. Cieszę się, że mogę się skupić na bolączkach kogoś innego. Dzięki temu nie czuję się taka skupiona na sobie.

– Doszliśmy do tego, jak Kasia do pani przyszła? – upewnia się.

– Tak.

Uśmiecha się do mnie.

– Rozumiem, że nadal u pani mieszka?

Chyba widział gazetę. Miałam rację, myśląc, że zdjęcie, jak obejmuję Kasię ramieniem pojawi się we wszystkich gazetach.

– Tak. Rano puściłam jej tę kołysankę. Uznała, że to zapewne przyjaciel, który z niewiedzy zachował się tak potwornie nietaktownie.

– Powiedziała jej pani o swoich przemyśleniach?

– Nie chciałam jej niepokoić. Podczas pierwszego spotkania powiedziała mi, że nie wiedziała nawet, iż Tess się bała, więc tym bardziej nie wiedziała, kogo się bała. Głupio zrobiłam, że dałam jej odsłuchać kołysankę.

Czy gdybym miała ją za rzeczywiście sobie równą, powiedziałabym jej, co myślałam? Czy potrzebowałam towarzystwa, kogoś, z kim mogłam się podzielić wiedzą? Zanim słuchałam jej nocnego chrapania, zanim obudziłam ją z filiżanką herbaty i przyrządziłam dla niej porządne śniadanie, postanowiłam, że moim zadaniem jest opiekować się nią. Chronić ją.

– Wtedy taśma przesunęła się dalej – ciągnę. – Była na niej nagrana wiadomość od niejakiej Hattie. Nie znałam jej i nie sądziłam, by było to coś ważnego. Kasia ją rozpoznała i powiedziała mi, że były razem w „szpitalu dla mam z tragediami”. Domyśliła się, że Hattie urodziła dziecko, ale nie spodziewała się, że zadzwoni. Nigdy nie była z Hattie blisko. To Tess zawsze organizowała ich spotkania. Kasia nie miała jej numeru telefonu, ale wiedziała, gdzie mieszka.



Poszłam pod wskazany przez Kasię adres. Wydaje się to łatwe, ale nie

miałam samochodu i kiepsko znałam trasy transportu publicznego, dlatego dojazd gdziekolwiek był dla mnie stresujący i pochłaniał dużo czasu. Kasia została w domu. Za bardzo się wstydziła posiniaczonej twarzy, żeby wychodzić. Myślała, że chcę się spotkać z Twoją znajomą z sentymentu. Nie wyprowadzałam jej z błędu.

Dotarłam pod piękny dom w Chiswick i dziwnie się czułam, gdy nacisnęłam dzwonek. Nie zadzwoniłam wcześniej i nie miałam pewności, czy Hattie będzie w domu. Drzwi otworzyła mi filipińska niańka trzymająca na rękach niemowlę o jasnych włosach. Wydawała się nieśmiała i nie patrzyła mi w oczy.

– Beatrice? – spytała.

Zdziwiłam się, że wiedziała, kim jestem. Chyba dostrzegła moje zakłopotanie.

– Jestem Hattie, przyjaciółka Tess. Poznałyśmy się na pogrzebie. Podałyśmy sobie ręce.

Stała do mnie długa kolejka osób – okrutna parodia szeregu gości czekających na swoją kolej złożenia życzeń parze młodych – które chciały wyrazić współczucie. Myślałam tylko o tym, żeby to się wreszcie skończyło, nie chciałam, by stał przede mną ten rząd ludzi i nie byłam w stanie zapamiętywać nowych imion i twarzy.

Kasia nie powiedziała mi, że Hattie jest Filipinką. Chyba nie było powodu, żeby mi o tym mówiła. Lecz nie tylko narodowość Hattie mnie zdziwiła, ale także jej wiek. Ty i Kasia jesteście młode i nie do końca wyrosłyście z dziewczęcości. Hattie natomiast była kobietą przed czterdziestką. I miała na palcu obrączkę ślubną.

Otworzyła drzwi. Zachowywała się skromnie, wręcz z szacunkiem.

– Wejdz, proszę.

Weszłam za nią do domu i wysilałam się, żeby usłyszeć głos niemowlęcia, ale z salonu dobiegały jedynie dźwięki programu telewizyjnego dla dzieci. Patrzyłam, jak kobieta posadziła dziecko, by oglądało *Tomka i przyjaciół* i przypomniało mi się, jak opowiadałaś mi

o zaprzyjaźnionej Filipince, która pracowała jako niańka. Nie słuchałam, jak ma na imię, poirytowana Twoją kolejną liberalną przyjaźnią (filipińska niańka, na Boga!).

– Chciałabym zadać ci kilka pytań, jeśli mogę.

– Dobrze, ale muszę odebrać jego brata o dwunastej. Czy mogę... – Wskazała na deskę do prasowania i kosz z bielizną w kuchni.

– Oczywiście.

Wydawała się biernie akceptować fakt, że pojawiłam się na progu i chciałam zadać pytania. Ruszyłam za nią do kuchni i zwróciłam uwagę na cienką, tanią sukienkę. Na dworze było zimno, a ona miała na nogach stare plastikowe klapki japonki.

– Kasia Lewski powiedziała mi, że twoje dziecko brało udział w programie leczenia mukowiscydozy. To prawda?

– Tak.

– Czy oboje z mężem jesteście nosicielami genu?

– Najwyraźniej tak.

Mówiła oschłym tonem, który nie współgrał z łagodną powierzchownością. Nie patrzyła mi w oczy. Myślałam, że się przesłyszałam.

– Czy byliście kiedyś badani pod kątem obecności tego genu? – spytałam.

– Mam dziecko z mukowiscydozą.

– Przepraszam.

– Mieszka z babcią i ojcem. Córka też z nimi mieszka. Ale nie ma mukowiscydozy.

Zarówno Hattie, jak i jej mąż byli nosicielami genu, tak więc ten przypadek nie potwierdzi mojej teorii na temat Gene-Med i leczenia zdrowych dzieci. Chyba że...

– Twój mąż nadal jest na Filipinach.

– Tak.

Zaczęłam wyobrażać sobie różne scenariusze tego, jak biedna,



nieśmiała Filipinka mogła zajść w ciążę, gdy jej mąż mieszkał na Filipinach.

– Mieszkasz przy rodzinie? – zapytałam i nadal nie wiem, czy usiłowałam podtrzymać rozmowę, czy też sugerowałam, że ojcem dziecka mógł być pan domu.

– Tak. Mieszkam tu. Georgina lubi, kiedy tu jestem, gdy pan Bevan wyjeżdża.

Zwróciłam uwagę na to, że matka dzieci była „Georginą”, a ojciec „panem Bevanem”.

– Chyba lepiej by ci się mieszkało samej? – spytałam, wracając do scenariusza pana Bevana w roli ojca jej dziecka.

Nie wiem, czego się spodziewałam – wyznania w rodzaju: „Tak, bo wtedy pan domu nie mógłby robić ze mną w nocy niegodziwych rzeczy”.

– Jest mi tu dobrze. Georgina jest bardzo serdeczna. Jest moją przyjaciółką.

Natychmiast to pominęłam – przecież przyjaźń oznacza swego rodzaju równość między dwiema osobami.

– A pan Bevan?

– Nie znam go dobrze. Często wyjeżdża.

Ten trop nie zaprowadzi mnie dalej. Obserwowałam ją, jak prasowała. Robiła to skrupulatnie i wręcz idealnie. Pomyślałam sobie, że przyjaciółki Georginy muszą jej zazdrościć.

– Jesteś pewna, że ojciec dziecka jest nosicielem genu?

– Przecież powiedziałam. Mój syn ma mukowiscydozę. – Ostry ton, który usłyszałam wcześniej, wrócił i był wyraźnie słyszalny. – Spotkałam się z tobą, bo jesteś siostrą Tess – ciągnęła. – Robię to z grzeczności. Nie po to, żebyś mnie wypytywała. Co cię to obchodzi?

Dotarło do mnie, że zupełnie źle ją oceniłam. Pomyślałam sobie, że nie patrzy na mnie, bo jest nieśmiała, tymczasem broniła swojego terytorium. Nie była bierna, tylko wyjątkowo skryta.

– Przepraszam. Chodzi o to, że nie jestem pewna, czy badania nad

leczeniem mukowiscydozy są w pełni legalne. To dlatego chciałam wiedzieć, czy zarówno ty, jak i ojciec dziecka jesteście nosicielami genu.

– Jesteś pewna, że rozumiem takie trudne słowo, jak „legalne”?

– Owszem. Wystarczająco długo zachowywałam się protekcyjnie.

Odwróciła się do mnie prawie z uśmiechem i patrzyłam teraz na zupełnie inną kobietę. Już rozumiałam, że Georgina, kimkolwiek była, mogła się z nią naprawdę przyjaźnić.

– Badania są legalne. Wyleczyły dziecko. Ale to na Filipinach nie zostanie wyleczone. Dla niego jest za późno.

Nadal mi nie powiedziała, kto jest ojcem. Muszę wrócić do tej kwestii i mieć nadzieję, że zaufa mi na tyle, by udzielić odpowiedzi.

– Mogę zadać kolejne pytanie?

Potaknęła.

– Czy zapłacono ci za udział w badaniu?

– Tak. Trzysta funtów. Teraz muszę odebrać Barnaby’ego z przedszkola.

Tak wielu pytań jeszcze nie zadałam i poczułam panikę, że nie będę miała kolejnej okazji. Hattie weszła do salonu i zabrała malucha sprzed telewizora.

– Możemy się jeszcze spotkać? – spytałam.

– Opiekuję się dziećmi we wtorek. Państwa nie będzie od dwudziestej. Możesz przyjść wtedy, jeśli chcesz.

– Dziękuję. Ja...

Pokazała mi, żebym nic nie mówiła. Miała w objęciach dziecko i chroniła je przed potencjalnie niewłaściwą dla niego rozmową.



– Kiedy poznałam Hattie, myślałam, że nie ma nic wspólnego w Tess czy Kasią – mówię. – Była w innym wieku, innej narodowości, zajmowała się czymś innym. Ale jej ubrania były tanie, jak Tess i Kasi. Dotarło do mnie, że tym, co je łączyło, oprócz programu leczenia

mukowiscydozy, była ich bieda.

– Uznała pani, że to ważne? – pyta pan Wright.

– Pomyślałam, że mogły uchodzić za bardziej podatne na finansową manipulację lub jawną łapówkę. Pojęłam też, że skoro mąż Hattie przebywał na Filipinach, wszystkie trzy można było uznać za samotne.

– A co z chłopakiem Kasi, Michaeliem Flanaganem?

– Gdy Kasię włączono do programu, była już po rozstaniu z nim. Po jego powrocie byli razem tylko przez kilka tygodni. Uznałam, że ktokolwiek za tym stał, wybierał celowo kobiety zdane na siebie, bo nie było nikogo, kto by się nimi przejmował. Ten ktoś wykorzystywał to, co uważał za bezbronność samotnych.

Pan Wright chce powiedzieć coś miłego, ale ja nie mam ochoty zboczyć w zaulek poczucia winy i pocieszenia, więc ciągnę:

– Widziałam zdjęcia pokazywane w telewizji i w Gene-Med, na których obok matek stali ojcowie. Zastanawiałam się, czy tylko w szpitalu św. Anny kobiety były samotne. Jeśli tak, to by znaczyło, że dzieje się coś strasznego.



Hattie ostrożnie usadziła dziecko w spacerówce, w której była już butelka z piciem i miś. Zakodowała alarm i wzięła klucze. Wypatrywałam jakichś oznak obecności noworodka, ale niczego nie dostrzegłam – żadnego płaczu, elektronicznej niani, kosza z pieluchami. Hattie nic nie mówiła. Wychodziła już z domu i było jasne, że na górze nie ma żadnego dziecka. Stałam w progu, jedną nogą na zewnątrz, gdy wreszcie zdobyłam się na odwagę lub bezduszność i zadałam to pytanie:

– A twoje dziecko...?

Jej głos był tak cichy, żeby maluch nie mógł go usłyszeć.

– Zmarło.



Pan Wright musi iść na spotkanie przy lunchu, więc wychodzę na zewnątrz. Wczorajszy deszcz odświeżył park, trawa jest błyszcząca, a krokusy mieniają się jak klejnoty. Wolę porozmawiać z Tobą tutaj, gdzie barwy są jasne nawet bez blasku słońca. Hattie powiedziała Ci, że dziecko zmarło po cesarskim cięciu. Ale czy powiedziała Ci też, że miała histerektomię, czyli usunięto jej macicę? Nie jestem pewna, co ludzie sobie myślą o tym, że szlocham – pewnie, że jestem lekko szurnięta. Ale kiedy ona mnie o tym poinformowała, ani przez chwilę nie pomyślałam o jej dziecku i bynajmniej nie szlochałam, tylko skupiłam się na konsekwencjach.

Wracam do budynku prokuratury i składam zeznania. Podaję fakty odarte z emocjonalnego wydźwięku.

– Hattie powiedziała, że dziecko zmarło z powodu problemów z sercem. Xavier zmarł z powodu jakiegoś uszkodzenia nerek. To było pewne, że śmierci obu dzieci były powiązane i że to musiało mieć coś wspólnego z programem realizowanym przez szpital św. Anny.

– Czy miała pani jakiś pomysł, jakie to było powiązanie?

– Nie. Nie rozumiałam, co się działo. Wcześniej miałam zgrabną teorię, że dzieci poddawano fałszywemu leczeniu, że było to wielkie oszustwo dla zysków. Teraz, po śmierci dwojga z nich, to nie miało sensu.

Wchodzi sekretarka pana Wrighta i przynosi mu dwie tabletki przeciwhistaminowe. Pyta, czy też bym jedną chciała, błędnie interpretując przyczynę zaczerwienienia moich oczu. Dociera do mnie, że źle ją oceniłam – skłania mnie do tego nie tyle jej wspaniałomyślność wobec mnie, ile raczej próba naprawienia tego, co narobiła swoimi żonkilami. Wychodzi z gabinetu.

– Zadzwoiłam do profesora Rosena, który nadal był w Stanach. Zostawiłam wiadomość na jego skrzynce głosowej. Pytałam go, co się, do cholery, dzieje.

Zastanawiałam się, czy jego duma z zaproszenia na uniwersytety należące do Ivy League miała stanowić zasłonę dla prawdziwego celu wyjazdu. Czy on uciekał, zmartwiony, że coś zostanie odkryte?

– Nie rozmawiała pani znowu z policją? – pyta pan Wright.

Wykaz moich rozmów telefonicznych, który ma przed sobą, ma w tym miejscu przerwę.

– Nie. Inspektor Haines uważał, że zachowuję się irracjonalnie i śmiesznie, na co naturalnie sobie zasłużyłam. Przed ponowną wizytą na policji musiałam znaleźć jakieś „poważniejsze dowody”.



Biedna Christina. Nie sądzę, by kończąc swój list kondolencyjny zwyczajowym „jeśli będę mogła jakoś pomóc, daj mi znać”, spodziewała się, że zwrócę się do niej ponownie. Zadzwoiłam na jej komórkę i opowiedziałam o dziecku Hattie. Była w pracy, pełna werwy i nastawiona na działanie.

– Zrobiono sekcję? – spytała.

– Nie. Hattie powiedziała mi, że nie chciała.

Usłyszałam dźwięk dzwonka w tle i Christinę rozmawiającą z kimś. Wydawała się bardzo zajęta i powiedziała, że oddzwoni do mnie wieczorem po pracy.

Postanowiłam odwiedzić mamę. Był dwunasty marca i wiedziałam, że będzie jej ciężko.

## ROZDZIAŁ 20

W dniu urodzin Leo zawsze posyłałam mamie kwiaty i dzwoniłam do niej – taka troskliwość na odległość. I zawsze starałam się o to, żeby mieć jakiś powód zakończenia rozmowy – spotkanie, na które musiałam się udać, telekonferencja, w której powinnam wziąć udział. Tworzyłam barierę dla potencjalnego zalewu emocji. Nigdy do niego nie dochodziło, jedynie do niezręczności, gdy emocje poddawano tłumieniu lub tłumaczono zakłóceniami w trakcie transatlantyckiego połączenia.

Kupiłam już kartkę dla Leo, ale na stacji Liverpool Street kupiłam pęk chabrów dla Ciebie, dzikich i jaskrawoniebieskich. Gdy kwiaciarka je pakowała, przypomniało mi się, jak Kasia powiedziała, że powinnam położyć kwiaty przy budynku szaletu, tak jak ona to zrobiła przed kilkoma tygodniami. Była w tej kwestii nietypowo uparta i pomyślałam, że mamie też by to dało „ukojenie”. Wiedziałam jednak, że mama uznawała to nowoczesne wyrażanie smutku – kwiatowe świątynki przy przejściach dla pieszych i latarniach, jak też poboczach dróg – za niepokojąco dziwaczne. Kwiaty należy składać tam, gdzie zostałaś pochowana, a nie gdzie umarłaś. Poza tym zrobię wszystko, żeby mama nie widziała tego budynku. Też nie chciałam go oglądać. Nie chciałam się już zbliżyć do tego miejsca. Poinformowałam Kasię, że raczej posadzę jakąś piękną roślinę w Twoim ogródku, będę się nią opiekować i obserwować, jak rośnie i kwitnie. I, podobnie jak mama, kwiaty będę kłaść na Twoim grobie.

Niecały kilometr dzielący stację Little Hadston od kościoła pokonałam

pieszo. Zobaczyłam mamę na cmentarzu. Opowiedziałam Ci o naszym wspólnym lunchu sprzed kilku dni, przeskakując tym samym kolejność zdarzeń, żeby Cię pokrzepić i być względem niej w porządku. Wiesz zatem, jak się zmieniła po Twojej śmierci. Znowu jest mamą z dzieciństwa, w szeleszczącym szlafroku, pachnącą kremem do twarzy, dodającą otuchy w ciemności. Ciepła i kochająca, stała się też niepokojąco bezbronna. Ta zmiana nastąpiła w czasie Twojego pogrzebu. To nie był stopniowy proces. Odbył się potwornie szybko. Jej niemy krzyk towarzyszący opuszczaniu Twojej trumny w ziemię rozbił wszystkie warstwy ochronne i odsłonił sedno jej istoty. I właśnie w tej chwili fikcja dotycząca Twojej śmierci rozprysła się na kawałeczki. Mama wiedziała, podobnie jak ja, że Ty byś się nigdy nie zabiła. I ta brutalna świadomość wysssała jej siłę z kręgosłupa i pozbawiła włosy koloru.

Za każdym razem, gdy ją widzę, taką starą i siwą, jestem wstrząśnięta.

– Mama?

Odwróciła się w moją stronę i zobaczyłam na jej twarzy łzy. Przytuliła mnie mocno i przycisnęła twarz do mojego ramienia. Poczułam łzy przez bluzkę. Odsunęła się i spróbowała zaśmiać.

– Nie powinnam cię wykorzystywać w roli chusteczki.

– Nie ma sprawy. Służę w każdej chwili.

Pogładziła moje włosy.

– Musisz się ostrzyc.

– Wiem.

Objęłam ją.

Tata wrócił do Francji, nie składając obietnic, że będzie dzwonił lub nas odwiedzał; jest już na tyle uczciwy, by nie zobowiązywać się do czegoś, z czego się nie wywiąże. Wiem, że mnie kocha, ale nie będzie obecny w moim codziennym życiu. Tak więc mama i ja mamy tylko siebie. To sprawia, że jedna dla drugiej jest tym bardziej cenna i że

wciąż jej za mało. Musimy grać nie tylko swoje role, ale też innych – Twoją, Leo, taty.

Złożyłam chabry na Twoim grobie, którego nie widziałam od dnia pogrzebu. I kiedy spojrzałam na ziemię przygniatającą Ciebie i Xaviera, pomyślałam, że to wszystko: wizyty na policji, w szpitalu, poszukiwania internetowe, dociekanie, wypytywanie, podejrzenia i oskarżenia, i tak sprowadzały się do tego – przykrywa Cię duszące błoto, oddzielające Cię od światła, powietrza, życia, miłości.

Odwróciłam się do grobu Leo i położyłam na nim kartkę – Action Man – myślę, że podobałaby się ośmiolatkowi. Nigdy nie dodałam mu lat. Mama już położyła wcześniej zapakowany prezent – zdalnie sterowany śmigłowiec.

– Skąd wiedziałaś, że on ma mukowiscydozę? – zapytałam.

Powiedziała mi, że zorientowała się, zanim pojawiły się jakiegokolwiek symptomy choroby, ale ani ona, ani tata nie wiedzieli, że byli nosicielami genu. Skąd zatem pomysł poddania go badaniom? Mój umysł przywykł do zadawania pytań. Czyniłam to nawet nad grobem Leo, nawet w dniu, w którym powinnyśmy świętować jego urodziny.

– Był malutki i płakał – rzekła mama. – Pocałowałam jego buzię. Łzy były słone. Wspomniałam o tym lekarzowi, tak przy okazji. Nie sądziłam, że to cokolwiek znaczy. A słone łzy są symptomem sugerującym mukowiscydozę.

Pamiętasz, jak rzadko nas całowała, kiedy płakałyśmy, nawet gdy byłyśmy małe? Pamiętam jednak czasy, kiedy to robiła – to było, zanim poczuła sól we łzach Leo.

Przez chwilę milczałyśmy. Mój wzrok przewędrował od starego grobu Leo do Twojego świeżego. Dostrzegłam, jak ten kontrast oddawał mój stan żałoby po każdym z was.

– Wybrałam kamień nagrobny – odezwała się mama. – To będzie anioł, duży, obejmujący grób skrzydłami.

– Anioł by się jej spodobał.



– Uznałyby, że to niedorzecznie zabawne.

Obie uśmiechnęłyśmy się lekko, wyobrażając sobie Twoją reakcję na kamień nagrobny.

– Sądzę, że podobałby się Xavierowi – dodała mama. – W przypadku dziecka anioł jest czymś uroczym. Nie nazbyt sentymentalnym.

– Ani trochę.

Mama zrobiła się sentymentalna i co tydzień przynosi nowego misia, wymieniając tego, który zmókł i się zabrudził. Troszkę się przy tym usprawiedliwiała, ale nie bardzo. Dawna mama byłaby przerażona takim złym gustem.

Po raz kolejny przypomniawszy mi się nasza rozmowa, w której nalegałam, żebyś powiedziała mamie o swojej ciąży, przy czym tym razem pamiętałam ją do końca – poprzednio chyba zapomniałam celowo.

*– Nadal masz majtki z wyhaftowanymi dniami tygodnia?*

*– Zmieniasz temat. Poza tym, dostałam je, jak miałam dziewięć lat.*

*– Nositaś je w odpowiednie dni?*

*– Będzie się czuła zraniona, jeśli jej nie powiesz.*

*Twój głos raptem zrobił się nietypowo poważny.*

*– Powie mi coś, czego będzie żałowała. I nie będzie w stanie cofnąć swoich słów.*

Byłaś taka dobra. Przedkładałaś miłość nad prawdę. Wcześniej jednak tego nie rozumiałam i myślałam, że to tylko wymówka. „Unikasz tematu”.

*– Powiem jej, kiedy on się urodzi, Bee. Kiedy go pokocha.*

Zawsze wiedziałaś, że obdarzy go miłością.

Mama zaczęła sadzić różę Madame Carriere w ceramicznej donicy obok Twojego grobu.

– To rozwiązanie tymczasowe, do chwili, gdy stanie tu anioł. Tak tu goło.

Nabrałam do konewki wody, żeby podlać roślinę i przypomniałaś mi się Ty jako małe dziecko drepczące za mamą z miniaturowymi narzędziami ogrodniczymi. W dłoniach ścisłaś nasionka rośliny, chyba orlika – nigdy nie przywiązywałam do tego wagi.

– Uwielbiała ogrodnictwo, prawda?

– Od dziecka – odparła mama. – Ja polubiłam je dopiero po trzydziestce.

– Od czego się zaczęło?

Podtrzymywałam rozmowę na bezpieczny temat. Miałam nadzieję, że przyniesie mamie trochę pociechy. Zawsze lubiła rozmawiać o roślinach.

– Gdy coś posadziłam, stawało się to coraz piękniejsze, w przeciwieństwie do mnie po trzydziestym szóstym roku życia. – Ugniatała gołym palcami ziemię wokół róży; brud wszedł jej pod paznokcie. – Utrata urody nie powinna była mnie martwić – ciągnęła. – Ale przejmowałam się tym przed śmiercią Leo. Chyba tęskniłam za tym, jak miło traktowali mnie ludzie, bo byłam śliczną dziewczyną. A tymczasem fachowiec, który przyszedł wymienić instalację elektryczną i taksówkarz byli niepotrzebnie niesympatyczni; mężczyźni, którzy kiedyś zrobiliby dla mnie coś za darmo, byli teraz agresywni, jakby nie chcieli sobie uświadamiać, że uroda blaknie, a człowiek się starzeje. Wyglądało to tak, jakby mnie za to obwiniali.

Trochę mnie zaskoczyła, ale tylko trochę. Wskoczyła z tym jak Filip z konopii i styl rozmowy stawał się niemal znajomy. Mama przetarła twarz brudnymi palcami, zostawiając na policzku ciemną smugę.

– No i Tess dorastała. Była urocza, śliczna, nieświadoma tego, że ludzie byli dla niej tacy szcudrzy ze względu na jej urodę.

– Nigdy tego nie wykorzystywała.

– Nie musiała. Drzwi stały przed nią otworem i przechodziła przez nie z uśmiechem, sądząc, że zawsze tak będzie.

– Byłaś zazdrosna?

Mama zawahała się na chwilę, po czym pokręciła głową.

– To nie była zazdrość, ale, patrząc na nią, dostrzegalam, co się stało ze mną. – Milknie. – Jestem ciutek wstawiona. Pozwalam sobie na to w dniu urodzin Leo. I w rocznicę jego śmierci. Teraz dojdą do tego rocznice Tess i Xaviera. Jeśli nie będę uważać, stanę się pijaczką.

Trzymałam ją mocno za rękę.

– Tess zawsze do mnie przyjeżdżała w jego urodziny.

Kiedy pożegnałyśmy się na dworcu, zaproponowałam wspólne wyjście w niedzielę do szkółki ogrodniczej w Petersham Meadows – byłaś nią zachwycona, ale nie było Cię stać na zakupy. Uzgodniłyśmy, że wybierzemy nową roślinę do Twojego ogródka.

Wsiadłam do pociągu jadącego do Londynu. Nigdy mi nie mówiłaś, że odwiedzałaś mamę w dniu urodzin Leo. Pewnie chciałaś mi oszczędzić poczucia winy. Ciekawe, ile razy do niej przyjeżdżałaś, zanim Twój brzuch stał się widoczny. Z wykazu rozmów telefonicznych wiedziałam, że okrutnie Cię zaniedbywałam; odnosiło się to też do mamy. To Ty byłaś troskliwą córką, nie ja, choć zawsze z pełnym przekonaniem uzurpowałam sobie prawo do tego tytułu.

Uciekłam, prawda? Moja praca w Nowym Jorku nie była okazją do „zrobienia kariery”, ale do porzucenia mamy i odpowiedzialności. Znalazłam sobie pozbawione obciążeń życie na innym kontynencie. Nie różniłam się od taty. Ty jednak nie wyjechałaś. Może byłam Ci potrzebna do tego, żeby przypominać Ci o zbliżających się urodzinach, ale Ty nie uciekłaś.

Zastanawiałam się, dlaczego doktor Wong nie uświadomiła mi moich wad. Dobry terapeuta z pewnością powinien wydobyć spod kanapy prawdziwy portret Doriana Graya, żeby pacjent dostrzegł, jaki jest w rzeczywistości. Jestem wobec niej niesprawiedliwa. To ja nie zadawałam właściwych pytań; nie kwestionowałam siebie w ogóle.

Dźwięk telefonu oderwał mnie od mojej autoanalizy. Dzwoniła Christina. Zaczęła od luźnej rozmowy – podejrzewałam, że zwleka z podaniem przyczyny swojego telefonu. Po chwili przeszła do konkretów.

– Nie wydaje mi się, żeby śmierć Xaviera i tego drugiego dziecka mogły być ze sobą powiązane.

– Muszą być. Zarówno Tess, jak i Hattie były objęte tym samym programem badań w tym samym szpitalu.

– Tak, ale z punktu widzenia medycyny związku nie ma. Nie istnieje nic, co powodowałoby uszkodzenie serca na tyle poważne, by zabić jedno dziecko oraz problemy z nerkami, najprawdopodobniej zatrzymanie ich funkcjonowania, które zabiłyby drugie dziecko.

Przerwałam jej, bo zaczęłam wpadać w panikę.

– Jeden gen może kodować zupełnie różne rzeczy, prawda? Więc może...

Tym razem ona mi przerwała. A może to były zakłócenia spowodowane jazdą pociągiem?

– Rozmawiałam ze swoim profesorem. Chciałam mieć pewność, że niczego nie przegapiam. Nie powiedziałam mu, o co chodzi. Przedstawiłam to jako hipotetyczny scenariusz. Oznajmił, że niemożliwe jest, by tak różne schorzenia miały wspólną przyczynę.

Wiedziałam, że upraszcza naukowy żargon, abym ją zrozumiała. I wiedziałam, że w bardziej skomplikowanym wydaniu sprowadzałoby się to do tego samego. Badania prowadzone w szpitalu św. Anny nie mogły spowodować śmierci obojga dzieci.

– To jest jednak dziwne, że w tym szpitalu zmarło dwoje dzieci, nie sądzisz? – spytałam.

– W każdym szpitalu dzieci umierają w okresie okołoporodowym. W św. Annie rocznie przychodzi na świat pięć tysięcy dzieci. To jest smutne, ale ta dwójka nie stanowi, niestety, niczego niezwykłego.

Chciałam pytać dalej, znaleźć jakiś błąd, ale milczała. Pociąg mną

trząsał i ten fizyczny dyskomfort odzwierciedlał mój stan psychiczny. Przyczynił się też do tego, że pomyślałam o Kasi. Planowałam dla niej wycieczkę, ale to mogło być dość nieodpowiedzialne, więc zapytałam o to Christinę. Wyraźnie się ucieszyła, że może pomóc i udzieliła mi szczegółowej odpowiedzi.



Kończę opowiadać panu Wrightowi o rozmowie z Christiną.

– Uważałam, że ktoś musiał okłamać obie kobiety co do przyczyny śmierci ich dzieci. Żadnego dziecka nie poddano sekcji.

– Nigdy pani nie pomyślała, że może się pani mylić?

– Nie.

Spojrzał na mnie, jak mi się wydaje, z podziwem, ale powinnam powiedzieć prawdę.

– Nie miałam już energii na to, by myśleć, że się mylę – ciągnę. – Po prostu nie mogłam wyobrazić sobie, że miałabym wrócić do punktu wyjścia i zaczynać wszystko od nowa.

– Co zatem pani zrobiła? – pyta, a ja czuję zmęczenie; czuję się tak samo zmęczona i zniechęcona jak wtedy.

– Poszłam na spotkanie z Hattie. Nie byłam pewna, czy usłyszę od niej cokolwiek, co mi pomoże, ale musiałam spróbować.



Chwytałam się brzytwy i wiedziałam o tym, ale musiałam. Jediną rzeczą, która mogła mi pomóc, była informacja o tożsamości ojca dziecka Hattie, ale nie wiązałam z tym zbyt dużych nadziei.

Gdy zadzwoniłam do drzwi, otworzyła mi piękna kobieta po trzydziestce. Domyśliłam się, że to Georgina. W jednej ręce trzymała dziecięcą książeczkę, a w drugiej szminkę.

– Zapewne Beatrice? Proszę. Mam lekkie opóźnienie. Obiecałam Hattie, że wyjdę stąd najpóźniej o dwudziestej.

Hattie zeszła do holu. Georgina odwróciła się w jej stronę.

– Czy przeczytasz dzieciom bajkę o krowie? Dam Beatrice coś do picia.

Hattie wróciła na górę. Wyczułam, że Georgina zaaranżowała całą sytuację, chociaż wydawała się szczerze przyjacielska. Bajeczka o Tomku, przyjaciółach i krowie jest bardzo krótka i można ją przeczytać w sześć minut, z uwzględnieniem odgłosów ciuchci i zwierząt. Georgina otworzyła butelkę wina i podała mi kieliszek.

– Nie denerwuj jej, proszę. Wiele przeszła. Od tego czasu prawie nie je. Spróbuj być dla niej... miła.

Kiwnęłam głową. Podobała mi się jej troska. Przed domem zatrąbił samochód. Georgina przed wyjściem zawołała:

– Otworzyłam pinot grigio, Hatts. Częstujcie się.

Hattie odkrzyknęła z góry, że dziękuje. Przypominały raczej współlokatorki, niż panią domu i niańkę. Obie były po trzydziestce.

Hattie zeszła do mnie, gdy ułożyła dzieci do snu. Poszliśmy do salonu. Usiadła na kanapie i podwinęła pod siebie nogi. W ręce trzymała kieliszek z winem. Zachowywała się, jak u siebie w domu, a nie jak pomoc domowa.

– Georgina wydaje się bardzo miła – zaczęłam.

– Owszem. Kiedy jej powiedziałam o dziecku, zaproponowała, że sfinansuje mój przelot do domu i zapłaci mi za dwa miesiące z góry. Nie stać ich na to. Oboje pracują na pełen etat i z trudem opłacają mnie co miesiąc.

Zatem Georgina nie była typową osobą zatrudniającą niańkę z Filipin, a Hattie nie mieszkała w schowku na przybory do sprzątan. Zadałam jej stały zestaw pytań. Czy wiedziała, że się kogoś bałaś? Czy wiedziała, kto mógł podać Ci narkotyki? Czy wie z jakiego powodu ktoś chciałby Cię zabić? (Przygotowałam się na spojrzenie, jakie z reguły w tym momencie mi rzucano). Hattie nie potrafiła na to odpowiedzieć. Podobnie jak reszta Twoich przyjaciół, nie widziała Cię po tym, jak urodziłaś Xaviera. Docierałam już do dna swojego worka z pytaniami i straciłam

nadzieję, że dojdę do czegoś.

– Dlaczego nie powiedziałaś nikomu, jak ma na imię ojciec dziecka?

Zawahała się i wydawało mi się, że wyglądała na zawstydzoną.

– Kto to jest, Hattie?

– Mój mąż.

Milczała. Dała mi czas na to, bym to przemyślała.

– Podjęłaś pracę w ciąży?

– Myślałam, że nikt mnie nie zatrudni, jeśli będzie wiedzieć. Gdy ciąża zrobiła się widoczna, udawałam, że dziecko ma się urodzić później. Wolałam, żeby Georgina myślała, że jestem rozwiązła, a nie, że ją okłamałam.

Musiałam wyglądać na zdumioną.

– Zaufała mi na tyle, że się zaprzyjaźniłyśmy.

Przez chwilę poczułam się wykluczona z sieci przyjaźni łączących kobiety. Nigdy nie czułam potrzeby zaprzyjaźniania się, bo miałam Ciebie.

– Powiedziałaś Tess o dziecku?

– Tak. Ona miała rodzić za kilka tygodni. Rozpłakała się za mnie i byłam na nią zła. Przypisała mi emocje, jakich nie odczuwałam.

Czy miałaś świadomość tego, że była na Ciebie zła? Ona jako jedyna skrytykowała Cię w rozmowie ze mną, bo niewłaściwie ją rozumiałaś.

– A prawda jest taka, że już wtedy poczułam ulgę – oświadczyła wyzywającym tonem, jakby chciała mnie zszokować.

– Rozumiem cię – odpowiedziałam. – Masz w domu inne dzieci, którymi musisz się opiekować. Dziecko oznaczałoby stratę pracy, bez względu na to, jak wyrozumieli są twoi pracodawcy. Wtedy nie mogłabyś wysyłać do domu pieniędzy. – Zerknęłam na nią i dostrzegłam, że nie trafiłam. – A może nie potrafiłabyś już zostawić następnego dziecka, by przyjechać do pracy w Zjednoczonym Królestwie?

Spojrzała mi w oczy – milczące potwierdzenie.

Dlaczego ja mogłam zrozumieć Hattie, a Ty nie? Bo ja rozumiem, czym

jest wstyd, a Ty go nigdy nie doświadczyłaś. Hattie wstała.

– Czy chciałabyś wiedzieć coś jeszcze?

Pragnęła, żebym sobie poszła.

– Tak. Czy wiesz, kto robił ci zastrzyk? Ten z genem.

– Nie.

– Pamiętasz lekarza, który przyjmował poród?

– Robili mi cesarkę.

– No, ale chyba widziałaś jego lub ją?

– Nie. Miał na twarzy maseczkę. Gdy robili mi zastrzyk. I w czasie operacji. Przez cały czas w maseczkach. Na Filipinach czegoś takiego nie ma. Nikt nie dba tak bardzo o higienę, ale tutaj...

Gdy mówiła, ujrzałam w myślach jedno z Twoich płócien, to z krzyzącą kobietą i postacią w masce nad nią. Nie przedstawiało halucynacji wywołanych przez narkotyki, tylko rzeczywiste zdarzenia.

– Czy masz jakąś dokumentację ze szpitala?

– Nie.

– Zaginęła?

Hattie wydawała się zdumiona tym, że wiedziałam.



Piję kawę i nie wiem, czy to z powodu kofeiny, czy na wspomnienie Twoich obrazów przeszywa mnie dreszcz, przez co wylewam trochę napoju na stół. Pan Wright patrzy na mnie z troską.

– Kończymy na tym?

– Tak, jeśli możemy.

Wychodzimy razem do recepcji. Pan Wright dostrzega pęk żonkili na biurku sekretarki i zatrzymuje się. Widzę, jak kobieta się spina. Wright odwraca się do mnie z czerwonymi oczami.

– Podoba mi się to, co Tess powiedziała na temat genu odpowiadającego za żółty kolor żonkili, ratującego dzieciom wzrok.

– Mnie również.



Sierżant Finborough czeka na mnie w Carluccios niedaleko budynku prokuratury. Zadzwoił do mnie wczoraj z pytaniem, czy moglibyśmy się spotkać. Nie jestem pewna, czy to jest dozwolone, ale się zgadzam. Wiem, że nie przychodzi w swojej sprawie, nie będzie błagał, bym zmieniła nieco zeznania dotyczące tego, co się stało, żeby on zaprezentował się w lepszym świetle.

Podchodzę do niego i przez chwilę się wahamy, jakbyśmy się zastanawiali, czy powinniśmy się pocałować w policzek jak przyjaciele, a nie – no właśnie, kto? Kim dla siebie jesteśmy? Przecież to on mi powiedział, że znaleziono Cię w szalecie. To on wziął mnie za rękę, spojrzał mi w oczy i zniszczył to, kim byłam do tego momentu. Nasza znajomość nie pozwala na pocałowanie się w policzek, ale też nie jest zwykłą relacją łączącą policjanta z krewną ofiary. Przytrzymuję jego dłoń tak, jak on niegdyś trzymał moją; tym razem to moja jest cieplejsza.

– Chciałem panią przeprosić, Beatrice.

Już mam mu odpowiedzieć, gdy wpycha się między nas kelnerka z uniesioną tacą i ołówkiem wetkniętym profesjonalnie w kucyk. Myślę, że powinniśmy iść raczej do kościoła, gdzieś, gdzie jest cicho i poważnie, gdzie o wielkich sprawach rozmawia się szeptem, a nie przekrzykując brzęk naczyń i pogaduszki.

Siadamy przy stoliku i chyba oboje mamy wrażenie, że ta sytuacja jest krępująco intymna. Przerywam milczenie:

– Co słyszać u funkcjonariuszki Vernon?

– Dostała awans. Pracuje w wydziale przemocy domowej.

– To dobrze.

Uśmiecha się. Przełamaliśmy lody, więc rusza na głębsze wody.

– Przez cały czas miała pani rację. Powinienem być słuchać i wierzyć pani.

Kiedyś snułam fantazje, że pewnego dnia usłyszę właśnie takie zdanie i będę mogła szepnąć swojemu dawnemu ja, że wypowiada je policjant.

– Przynajmniej miał pan wątpliwości – mówię. – I zajął się pan tym.

– O wiele za późno. Nie powinna pani być narażona na takie niebezpieczeństwo.

Dźwięki dobiegające z restauracji nagle milkną, światła przygasają, aż robi się ciemno. Słyszę tylko sierżanta Finborougha, jak zapewnia mnie, że wszystko jest w porządku, ale i jego głos milknie. Mrok spowija otoczenie. Chcę krzyczeć, ale z moich ust nie może się wydobyć żaden dźwięk.

Gdy dochodzę do siebie, znajduję się w czystej toalecie. Sierżant Finborough jest przy mnie. Mówi, że byłam nieprzytomna jakieś pięć minut. Zatem nie tak długo. Po raz pierwszy jednak przestałam też słyszeć. Personel Carluccios zatroszczył się o mnie i wezwał już taksówkę. Proszę sierżanta, by mi towarzyszył. Godzi się chętnie.

Jestem w taksówce, obok mnie siedzi policjant, a mimo to nadal się boję. Wiem, że on mnie śledzi; czuję jego złowrogą obecność, wyczuwam mordercze zamiary.

Chcę wspomnieć o tym sierżantowi. Podobnie jak pan Wright powie mi jednak, że on przebywa w areszcie; że nie może mnie znowu skrzywdzić; że nie ma się czego bać. Ale ja nie mogę uwierzyć.

Sierżant Finborough czeka, aż bezpiecznie wejdę do domu, po czym odjeżdża w sobie tylko znanym kierunku. Gdy zamykam drzwi, Pudding owija moje nogi swoim ciepłym ciałkiem i mruczy. Wołam Kasię. Cisza. Duszę iskry rozpalające lęk i dostrzegam karteczkę na stole. Kasia jest na zajęciach szkoły rodzenia. Powinna wrócić do domu lada chwila.

Podchodzę do okna, żeby przez nie wyrzeć. Rozsuwam zasłony. Dwie dłonie uderzają w szybę z drugiej strony, próbując ją rozbić. Krzyczę. Rozpływają się w mroku.

# ROZDZIAŁ 21

## *Czwartek*

Jest piękny wiosenny dzień, ale żeby dotrzeć do prokuratury, wsiadam w metro; nie chcę iść przez park, muszę mieć wokół siebie tłum.

Gdy jestem na miejscu, cieszę się, że w windzie panuje ścisk, aczkolwiek lękam się jak zawsze, że mój pager i telefon komórkowy stracą tu zasięg, utknę między piętrami i Kasia nie będzie mogła się ze mną skontaktować.

Winda wypluwa mnie na trzecim piętrze i natychmiast sprawdzam, czy pager i telefon działają. Nie powiedziałam o mężczyźnie za oknem, żeby jej nie przerazić. Albo żeby nie przyznać się do innej możliwości – że nie tylko moje ciało miewa się coraz gorzej, ale umysł również. Wiem, że jest ze mną kiepsko fizycznie, ale nigdy nie przemknęło mi przez myśl, że mogę być chora psychicznie. Czy on jest tylko złudzeniem, wytworem chorego umysłu? A może, żeby być przy zdrowych zmysłach, trzeba też dysponować siłą fizyczną, której mi brakuje? Obłąd to coś, czego boję się najbardziej, nawet bardziej niż jego, bo niszczy człowieka od środka, podczas gdy ciało pozostaje nietknięte. Wiem, że i Ty musiałaś się bać. Szkoda, że nie wiedziałaś, że to przez PCP, a nie z powodu słabości czy choroby zagrażającej zdrowym zmysłom.

Może ja też dostałam PCP? Czy ta myśl przyszła Ci do głowy wcześniej, niż mnie? Być może to substancja halucynogenna jest odpowiedzialna za ustawiczny lęk, który mnie osacza? Lecz nikt nie

mógł mi jej podać. Bywam tylko w prokuraturze, w barze Coyote i w mieszkaniu, gdzie nikt nie życzy mi źle.

Nie powiem panu Wrightowi o mordercy w oknie. Jeszcze nie. Ani o moim strachu przed obłądem. Jeśli mu nie powiem, będzie mnie traktował normalnie, a dzięki temu ja będę się tak zachowywała. Oczekuje ode mnie, że zachowam zdrowe zmysły i że sprostam oczekiwaniom. Poza tym, przynajmniej w czasie spędzonych z nim godzin wiem, że jestem bezpieczna. Zaczekam zatem do końca dnia i wtedy mu powiem.

Tego ranka w biurze pana Wrighta nie jest jasno; na skraju pola widzenia dostrzegam mrok i staram się rozgonić ciemność, mrugając. Gdy zaczynam z nim rozmawiać, słyszę, że słowa robią się niewyraźne i z trudem przypominam sobie zdarzenia. Pan Wright poinformował mnie, że może uda nam się skończyć składanie zeznań dzisiaj, więc będę musiała się zmobilizować.

Zdaje się nie zauważać, że coś się ze mną dzieje. Może do mistrzostwa doprowadziłam ukrywanie tego, może on jest skupiony wyłącznie na przebrnięciu przez ostatnią część przesłuchania. Przypomina, na czym zakończyliśmy rozmowę.

– Hattie Slim powiedziała pani, że człowiek, który zrobił jej zastrzyk, a potem odbierał poród, miał na twarzy maskę?

– Tak. Zapytałam ją, czy to była ta sama osoba. Odpowiedziała, że tak. Ale nie pamiętała nic więcej. Ani głosu, koloru włosów, ani wzrostu. Starła się wymazać ze wspomnień całe to wydarzenie i nie mogłam jej za to winić.

– Sądzi pani, że mężczyzna, który odbierał poród Hattie, odbierał też poród Tess?

– Tak. Miałam też pewność, że to on ją zabił. Potrzebowałam jednak więcej danych przed pójściem na policję.

– Zdobyć mocniejsze dowody? – pyta pan Wright.

– Owszem. Musiałam dowieść, że zakładał maseczkę, by ukryć swoją

tożsamość. Nie mogłam zdobyć informacji o tym, kto odbierał poród Tess i zrozumiałam, że było to celowe. Ale może mogłam się dowiedzieć, kto robił Tess i Hattie zastrzyki.



Do szpitala św. Anny dotarłam po wyjściu od Hattie późno, po północy. Musiałam znać odpowiedź natychmiast. Gdy znalazłam się na miejscu, na oddziałach panowała ciemność i pojęłam, że to chyba nie była najrozsądniejsza pora na zadawanie pytań. Niemniej nacisnęłam już dzwonek przy drzwiach na oddział położniczy, otworzyła mi pielęgniarka, której nie znałam. Spojrzała na mnie podejrzliwie i przypomniało mi się, że te środki bezpieczeństwa służyły zapobieganiu wykradania niemowląt.

– Czy mogę rozmawiać ze starszą położną? Chyba ma na imię Cressida.

– Jest w domu. Skończyła zmianę sześć godzin temu. Będzie jutro. Nie mogłam czekać tak długo.

– Czy jest może William Saunders?

– Jest pani pacjentką?

– Nie. – Zawahałam się. – Przyjaciółką.

Usłyszałam płacz dziecka. Po chwili przyłączyły się kolejne dzieci. Rozległ się dzwonek. Młoda pielęgniarka skrzywiła się i dostrzegłam, jaka była zestresowana.

– No dobrze. Jest w pokoju lekarzy. Trzecie drzwi po prawej.

Zapukałam. Pielęgniarka obserwowała mnie. Weszłam do środka. W drzwiach panował półmrok, rozjaśniało go tylko światło wpadające przez drzwi. William obudził się natychmiast, w pełni przytomny, pewnie dlatego, że był na dyżurze i powinien funkcjonować na sto procent możliwości.

– Co ty tu robisz, Bee?

Tylko Ty mnie tak nazywałaś i miałam wrażenie, że uzyczyłaś mi

trochę naszej bliskości. Wstał z łóżka i dostrzegłam, że był ubrany, miał niebieski kitel i potargane włosy po stronie, na której leżał. Byłam świadoma małej przestrzeni tego pokoju, w którym stało pojedyncze łóżko.

– Czy wiesz, kto robi zastrzyki kobietom objętym programem leczenia mukowiscydozy? – spytałam.

– Nie. Mam się tego dowiedzieć?

Jakie to proste.

– Poproszę.

– Dobrze.

Wyglądał poważnie, był skupiony i byłam mu wdzięczna, że traktuje mnie serio.

– Czy są inne pacjentki, oprócz Twojej siostry, które znasz?

– Kasia Lewski i Hattie Sim. Tess poznała je w klinice.

– Możesz zapisać nazwiska?

Czekał, gdy szperałam w torebce i pisałam na kartce, po czym wziął ją ode mnie delikatnie.

– Czy mogę zapytać, po co ci ta informacja?

– Ten ktoś miał maseczkę. Gdy robił zastrzyki i gdy odbierał dzieci.

Zapadła cisza i czułam, że zapach, którym się zaraził ode mnie, słabł.

– To nic nadzwyczajnego w przypadku pracowników szpitala, zwłaszcza na oddziale położniczym. Podczas porodu panuje niezły bałagan, jest sporo płynów ustrojowych, tak więc personel standardowo nosi strój ochronny.

Musiał dostrzec moje niedowierzanie albo rozczarowanie.

– To jest rutynowe postępowanie – ciągnął. – Przynajmniej w naszym szpitalu. Mamy tu najwyższy odsetek pacjentek z wirusem HIV, zaraz po Johannesburgu. Jesteśmy regularnie badani, żeby nie zarazić pacjentów. Niestety, w drugą stronę to tak nie działa. Tak więc, gdy przybywa tu jakaś kobieta, nie wiemy, czy jest chora albo czy jest nosicielką.

– No, ale przy wprowadzaniu genu? Przy zastrzyku? Wokół nie leją się płyny ustrojowe. Po co więc maseczka?

– Może ten ktoś po prostu jest ostrożny.

Wcześniej jego skłonność do upatrywania w ludziach tego, co w nich najlepsze, wydawała mi się urocza. Tym razem jednak doprowadziła mnie do szału.

– Wolisz znaleźć niewinne wyjaśnienie, zamiast pomyśleć, że ktoś zamordował moją siostrę i ukrył swoją tożsamość za maseczką?

– Bee...

– Ja nie mogę korzystać z luksusu wyboru. Dla mnie dostępna jest jedynie ta ohydna, brutalna możliwość. – Odsunęłam się od niego o krok.

– Nosisz maseczkę?

– Często. Mogę się wydawać nadmiernie ostrożny, ale...

– To ty? – przerwałam mu.

– Słucham?

Wpatrywał się we mnie, ale ja nie potrafiłam spojrzeć mu w oczy.

– Pomyślałaś, że ją zabiłem? – spytał zdumiony i urażony.

– Przepraszam. – Zmusiłam się, by na niego spojrzeć. – Ktoś ją zamordował. Nie wiem, kto. Ale wiem, że tak. Pewnie już spotkałam tę osobę, rozmawiałam z nią i nie wiedziałam o tym. Nie mam jednak najmniejszego dowodu.

Wziął mnie za rękę i dotarło do mnie, że się trzęsę.

Gładził palcami moją dłoń, delikatnie; początkowo zbyt lekko, bym mogła uwierzyć, że był to gest odzwierciedlający zainteresowanie. Gdy nie przestał, poczułam, nie mogąc w to uwierzyć, że się nie myliłam. Cofnęłam dłoń. Wyglądał na rozczarowanego, ale głos miał miły.

– Nie jestem najlepszą partią, prawda?

Nadal zdumiona i więcej niż mile połechtana, podeszłam do drzwi.

Dlaczego wyszłam z tego pokoju pełnego możliwości? Bo nawet gdybym zdołała zignorować fakt, że był żonaty – nie była to bariera nie do pokonania, jak się okazało – wiedziałam, że nie czeka mnie nic

trwałego ani bezpiecznego, co nie dałoby mi nic, czego pragnęłam lub potrzebowałam. Byłaby to chwila namiętności, nic więcej, po której musiałabym wyrównać pokaźny dług natury emocjonalnej. A może wyszłam, bo nazwał mnie Bee? Tylko Ty tak do mnie mówiłaś. To imię przypominało mi, kim byłam przez tyle lat. Kimś, kto takich rzeczy nie robił.

Zamknęłam więc za sobą drzwi i wyszłam, chwiejąc się na swojej cienkiej linii moralnej. Nie spadłam z niej, nie dlatego, że miałam aż tak wysokie morale, ale dlatego, że po raz kolejny wolałam bezpieczeństwo od ryzyka związanego z chwilowym szczęściem.

Czekałam na nocny autobus na ulicy nieopodal szpitala. Pamiętałam, jakie mocne były jego ramiona, gdy mnie przytulił i jakie delikatne palce, którymi gładził moją dłoń. Wyobrażałam sobie, że mnie obejmuje i czułam jego ciepło – stałam jednak samotna w mroku i chłodzie, żałując swojej decyzji. Żałowałam też, że jestem osobą, która pewnie zawsze będzie wychodzić.

Zawróciłam i nawet zrobiłam kilka kroków. Wtem wydało mi się, że słyszę kogoś w odległości kilku metrów ode mnie. Od głównej ulicy odchodziły dwie nieoświetlone uliczki; może przykucnął za zaparkowanym samochodem. Wcześniej byłam zajęta swoimi myślami i nie zauważyłam, że ulicą nie jeździły żadne samochody, na chodnikach nie było nikogo. Byłam tylko ja i ten ktoś, kto mnie obserwował.

Dostrzegłam czarną taksówkę bez włączonego światła na dachu. Wyciągnęłam rękę i modliłam się, żeby kierowca się zatrzymał. Zrobił to i zląkał mnie, że chodzę po mieście sama w środku nocy. Wydałam pieniądze, których już prawie nie miałam, na to, by zawiózł mnie do domu. Zaczekał, aż weszłam bezpiecznie do mieszkania i dopiero wtedy odjechał.



Pan Wright patrzy na mnie z troską. Wiem, że jestem bardzo chora. Usta mam suche jak pergamin. Wypijam szklanekę wody, którą sekretarka zostawiła dla mnie. Pyta, czy mogę kontynuować. Mówię, że tak. Przebywanie przy nim daje mi poczucie bezpieczeństwa, a ja nie chcę być sama w mieszkaniu.

– Pomyślała pani o człowieku śledzącym Tess? – pyta pan Wright.

– Tak. To było jednak raczej wrażenie, że ktoś mnie obserwował, usłyszałam coś, co obudziło moją czujność. Nikogo nie widziałam.

Pan Wright proponuje, żebyśmy kupili sobie kanapki i przenieśli się do parku. To pewnie dlatego, że robię się półprzytomna i bełkoczę; ma nadzieję, że wyjście na dwór mnie obudzi. Bierze magnetofon. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że może on działać na baterie.

Idziemy do parku św. Jakuba, który wygląda jak w scenie z *Mary Poppins* – wszystko kwitnie, a po błękitnym niebie przesuwają się białe chmurki przypominające bezy. Pracownicy biurowi siedzą na trawie i przekształcają park w plażę bez morza. Idziemy blisko obok siebie i szukamy jakiegoś mniej zatłoczonego miejsca. Jego miła twarz jest zwrócona w moją stronę. Jestem ciekawa, czy czuje moje ciepło tak, jak ja czuję jego.

Z naprzeciwnika nadchodzi kobieta z podwójnym wózkiem i musimy iść gęsiego. Przez krótką chwilę, gdy idę sama, mam poczucie nagłej straty, jakby z lewej strony, po której już go nie ma, zniknęło ciepło. Myślę o tym, że leżę na zimnej, betonowej posadzce na lewym boku i czuję, jak chłód wnika we mnie, słyszę serce bijące za szybko i nie jestem w stanie się ruszyć. Wpadam w panikę, przewijam tę scenę szybko do przodu, ale on jest już obok mnie, wyrównujemy krok i wracam do właściwej kolejności zdarzeń.

Znajdujemy ciche miejsce i pan Wright rozkłada koc. Jestem wzruszona, że gdy rano ujrzał błękitne niebo, pomyślał o pikniku ze mną w parku. Włącza magnetofon. Czekam, aż minie nas grupa nastolatków, po czym zaczynam mówić.

– Kasia się obudziła, gdy weszłam. A może na mnie czekała? Zapytałam ją, czy pamięta lekarza, który robił jej zastrzyk.



Owinęła się Twoim szlafrokiem.

– Nie wiem, jak się nazywa – powiedziała. – A o co chodzi?

– Miał maseczkę i nie wiesz, jak wyglądał?

– Tak, maseczkę. Coś nie tak? Beata?

Bezwiednie położyła dłoń na brzuchu. Nie mogłam jej straszyć.

– Wszystko w porządku. Naprawdę.

Ona jest zbyt bystra, żeby dała się tak łatwo zbyć.

– Powiedziałaś, że dziecko Tess nie chore. Nie mieć mukowiscydoza. Kiedy przyszedł do mieszkania. Kiedy prosiłaś Mitcha, żeby się zbadał.

Nie sądziłam, że to zrozumiała. Pewnie zastanawiała się nad tym przez cały czas, ale nie pytała; ufała, że jej powiem, jeżeli to jest coś, co powinna wiedzieć.

– To prawda. Staram się dowiedzieć czegoś więcej. To jednak nie ma nic wspólnego z tobą. Z tobą i dzieckiem wszystko będzie w porządku; jesteście zdrowi jak ryba.

Uśmiechnęła się; to coś nowego, czego się właśnie nauczyła. Jej uśmiech wydał mi się jednak wymuszony. Uścisnęłam ją.

– Naprawdę wszystko będzie w porządku. Z tobą i dzieckiem. Obiecuję.

Nie mogłam pomóc Tobie i Xavierowi, ale pomogę jej. Nikt nie skrzywdzi ani jej, ani dziecka.



W niewielkiej odległości od nas nastolatki grają w softball i przez chwilę zastanawiam się, co osoba słuchająca tych nagrań pomyśli o odgłosach w tle – śmiechu i rozmowach innych ludzi.

– Następnego dnia dostała pani wiadomość od profesora Rosena? –

pyta pan Wright.

– Tak. W sobotni rano około dziesiątej piętnaście.

Szykowałam się do pracy na zmianę podczas „weekendowego brunchu” – to był nowy pomysł Bettiny.

– Zauważyłam, że został wysłany z jego prywatnej skrzynki – ciągnę – a nie z konta w Gene-Med, którym posługiwał się dotychczas.

Pan Wright zerka na kopię wiadomości.

Do: i-phone Beatrice Hemming

Od: alfredrosen@mac.com

Właśnie wróciłem z Ameryki i odsłuchałem Pani wiadomość. Zwyczajowo nie biorę ze sobą telefonu w takie podróże. (Najbliższa rodzina zna numer do hotelu, na wypadek, gdyby musiała się ze mną pilnie skontaktować). Pani przypuszczenie, że moje badania w jakikolwiek sposób zagrażają dzieciom, jest absurdalne. Sedno tych badań stanowi właśnie to, że stosujemy bezpieczną metodę wprowadzenia do organizmu zdrowego genu. Chodzi o to, by leczyć w jak najbezpieczniejszy sposób.

Alfred Rosen, profesor, magister nauk humanistycznych Cambridge, doktor filozofii.

Do: alfredrosen@mac.com

Od: i-phone Beatrice Hemming

Czy może Pan wyjaśnić, dlaczego lekarz w szpitalu św. Anny miał na twarzy maseczkę zarówno w czasie przyjmowania porodu, jak i wstrzykiwania genu?

Do: i-phone Beatrice Hemming

Od: alfredrosen@mac.com

Najwyraźniej personel medyczny stosuje właściwe środki ostrożności w czasie przyjmowania porodu, jednak nie jest to

moja dziedzina, więc jeśli to Panią martwi, proszę zapytać kogoś z oddziału położniczego.

Jeśli chodzi o zastrzyk, ktokolwiek to był, musiał zupełnie nie rozumieć, czemu służy mój chromosom. W przeciwieństwie do wirusa, nie niesie on ryzyka zakażenia. Tego typu środki ostrożności nie są konieczne. Być może ten ktoś ma zwyczaj dbania o bezpieczeństwo? Na pogrzebie Pani siostry zobowiązałem się odpowiadać na Pani pytania, więc zainteresuję się tym. Wątpię, bym odkrył coś ciekawego.

Nie wiedziałam, czy mu ufać, czy nie. Pewne było to, że nie miałam pojęcia, dlaczego mi pomagał.



Pomysł Bettiny okazał się trafiony i przed południem w Coyote było pełno gości. Zobaczyłam przepychającego się Williama, który próbował zwrócić na siebie moją uwagę. Uśmiechnął się, dostrzegając moje zdumienie.

– Cressida, nasza starsza położna, powiedziała mi, że tu pracujesz. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

Podalam jej adres mieszkania i informację o Coyote, kiedy szukała Twojej karty ciąży.

Bettina uśmiechnęła się do mnie i zajęła się drinkami, które robiłam, żebym mogła spokojnie porozmawiać z Williamem. Byłam zaskoczona, że nie zdziwiła się bardziej na widok pięknego mężczyzny przychodzącego do mnie. Przeszłam na koniec baru. Ruszył za mną.

– Nie udało mi się ustalić, kto robił zastrzyk Tess, jak też innym kobietom. Ich dokumentacja zaginęła bez śladu. Przykro mi. Nie powinienem był proponować, że to zrobię.

Ja już wiedziałam, że mu się nie uda. Skoro nikt nie mógł powiedzieć, kto był przy Tobie, gdy rodziłaś Xaviera, co trwało zapewne kilka godzin,

to tym bardziej niemożliwe było stwierdzenie bez dokumentacji, kto zrobił Ci zastrzyk, co zajęło tylko krótką chwilę.

– Wiedziałem, że cię zawiodę – ciągnął William. – Więc popytałem trochę w klinice genetycznej. Poprosiłem kilka osób o przysługę. I mam dla ciebie to.

Podał mi plik dokumentacji medycznej, jakby wręczał mi kwiaty.

– Twoje dowody, Bee.

To była karta Mitcha.

– Michael Flanagan to partner Kasi Lewski – oznajmił William i dotarło do mnie, jak mało mu powiedziałam o swojej przyjaźni z Kasią. – Nie jest nosicielem genu odpowiedzialnego za mukowiscydozę.

Zatem Mitch poszedł zrobić badania i najwyraźniej nie powiedział Kasi, jakie były wyniki. Przypuszczam, że podobnie jak Emilio założył, iż nie jest ojcem dziecka. Wyobraziłam sobie, jaką poczuł ulgę. Mógł się wycofać i zrobić z Kasi ladacznicę, która go oszukała. Zastanawiałam się, czy naprawdę mógł w to uwierzyć.

Wnioskując z mojego milczenia i braku entuzjazmu, William pomyślał, że nie zrozumiałam.

– Oboje rodzice muszą być nosicielami genu, żeby dziecko zachorowało. Ten ojciec nie miał tego genu, zatem dziecko nie mogło być chore. Nie wiem, o co chodzi z tymi badaniami, ale coś jest wyraźnie nie tak, a ta karta jest tego dowodem.

Ponownie źle zinterpretował moje milczenie.

– Przepraszam. Powinienem był słuchać cię od początku i wspierać. Możesz to zanieść na policję, prawda? Czy ja mam to zrobić?

– To nic nie da.

Spojrzał na mnie zdumiony.

– Kasia, jego partnerka, jest osobą, którą ludzie źle oceniają na pierwszy rzut oka. Policja uzna, że się pomyliła, podając Michaela Flanagana za ojca, albo że skłamała. Tak samo było z moją siostrą.

– Nie wiesz tego na pewno.

Wiedziałam, bo sama miałam niegdyś uprzedzenia do Kasi. Byłam pewna, że inspektor Haines zobaczy w niej, jak ja kiedyś, dziewczynę, która prawdopodobnie sypiała z różnymi mężczyznami; taką, która z łatwością mogła się pomylić lub skłamać co do tożsamości ojca dziecka.

Odezwał się pager Williama – dziwny dźwięk pośród rozmów i brzęku szkła w barze.

– Przepraszam, muszę iść.

Miał zaledwie dwadzieścia minut na dotarcie do szpitala.

– Zdasz?

– Naturalnie. Mam rower.

Gdy wyszedł, zobaczyłam, że Bettina szczerzy się do mnie w uśmiechu. Też się do niej uśmiechnęłam. Choć te dowody były bezużyteczne, czułam się podniesiona na duchu. Po raz pierwszy ktoś był po mojej stronie.

Bettina odesłała mnie do domu wcześniej, jakby w ramach prezentu za ten uśmiech.

W domu zastałam Kasię klęczącą i szorującą podłogę w kuchni.

– Co ty wyrabiasz?

Spojrzała na mnie. Miała spoconą twarz.

– Powiedzieli, że to dobre dla dziecka. Ustawi się właściwie.

W Twoim mieszkaniu szybko zrobiło się jak u niej; wszystko lśniło wokół odprysniętej farby, rdzy i plam.

– Poza tym lubię sprzątać.

Opowiedziała mi o tym, jak jej mama pracowała przez wiele godzin w fabryce. Po szkole Kasia wszystko szorowała i polerowała, żeby mama wracała do lśniącego domu. To jej sprzątanie to prawdziwy dar.

Nie powiedziałam jej, że Mitch nie był nosicielem genu. Nie poinformowałam jej jeszcze o tym, że dziecko Hattie nie żyło. Poprzedniej nocy myślałam, że ją chronię, ale teraz zastanawiałam się, czy nie zawodzę jej zaufania. Nie wiedziałam, co było prawdą.

– Proszę – odezwałam się, podając jej bilety. – Mam coś dla ciebie.

Wzięła je ode mnie, trochę speszona.

– Nie było mnie stać na samolot do Polski, więc to są tylko bilety na autobus. Wyjazd sześć tygodni po wyznaczonym terminie porodu. Dla mnie i dla ciebie, dziecko pojedzie za darmo.

Myślałam, że powinna zabrać córeczkę do Polski, żeby zobaczyli ją dziadkowie, wujostwo, ciotki i kuzyni. Kasia ma mnóstwo krewnych, którzy mogą ją wspierać. Nasi rodzice byli jedynakami, więc my nie miałyśmy takich relacji. Nasza rodzina była mała, zanim się urodziłyśmy.

Kasia wpatrywała się w bilety i była dziwnie milcząca.

– Mam też pończochy przeciwżylakowe, bo moja koleżanka, która jest lekarką, powiedziała, że trzeba uważać, żebyś nie dostała zakrzepicy – ostatnie słowo znalazłam wcześniej w słowniku i przetłumaczyłam je dla niej. Nie byłam w stanie rozszyfrować jej wyrazu twarzy i martwiłam się, że się narzucam. – Nie muszę mieszkać z twoją rodziną, uważam jednak, że nie powinnaś wybierać się w tak daleką podróż sama z dzieckiem.

Ucałowała mnie. Dotarło do mnie, że pomimo tych wszystkich zdarzeń, widziałam ją płaczącą po raz pierwszy.



Powiedziałam panu Wrightowi o karcie Mitcha.

– Pomyślałam, że to jest kolejny powód, że wybierano samotne dziewczyny. Były mniej wiarygodne.

W ciepłe słońca poczułam się raczej bardziej senna, a nie ożywiona. Z trudem mówię spójnie.

– Dałam Kasi bilety do Polski, a ona się rozplakała.

Mój umysł jest zbyt rozkojarzony, żebym mówiła tylko o rzeczach istotnych.

– Pojęłam, jaka była dzielna do tej pory. Wydawała mi się naiwna

i niedojrzała, a tak naprawdę była odważna. Powinnam była się zorientować wtedy, gdy wstawiła się za mną, choć wiedziała, że Mitch ją za to pobije.

Siniaki na twarzy i opuchnięte ramiona były wyraźnym znakiem jej odwagi. Podobnie jak uśmiech i taniec w obliczu wszystkich trudności, jakie napotykała. Tak jak Ty, posiadała umiejętność radowania się drobiazgami. W każdym dniu szuka w życiu okruchów złota i znajduje je.

Co z tego, że zupełnie jak Ty, gubi różne rzeczy? Nie jest to dowodem jej niedojrzałości, tak jak moje umiłowanie porządku nie jest dowodem mojej dorosłości. Wyobraź sobie, że można się uczyć nowego języka i przyswajać tylko te słowa, które opisują cudowność świata, unikając poznania tych, które opisują rzeczy ponure, i w ten sposób kształtować swoją rzeczywistość. Nie sędzę, by było to naiwnością. Raczej przejawem fantastycznego optymizmu.

Wiedziałam, że muszę jej powiedzieć, co się dzieje. Jakie miałam prawo myśleć, że po tym, co się z Tobą stało, mogłam opiekować się drugą osobą?

– Chciałam jej powiedzieć, ale ona wisiała już na telefonie komórkowymi i obdzwaniała pół Polski, żeby zapowiedzieć swój przyjazd z dzieckiem. Wtedy odebrałam kolejną wiadomość od profesora Rosena. Prosił mnie o spotkanie. Kasia nadal gawędziła z rodziną, gdy wyszłam z mieszkania.



Spotkałam się z profesorem Rosenem, zgodnie z jego sugestią, przed wejściem do budynku Gene-Med, który tętnił życiem, mimo że była sobota. Spodziewałam się, że zaprowadzi mnie do swojego gabinetu. Zamiast tego poszliśmy do samochodu. Wsiedliśmy do niego i profesor zamknął drzwi. Protestujący nadal tu byli – w pewnej odległości – ale nie słyszałam ich skandowania.



Profesor Rosen starał się mówić spokojnie, ale nie zdołał opanować drżenia głosu.

– W ramach programu poświęconego mukowiscydozie w szpitalu św. Anny jako nośnika genu użyto aktywnego wirusa.

– Co to znaczy? – spytałam.

– Albo ktoś coś potwornie spieprzył... – rzekł, a ja pomyślałam sobie, że on nigdy nie używał takich słów; to był chyba największy wulgaryzm, na jaki sobie pozwolił – ...albo w tym szpitalu testuje się inny gen, taki, który potrzebuje jako nośnika aktywnego wirusa, a moje badania były tylko przykrywką.

– Ktoś je niecznie sfalszował?

– Może, jeśli woli pani bardziej dramatyczne określenia.

Próbował pomniejszyć trochę to, co się działo, ale nie potrafił w pełni tego zignorować.

– Dlaczego? – spytałam.

– Domyślam się, że jeśli przeprowadza się jakieś nielegalne badania, to dotyczą one genetycznego ulepszania, które w przypadku ludzi jest w Zjednoczonym Królestwie zakazane.

– Jakiego ulepszania?

– Nie wiem. Może chodzić o błękitne oczy, wysoki iloraz inteligencji, duże mięśnie. Lista absurdów nie ma końca. Jakikolwiek to jest gen, wymaga użycia aktywnego wirusa.

Mówił naukowym językiem faktów, ale za tymi słowami widać było wyraźnie emocje. Był siny z wściekłości.

– Czy wie pan, kto robi zastrzyki w ramach programu w szpitalu św. Anny? – zapytałam.

– Nie mam dostępu do tego typu informacji. W Gene-Med trzymają nas wszystkich w oddzielnych przegródkach. Nie jak na uniwersytecie, gdzie wymieniamy się pomysłami i informacjami. Nie znam więc nazwiska lekarza. Ale gdybym był nią lub nim, poddawałbym leczeniu mukowiscydozy płody, które rzeczywiście były chore, testując

równocześnie nielegalny gen. Może jednak ten ktoś był nieostrożny albo nie było wystarczająco wielu pacjentów – przerwał i zobaczyłam, że kipi gniewem i urazą. – Ktoś próbuje ulepszać już doskonałe dzieci. Przecież zdrowy to idealny. Zdrowy to już idealny!

Dostrzegłam, że się trząsł. Zastanawiałam się, czy odkryłaś oszustwo i tożsamość oszusta. Czy dlatego zostałaś zamordowana?

– Musi pan to powiedzieć policji.

Pokręcił przecząco głową, nie patrząc mi w oczy.

– To są tylko przypuszczenia.

– Moja siostra i jej dziecko nie żyją.

Patrzył przez przednią szybę, jakby prowadził samochód, a nie chował się w nim.

– Najpierw muszę zdobyć dowód, że to są nieuczciwe badania. Gdy już go będę miał, uratuję swoje badania poświęcone mukowiscydozie. W przeciwnym razie we wszystkich szpitalach moje próby zostaną zablokowane do czasu określenia, co się dzieje. To może potrwać miesiące, albo nawet lata. Być może nigdy się do nich nie wróci.

– Przecież to nie powinno mieć żadnego wpływu na badania poświęcone mukowiscydozie. Z pewnością...

– Jeśli prasa się do tego dorwie – przerwał mi – to, dzięki subtelności i inteligencji dziennikarzy, odpowiedzialnością za śmierć dzieci i Bóg wie co jeszcze nie zostaną obarczone sfałszowane badania, tylko mój program leczenia mukowiscydozy.

– Nie wierzę, żeby tak miało być.

– Naprawdę? Większość ludzi jest tak słabo poinformowana i wykształcona, że nie widzi różnicy między ulepszaniem genetycznym a terapią genetyczną.

– To absurdalne...

Znowu mi przerwał.

– Bandy imbecyli prześladowały pediatrów, a nawet ich atakowały. Byli przekonani, że pediatra to to samo co pedofil. Zatem tak, mój

program leczenia mukowiscydozy zostanie oczerniony, ponieważ ludzie nie rozumieją różnicy.

– Dlaczego więc zajął się pan tą sprawą, skoro nie zamierza pan nic z tym zrobić?

– Zająłem się nią, bo powiedziałem pani, że odpowiem na pani pytania. – Spojrzał na mnie; twarz gorzała mu gniewem; był na mnie wściekły, że postawiłam go w takiej sytuacji. – Sądziłem, że niczego nie odkryję.

– Więc na policję będę musiała pójść bez pańskiego wsparcia?

Wydawało się, że odczuwał wielki fizyczny dyskomfort. Starał się wygładzić zaprasowane kanty na nogawkach spodni, które nie chciały leżeć płasko.

– Nośnik w postaci wirusa mógł zostać zamówiony omyłkowo; zdarzają się komputerowe usterki. Błędy administracyjne też pojawiają się niepokojąco często.

– To jest to, co powie pan policji?

– To najbardziej wiarygodne wyjaśnienie. Tak, to jest to, co im powiem.

– Nie uwierzą.

Wisiało między nami ciężkie milczenie. Przerwałam ciszę:

– O co tak naprawdę chodzi? O leczenie dzieci czy pańską reputację?

Otworzył drzwi, po czym odwrócił się do mnie.

– Gdyby pani brat był teraz jeszcze nienarodzonym dzieckiem, co kazałaby mi pani zrobić?

Zawahałam się, ale tylko na moment.

– Chciałabym, żeby poszedł pan na policję, powiedział prawdę, a potem dał z siebie wszystko, by ratować własne badania.

Wysiadł z samochodu. Nie zaczekał na mnie, nie zamknął auta.

Kobieta ze sterczącymi włosami rozpoznała go i wrzasnęła:

– Zostawcie Bogu zabawę w Boga!

– Gdyby Bóg wykonał zadanie jak należy, nie musielibyśmy się

w niego bawić – warknął.

Kobieta splunęła w jego stronę. Mężczyzna z siwym kucykiem krzyknął:

– Mówimy „nie” ulepszonym dzieciom!

Profesor przepchnął się między nimi i wszedł do budynku.

Nie uważałam, że profesor Rosen był zły. Był słabym egoistą. Po prostu nie mógł znieść myśli o rezygnacji ze swojego nowego statusu. Miał jednak mentalne alibi dla swojego braku działania – leczenie mukowiscydozy jest bardzo ważne. Obie o tym wiemy.

Doszłam do stacji metra i dopiero wtedy dotarło do mnie, że profesor Rosen podał mi kluczową informację. Gdy zapytałam go o to, kto robił zastrzyki w szpitalu św. Anny, powiedział, że nie wie, bo nie ma dostępu do tych danych. Mówił jednak, że na miejscu tej osoby poddawałby leczeniu mukowiscydozy płody, które rzeczywiście były chore, a równocześnie testowałby nielegalny gen. Innymi słowy, osoba robiąca zastrzyki to człowiek odpowiedzialny za przebieg programu leczenia mukowiscydozy w szpitalu św. Anny. Zatem to ta osoba decydowała o doborze osób uczestniczących w badaniach. A zdobycie informacji, kto jest szefem programu w szpitalu św. Anny było o niebo łatwiejsze od poznania tożsamości osoby, która zrobiła jeden zastrzyk.



Jest ślicznie. Niebo ma odcień błękitu porcelany Wedgwood. Kiedy pracownicy biurowi wracają do pracy, przypomina mi się, jak w szkole św. Marii miałyśmy lekcje na dworze, gdy było gorąco, i zarówno dzieci, jak i nauczyciele udawali, że są zajęci książkami, podczas gdy chłonęli lato. Na chwilę zapominam, jak mi jest zimno.

– Sądzi pani, że profesor Rosen powiedział to pani celowo? – pyta pan Wright.

– Tak. Jest zbyt mądry i pedantyczny, by być tak nieostrożnym.

Ratował własne sumienie, zatajając tę informację, to ja musiałam do niej dotrzeć. A może jego lepsze ja wzięło górę, gdy to mówił. W każdym razie musiałam się dowiedzieć, kto nadzorował program badań w szpitalu św. Anny.

Nogi mi zdrętwiały, nie wiedziałam, czy uda mi się na nich stanąć.

– Zadzwoiłam do Williama. Powiedział, że dowie się, kto nadzorował program i odezwie się do mnie przed końcem dnia. Potem zadzwoniłam do Kasi na jej numer komórkowy, ale był zajęty. Pewnie nadal rozmawiała z rodziną. Kredyt na karcie już się jej skończył i teraz oni dzwonili do niej. Wiedziałam, że ma się spotkać z jakimiś polskimi znajomymi z kościoła, więc uznałam, że powiem jej o wszystkim, gdy wróci. Gdy już będziemy wiedzieli, kto za tym stoi, będzie bezpieczna.



Udałam się na spotkanie z mamą w Petersham Nursery, gdzie wybierałyśmy roślinę do Twojego ogródka. Cieszyłam się z tego, bo musiałam coś robić, zamiast chodzić w tę i z powrotem w oczekiwaniu na telefon od Williama.

Kasia znowu mnie namawiała do złożenia kwiatów przed szaletem. Twierdziła, że w ten sposób zostawię swój „odcisk palca” miłości na czymś złym. (Określenie „odcisk palca” wydało mi się nawet urocze). Ale niech to robią inni, nie ja. Ja musiałam poznać zło i skonfrontować się z nim osobiście, a nie za pośrednictwem kwiatów.

To był pierwszy suchy i ciepły wczesnowiosenny dzień po wielu tygodniach zimna i wilgoci. Kamelie, pierwiosnki i tulipany w szkółce wybuchały kolorami. Ucałowałam mamę, a ona mocno mnie przytuliła. Gdy przechodziłyśmy przez stare szklarnie, czułam się, jakbyśmy cofnęły się w czasie do okresu dostojnych ogrodów przed domami. Mama sprawdzała odporność roślin na mróz i to, czy powtarzały kwitnienie, ja zaś myślałam o jednym: po dwóch miesiącach poszukiwań do końca tego

dnia powinnam się dowiedzieć, kto Cię zamordował.

Po raz pierwszy od mojego przyjazdu do Londynu zrobiło mi się za ciepło i zdjęłam ciepły drogi płaszcz, ukazując strój, który miałam pod spodem.

– Te ubrania są okropne, Beatrice.

– Należały do Tess.

– Tak myślałam. Nie masz już pieniędzy?

– Raczej nie. To znaczy, jakieś mam, ale na razie są zamrożone do chwili sprzedania mieszkania.

Muszę się przyznać, że nosiłam Twoje ubrania już od jakiegoś czasu. Moje stroje z Nowego Jorku wydawały się komiczne poza ramami tamtego stylu życia, poza tym odkryłam, że w Twoich jest o wiele wygodniej. Powinnam czuć się dziwnie w ciuchach zmarłej siostry, ale potrafiłam wyobrazić sobie jedynie Twoje rozbawienie na mój widok w Twoich rzeczach; mnie, która zawsze miała najmodniejsze markowe stroje i oddawała je do pralni chemicznej po każdym włożeniu.

– Wiesz już, co się stało? – spytała mama; zrobiła to po raz pierwszy.

– Nie. Ale się dowiem. Niebawem.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała płatki kwitnącego wczesną wiosną klematisu.

– Spodobałby się jej.

Nagle głos uwiązał jej w gardle i jej ciało przeszył paroksyzm smutku, który wydawał się nie do zniesienia. Objęłam ją, ale była niedostępna. Przez chwilę ją trzymałam. Potem odwróciła się do mnie.

– Pewnie tak bardzo się bała. A mnie przy niej nie było.

– Była dorosła. Nie mogłaś być przy niej przez cały czas.

Jej łzy były wypłakany krzykiem.

– Powinnam być przy niej.

Przypomniał mi się mój dziecięcy strach i szelest jej szlafroka w ciemności oraz zapach kremu do twarzy, a także to, jak ten dźwięk i zapach pokonywały wszelki lęk. Żałowałam, że nie było jej przy Tobie.

Objęłam ją mocno i starałam się mówić przekonująco.

– Z niczego nie zdawała sobie sprawy, daję ci słowo. Dodał do jej drinka środek nasenny i usnęła. Nie bała się. Umarła spokojnie.

Wreszcie, podobnie jak Ty, nauczyłam się stawiać miłość przed prawdą.

Chodziłyśmy dalej po szklarniach i przyglądałyśmy się roślinom. Mama wydawała się trochę spokojniejsza.

– Zatem niebawem wyjedziesz. Gdy tylko się dowiesz.

Poczułam się urażona tym, że mogła pomyśleć, iż znowu ją zostawię po tym wszystkim.

– Nie. Zostanę tu na dobre. Amias powiedział, że mogę zostać w tym mieszkaniu, zdaje się, że za darmo.

Nie była to czysto altruistyczna decyzja. Postanowiłam studiować architekturę. Chcę to robić, gdy ta sprawa dobiegnie końca. Nie jestem pewna, czy mnie przyjmą, ani jak to sfinansuję i jak równocześnie będę się opiekowała Kasią i jej dzieckiem, ale chcę spróbować. Wiedziałam, że mój ścisły umysł, obsesyjny na punkcie szczegółów, poradzi sobie z zagadnieniami konstrukcyjnymi. Poszukam też w sobie jakichś twórczych uzdolnień. Kto wie? Może leżą gdzieś uśpione, są nieodczytanym kodem talentu artystycznego owiniętego szczelnie chromosomem i czekającego na sprzyjające warunki, by się obudzić.

Odezwał się mój telefon. To był SMS od Williama. Chciał się ze mną pilnie spotkać. Wysłałam mu adres mieszkania. Zrobiło mi się niedobrze z emocji.

– Musisz iść? – zapytała mama.

– Za chwilę. Przepraszam.

Pogładziła mnie po głowie.

– Jeszcze nie obcięłaś włosów.

– Wiem.

Uśmiechnęła się do mnie, nadal gładząc moje włosy.

– Jesteś do niej taka podobna.

## ROZDZIAŁ 22

Gdy dotarłam do domu, William już czekał. Spojrzał na mnie. Był blady, a miejsce otwartości na jego twarzy zajął lęk.

– Dowiedziałem się, kto kieruje programem badań poświęconych mukowiscydozie w szpitalu św. Anny. Czy mogę wejść? Chyba nie powinniśmy...

Jego zazwyczaj opanowany głos drżał; wyczuwałam pośpiech.

Odezwał się po dłuższej chwili.

– To Hugo Nichols.

Zanim zdążyłam o cokolwiek zapytać, dodał zduszonym głosem:

– Nie rozumiem. Po co on poddawał zdrowe dzieci terapii? Co on, do cholery, robił? Nie pojmuję tego.

– Badania w szpitalu św. Anny zostały sfalszowane – odparłam. – Testowano tam inny gen.

– Mój Boże. Jak się o tym dowiedziałaś?

– Od profesora Rosena.

– Pójdzie z tym na policję?

– Nie.

Milczał przez chwilę.

– Więc spadnie to na mnie. Będę musiał powiedzieć o Hugonie. Miałem nadzieję, że zrobi to kto inny.

– To nic przyjemnego.

– Niestety.

Nadal nie mogłam tego pojąć.



- Dlaczego psychiatra kierował programem badań genetycznych?
- Był naukowcem w Imperial College, zanim został lekarzem w szpitalu. Czyba ci o tym mówiłem?

Przytaknęłam.

- Badania miały związek z genetyką – ciągnął William.
- O tym nie wspominałeś.
- Bo nigdy nie sądziłem, mój Boże, że to się jakoś łączy.
- To było nieładne z mojej strony, przepraszam.

Przypomniało mi się, że William mówił, iż doktor Nichols był błyskotliwy i „stworzony do czegoś wielkiego”, ale bardzo w to wątpiłam. Uważałam raczej, że jest nieudacznikiem. Wspominając swoje poglądy na temat doktora Nicholasa, uświadomiłam sobie, że wykluczyłam go z grona podejrzanych nie tylko dlatego, że nie wydawał mi się zdolny do przemocy i nie miał motywu, ale z uwagi na to, iż wierzyłam głęboko w jego fundamentalną przyzwoitość.

William usiadł. Miał spięty wyraz twarzy i uderzał palcami o oparcie kanapy.

– Rozmawiałem z nim kiedyś o jego badaniach, przed wielu laty. Opowiedział mi o genie, który odkrył i o tym, że kupiła go od niego jakaś firma.

– Czy wiesz jaka?

– Nie jestem nawet pewien, czy podał nazwę. To było dawno temu. Pamiętam jednak co nieco z tego, co mówił, bo mówił to z pasją, zupełnie inaczej niż zazwyczaj. – Wstał i zaczął chodzić nerwowo po pokoju. – Powiedział, że ambicją jego życia, nie, celem jego życia jest wprowadzenie tego genu do ludzkiego organizmu. Twierdził, że chciał wnieść swój wkład w przyszłość.

– Wnieść wkład w przyszłość? – powtórzyłam ze wstrętem, bo pomyślałam o tym, jak zabrał przeszłość Tobie.

William myślał, że nie zrozumiałam.

– To znaczy, chciał wprowadzić ten gen do komórek germinalnych, aby

mógł być przekazywany kolejnym pokoleniom. Pragnął „poprawić to, czym jest człowiek”. Choć testy na zwierzętach przynosiły dobre rezultaty, nie dostał pozwolenia na badania na ludziach. Mówił, że to było ulepszanie genetyczne, które jest nielegalne w przypadku ludzi.

– Co to za gen?

– Podobno podnosi iloraz inteligencji.

Dodał, że mu nie wierzył, bo wydawało mu się to tak niezwykłym i zdumiewającym osiągnięciem. Poza tym był młody i coś tam jeszcze, ale nie słuchałam. Zamiast tego przypomniałam sobie swoją wizytę w Gene-Med. I to, że przy pomiarach ilorazu inteligencji wykorzystywano strach.

– Uznałem, że większość z tego sobie wymyślił – ciągnął William. – Albo przynajmniej cholernie ubarwił. Skoro jego badanie było takie cudowne, to po diabła porzucił je dla monotonnej pracy w szpitalu? Objął tę posadę celowo, bo przez cały czas czekał na okazję przetestowania tego genu na ludziach.

Wyszłam do ogródka, jakbym potrzebowała więcej przestrzeni, by przyswoić ogrom tych faktów. Nie chciałam być z nimi sama i ucieszyłam się, gdy William do mnie dołączył.

– Najwyraźniej zniszczył dokumentację medyczną Tess – powiedział William. – Po czym sfabrykował przyczynę śmierci dzieci, aby nie można było powiązać ich zgonów z badaniami. I uchodziło mu to na sucho. Jezu! Opowiadam o tym tak, jakbym grał w jakiejś telenoweli. Przecież mówię o Hugonie. Na Boga! O człowieku, o którym myślałem, że go znam. Którego lubię.

Posługiwałam się tym dziwnym językiem od chwili, gdy znaleziono Twoje ciało. Rozumiałam to olśnienie, że wcześniejsze słownictwo nie pozwala opisać tego, co dzieje się teraz.

Spojrzałam na skrawek ziemi, na którym postanowiłyśmy z mamą zasadzić kwitnący na początku wiosny klematis.

– Musiał w tym uczestniczyć ktoś jeszcze – odezwałam się. – Przecież

nie mógł być przy Tess, gdy rodziła dziecko.

– Wszyscy lekarze odbywają półroczny staż na położnictwie. Hugo wiedział, jak przyjąć poród.

– Ktoś by to zauważył. Psychiatra przyjmujący poród...

– Na oddziale kręci się mnóstwo ludzi i mamy braki w personelu. Jeśli widzi się na sali biały kitel, człowiek czuje wdzięczność i zajmuje się kolejnym przypadkiem. Wielu lekarzy jest na zastępstwie, a sześćdziesiąt procent położnych wynajmujemy z agencji, więc nikt nikogo nie zna. – Odwrócił się do mnie; na jego twarzy malował się lęk. – A on miał na twarzy maseczkę, Bee. Pamiętasz?

– Ale na pewno ktoś...

Wziął mnie za rękę.

– Wszyscy jesteśmy tacy zapracowani. I ufamy sobie nawzajem, bo jesteśmy wyczerpani i zabiegani. Mamy dość naiwności, by myśleć, że nasi koledzy są obok nas z tego samego powodu co my; chcą leczyć ludzi i pomagać im dochodzić do zdrowia.

Jego ciało było spięte. Trzymał mnie mocno za rękę.

– Mnie też oszukał. Myślałem, że był moim przyjacielem.



Mimo słonecznego ciepła i wełnianego koca, trzęsę się.

– Pojęłam, że znajdował się w doskonałej pozycji – mówię. – Czy ktoś może lepiej doprowadzić drugiego człowieka do obłądu, niż psychiatra? Zmusić do popełnienia samobójstwa? A ja przecież tylko od niego słyszałam, co się działo w czasie sesji.

– Myśli pani, że próbował nakłonić Tess do odebrania sobie życia?

– Tak. A gdy tego nie zrobiła, choć była wręcz sadystycznie torturowana psychicznie, zamordował ją.

Nic dziwnego, że tak niewzruszenie trwał przy diagnozie psychozy popołogowej – utrata twarzy to mała cena za morderstwo.

Pan Wright zerka na notatkę, którą, jak pamiętałam, zrobił wcześniej.

– Powiedziała pani, że doktor Nichols nie należał do osób, które podejrzewała pani o odtwarzanie kołysanki.

– Jak mówiłam, nie sądziłam, że miał motyw. – Milknę na chwilę. – Wydawało mi się też, że był beznadziejnym lekarzem, ale porządnym człowiekiem, który popełnił straszną pomyłkę.

Nadal się trzęsę i pan Wright zdejmuje marynarkę, którą narzuca mi na ramiona.

– Pomyślałam, że Tess musiała się dowiedzieć o nim i o fałszowaniu badań. Dlatego ją zamordował. Wszystko układało się w całość.

„Wszystko układało się w całość” – to brzmi tak zgrabnie, jak przy wstawianiu brakującego elementu układanki. Zupełnie nie pasuje do metalicznych dźwięków uderzeń i widoku krwi spływającej na podłogę.



Staliśmy w milczeniu w Twoim ogródku; dostrzegłam, że zielone pędy urosły o kilka centymetrów i pojawiły się nowe pączki; wszystko żyło i rosło; w ściśniętych pączkach tkwiły letnie kwiaty.

– Lepiej zadzwońmy na policję – odezwał się William. – Ja mam to zrobić, czy ty?

– Jesteś bardziej wiarygodny. Nie podnosiłeś fałszywego alarmu i nie wpadałeś w panikę.

– Dobrze. Jak się nazywa policjant?

– Inspektor Haines. Jeśli go nie zastaniesz, poproś sierżanta Finborougha.

Sięgnął po komórkę.

– Będzie mi cholernie trudno.

Wybrał numer, który mu podałam i poprosił o połączenie z inspektorem Hainesem.

Gdy William z nim rozmawiał i przekazywał to, co powiedział mnie, ogarnęło mnie pragnienie, żeby nawrzeszczyć na doktora Nicholisa. Chciałam go bić, raz za razem, chciałam zabić i te odczucia były dziwnie

wyzwalające. Wreszcie moja wściekłość miała cel i czułam wielką ulgę. Mogłam wyrzucić odbezpieczony granat, który trzymałam tak długo i który był dla mnie zagrożeniem; uwolniłam się od jego ciężaru i presji.

William się rozłączył.

– Mamy przyjść na komisariat, ale proszę, żebyśmy mu dali godzinę na zebranie wierchuszki.

– To znaczy, poprosił ciebie, żebyś poszedł.

– Przykro mi, Bee, ale przyszedłem w ostatniej chwili, zupełnie jak Amerykanie w czasie drugiej wojny światowej.

– Jeśli mamy być szczerzy, przyznajmy, że dzięki nim wygraliśmy.

– Uważam, że powinniśmy iść oboje. I cieszę się, że mamy trochę czasu dla siebie.

Wyciągnął rękę i odgarnął mi pasemko włosów z oczu.

Pocałował mnie.

Zawahałam się. Czy mogłam oderwać się od tej moralnej liny, na której mnie ustawiłaś?

Odwróciłam się i weszłam do mieszkania.

Przyszedł za mną. Odwzajemniłam pocałunek. Chwytałam chwilę tak mocno, jak tylko umiałam i cieszyłam się nią dogłębnie, bo kto wie, kiedy zostanie mi to zabrane? Twoja śmierć nauczyła mnie, że teraźniejszość jest zbyt cenna, by ją marnować. Wreszcie zrozumiałam, na czym polegał sakrament chwili obecnej. To wszystko, co mamy.

Rozebrał mnie, a ja zrzuciłam swoje dawne ja. Odsłoniłam się. Na jego szyi nie wisiała już obrączka ślubna. Gdy moja chłodna skóra poczuła jego ciepło, puściłam liny asekuracyjne.



Pan Wright wyciąga z torby butelkę wina i dwa plastikowe kubeczki, które wziął z dystrybutora wody stojącego w budynku prokuratury. Myślę o tym, jak bardzo mi się podoba ta jego troskliwość i zorganizowanie. Nalewa mi wino, wypijam je duszkiem, co chyba nie

jest zbyt rozropne. Nie komentuje tego, podobnie jak nie skomentował mojego seksu z Williamem. Lubię w nim to, że nie jest krytyczny.



Leżeliśmy razem w Twoim łóżku; niskie promienie wczesnowiosennego słońca wpadały do środka przez piwniczne okienko. Oparłam się o niego, piłam herbatę, którą dla mnie zaparzył, starałam się robić to jak najdłużej, czuć ciepło jego skóry; wiedziałam, że będziemy musieli wstać i wkroczyć z powrotem do realnego świata. Pomyślałam o Johnie Donnie łajającym głupie słońce za to, że zmusiło go do opuszczenia kochanki. Zdziwiłam się, że jego poezja miała odniesienie do mnie.



Wino zdołało mnie na chwilę ożywić. Czuję, jak rozgrzewa ciało.

– William poszedł do łazienki i zajrzał do szafki. Znalazł tam flakonik z tabletkami. Była na nim szpitalna etykieta. To było PCP. Ta substancja była tam przez cały czas. Powiedział, że wiele lekarstw jest nielegalnych, ale lekarze mogą je przepisywać w ramach terapii.

– Czy na etykiecie widniało nazwisko lekarza?

– Nie, ale William powiedział, że policja z łatwością powiąże je z doktorem Nicholsem na podstawie raportu szpitalnej apteki. Zrobiło mi się głupio. Myślałam, że nielegalny narkotyk powinien być ukryty. A stał tam przez cały czas.

Przepraszam, zaczynam się powtarzać. Zdekoncentrowałam się.

– Co było potem? – pyta pan Wright.

Prawie dotarliśmy do końca. Zbieram więc resztki mentalnej energii i mówię

– Wyszliśmy razem z mieszkania. William zostawił rower przypięty do barierki po drugiej stronie ulicy. Rower ukradziono. Złodzieje zostawili łańcuch. Wziął go ze sobą i zażartował, że przy okazji zgłosimy kradzież

jego pojazdu.



Postanowiliśmy iść na komisariat przez Hyde Park, zamiast ulicą. Przy bramie parku stał stragan z kwiatami. William zaproponował, żebyśmy położyli kwiaty w miejscu, w którym umarłaś, więc poszliśmy coś kupić.

Gdy rozmawiał ze sprzedawczynią, wysłałam do Kasi dwa słowa: „Odcisk palca”. Zrozumie, że wreszcie zostawiałam swój odcisk palca miłości.

William odwrócił się do mnie. Trzymał dwa pęki żonkili.

– Powiedziałaś mi, że to ulubione kwiaty Tess. Bo zółc w nich zawarta ratuje dzieciom wzrok.

Zrobiło mi się miło i byłam zaskoczona, że pamiętał.

Objął mnie ramieniem i weszliśmy razem do parku. Wydawało mi się, że słyszę, jak się ze mną droczysz i przyznałam Ci, że jestem straszną hipokrytką. Ale ja wiedziałam, że ten romans nie będzie trwały i że on nie rozstanie się z żoną. Wiedziałam również, iż nie załamie się z tego powodu. Nie byłam z siebie dumna, ale czułam się wyzwolona od bycia osobą, którą już nie byłam i którą nie chciałam być. Kiedy tak razem szliśmy, czułam kielkującą we mnie nadzieję i postanowiłam, że pozwolę jej urosnąć. Teraz, gdy już wiedziałam, co się z Tobą stało, mogłam zdobyć się na wyobrażenie sobie przyszłości bez Ciebie. Pamiętam, jak byłam tu prawie dwa miesiące wcześniej, siedziałam w śniegu i opłakiwałam Cię pomiędzy martwymi, bezlistnymi drzewami. Teraz ludzie grali tu w piłkę, słyszać było śmiech, odgłosy pikników, jaśniała świeża zieleń. Miejsce było to samo, ale krajobraz zmienił się całkowicie.

Doszliśmy do szaletu. Zdjęłam celofan z żonkili, bo chciałam, żeby wyglądały, jakbym zerwała je w ogródku. Gdy kładłam je przed drzwiami, wspomnienie – a raczej jego brak – dotarło do mnie zupełnie nieproszone.

– Nigdy ci nie mówiłam, że lubiła żonkile. Nie mówiłam też dlaczego.

– Ależ oczywiście, że mówiłaś. Dlatego je wybrałem.

– Nie. Rozmawiałam o tym z Amiasem. I z mamą. Nie z tobą.

Jeśli już o to chodzi, to w ogóle mało mu powiedziałam o Tobie.

– Musiała ci o nich powiedzieć Tess.

Trzymając w ręku swój bukiet żonkili, zbliżył się do mnie.

– Bee...

– Przestań mnie tak nazywać.

Cofnęłam się przed nim.

Podszedł bliżej, po czym wepchnął mnie do środka.



– Zamknął za nami drzwi i przyłożył mi nóż do gardła.

Milknę. Trzęsę się z powodu przyływu adrenaliny. Tak. Udawał, że dzwonił do inspektora Hainesa. Pewnie zaczerpnął pomysł z jakiejś opery mydlanej. Ciągłe je puszczają na oddziałach – pamiętam z czasów Leo. Może był to akt desperacji. A może ja byłam zbyt zdekoncentrowana, by to zauważyć. Pan Wright jest na tyle uprzejmy, że nie wytyka mi mojej absurdalnej łatwowierności.

Nastolatki przestały grać w softball i przerzuciły się na wrzaskliwą muzykę. Miejsce pracowników biurowych na trawnikach zajęły matki z dziećmi w wieku przedszkolnym; ich nieukształtowane jeszcze głosiki przechodzą szybko od pisków radości do łkania i z powrotem. Chciałabym, żeby dzieci krzyczały głośniejsze, żeby śmiechy były donośniejsze, żeby muzykę nastawiono na cały regulator. Chciałabym, żeby w parku było tak tłoczno, że nie byłoby gdzie usiąść. I chciałabym, żeby słońce świeciło oślepiająco.



Zamknął drzwi i zabezpieczył je łańcuchem. Nigdy nie było żadnego roweru, prawda? Światło sączyło się do środka przez zapaćkane,



popękane szyby, przez co też wydawało się brudne, przytłumione, jak w sennym koszmarze. Mokre cegły tłumiły dźwięki dobiegające z zewnątrz – śmiech dzieci i ich płacz, muzykę z odtwarzacza CD. Tak, to niebywałe, jak bardzo ów dzień przypominał ten dzisiejszy, który spędzam z panem Wrightem, ale może dźwięki w parku codziennie są takie same? Również wtedy, przebywając w zimnym, okrutnym pomieszczeniu, chciałam, by dzieci były głośniejsze, śmiech bardziej donośny i muzyka nastawiona na pełen regulator. Może dlatego, że gdybym ja je słyszała, to i one miałyby szansę usłyszeć mój krzyk. To nie było tak, bo wiedziałam, że gdybym krzyknęła, uciszyłyby mnie za pomocą noża. Po prostu chciałam słyszeć życie w chwili swojej śmierci.

– Zabiłeś ją, prawda? – spytałam.

Gdybym była rozsądna, może pozwoliłabym mu na jakąś wymówkę, żelganie, że wepchnął mnie tutaj, by uprawiać ze mną dziwny, sadystyczny seks. Skoro go oskarżyłam, nigdy mnie stąd nie wypuści. Ale i tak nie zamierzał. Nie miało znaczenia, co powiem lub zrobię. Przez głowę przebiegały mi dzikie myśli o tym, że należy się zaprzyjaźnić ze swoim porywaczem (Skąd, do diabła pochodziła ta cenna informacja? I dlaczego ktokolwiek uważał, że ogół społeczeństwa powinien wiedzieć takie rzeczy?). O dziwo, ja to wiedziałam, ale nie mogłam się z nim zaprzyjaźnić, ponieważ był moim kochankiem i tego nie dało się cofnąć.

– Nie jestem odpowiedzialny za śmierć Tess.

Przez moment pomyślałam, że naprawdę tak jest; że źle go oceniłam; że wszystko potoczy się tak, jak myślałam, czyli pójdziemy na policję i doktor Nichols zostanie aresztowany. Lecz nie można się tak oszukiwać, gdy po drugiej stronie widzi się nóż i łańcuch.

– Nie chciałem, żeby to się stało. Nie planowałem tego. Jestem lekarzem, na Boga! Nie miałem nikogo zabijać. Czy masz pojęcie, jak to jest? To piekło za życia.

– Skończ z tym. Proszę.

Milczał. Strach sprawił, że ciało pokryła mi gęsia skórka, setki tysięcy podniesionych włosków oferowały mi bezużyteczną ochronę.

– Byłeś jej lekarzem?

Musiałam z nim rozmawiać. Nie dlatego, że myślałam, iż ktoś spieszył mi na ratunek, ale każda chwila życia, nawet w tym budynku i z tym człowiekiem, była cenna. No i musiałam się dowiedzieć.

– Tak. Prowadziłem jej ciążę.

Nigdy nie wspominałaś, jak się nazywa. Mówiłaś o nim „doktor”, a ja nie zapytałam, zbyt zajęta równoczesnym załatwianiem innych spraw w czasie naszej rozmowy.

– Dogadywaliśmy się ze sobą. Lubiliśmy się. Zawsze byłem dla niej miły.

– Odbierałeś Xaviera?

– Tak.

Pomyślałam o człowieku w masce z Twoich koszmarnych obrazów, groźbie czającej się w cieniu.

– Poczowała ulgę, gdy mnie zobaczyła w parku tego dnia – ciągnął William. – Uśmiechnęła się do mnie. Ja...

– Przecież się ciebie bała – przerwałam mu.

– Bała się człowieka, który odebrał poród, nie mnie.

– Musiała przecież wiedzieć, że to byłeś ty. Mimo że miałeś na twarzy maseczkę. Musiała rozpoznać przynajmniej twój głos. Jeśli prowadziłeś ją przez całą ciążę, na pewno...

Milczał. Nie sądziłam, że może mnie jeszcze bardziej przerazić.

– Nie odzywałeś się do niej. Ani w czasie porodu, ani kiedy urodziła, ani nawet, gdy jej dziecko zmarło. Nie rozmawiałeś z nią.

– Przyszedłem ją pocieszyć jakieś dwadzieścia minut później. Mówiłem ci. Zawsze byłem dla niej miły.

Zdjął maseczkę i zmienił tożsamość; znowu był opiekuńczym człowiekiem, za którego ja też go uważałam.

– Zapropnowałem, że zadzwonię do kogoś w jej imieniu – ciągnął. –

Dała mi twój numer.

Myślałaś, że wiem. Przez cały czas myślałaś, że wiem.



Pan Wright patrzy na mnie z troską.

– Wygląda pani blado.

Czuję się blada, od środka i od zewnątrz. Zastanawiam się nad wyrażeniem: „blado wypaść”. Myślę sobie, że dobrze mnie opisuje; blado wypadam na tle jaskrawego świata.



Słyszałam, że na zewnątrz są ludzie, na których pada ostre, popołudniowe światło. Nie widzieli mnie w tym szalecie. William zdjął krawat i związał mi ręce na plecach.

– Nazwałeś ją Tess, gdy spotkałam cię po raz pierwszy.

Muszę z nim rozmawiać. Tylko dzięki temu będę żyła. I muszę się wszystkiego dowiedzieć.

– Tak. To była głupia wpadka – odpowiedział. – Świadczy, że nie jestem w tym dobry. Kiepsko sobie radzę z podstępem i kłamstwami.

Był w tym dobry. Od samego początku mną manipulował, kierował rozmowami i subtelnie przekierowywał moje pytania. Od chwili, gdy poprosiłam o Twoją dokumentację po pytanie o to, kto był odpowiedzialny za program badań w szpitalu św. Anny dbał o to, bym nie miała właściwych informacji. Nawet się usprawiedliwił, na wypadek, gdyby nie grał dość przekonująco. „Opowiadam o tym tak, jakbym grał w jakiejś telenoweli”.

Przez cały czas udawał.

– Nie planowałem tego. To jakiś wandal rzucił jej kamieniem w okno, nie ja. A ona pomyślała, że było to wymierzone przeciwko niej.

Wiązał mi nogi szpagatem.

– A kołysanki? – spytałam.

– Spanikowałem. Robiłem wszystko, co mi wpadło do głowy. Mieliśmy tę płytę na oddziale. Zabrałem ją do domu, nie wiedząc do końca, co czynię. Niczego nie planowałem. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłaby nagrać ją na taśmę. Kto ma dzisiaj automatyczną sekretarkę na kasety? Wszyscy mają pocztę głosową oferowaną przez operatora.

Szamotał się między drobnostkami dnia codziennego i wielkim horrorem zabójstwa.

– Wiedziałeś, że karta Mitcha będzie bezużyteczna, bo nikt nie uwierzy Kasi.

– W najgorszym razie zaniósłabyś kartę jej chłopaka na policję i zrobiła z siebie idiotkę.

– Musiałeś jakoś zdobyć moje zaufanie.

– To twoja wina. Zmuszałaś mnie do tego. Nie dałaś mi wyboru.

Zaufałam mu na długo przed tym, jak dał mi dokumentację Mitcha. Pomógł mi w tym mój brak pewności siebie. Myślałam, że moja nieufność względem niego wynikała z typowego dla mnie lęku, który budzili we mnie przystojni mężczyźni, a nie z poważnego podejrzenia go o popełnienie morderstwa, więc oddaliłam ten pomysł. Był jedyną osobą w całej tej historii, która miała związek ze mną, a nie tylko z Tobą.

Myślałam zbyt długo. A nie mogłam pozwolić na to, by zapadło między nami milczenie.

– To ty, a nie doktor Nichols, odkryłeś ten gen?

– Tak. Hugo jest uroczy. Ale nie genialny.

Opowiadając o Hugonie, równocześnie chełpił się i kłamał. Dotarło do mnie, że wrabiał doktora Nicholasa od samego początku, starannie zrzucając na niego winę, żeby przypadkiem podejrzenia nie padły na niego. Ten jego długodystansowy plan był brutalnie wyrachowany.

– Imperial College i ich absurdalna komisja etyczna nie zezwoliliby na badania na ludziach – ciągnął William. – Brakowało im wizji. Albo ikry. Wyobrażasz sobie gen, który zwiększa iloraz inteligencji? Pomyśl, co to

oznacza. Zgłosiła się do mnie firma Gene-Med. Zażądałem tylko, żeby przeprowadzili badania na ludziach.

– I zrobili to.

– Nie. Skłamacz. Zawiedli mnie. Ja...

– Naprawdę w to wierzysz? Dyrektorzy Gene-Med są błyskotliwi. Czytałam ich biografie. Są dość mądrzy, by zlecić komuś innemu pracę dla nich. Komuś, kto zbierze cięgi, jeśli coś pójdzie nie tak.

Potrząsnął głową, ale widziałam, że trafiłam do niego. Otwierała się przede mną furka, w którą rzuciłam się jak oszalała.

– Prawdziwe pieniądze stoją za genetycznym ulepszeniem, prawda? Jak tylko je zalegalizują, kasa będzie ogromna. Gene-Med chce wyprzedzić innych, być przygotowanym.

– Nie mogą tego wiedzieć.

– Wykorzystali cię, Williamie.

Zrobiłam błąd. Za bardzo się bałam, by być tak przebiegłą, jak powinnam. Tylko zraniłam jego ego i wzbudziłam nowy przypływ złości. Do tej pory trzymał nóż dość swobodnie, teraz ścisnął go znacznie mocniej.

– Opowiedz mi o próbach na ludziach. Co się stało?

Palce nadal ścisnęły nóż, ale kostki mu już nie białały, więc nieco rozluźnił chwyt. W drugiej dłoni trzymał latarkę. Przygotował się; miał nóż, latarkę i łańcuch – groteskowa parodia ekwipunku skauta. Zastanawiałam się, o czym jeszcze pomyślał.



Pan Wright trzyma mnie za rękę. Znowu czuję do niego przemożną wdzięczność. Nie odtrącam już dobroci.

– Powiedział mi, że u ludzi jego gen inteligencji koduje też inne informacje. Wpływa nie tylko na pojemność pamięci, ale też na funkcjonowanie płuc. To oznaczało, że po urodzeniu dzieci nie mogły oddychać.

Przykro mi, Tess.

– Powiedział, że jeśli dziecko podłączy się do respiratora natychmiast po urodzeniu, jeśli przez jakiś czas będzie się wspomagało jego oddychanie, nic mu nie będzie. I przeżyje.

☞

Zmusił mnie do tego, żebym położyła się na podłodze na lewym boku. Chłód betonowej posadzki przenikał moje ciało. Próbowałam się poruszyć, ale miałam ociążałe kończyny. Pewnie dodał do herbaty jakiś narkotyk. Mogłam utrzymywać się przy życiu tylko wtedy, gdy nie przestanę mówić.

– Nie pomogłeś im oddychać, prawda? Ani Xavierowi, ani dziecku Hattie.

– To nie była moja wina. Jest to rzadkie zaburzenie funkcjonowania płuc i ktoś zacząłby zadawać pytania. A ja potrzebuję spokoju. Wtedy nie będzie problemów. Chodzi o to, że inni zrobiliby wokół mnie tłok, ograniczaliby przestrzeń.

– Zatem skłamałeś co do przyczyny śmierci dzieci?

– Nie mogłem ryzykować, że ludzie zaczną zadawać pytania.

– A ja? Na pewno nie sfigurujesz mojego samobójstwa, tak jak w przypadku Tess. Przecież za drugim razem policja nabrałaby podejrzeń.

– Sfigować? Mówisz tak, jakby to było przemyślane. Nie zaplanowałem tego, mówiłem ci. Wnioskujesz o tym na podstawie moich błędów, prawda? Badania i próby zaplanowałem w najdrobniejszych szczegółach, ale nie to. Byłem do tego zmuszony. Nawet im płaciłem, nie zastanawiając się nad tym, że to może wzbudzić podejrzenia. I nigdy nie sądziłem, że będą ze sobą rozmawiać.

– Dlaczego im płaciłeś?

– Z dobroci serca. Chciałem mieć pewność, że będą się dobrze

odżywiać, żeby płody miały najlepsze warunki rozwoju. Miały wydać te pieniądze na jedzenie, a nie na cholerne ubranka.

Nie śmiałam go zapytać o to, czy były inne i ile. Nie chciałam umierać z tą wiedzą. Było jednak coś, co musiałam wiedzieć.

– Dlaczego wybrałaś Tess? Bo była samotna? I biedna?

– Była też katoliczką. Katoliczki znacznie rzadziej przerywają ciążę, gdy jest jakiś problem z dzieckiem.

– Hattie jest katoliczką?

– Miliony Filipińczyków są katolikami. Hattie Sim zamieściła tę informację w formularzu. Nie podała nazwiska ojca, ale wyznanie, owszem.

– Czy jej dziecko miało mukowiscydozę?

– Tak. Gdy tylko mogłem, leczyłem mukowiscydozę i testowałem równocześnie swój gen. Brakowało jednak dzieci spełniających kryteria.

– Xavier ich nie spełniał?

Milczał.

– Czy Tess dowiedziała się o twoich testach? Dlatego ją zabiłaś?

Zawahał się. Mówił prawie płaczliwym tonem. Sądzę, że naprawdę miał nadzieję na to, że go zrozumie.

– Nie przewidziałem jeszcze jednej konsekwencji. Otóż mój gen przedostawał się do jajników. To znaczy, że ta sama zmiana genetyczna dokonuje się w każdej komórce jajowej i jeśli kobieta urodzi kolejne dzieci, będą one miały takie same problemy z płucami. Nie mogłem oczekiwać, że będę przy narodzinach kolejnego dziecka. Ludzie się przeprowadzają. W końcu ktoś by odkrył, co się dzieje. To dlatego Hattie musiała mieć zrobioną histerektomię. Tess urodziła zbyt szybko. Przyjechała do szpitala, gdy dziecko wysuwało już główkę. Nie było czasu, bym zrobił cesarskie cięcie, a tym bardziej usunął macicę z jajnikami i jajowodami.

Zatem o niczym nie wiedziałaś.

Zabił Cię, bo Twoje ciało było żywym dowodem przeciwko niemu.



Ludzie wokół nas zaczynają opuszczać park. Trawa szarzeje i wieczorne powietrze robi się chłodne. Kości mnie bolą z zimna. Skupiam uwagę na ciepłe dłoni pana Wrighta, który trzyma mnie za rękę.

– Zapytałam, co go do tego skłoniło. Gdy zasugerowałam, że pieniądze, wpadł we wściekłość i powiedział, że nie kierował się chciwością. Jego motywy nie były nieczyste. Oznajmił, że nie byłby w stanie sprzedać genu, który nie został legalnie przebadany. Nie kierowało nim też pragnienie sławy. Nie mógł przecież opublikować rezultatów.

– Podał pani powód?

– Tak.

Powiem Ci, co mi wyznał, w otoczeniu szaro-zielonego parku i chłodnego, świeżego powietrza. Żadna z nas nie musi wracać do tego budynku, żeby to usłyszeć.

– Oświadczył, że nauka dysponuje władzą, którą niegdyś uzurpowała sobie religia. Jest to prawda, którą można udowodnić, a nie przesady i frazesy. Oznajmił, że cuda nie dokonują się w piętnastowiecznych kościołach, ale w laboratoriach naukowych i szpitalach. Powiedział, że umarłych przywraca się do życia na oddziałach intensywnej terapii; chromi chodzą dzięki protezom bioder; niewidomi widzą dzięki operacjom laserowym. W kolejnym milenium pojawią się nowe bóstwa, dysponujące dającymi się dowieść możliwościami. Bóstwami tymi będą naukowcy, którzy będą ulepszać ludzi. Oznajmił, że pewnego dnia jego gen zostanie bezpiecznie wprowadzony do puli genów, a to będzie znaczyło, że ludzkość zostanie nieodwracalnie zmieniona na lepsze.

Jego wyniosła pycha była ogromna, naga i szokująca.





Świecił mi latarką w twarz i nie widziałam go. Nadal próbowałam się poruszyć, ale moje ciało było zbyt odurzone narkotykiem, by mogło zareagować na wezwanie do działania, wykrzykiwane przez mózg.

– Tego dnia poszedłeś za nią do parku?

Bałam się to usłyszeć, ale musiałam się dowiedzieć, jak umarłaś.

– Kiedy ten chłopak sobie poszedł, usiadła na ławce i zaczęła pisać list. Padał śnieg. To dość niezwykle zachowanie, nie sądzisz?

Spojrzał na mnie i czekał na odpowiedź, jakby to była zwykła rozmowa. Zrozumiałam, że będę pierwszą i ostatnią osobą, której opowie tę historię. Naszą historię.

– Odczekałem chwilę, żeby mieć pewność, że chłopak nie wróci. Może z dziesięć minut. Poczula ulgę, gdy mnie zobaczyła. Już ci to mówiłem, prawda? Uśmiechnęła się. Dobrze się dogadywaliśmy. Przyniosłem termos z gorącą czekoladą i podałem jej kubek.



Szarość parku ciemnieje i przechodzi w odcienie fioletów i czerni.

– Powiedział, że w gorącej czekoladzie rozpuścił mnóstwo środka nasennego. Odurzył ją i zaciągnął do szaletu.

Jestem wyczerpana i bełkocę. Wyobrażam sobie, jak te ohydne słowa powoli ze mnie wypelzają.

– Wtedy poprzecinał jej tętnice.

Przekażę Ci jego wypowiedź, bo masz prawo ją znać, choć będzie to dla Ciebie bolesne. Nie, to zupełnie niewłaściwe słowo. Samo wspomnienie jego głosu wywołuje we mnie strach i czuję się jak pięciolatka, która jest sama w domu, a do drzwi łomocze zabójca. Nikt nie może mi pomóc.

– *Lekarz nie ma z tym problemu. Choć za pierwszym razem jest inaczej. Za pierwszym razem ma się wrażenie, że popełnia się wykroczenie. Skóra to największy narząd człowieka okrywający całe ciało, a lekarz narusza je celowo. Jednak po tym pierwszym razie nie ma*

*się już wrażenia, że to nadużycie, po prostu przeprowadza się operację. Cięcie nie kojarzy się już z przemocą, tylko z niezbędnym krokiem, który trzeba wykonać na drodze ku zdrowiu.*

Pan Wright ściska ciepłymi palcami moją dłoń.

Tracę czucie w nogach.



Słyszałam, jak moje serce waliło szybko o beton; to była jedyna aktywna część mojego ciała. Spojrzałam na niego. Ku swojemu zdziwieniu zobaczyłam, że chowa nóż do kieszeni. Optymizm ogrzało moje zdrętwiałe ciało.

Pomógł mi usiąść.

Powiedział, że nie zamierza mnie pociąć, ponieważ przedawkowanie leku jest mniej podejrzane, niż użycie noża.

Nie jestem w stanie przytoczyć jego słów. Po prostu nie mogę.

Oznajmił, że podał mi w herbacie na tyle dużo środka usypiającego, że nie będę mogła się opierać ani uciekać. Zamierzał podać mi zabójczą dawkę. Zapewnił, że śmierć będzie spokojna i bezbolesna, i właśnie przez tę jego troskliwość ta wypowiedź była nie do zniesienia. Tak naprawdę pocieszał siebie.

Powiedział, że przyniósł ze sobą swoje środki nasenne, ale nie musi ich wykorzystywać. Wyjął z kieszeni butelkę tabletek, które Todd przywiózł dla mnie ze Stanów. Przepisał mi je mój lekarz. Pewnie William znalazł je w szafce łazienkowej. Podobnie jak łańcuch, latarka i nóż, tak i buteleczka z tabletkami nasennymi dowodziła, że wszystko zaplanował w szczegółach i zrozumiałam, dlaczego przemyślane zabójstwo jest znacznie gorsze od morderstwa w afekcie. Ten człowiek był zły przez znacznie dłuższy czas, niż przez te chwile potrzebne na zabicie mnie.



Zmierzch przyniósł chłód ciemności. Strażnicy zamykają bramy parku, ostatnie nastolatki zbierają się do wyjścia. Dzieci są już w domach i szykują się do kąpieli i snu. Pan Wright i ja zostajemy. Jeszcze nie skończyliśmy. Z jakiegoś powodu nikt nie każe nam wychodzić. Może nas nie zauważono? Cieszę się, bo muszę powiedzieć wszystko. Muszę dotrzeć do końca.

W nogach zupełnie straciłam czucie i martwię się, że pan Wright będzie musiał wynieść mnie z parku. A może wezwie karetkę?

Najpierw jednak skończę.



Błagałam go. Też to robiłaś? Sądzę, że tak. Myślę, że podobnie jak ja, rozpaczliwie starałaś się żyć. Rzecz jasna, to nie podziałało; tylko się zirytował. Gdy przekręcił wieczko flakonika z tabletkami nasennymi, zebrałam w sobie resztki fizycznej energii i spróbowałam uciec się do logicznego argumentu.

– Jeśli zostanę znaleziona w tym samym miejscu, co Tess, policja na pewno nabierze podejrzeń. Zakwestionuje też przyczynę śmierci Tess. To szaleństwo, żeby robić to tutaj, nie sądzisz?

Na chwilę złość zniknęła z jego twarzy i przerwał otwieranie buteleczki. Wstrzymałam egzekucję na czas tej perwersyjnej dyskusji. Po chwili jednak uśmiechnął się, jakby uspokajając zarówno siebie jak i mnie, że nie muszę się tym martwić.

– Zastanawiałem się nad tym. Przecież policja wie, jak się zachowywałaś od śmierci Tess. Już cię uważa za lekko nie zrównoważoną, prawda? A nawet jeśli sami na to nie wpadną, każdy psychiatra im powie, że to ty wybrałaś to miejsce, by w nim umrzeć. Chciałaś się zabić tu, gdzie straciła życie twoja siostrzyczka.

Zdjął wieczko z buteleczki.

– Na dobrą sprawę, jeśli już mamy uciekać się do logiki, to kto przy zdrowych zmysłach wybrałby ten sam budynek, by zakończyć życie

dwóch osób.

„Zakończyć życie”. Przekształcał brutalne zabójstwo w coś pasywnego. Jakby asystował przy zabiegu eutanazji, a nie mordował kogoś.

Gdy William przesypywał tabletki w zagłębienie dłoni, zastanawiałam się, kto zakwestionuje moje samobójstwo lub zaręczy, że byłam w pełni władz umysłowych. Doktor Nichols, któremu z wściekłością nuciłam kołysankę? Nawet jeśli w czasie naszego ostatniego spotkania nie pomyślał, że mam skłonności samobójcze, podważy swoją diagnozę, jak zrobił to w Twoim przypadku i obwini się za to, że nie dostrzegł objawów. Inspektor Haines? On już uważał, że jestem przesadnie rozemocjonowana i działałam irracjonalnie. Wątpiłam też, by sierżant Finborough, nawet jeśli spróbuje, zdołał go przekonać, że było inaczej. Todd uzna, że „nie byłam w stanie zaakceptować faktów”, z czym zgadzało się wiele innych osób, nawet jeśli były na tyle uprzejme, by nie mówić mi tego wprost. Wszyscy pomyślą, że z uwagi na emocjonalny zamęt po Twojej śmierci, brak racjonalności i przygnębienie, mogłam pomyśleć o odebraniu sobie życia. Rozsądna, konwencjonalna osoba, którą byłam przed kilkoma miesiącami, nie przedawkowałaby środków nasennych w takim miejscu. Wszyscy będą zadawać pytania, uwzględniając to, kim byłam, a nie kim się stałam.

A mama? Powiedziałam jej, że jestem bliska odkrycia, co się z Tobą stało i wiedziałam, że przekaze to policji. Miałam też świadomość, że nikt jej nie uwierzy, a raczej nikt nie da wiary w to, co mówiłam. Po jakimś czasie mama też to zaakceptuje; będzie wolała dźwigać ciężar poczucia winy związanego z moim samobójstwem, niż znosić myśl, że choć przez moment czułam taki sam strach jak Ty. Nie mogłam wyobrazić sobie jej bólu towarzyszącego opłakiwaniu mnie. Nie będzie miał jej kto pocieszyć.

William włożył pustą fiolkę do kieszeni mojego płaszcza. Potem oznajmił, że sekcja zwłok musi wykazać, iż połknęłam tabletki w całości. Dzięki temu będzie to wyglądało na dobrowolne działanie. Próbuje nie

słyszeć jego głosu, ale nie daje się wyciszyć.

– Któż mógłby zmusić drugą osobę do połknięcia tabletek wbrew woli? Przyłożył mi nóż do gardła. W ciemności czułam zimne ostrze na skórze.

– Ja taki nie jestem. To jest koszmar. Nie poznaję siebie.

Chyba oczekiwał, że się nad nim ulituję.

Przyłożył mi dłoń z tabletkami do ust. Buteleczka była pełna, czyli znajdowało się w niej co najmniej dwanaście tabletek. Można zażyć jedną na dobę. Każda większa dawka była niebezpieczna. Przeczytałam to na ulotce. Wiedziałam, że dwanaście to aż nadto, by mnie zabić. Przypomniałam sobie, jak Todd namawiał mnie, bym sięgnęła po ten środek, ale odmówiłam, bo chciałam być przytomna; nie miałam prawa do kilku godzin zapomnienia, bez względu na to, jak bardzo tego pragnęłam; wiedziałam, że zażycie tabletki nasennej byłoby tchórzowską ucieczką, którą pragnęłabym później powtarzać. To właśnie myślałam, gdy William wpychał mi pigułki, a ja bezskutecznie próbowałam bronić się językiem.

Potem wlał mi w usta wodę mineralną i kazał przełknąć.



Jest ciemno, jak na wsi. Myślę o wszystkich nocnych stworzeniach, które wyszły z ukrycia, gdy ludzie poszli do domów. Myślę o tej bajce o misiach, które w nocy chodziły do parku, żeby się bawić. „Misio numer trzy zjeżdża ze zjeżdżalni”.

– Beatrice?

Pan Wright pomaga mi, ponagla i zachęca, bym dokończyła składać zeznania. Nadal trzyma mnie za rękę, ale prawie nie widzę jego twarzy.

– Udało mi się jakoś upchnąć tabletki między zębami i policzkami. Przełknęłam wodę i może jedną lub dwie pigułki. Wiedziałam jednak, że niebawem pozostałe też się rozpuszczą w ślinie. Chciałam je wypluć, ale nadal świecił mi latarką w twarz.

– A potem?

– Wyjął z kieszeni kurtki list. To był list Tess do mnie. Pewnie ten, który pisała na ławce tuż przed śmiercią.

Milknę. Łzy spadają na trawę, a może na pana Wrighta – nie widzę tego w ciemności.

– Poświecił latarką na kartkę, żeby móc przeczytać treść. To znaczyło, że nie miałam oświetlonej twarzy. To była jedyna okazja, by opuścić głowę i wypluć pigułki na kolana. Bezszelestnie wpadły w fałdy płaszcza.

Wiesz, co do mnie napisałaś, ale słyszałam głos Williama, nie Twój. To on opowiadał o Twoim strachu, rozpacz, żalu. To głos Twojego zabójcy mówił o tym, jak chodziłaś po ulicach i parkach, zbyt przerażona, by wracać do domu, jak krzyczałaś w kierunku mrocznego, zimowego nieba do Boga, w którego już nie wierzyłaś i domagałaś się, żeby oddał Ci Twoje dziecko; mówił też o tym, że upatrywałaś w tym przejaw obłędu. To morderca powiedział mi, że nie mogłaś zrozumieć, dlaczego nie przyjechałam, nie zadzwoniłam, nie odebrałam telefonu. To on mnie poinformował, że byłaś pewna, iż jest po temu ważny powód. Jego głos, czytający Twoje słowa, pogwałcił Twoją wiarę we mnie. Ale na koniec twój łagodny głos wyszeptał:

– *Potrzebuję Cię w tej chwili, teraz, Bee. Proszę.*

I wtedy, jak wiesz, zalałam się łzami.

– Włożył list z powrotem do kieszeni, pewnie po to, by go później zniszczyć. Nie wiem, dlaczego go zachował i przeczytał.

Myślę, że z tej samej przyczyny, dla której ja wcześniej rozgrzeszałam się przed panem Wrightem – poczucie winy potrzebuje towarzystwa.

– *Potrzebuję Cię w tej chwili, teraz, Bee. Proszę.*

Chciał, żebym biła się w piersi, tak jak on.

– I co dalej? – pyta pan Wright; musi mnie zachęcać, żeby mieć

pewność, że wszystko sobie przypomnę. Już prawie skończyliśmy.

Wyłączył mój telefon i położył go obok drzwi, gdzie nie mogłam go dosięgnąć. Następnie wyjął moją apaszkę z kieszeni. Zabrał ją z mieszkania. Obwiązał mi usta.

Gdy mnie kneblował, czułam w głowie gonitwę myśli; wpadały na siebie. To była sześciopasmowa autostrada myśli. Wszystkie sunęły równocześnie, ustawiały się jedna za drugą. Żadna nie mogła się wydostać na zewnątrz. Wyobraziłam sobie, że niektóre uwolniłby krzyk, inne płacz, a jeszcze inne ktoś, kto by mnie objął. Większość z nich miała charakter pierwotny i fizyczny. Wcześniej nie wiedziałam, że to nasze ciała myślą najintensywniej. To dlatego zakneblowanie kogoś było takim bestialstwem. Nie dlatego, że nie mogłam wzywać pomocy – któż by mnie usłyszał w tym pustym budynku w środku opustoszałego parku? To było okrutne, bo nie mogłam krzyczeć, szlochać lub jęczeć.

– Wtedy odezwał się jego pager. Zadzwoił ze swojej komórki do szpitala i powiedział, że zaraz będzie. Wyglądałoby to podejrzanie, gdyby się nie stawił.

Słyszę, jak łapię oddech w ciemności.

– Beatrice?

– Zmartwiłam się, że to Kasia rodzi i dlatego William musiał wyjść.

Dłoń pana Wrighta jest taka mocna w tym mroku. Dodaje mi otuchy.

– Sprawdził knebel i więzy wokół nadgarstków i nóg. Powiedział, że później je zdejmie, żeby nic nie wzbudzało podejrzeń, gdy zostanę znaleziona. Nadal nie wiedział, że wyplułam tyle tabletek. Ja natomiast miałam świadomość, że jeśli nadal będę żyła, to gdy wróci, użyje noża, jak w przypadku Tess.

– Jeśli będzie pani żyła?

– Nie byłam pewna, ile pigułek połknęłam, ani ile środka rozpuściło się w ślinie. Nie wiedziałam, czy to wystarczy, żeby mnie zabić.

Staram się skupić na dłoni pana Wrighta.

– Wszedł. Kilka minut później odezwał się mój pager. William

wyłączył telefon, ale nie wiedział o tym, że mam pager. Próbowałam sobie wmówić, że Kasia wzywa mnie z jakiegoś błahego powodu. Przecież jej dziecko miało przyjść na świat za trzy tygodnie.

Dokładnie tak, jak Twoje.

Pan Wright głaszcze mnie po palcach. Delikatność jego ruchu sprawia, że mam ochotę płakać.

– I co było potem? – pyta.

– Zabrał latarkę. Nigdy nie przebywałam w takich ciemnościach.

Byłam sama w mroku czarnym jak smoła.

Ta czerń pachniała rozkładem zaprawionym strachem. Zalała moją twarz, podchodziła mi już do ust i nosa. Tonęłam i myślałam o Tobie w czasie wakacji w Skye – wyszłaś z morza, bełkotałaś i miałaś zaróżowione policzki. „Nic mi nie jest! Tylko woda w morzu popłynęła w złą stronę!”. Zrobiłam wdech. Czerń zalała mi płuca.

Zobaczyłam, że mrok się poruszył – potworne, żywe coś wypełniło budynek i rozlało się w noc. Nie ograniczała go żadna skóra. Miałam wrażenie, że wciągnął mnie w pustkę nieskończonego strachu – daleko od światła, życia, miłości, nadziei.

Pomyślałam o mamie w jej szeleszczącym szlafroku, pachnącej kremem do twarzy, zbliżającej się do naszych łóżek. To wspomnienie było jednak zamknięte w dzieciństwie i nie mogło rozjaśnić ciemności.

Czekam, aż pan Wright znowu mnie zachęci. Ale nie ma ciągu dalszego. Wreszcie dotarliśmy do końca.

To koniec.

Próbuję poruszyć rękami, ale są spętane krawatem. Palce prawej dłoni zacisnęły się mocno na lewej. Ciekawe, czy dlatego, że jestem praworęczna, właśnie prawa dłoń wzięła na siebie rolę pocieszycielki.

Jestem sama w ciemności i leżę na betonowej posadzce.

W ustach mi zaschło. Zimno betonu wniknęło w moje ciało. Jestem



przemarznięta do kości.

Zaczynam list do Ciebie, moja ukochana, młodsza siostró.

Najdroższa Tess,

zrobiłabym wszystko, żeby być z Tobą teraz, w tej chwili, trzymać Cię za rękę, spojrzeć na Twoją twarz, słuchać Twojego głosu. Jak list może zastąpić doznania dotykowe, wzrokowe i węchowe – zapewniane nam przez receptory czuciowe, nerwy wzrokowe i wibrujące bębunki w uszach? Jednakże już wcześniej udawało nam się wykorzystywać słowa jako pośredników, prawda?

Wracam myślami do czasu szkoły z internatem i pierwszego listu od Ciebie, tego napisanego niewidzialnym tuszem. Od tamtej pory dobroć kojarzy mi się z zapachem soku z cytryny.

I kiedy tak o Tobie myślę i rozmawiam z Tobą, mogę znowu oddychać.

## ROZDZIAŁ 23

Musiało minąć wiele godzin, więc William na pewno niebawem wróci. Nie wiem, jak dużo środków nasennych połknęłam, lecz przez całą noc czułam, jak otępienie wysysało ciepło z mojego ciała i jasność myślenia z umysłu. Zdaje się, że traciłam przytomność i odzyskiwałam ją – skąd mogłam to wiedzieć w tej ciemności? Nawet jeśli, to w tym nienaturalnym wymuszonym śnie nadal z Tobą rozmawiałam i może właśnie wtedy moje wyobrażenia stały się osobliwie żywe.

W tej chwili czuję się przytomna. Wszystkie zmysły są czujne, gotowe do działania, roztrzęsione. To pewnie przez adrenalinę, ten hormon odpowiedzialny za reakcję „uciekaj albo walcz”. Jest na tyle silny, że może uruchomić serce, które stanęło; wystarczająco silny, by przywrócić mi świadomość.

Próbuję się poruszyć, ale ciało jest nadal zbyt odurzone, odrętwiałe i za mocno spętane. Ten mrok wydaje się mieć niemal stałą konsystencję – nie jest aksamitny, jak w bajkach, ani gładki czy miękki, tylko najeżony kolcami strachu. Słyszę, jak coś się porusza w odległości kilku centymetrów od mojej twarzy. Mysz? Owad? Straciłam orientację słuchową. Policzek mnie boli – pewnie leży na jakiejś nierówności na betonie.

A co, jeśli to nie adrenalina trzyma mnie przy życiu? Może połknęłam mniej tych środków, niż się obawiałam, albo jakimś cudem wróciłam z tej drugiej strony po przedawkowaniu i przeżyłam?

To i tak niczego nie zmienia. Nawet jeśli moje ciało nie zostało

śmiertelnie odurzone, leżę tu spętana i zakneblowana, a William wróci. Wtedy odkryje, że żyję i posłuży się nożem.

Zatem muszę Ci wszystko wyjaśnić, zanim się tu zjawi. Wszystko działo się tak, jak Ci powiedziałam, począwszy od telefonu mamy, w którym informowała o Twoim zaginięciu, po chwilę, w której William zostawił mnie tutaj, bym skołała. Skończę tak samo jak Ty, w tym budynku. Nie miałam dość odwagi, by się z tym zmierzyć, a może kocham życie za bardzo, by pozwolić mu odejść tak cicho. Nie byłam w stanie fantazjować na temat szczęśliwego zakończenia, niemniej wyobrażałam sobie, że będzie sprawiedliwe. I postarałam się, żeby było jak najbardziej realne, to moje myślenie o bezpiecznej przyszłości, dopracowane w szczegółach.

Boję się, że czekałaś na to, iż uratuje mnie sierżant Finborough. Sądzę jednak, że wyczułaś pewien zgrzyt w tej historii, gdy opowiedziałam Ci o naszym lunchu w Carluccios. To był tylko dający mi pocieszenie kobierzec marzenia na jawie, który miał na chwilę zastąpić zimny beton. Nic godnego podziwu czy odważnego, ale wiem, że mnie zrozumiesz.

Spodziewam się też, że domyśliłaś się już jakiś czas temu, że nie ma żadnego pana Wrighta. Wymyśliłam tego prawnika nie tylko po to, żebym mogła odegrać swoją rolę w sprawiedliwym zakończeniu – z rozprawą i skazaniem winnego – ale również w tym celu, żeby pomógł mi trzymać się faktów i chronologii zdarzeń. Potrzebowałam kogoś, kto ułatwi mi zrozumienie tego, co się stało, i kto powstrzyma mnie przed popadnięciem w obłąd. Nie jestem pewna, dlaczego zachowanie zdrowych zmysłów w czasie umierania jest dla mnie takie ważne, niemniej tak właśnie jest. Wiem, że bez pana Wrighta mój list do Ciebie przypominałby wyrażający strumień świadomości krzyk, wściekłą rozpacz, w której bym utonęła.

Uczyliłam go dobrym i nieskończenie cierpliwym, pogrążonym w smutku po stracie kogoś bliskiego, żeby mógł mnie zrozumieć. Może jestem katoliczką w większym stopniu, niż myślałam, i zrobiłam z niego

swojego spowiednika, ale takiego, który nawet dowiedziawszy się o mnie wszystkiego, mógł w wyobrażonej przyszłości mnie kochać. W ciągu tych długich godzin stał się bardziej realny niż otaczająca mnie ciemność; stał się kimś więcej niż tylko wytworem zrozpaczonej imaginacji – obdarzyłam go osobowością i kapryсами, które musiałam szanować, bo przecież nie zawsze wykonywał moje polecenia i służył moim celom. Zamiast malować pointylistyczny obraz zdarzeń, ustawiłam przed sobą lustro i po raz pierwszy przyjrzałam się sobie uważnie.

Wokół pana Wrighta umieściłam postać zadurzonej sekretarki z pomalowanymi paznokciami i żonkilami, automat do kawy oraz błahe detale, które razem stanowiły mój łącznik z normalnością – bo gdy runęłam w przepaść strachu i przestałam panować nad swoim ciałem, które miało odruchy wymiotne i trzęsło się, musiałam się czegoś chwycić.

Gabinet pana Wrighta zawsze był przesadnie jasny, ciągle paliło się w nim światło i było ciepło.

Odzywa się mój pager. Staram się go nie słyszeć, lecz związanymi na plecach rękami nie zdołam zasłonić uszu. Dzwonił przez całą noc, co dwadzieścia minut, jak sądzę, chociaż nie mogę być pewna tego, jak długo pozostawałam w pełni przytomna. Myśl, że nie pomogę jej, jest nie do zniesienia. I nie skorzystamy z tych biletów autobusowych do Polski.

Usłyszałam drzewa na zewnątrz, szelest liści, skrzywienie konarów. Nie wiedziałam, że drzewa tak hałasują. Nie słyszę jednak kroków.

Dlaczego on nie wraca? To pewnie dlatego, że Kasia rodzi, a on jest przy niej cały czas. Oszaleję, jeśli będę o tym myślała, więc przekonuję się, że istnieje wiele innych powodów, dla których wezwano Williama do szpitala. Jest lekarzem; ciągle jest potrzebny. W jego szpitalu rodzi się rocznie pięć tysięcy dzieci. Wezwano go do kogoś innego.

A może to sierżant Finborough sprawdził swoje „wątpliwości” dotyczące Twojej śmierci, jak obiecał, i aresztował Williama, a teraz jest w drodze do mnie. To nie jest tylko myślenie życzeniowe. On jest

sumiennym policjantem i porządnym człowiekiem.

Albo profesor Rosen postanowił postąpić właściwie, naraził na ryzyko swój wkład w przyszłość, swoje badania i akademickie uznanie, i udał się na policję. On chce zrobić coś dobrego, leczyć. Jego ambicje – pragnienie sławy, chwały, a nawet pieniędzy – są takie ludzkie w zestawieniu z pysznym dążeniem Williama do władzy. No i przyszedł na Twój pogrzeb i postarał się dowiedzieć, co się dzieje, nawet jeśli początkowo nic nie zrobił ze swoimi odkryciami. Postanawiam więc wierzyć, że profesor Rosen jest w gruncie rzeczy dobrym człowiekiem, chociaż próżnym. Chcę myśleć o nim jak najlepiej.

A może jeden z tych dwóch ludzi wprowadził w ruch koła maszyny, która doprowadzi do aresztowania Williama i uratowania mnie? Czy jeśli się wysię, usłyszę syrenę na skraju tej nocnej ciszy?

Słyszę liściaste szepty drzew i ich jęki. Wiem, że nie wyje dla mnie żadna syrena.

Pozwolę sobie na ostatnie marzenie i nadzieję. Kasia nie rodzi. Zamiast tego wróciła do domu na lekcję angielskiego, nauczywszy się wcześniej optymistycznego słownictwa, którym jest gotowa się pochwalić. William nie wie, że Kasia ze mną mieszka; nie wie też, że po Twojej śmierci nawróciłam się na bycie troskliwą w sposób całkowity i pełny. Tak więc, kiedy nie było mnie w domu i nie mogła się do mnie dodzwonić, zorientowała się, że coś jest nie tak. Te moje fantazje wydają się takie samolubne, ale ja muszę jej powiedzieć, że jej dziecku potrzebne jest wspomaganie oddychania. Wyobrażam więc sobie, że poszła na policję i zażądała, by mnie szukano. Wstawiła się za mną kolejny raz, chociaż wiedziała, że poniesie tego konsekwencje; stanęła do walki z inspektorem Hainesem.

Mój pager znowu się odzywa i fantazja rozpryskuje się na ostre jak brzytwa okruchy.

Słyszę ptaki. Przez chwilę myślę, że to poranne trele. Nadal jest ciemno, więc ptaki się pewnie pomyliły. Jeszcze bardziej prawdopodobne

jest to, że je sobie wymyśliłam, że są wywołanymi przez narkotyk majaczeniami. Pamiętam kolejność przedstawioną przez Amiasa: kosy, rudziki, strzyżyki, puszczyki, zięby, gajówki, drozdy. Przypomina mi się, jak mówiłaś o miejskich ptakach tracących umiejętność porozumiewania się poprzez śpiew i odniosłaś to do mnie i Todda – mam nadzieję, że napisałam o tym w tym liście do Ciebie. Czy powiedziałaś Ci, że dowiedziałam się o ptasich śpiewach czegoś więcej? Otóż kiedy ptak śpiewa, nie ma znaczenia, czy jest ciemno albo czy znajduje się wśród gęstej roślinności, ponieważ jego pieśń jest w stanie przebić się i ominąć przedmioty, a nawet nieść się na dużą odległość.

Wiem, że nie potrafię latać tak jak Ty. Gdy wreszcie spróbowałam, lub tylko tak mi się wydawało, skończyłam tutaj, związana, na betonowej posadzce. Jeśli to było latanie, to rozbiłam się przy lądowaniu w dość spektakularny sposób. O dziwo jednak, jestem nietknięta. Nie uległam zniszczeniu. Jestem przerażona, trzęsę się i zalewam się łzami, owszem. Ale nie brakuje mi już pewności siebie. W czasie tych poszukiwań przyczyn Twojej śmierci odkryłam, że jestem inną osobą. I jeśli jakimś cudem przetrwam i moja fantazja się ziści – William zostanie aresztowany i Kasia z dzieckiem wsiądą do autobusu jadącego do Polski, a ja razem z nimi – wówczas ta góra, której zawsze trzymałam się kurczowo, przechyli się do poziomu; nie będę potrzebowała już raków i lin asekuracyjnych, bo będę szła, biegła, a nawet tańczyła. Będę przeżywała swoje życie. I to nie opłakiwanie Ciebie przechyli tę górę, tylko miłość do Ciebie.

Wydaje mi się, że ktoś woła moje imię wysokim, dziewczęcym głosem. Pewnie to sobie wyobrażam. To słuchowe halucynacje wywołane myśleniem o Tobie.

Czy wiedziałaś, że w przestrzeni kosmicznej też słychać poranne trele? Tworzą je elektrony o wysokich potencjałach energii uwięzione w pasie radiacyjnym Van Allena, które następnie docierają do Ziemi w postaci fal dźwiękowych przypominających ptasie śpiewy. Czy myślisz, że

właśnie to słyszeli siedemnastowieczni poeci, gdy pisali o muzyce sfer?  
Czy podziwiasz ją tam, gdzie teraz przebywasz?

Znowu słyszę swoje imię na pograniczu treli. Ledwo daje się rozpoznać.

Zdaje się, że ciemność zaczyna szarzeć.

Ptaki nadal śpiewają, teraz już wyraźniej.

Docierają do mnie głosy mężczyzn. Jest ich cała grupa i wykrzykują moje imię. Pewnie i ich sobie wyobrażam. Jeśli nie, powinnam się do nich odezwać. Nadal jednak mam zakneblowane usta, a nawet gdybym nie miała i tak nie zdołałabym wydusić z siebie dźwięku. Na początku próbowałam wypluć ślinę, bo bałam się, że rozpuści się w niej środek nasenny. Później w ustach zrobiło mi się sucho i wyobrażałam sobie, że sekretarka pana Wrighta przynosiła mi kubeczki z wodą.

– Beata!

Jej głos jest wyraźny pośród głosów mężczyzn. Wykrzykuje moje imię. To Kasia. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że słyszę ją naprawdę. Nie rodzi. William nie jest z nią. Mam ochotę zaśmiać się z ulgą. Nie mogę przez ten knebel. Zamiast tego czuję ciepłe łzy na policzkach.

William musiał mieć rację, gdy mówił, że według policji jestem zdolna do popełnienia samobójstwa i dlatego poważnie potraktowano zgłoszenie Kasi. Może odgadli, że właśnie to miejsce wybiorę? A może sprowadziły ich tutaj te dwa słowa: „Odcisk palca”, które wysłałam do Kasi?

Widzę już plamę na betonie. Robi się jaśniej. To pewnie świt.

– Beata!

Jej głos jest coraz bliżej.

Pager znowu się odzywa. Nie muszę oddzwaniać. Wiem, że wysłała dźwięki, po których mnie namierzają. Kasia wzywała mnie przez całą noc nie dlatego, że potrzebowała mojej obecności przy sobie w czasie porodu, ale ponieważ się o mnie martwiła. To nie była fantazja, tylko ostatni fragment lustra. Przez ten cały czas to ona opiekowała się mną, prawda? Przyszła tamtego wieczoru do mnie, bo potrzebowała

schronienia, ale została, bo to ja byłam pogrążona w żałobie, samotna i w potrzebie. To jej ramiona, opuchnięte, pocieszyły mnie owej nocy – pierwszej, którą przespałam jak należy od chwili Twojej śmierci. Kiedy zmuszała mnie do tańca, na który nie miałam ochoty, i do uśmiechu, chciała, bym czuła, choć przez chwilę, coś innego niż smutek i wściekłość.

To samo dotyczy Ciebie. Już sam zapach cytryn powinien mi być przypomnieć, że opiekujesz się mną. Na pogrzebie Leo trzymałam Cię za rękę tak samo mocno, jak Ty mnie. I to dzięki Tobie przetrwałam tę noc, Tess. Myślenie o Tobie i rozmowa z Tobą pomogły mi oddychać.

Słyszę syrenę wyjąca w oddali. Zbliża się. Masz rację. To jest dźwięk cywilizowanego społeczeństwa troszczącego się o swoich obywateli.

Kiedy tak czekam na ratunek, wiem, że w związku z Twoim odejściem jestem pogrążona w smutku, ale nie przegrana. Jesteś moją siostrą w każdym włóknie mojego istnienia. Te włókna są widoczne – to są skręcone podwójne helisy DNA w każdej komórce ciała, udowadniające wyraźnie, że jesteśmy siostrami. Są też jeszcze inne połączenia, których nie dałoby się obejrzeć nawet pod najmocniejszym mikroskopem elektronowym. Chodzi mi o to, jak jesteśmy związane za sprawą śmierci Leo, odejścia taty i odrobionej pracy domowej, której nie można znaleźć, choć powinniśmy być w drodze do szkoły już od pięciu minut; wakacji w Skye i świątecznych rytuałów (pięć po piątej można rozpakować prezent leżący na wierzchu w skarpecie; za pięć piąta tylko pomacać, wcześniej zaledwie zerkać). Nasze więzy to setki tysięcy wspomnień, które osadzają się w człowieku i wtedy przestają być wspomnieniami, a stają się częścią czyjejś istoty. To we mnie żyje dziewczyna z rozwianymi karmelowymi włosami, jadąca rowerem; zakopująca swojego królika; pokrywająca płótna eksplozją barw, kochająca przyjaciół, dzwoniąca do mnie o dziwnych porach, drocząca się ze mną i żyjąca zgodnie z sakramentem chwili obecnej; pokazująca mi radość życia. To dlatego, że jesteś moją siostrą, wszystkie te rzeczy są też



częścią mnie. Zrobiłabym wszystko, żeby cofnąć się o dwa miesiące i wykrzykiwać tak Twoje imię, Tess.

Tobie musiało być dużo zimniej. Czy śnieg tłumiał odgłosy drzew? Czy było tu lodowato i cicho? Czy płaszcz ode mnie ogrzewał Cię? Mam nadzieję, że gdy umierałaś, czułaś, że Cię kocham.

Słyszę kroki na zewnątrz i drzwi się otwierają.

Potrzebowałam wielu godzin wypełnionych mrocznym przerażeniem i niezliczonych tysięcy słów, a w rezultacie to wszystko sprowadza się do kilku tylko zdań.

Przepraszam.

Kocham Cię.

Zawsze będę kochała.

Bee

# PODZIĘKOWANIA

Nie wiem, czy ktokolwiek czyta podziękowania, ale mam taką nadzieję, gdyż bez pomocy wymienionych poniżej osób ta książka nigdy by nie powstała.

Na początku chciałabym podziękować mojemu wydawcy, wspaniałej Emmie Beswetheric, za jej kreatywność, wsparcie, a także za odważne wyrażanie swoich przekonań oraz inspirowanie innych, aby je podzielali. Miałam również ogromne szczęście współpracować z wymarzoną agentką, Felicity Blunt z Curtis Brown – kreatywna, inteligentna, a do tego odbiera wszystkie telefony!

Chciałabym również podziękować Kate Cooper oraz Nickowi Marstonowi, również z Curtis Brown, a także pozostałym członkom zespołu z Piatkus i Little Brown.

Chciałabym też złożyć ogromne podziękowania Michele Matthews, Kelly Martin, Sandrze Leonard, Trixie Ravlison, Alison Clements, Amandzie Jobbins i Livii Giuggioli, które pomogły w tak wielu praktycznych kwestiach.

Dziękuję Wam Cosmo i Joe za wyrozumiałość, kiedy musiałam pisać, oraz za to, że jesteście dumni.

I wreszcie największe podziękowania należą się mojej młodszej siostrze

Torze Orde-Powlett, która stała się inspiracją dla tej książki, i która pozostaje dla mnie błogosławieństwem losu.

# Siostra

## Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[\\* \\* \\*](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

[ROZDZIAŁ 23](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

[Karta redakcyjna](#)

Tytuł oryginału  
SISTER

Wydawca  
*Paulina Martela*

Redaktor prowadzący  
*Grażyna Brzezińska*

Redakcja  
*Ewa Niepokólczycka*

Korekta  
*Krystian Gaik*

First publisher in Great Britain as a paperback original  
in 2010  
by Piatkus Reprinted 2010

Copyright  
© Rosamund Lupton 2010

Copyright  
© for the Polish edition by Weltbild Polska Sp. z o.o.,  
Sp. k,  
Warszawa 2011

Copyright © for the e-book edition by Weltbild Polska  
Sp. z o.o., Warszawa 2012

Świat Książki  
Warszawa 2012

Weltbild Polska Sp. z o.o.  
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2  
Księgarnia internetowa: [Weltbild.pl](http://Weltbild.pl)

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa  
autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do  
prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu.  
Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom

trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych - jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-273-0154-3

Nr 90453028



Plik ePub opracowany przez firm eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl

<http://eLib.pl>